

JUSTIN SOMPER

CZARNE SERCE

Przełożył Piotr W. Cholewa

*z powodów liczniejszych,
niż mogę tu wymienić.*

Prolog

Wcześniejsze wydarzenia...

Historia ta ma swój początek w roku 2505. Poziom wód się podniósł. Ten, kto włada na oceanach, rządzi światem. Morza roją się od statków pirackich, a także innych, bardziej tajemniczych.

Connora i Grace wychowywał ojciec, Dexter Tempest, który pracował jako latarnik w Zatoce Księżycowej. Rodzeństwo nigdy nie poznało swojej matki.

Gdy Dexter nagle zmarł, bliźnięta postanowiły rozpocząć samodzielne życie i wypłynęły na morze starą żaglówką ojca. Nie dotarły daleko, bowiem nieoczekiwany sztorm zatopił łódź, a one musiały walczyć o życie w zimnych, ciemnych, wzburzonych wodach. Brat i siostra zostali ocaleni przez dwa różne statki z bardzo odmiennymi załogami... Connora uratowała Cheng Li, pierwszy oficer na Diabłu, słynnym statku pirackim. Jego dowódcą był legendarny Molucco Wrathe, najstarszy z trzech braci tworzących charyzmatyczną i potężną, lecz także buntowniczą kapitańską dynastię. Connor wstąpił do załogi Molucca i rozkoszował się życiem pirata. Ze względu na swoją siłę, odwagę i wyjątkowe zdolności szermiercze był uważany za cudowne dziecko. Szczególnie blisko zaprzyjaźnił się z Bartem Pearce'em i Jezem Stukeleyem. Tworzyli oni trio znane pod żartobliwym mianem Trzech Bukanierów.

Grace odzyskała przytomność na pokładzie Nokturnu, statku piratów-wampirów (czyli wampiratów), który żegluje przez wieczność, zwykle niewidoczny dla śmiertelników. Z początku nie umiała rozstrzygnąć, czy jest gościem, więźniem, czy może żywym zapasem krwi dla załogi.

Ojciec Grace często śpiewał szantę o wampiratach, która opisywała ich jako demony oceanu. Wbrew oczekiwaniom dziewczyny większość załogi dobrze ją traktowała. Przyjaciółmi Grace zostali kadet Lorcan Furey, przystojny Irlandczyk, który wyłowił ją z morza, Darcy Flotsam, galion statku ozywający nocami, oraz tajemniczy kapitan. Dowódca zawsze skrywał twarz pod maską i mówił dziwnym szeptem.

Wampiraci z Nokturnu nie szukali ofiar. Co tydzień podczas Uczty każdy z nich żywił się krwią swojego partnera, donora. Wśród załogi narastało jednak niezadowolenie z tego systemu.

Porucznik Sidorio był pierwszym, który się zbuntował, za co usunięto go ze statku. Przypadek na krótko znów złączył Grace i Connora. Uspokojeni co do swoich losów, siostra i brat rozstali się po raz kolejny, wzywani przez nowe przyjaźnie i poczucie lojalności. Życie na pokładzie Diabła sposepniało, gdy Jez zginął w pojedynku. Connor zaczął kwestionować rozkazy Wrathe'a i żałować podpisania pirackiego kontraktu, który związał go na całe życie z kapitanem. Tymczasem Grace powróciła do świata wampiratów i z przerażeniem odkryła, że Lorcan stracił wzrok - być może z jej winy.

Sidorio tymczasem zajął się wykuwaniem nowych przymierzy i kuszeniem wampiratów, by zrezygnowali z życia na Nokturnie. Pierwszym sojusznikiem buntownika został zabity Jez Stukeley, którego Sidorio przywrócił do życia. Jez objął stanowisko jego porucznika. Wkrótce dołączyli doń inni i wspólnie dokonali potwornej masakry - uśmiercili Porfiria, młodszego brata Molucca, i wybili jego załogę. Piraci postanowili pomścić tę zbrodnię. Podczas ataku, którym dowodzili Molucco i Connor, unicestwili kilku wampiratów, jednak nie Sidorio ani Stukeleya.

Wówczas do Molucca dołączył kapitan Barbarro Wrathe, zamierzający poprawić swoje fatalne stosunki z bratem i pomścić śmierć Porfiria. Barbarro był kapitanem Tajfunu, a towarzyszyła mu żona (a jednocześnie pierwszy oficer) Trofie - kobieta ze złotą dłonią, oraz nastoletni syn Promyk, żywiący zadawnioną niechęć do Connora.

Tymczasem Grace wyruszyła do Sanktuarium, miejsca, w którym uzdrawiano udręczonych wampiratów. Wraz z nią udali się tam Lorcan, jego donor Shanti i kapitan Nokturnu. Mieli nadzieję, że guru Mosh Zu Kamal uleczy Lorcana i pomoże kapitanowi uniknąć podziału wśród wampiratów. Grace w Sanktuarium zaprzyjaźniła się z wampirem kowbojem, Johnnym Desperado.

W tym czasie Molucco wspólnie z Barbarrem wyruszył na jeden z najwspanialszych pirackich rajdów - ale jego bratanek Promyk naraził wyprawę na niebezpieczeństwo. Connor, ratując go, po raz pierwszy zabił człowieka. To wstrząsnęło chłopcem do głębi; zaczął żałować związania się z Diabłem i przestał wierzyć w sens bycia piratem. W rezultacie opuścił statek i ruszył w nieznaną. Po drodze napotkał dawną towarzyszkę Cheng Li wykładającą w Akademii Piractwa. Cheng Li przygotowywała się wówczas do objęcia przywództwa na własnym statku. Connor postanowił do niej dołączyć - za zgodą Molucca. Ku jego zdumieniu kapitan nie protestował. Spalił kontrakt Connora i odepchnął chłopca, o którym kiedyś myślał jak o własnym synu.

Ambicje Sidorii tymczasem rosły. Coraz więcej wampiratów odchodziło z Nokturnu i z Sanktuarium, przyłączając się do buntowników. Wśród nich przyjaciel Grace, Johnny. A kiedy kolejni członkowie załogi opuścili Nokturn, niezwyciężony dotąd kapitan wampiratów zaczął tracić siły.

Grace i Connor towarzyszyli mu podczas ceremonii uzdrawiania, gdy nareszcie zdjęto maskę dowódcy. Podczas tego oczyszczającego doświadczenia z ciała kapitana uleciał ciąg dusz. Jedna z nich wydawała się dziwnie znajoma - była to matka bliźniąt, Sally. Oto kolejna niezwykła opowieść o przygodach Grace i Connora Tempestów!

Rozdział 1

Intruzi w fortecy

Była spokojna, jasna noc. Tajfun podążał swoim kursem przez ocean, smukły i potężny niczym orka. Na pokładzie piraci z nocnej wachty wykonywali obowiązki równie zręcznie jak zawsze. Ich towarzysze odpoczywali pod pokładem: jedli, bawili się i przygotowywali do kolejnego dnia. Tajfun był niczym dobrze naoliwiona maszyna, od bocianiego gniazda po mesę, od pirackich uczniów po kapitana i pierwszego oficera. W małej, lecz wykwintnej kajucie bankietowej, dwa poziomy poniżej głównego pokładu, wokół okrągłego stołu siedziały cztery osoby. Błat przykryty był czerwonym jedwabiem, a stał na nim czworobok przypominający fortecę. Każdy bok konstrukcji tworzyły niewielkie płytki, w połowie drewniane, a w połowie kościane, ułożone jedna na drugiej. Ale najwyraźniej miniaturowa forteca nie była niezdobyta. Mury wyglądały na zniszczone, niektóre z płytek znajdowały się na specjalnych podstawkach, a inne leżały na blacie, ukazując barwne symbole na odwrocie.

- No tak - powiedziała Trofie Wrathe, stukając złotym palcem w podstawkę. - Niezła zabawa, co?

Siedzący naprzeciwko mąż, kapitan Barbarro Wrathe, milczał.

- O tak, świetna! - burknął Promyk, ich syn, siedzący po prawej ręce Trofie.

- Uważam, że to wspaniała gra - oświadczył starszy mężczyzna po lewej ręce Trofie.

Kobieta z satysfakcją pokiwała głową.

- Dziękuję, Transom. Sądzę, że teraz twój ruch.

- Naprawdę?

Zaufany majordomus Wrathe'ów wydawał się przez moment zagubiony. Potem wyciągnął rękę i drżącymi palcami wyjął z murów jedną płytkę. Odwrócił ją i przysunął do oczu, aby przyjrzeć się symbolowi.

Promyk westchnął głośno.

- No szybciej, dziadku! - syknął. Ojciec spojrzał na niego surowo.

- Ale przecież... - upierał się chłopak.

- Promyk...! - rzucił Barbarro Wrathe. Jego dźwięczny głos niósł wyraźne ostrzeżenie. Transom umieścił płytkę na swojej podstawce i zaczął przesuwając pozostałe z nagłą energią, jakby wykonywał skomplikowaną sztukę magiczną.

- Przypomnijcie mi - pisnął znowu Promyk - dlaczego właściwie torturujemy się w ten wyjątkowo posępny sposób?

Barbarro westchnął, pokręcił głową i podniósł do ust szklankę z płynem w kolorze miodu. Trofie uśmiechnęła się uprzejmie.

- Jak dobrze wiesz, postanowiłam, że wtorki spędzamy razem, min elskling. Uważam, że nie mamy dla siebie dość czasu. - Jej głos był twardy jak stal, gdy kończyła: - Ale teraz wszystko się zmieni. W odpowiedzi Promyk teatralnie przewrócił oczami.

Trofie spojrzała gniewnie najpierw na niego, potem na męża.

- Może powiesz coś swojemu synowi? Barbarro wzruszył ramionami.

- Kiedy jego to nie bawi, mnie to nie bawi i nie mogę uwierzyć, że ciebie...

- Ja się bawię cudownie - przerwała mu Trofie. Uśmiechnęła się szeroko. - A Transom...

Majordomus nadal układał płytki. Wyraz jego twarzy nieustannie się zmieniał. Nagle palce przerwały ten miniaturowy balet. Transom podniósł głowę i uśmiechnął się lekko.

- Madżong! - wykrzyknął i przewrócił podstawkę, ukazując poukładane symbole.

- Brawo! - zawołała Trofie, klaszcząc. Nie brzmiało to dobrze, gdyż jedna z jej dłoni była złota, ale kobieta promieniała. - Dobrze to rozegrałeś, Transom. Myślę, że zaczniesz się wciągać.

- Spojrzała na pozostałych. - To może jeszcze...?

- Nie! - huknęli razem Barbarro i Promyk. Przynajmniej raz się zgadzali.

- Dobrze - odparła Trofie. Wyraźnie straciła entuzjazm. - A więc co będziemy robić?

- Ty nam powiedz, mamó - oświadczył Promyk.

- Rodzinny wieczór to twój pomysł.

- Jeśli wolno zaproponować - odezwał się Transom - mógłbym kazać kukowi przygotować lekki posiłek.

- O, tak. - Trofie kiwnęła głową. - Byłoby miło. Może łososia w ziołach, a potem maliny ze śmietaną?

- Oczywiście, proszę pani - powiedział stary służący, po czym wstał i ruszył do drzwi. Gdy Transom wyszedł, Barbarro podniósł się i sięgnął po karafkę. Napełnił szklanę Trofie, a potem własną.

- Podziel się tym bogactwem, tato - poprosił Promyk z uśmiechem i sięgnął po szklanę.

Barbarro pokręcił głową. Zamknął karafkę szklanym korkiem.

- Przecież to rodzinny wieczór! - nalegał Promyk. - Jedyne dni w tygodniu, kiedy dzielimy się wszystkim po równo.

- Nie posuwaj się za daleko, mój chłopcze - rzekł ojciec i wrócił na miejsce. Sięgnął po dłoń żony i delikatnie pogładził złote palce z paznokciami z rubinów.

- Naprawdę próbowaliśmy, Trofie, ale nie ma się co oszukiwać. Chętnie przejrzałbym raz jeszcze mapy. Czy by ci przeszkadzało...

- Tak! - odparła Trofie i gwałtownie cofnęła rękę.

- Tak, min elskling, bardzo by mi przeszkadzało. Nikt nie opuści tego pokoju. Będziemy świetnie się bawić w rodzinnym gronie, nawet jeśli mielibyśmy paść trupem. - Skrzyżowała ręce na piersi.

Barbarro stęknął gniewnie. Promyk zrobił gest, jakby przebijał sobie serce sztyletem, a potem osunął się na krzesło, udając trupa. Zapadło ciężkie milczenie, które trwało, dopóki ktoś nie zapukał do drzwi.

Ulga Wrathe'ów była niemal namacalna.

- Wejdz, Transom! - zawołała Trofie. W otwartych drzwiach pojawiła się wielka srebrna taca z pokrywą.

- To miała być lekka przekąska - roześmiała się Trofie. Ale uśmiech zamarł jej na wargach, gdy zobaczyła, że to nie Transom wniósł tacę. Trzymała ją wysoka postać, ubrana w ciemny płaszcz z kapturem.

- Kim jesteś? Co tu się dzieje?! - zawołał Barbarro, gdy intruz stawiał tacę na stole. Dwie inne postacie w kapturach weszły do kajuty. Zamknęły drzwi i stanęły przy nich niczym strażnicy.

- Zadałem pytanie! - huknął Barbarro. - Kim jesteście? W odpowiedzi postać zrzuciła z głowy kaptur, potrząsnęła długimi ciemnymi włosami i uśmiechnęła się do trójki Wrathe'ów. Była to oszałamiająco piękna kobieta o dużych brązowych oczach i wystających kościach

policzkowych. O centymetr od pełnych warg miała pieprzyk, a wokół lewego oka makijaż - lub może tatuaż? - w kształcie czarnego serca.

- Czy naprawdę muszę pytać po raz trzeci...? - zaczął Barbarro.

Nieznajoma w końcu się odezwała.

- Jesteśmy z organizacji KLOSZ. Czyli z Korsarskiej Ligi Opieki nad Starymi i Zniechęconymi - powiedziała z wyraźnym brytyjskim akcentem.

- Już najwyższy czas, żeby postarał się pan o młodszych służących. Czyż nie, moje panie?

Jej dwie towarzyski uśmiechnęły się tajemniczo, zrzucając kaptury. Były młodsze od przywódczyni i równie piękne. Tak jak ona, obie miały wokół oczu wymalowane czarnym tuszem serca, choć po prawej, nie lewej stronie.

- Poważnie... kim jesteście? - upierał się Barbarro. - Nikt nie zjawia się na Tajfunie bez zaproszenia.

- Doprawdy? - zdziwiła się nieznajoma. - No cóż, nigdy nie byłam dziewczyną, która czeka na zaproszenie. Panią, która siedzi w domu i marzy o tym, aby zadzwonił telefon. - Roześmiała się. - To nie w moim stylu. Sama wypełniam swój balowy karneć, że tak powiem.

Promyk się uśmiechnął. W sposobie bycia tej kobiety było coś wyjątkowo swobodnego. I chociaż mówiła o sobie „dziewczyna”, dla niego wyglądała bardzo kobieco, podobnie zresztą jak jej towarzyski. Kimkolwiek były, cokolwiek chciały osiągnąć, z pewnością ocaliły rodzinny wieczór piratów przed kompletną katastrofą.

- Ale do rzeczy - powiedziała nieznajoma. - To dla mnie prawdziwy zaszczyt poznać w końcu słynną rodzinę Wrathe'ów.

- Macie nad nami przewagę - rzekła Trofie uprzejmie, ale stanowczo. - Wiecie, kim jesteśmy, a my wciąż nie znamy waszych imion.

Kobieta zdjęła rękawiczki, odsłaniając długie i delikatne palce. Każdy paznokieć był pomalowany na czarno.

- Nazywam się lady Lola Lockwood - rzekła. Jej arystokratyczny akcent kojarzył się z trącaniem kryształu. - A to moje koleżanki z załogi, Marianna i Angelika.

- Z załogi? - zdziwiła się Trofie. - Więc przybywacie z innego statku?

- Tak. - Lady Lockwood skinęła głową. - Nie tak wspaniałego jak Tajfun, niestety... Cóż, ciasny, ale własny. Prawda, drogie panie?

Marianna i Angelika przytaknęły. Ich uśmiechy były nieprzeniknione.

Trofie ruszyła w stronę lady Lockwood, nie odwracając od niej wzroku.

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek o tobie słyszała - oświadczyła kategorycznie.

- To mnie nie dziwi - odparła lady Lockwood.

- Widzi pani, jestem wagabundą... Chociaż dobrze urodzoną. O tak, jako niemowlę mocno trzymałam w ustach srebrną łyżeczkę... Ale było to bardzo dawno temu i niewielki ma związek z tym, co robię teraz i jak lubię spędzać czas.

- Czyli jak? - spytała Trofie. Kobiety stały teraz twarzą w twarz, jakby patrzyły w zwierciadło... tyle że krzywe. Miały podobny wzrost i piękne rysy. Lecz lady Lockwood była brunetką, a Trofie - chłodną blondynką.

- Jestem kolekcjonerką - oświadczyła lady Lockwood, patrząc Trofie w oczy. - Lubię zdobywać piękne rzeczy: klejnoty, dzieła sztuki, przedmioty niespotykane i drogie.

- A więc jesteś piratem - uznała Trofie. - Tak jak my.

Lady Lockwood wymieniła rozbawione spojrzenie ze swoimi towarzyszками.

- Piratem - powiedziała. - Hm. W pewnym sensie.

- Przejdźmy do rzeczy - rzucił zniecierpliwiony Barbarro. - Wieczór był długi i nie mam ochoty na żadne gierki.

Lady Lockwood roześmiała się lekceważąco.

- Psuje pan zabawę. Gra jest moim żywiołem. A to dlatego, że byłam jedyną córką w arystokratycznej rodzinie. Całymi dniami tkwiłam w wilgotnym, sypiącym się zamku, wśród gobelinów, których nie znosiłam...

- Ja nie żartuję - przerwał jej Barbarro. - Przejdź do rzeczy albo ja to zrobię. To mówiąc, sięgnął po rapier i groźnie wysunął ostrze w jej kierunku.

- Ojej - westchnęła lekko zasmucona lady Lockwood. - A miałam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

Znów się roześmiała, zerkając na Mariannę i Angelikę. Koleżanki zachichotały, jakby lady Lola powiedziała właśnie coś zabawnego. Ich śmiech stawał się coraz bardziej gardłowy, aż wreszcie przestał wyrażać radość i przeobraził się w mroczniejsze, bardziej drapieżne dźwięki. Właśnie wtedy Promyk Wrathę zauważył, że piękne wargi dziewcząt odsłaniają dziwnie długie, niebezpiecznie ostre kły.

- Czy wy jesteście...? - zapytał chrapliwie, lecz głos zamarł mu w krtani, zanim chłopak dokończył zdanie.

- Czy jesteście...? - I znów zabrakło mu słów.

- Czy jesteśmy spragnione? - dokończyła lady Lockwood, uśmiechając się do niego uprzejmie. - Tak, mój drogi chłopcze, jesteśmy bardzo spragnione. A zatem: co możecie nam zaproponować do picia?

Rozdział 2

Krew! Kość

- Jak myślisz, długo każą nam czekać? Grace uśmiechnęła się do brata.

- Ostatni raz pytałeś trzy minuty temu. Po prostu nie wiem. Siedząc w przedpokoju, Connor odczuwał silną klaustrofobię. Nie nawykł do pomieszczeń bez okien. Nawet najmniejsze kajuty na pokładzie Diabła miały jeden czy dwa bulaje pozwalające wyglądać na świat. Tymczasem tutaj nie było niczego poza dużym obrazem na ścianie przypominającym nieco okno.

W Sanktuarium czuł się jak w potrzasku. Miał przed oczami ciąg krętych korytarzy, który przebył na samym początku drogi pod ziemią... Najpierw Korytarz Świateł z mdlącym, słodkim zapachem lampek maślanych. Potem Korytarz Rzeczy Odrzuconych, czy, jak nazwał go w myślach Connor, Korytarz Śmieci. Jego ściany z piętrzącymi się półkami były ledwo widoczne pośród różnych rupieci cuchnących pleśnią i stęchlizną. Grace wyjaśniła bratu, że te rzeczy należały do wampiratów, którzy przyłynęli do Sanktuarium, pragnąc uleczenia. Nie do końca rozumiał. Przecież albo się jest wampirem, albo nie, prawda? A jeśli się jest, nic nie można poradzić.

Za Korytarzem Rzeczy Odrzuconych ciągnął się Korytarz Wstążek, różnobarwnych pasemek, które muskały włosy i oczy przechodzących. Grace wyjaśniła bratu, trochę zdyszana po długiej drodze, że te wstążki są niezwykle potężne i że kryją uczucia pacjentów Sanktuarium. Ale dla Connora były tylko starymi, wyblakłymi skrawkami materiału, które wisiały za blisko lampek i groziły pożarem.

„To dziwne” - przyszło mu do głowy. On i jego siostra bliźniaczka tak odmiennie postrzegali świat. Zerknął na głęboko zamyśloną Grace. Za dawnych czasów zwinęłaby się w kłębek jak mała myszka i podkuliła nogi. Teraz siedziała wyprostowana, opierając stopy na podłodze, a dłonie na kolanach. Connor zrozumiał, że w Akademii Piractwa pożegnał się z dziewczynką, a w Sanktuarium zastał młodą kobietę. Nie minęło wiele czasu od ostatniego spotkania, ale życie ich zmieniało. Dorastali. Czy także oddalali się od siebie? Choć to miejsce

sprawiało mu niemal fizyczny ból i gwałtownie pragnął powrotu na otwarte morze, zauważył, że Grace czuje się w Sanktuarium jak w domu - wśród wampiratów, ich donatorów (sama myśl przyprawiała Connora o mdłości!) i doradców. Dziewczyna podniosła nagle głowę. Wyraźnie czuła, że brat na nią patrzy. Spojrzała pytająco.

- O czym myślisz? Postanowił nie dzielić się z nią wszystkimi spostrzeżeniami.

- Jak możesz być taka spokojna, taka cierpliwa? - zapytał. Grace wzruszyła ramionami i zmieniła pozycję w fotelu.

- Może po prostu się cieszę, że odzyskałam brata. Minęło dużo czasu. Connor przysiadł na poręczu fotela i wziął siostrę za rękę.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Grace. To nawet więcej niż radość... Chyba nie muszę tłumaczyć, prawda?

- Nie. - Uśmiechnęła się i ucisnęła jego dłoń.

- Nie musisz.

- Ożywają wspomnienia - powiedział Connor. - Czasów, .kiedy byliśmy dziećmi mieszkającymi w latarni morskiej.

- To było tylko kilka miesięcy temu - stwierdziła Grace. - Ale niekiedy mam wrażenie, że minęło całe życie.

Kiwnął głową.

- Czasami... Zastanawiam się... Nie masz uczucia, że chciałabyś wrócić do domu? - Zdarza mi się myśleć o powrocie - odparła. - A przynajmniej o dawnym życiu. Ty, ja i tata. Ale chociaż to było tylko kilka miesięcy temu, wydaje się snem. Gdybyśmy teraz wrócili, nic nie byłoby takie samo. Nie ma taty, a latarnia należy do kogoś innego. - Zadrżała. - Do Lachlana Busby'ego albo kogoś, komu ją sprzedał. Może nawet mieszka w niej nowy latarnik z rodziną. Chybabym tego nie zniosła. A ty? To tak, jakbyśmy byli duchami. Ta myśl zabolęła. Connor zmrużył oczy.

- Wiem, o co ci chodzi. Życie sprzed zatonięcia naszej łodzi rzeczywiście wydaje się snem. Ale to nie sen. To rzeczywistość. To był nasz dom. A teraz nie wiem, gdzie on jest. - Pokręcił głową. - Myślałem, że na Diabłu. Pewnie nawet chciałem, żeby Molucco Wrathe był dla mnie kimś w rodzaju ojca. Ale sam siebie oszukiwałem.

- Przecież miałeś tam przyjaciół - przypomniała Grace. - Barta i Cate. I innych. Wiem, że jesteś zły na Molucca za to, jak cię potraktował, ale może Diabło to rzeczywiście twoje miejsce.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że to powiesz! Nie lubiłaś Molucca Wrathe'a.

- Nie lubiłam - zgodziła się. Ten zawadiacki kapitan zawsze był zbyt zarozumiały. - Jednak to, co dobre dla ciebie, niekoniecznie musi być odpowiednie dla mnie - rzekła. - Jesteśmy bliźniakami, ale też różnymi ludźmi.

- I dlatego nigdy nie będziemy razem? To masz na myśli? Grace pokręciła głową.

- Nie wiem. Nikt nie jest mi bliższy niż ty. Ale nigdy nie czułam się dobrze na Diabłu. I wiem, że ty nigdy nie czułybyś się jak w domu na Nokturnie... czy w Sanktuarium.

- A ty czujesz się tutaj jak w domu? Albo na statku wampiratów?

Wzruszyła ramionami.

- Nie całkiem jak w domu, ale we właściwym miejscu. Jakbym należała do tego świata.

Connor szeroko otworzył oczy.

- Wiem - powiedziała i ścisnęła go za rękę. - Trudno to zrozumieć. Wzruszył ramionami.

- Wcale nie. W końcu tu jest nasza matka, prawda? Była na pokładzie statku, a potem przyплыnęła do Sanktuarium, podróżując w jakiś sposób w ciele kapitana. Brzmi to dziwacznie, ale widziałem... widziałem ją... naprawdę.

- Tak.

Oczy Grace zalśniły, gdy dziewczyna przypomniała sobie uśmiechniętą matkę. Ich piękną matkę ze szmaragdowozielonymi oczami i długimi kasztanowymi włosami. Kobieta, która otworzyła ramiona i przytuliła ich oboje.

- Była taka, jaką ją sobie wyobrażałam - wyznała Grace. —. Całkiem jak w moich snach. Connor pochylił się i dotknął głową czoła siostry.

- Bo może to jest sen? Wszystko, co przeżyliśmy od czasu zatonięcia łodzi? I śnimy go wspólnie?

Uśmiechnęła się i objęła brata. Przymknęła oczy, wspominając szczęśliwe dni w latarni. Jednak niespokojny umysł szybko podsunął dziewczynie nową myśl.

- A właściwie jak wszedłeś na górę wczoraj w nocy?

- Co? Ach, to. Bez przesady - odparł Connor. - Zmęczyłem się trochę, ale znasz mnie przecież. Żelazne mięśnie i tak dalej. Poza tym była pełnia. Noc jasna prawie jak dzień. - Spojrzał na nią. - A dlaczego pytasz?

- Bo dla nas to była bardzo trudna wędrówka. Dla mnie, kapitana, Lorcana i Shanti. Było ciemno i oczywiście musieliśmy prowadzić Lorcana, który nic nie widział. Shanti poślizgnęła się

i niemal spadła. A kiedy już myślałam, że nie może być gorzej, zaczął padać śnieg. Ścieżka była strasznie stroma. Nie sądzisz? Pokręcił głową.

- Zwykła polna droga. Może szliście inną trasą. Chociaż to zabawne, bo widziałem tylko jedną ścieżkę u stóp skały.

- To ma sens - zgodziła się Grace. - Inna droga. O tym kiedyś mówił mi Olivier. Góra się zmienia. Każdy pokonuje ją inaczej.

- Kto to jest Olivier? - zapytał Connor. Grace milczała, wspominając byłego asystenta mistrza. Okazywał jej na zmianę pobłażliwość i irytację, jego nastroje zmieniały się niczym pogoda. A teraz dopuścił się zdrady, wierząc, że Sidorio go awansuje. Tymczasem zbuntowani wampiraci zdradzili go i odepchnęli.

- Nikt, o kim musiałbyś wiedzieć - powiedziała w końcu. - Odszedł z Sanktuarium. Connor wstał z fotela.

- Myślisz, że długo będziemy jeszcze czekać? Zdążyliśmy się tylko przywitać i zaraz ją zabrali.

- Muszą być ostrożni - odparła Grace. - Wędrowała przecież razem z innymi zagubionymi duszami. Sam widziałeś, jakie były kruche po uwolnieniu, jakie oszołomione swobodą.

- Czy to na pewno nasza mama, Grace? Czy jakieś widmo? Wyciągnęła do nas rękę. Pocałowała. Nie wyobraziłem sobie tego, prawda? Była z krwi i kości, jak ty albo ja. Grace podeszła do brata.

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć, Connor. Ale Mosh Zu zrobi to, co będzie najlepsze. Musimy czekać.

- Nie jestem dobry w czekaniu - poskarżył się i znów zaczął krążyć po pomieszczeniu.

- Czekaliśmy czternaście lat - zauważyła Grace.

- Co znaczy parę godzin więcej?

Connor się uśmiechnął.

- Rzeczywiście, z tego punktu widzenia... Przerwało mu stukanie do drzwi. Dani, asystentka mistrza, wsunęła głowę do środka. Trudno było cokolwiek odczytać z wyrazu jej twarzy.

- Mosh Zu prosi, abyście do niego dołączyli w sali medytacji - powiedziała.

- Jest z nim nasza mama? - spytał Connor. - Wszystko z nią w porządku?

Być może Dani nie usłyszała jego pytań, bo zamiast odpowiedzieć, ruszyła spieszenie w głąb korytarza.

- Powiedziałyby nam, prawda? - Connor zwrócił się do Grace. - Gdyby stało się coś złego, na pewno by nam powiedziała, prawda?

W głosie brata Grace usłyszała rosnącą panikę.

- Chodź - powiedziała i wyciągnęła rękę.

Serce dziewczyny zaczęło bić szybciej. Myśl o tym, co wkrótce ich czeka, w niej również budziła niepokój.

Rozdział 3

Królowa kier

- Co trzeba zrobić, żeby dostać tu drinka? - spytała lady Lola Lockwood, wodząc bursztynowymi oczami po zebranych.

Cała trójka Wrathéów była wstrząśnięta. Lady Lockwood i jej dwie towarzyszki uśmiechały się szeroko, ukazując kły, które wydawały się tym ostrzejsze, im dłużej człowiek na nie patrzył.

Promyk, na którym trzy ślicznotki zrobiły początkowo ogromne wrażenie, odkrył nagle, że jego uczucia ulegają gwałtownej przemianie.

- Jesteśmy spragnione - oznajmiła Marianna i zbliżyła się do niego.

- Hmm... to... może... trochę whisky? - zająknął się, sięgając po karafkę.

Ale Marianna chwyciła go za nadgarstek i pokręciła głową.

- Nie mogę pić whisky. Ten trunek nie odpowiada mojej naturze. - To mówiąc, objęła Promyka drugą ręką i przycisnęła do siebie, niebezpiecznie zbliżając usta do jego ucha.

- Puść go! - rozkazał Barbarro.

Ale Marianna jakby nie słyszała. Kapitan zwrócił się do lady Lockwood.

- Jesteś ich przywódczynią, pani. Każ więc puścić mojego syna. Lady Lockwood uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Ona jest tylko spragniona. A przecież gościnność wymaga, aby w tak chłodną noc jak dzisiejsza zaproponować przybyszowi kieliszeczek.

- Tak?! - warknął Barbarro. - Masz na myśli kieliszeczek krwi?

- O, teraz mówisz z sensem! - stwierdziła Angelika i zaszła kapitana od tyłu.

Uniósł rapier, żeby się bronić, ale zaskoczyła go swoją siłą. Znieruchomiał w jej objęciach, trudno powiedzieć, czy ze strachu, czy na skutek działania jakiejś magii. Trofie patrzyła ze zdumieniem na Angelikę wyjmującą broń z ręki Barbarra z taką łatwością, jakby wyciągała drzazgę. Napastniczka rzuciła rapier na ziemię.

Trofie spoglądała na syna i męża, bezradnych w uścisku demonicznych kobiet. Co powinna zrobić? Zwykle zasady ataku i obrony raczej nie miały tu zastosowania. Ale czy rzeczywiście?

Zwróciła się do lady Lockwood.

- Może dobijemy targu... - zaczęła. Z początku myślała, że lady Lockwood zbyt jest zaślepią żądzą krwi, by odpowiedzieć, ale po chwili tamta przemówiła:

- Targu? Jakiego targu?

- Jakiegokolwiek - odparła Trofie. - Szukacie krwi? Bez trudu znajdę kogoś z załogi na zastępstwo.

Lady Lockwood posłała jej uśmiech.

- To czarujące z twojej strony, moja droga, lecz krew jest jak wino. Gdy raz skosztujesz dobrych roczników, tani sikacz przestaje ci smakować.

- Rozumiem - rzekła Trofie. - I właśnie po to zjawiłyście się tutaj? Aby zażądać krwi kapitana i jego rodziny?

- Och, jestem pod wrażeniem - odparła lady Lockwood. - Niewiele osób potrafi wypowiedzieć tę myśl na głos, nie wpadając w histerię. A jednak ty pozostajesz zimna jak lodowiec. To oczywiste, kto na tym statku nosi spodnie.

- Dziękuję za komplement. Ale jeśli przybyłyście tu, żeby nas wykrwawić, nie traćcie czasu.

Marianna i Angelika entuzjastycznie pokiwały głowami, mocniej ściskając więźniów, na których twarzach malowało się przerażenie.

- Zaczekajcie! - rozkazała lady Lockwood. Jej towarzyszki odwróciły głowy jak dobrze wytresowane psy. Porozumiała się z nimi wzrokiem, po czym znów spojrziała na Trofie. - Jesteś rzeczywiście tak piękna, jak mówią - przyznała, przesuwając palcem po jej policzku.

Pani Wrathe pozostała nieruchoma jak woskowa figura pod niebezpiecznym dotykiem lady Lockwood.

- Dobiję z tobą targu - oświadczyła lady. - Mówiłam już, że lubię zdobywać rzeczy piękne. Niespotykane i drogocenne. - Ani na moment nie odrywała wzroku od Trofie. - I choć jestem bardzo spragniona... choć wszystkie jesteśmy spragnione... na pewno jakiś mały skarb odwróciłby naszą uwagę. Ciekawe, czym możesz nas skusić? - Jej oczy błysnęły.

- Wszystkim - odparła spokojnie Trofie. - Czego tylko zażadasz za życie mojego męża i syna.

- Och. - Lady Lockwood uniosła brew. - Ty to naprawdę wierzysz w wartości rodzinne! Mam rację?

- Rodzina jest dla mnie najważniejsza. Kobieta znów wyciągnęła rękę, ale tym razem jej palce przesunęły się po rubinowym naszyjniku, który błyszczał jak ogień na łabędziej szyi Trofie.

- Cóż za piękny naszyjnik - stwierdziła. - Z pewnością jest jedyny w swoim rodzaju. - Owszem - przyznała Trofie. - Jedyny. Bez skazy. I wart majątek. Jeśli tylko chcesz, będzie twój.

Lady Lola wzruszyła ramionami.

- Czemu nie? Nieco zbyt krzykliwy jak na mój gust, ale mam w załodze kogoś, kto będzie nim zachwycony.

- Uwolnisz ich, jeśli ci go oddam? - spytała Trofie. Lady Lockwood skrzyżowała ręce.

- Obawiam się, że będzie trzeba czegoś więcej. Ale naszyjnik jest dobrym początkiem.

Może pomóc ci z odpinaniem?

- Nie. - Trofie opuściła w końcu zimna krew.

- Nie, dam sobie radę.

Uniosła ręce, a jej złote palce i rubinowe paznokcie zamigotały w świetle świec.

- Ach! - westchnęła lady Lockwood. - Oto i ona! Legendarna dłoń Trofie Wrathe! Trofie znieruchomiała na moment.

- Widzicie, moje drogie? - spytała lady Lockwood.

- Czy to nie prawdziwe piękno? Czyste złoto. Nieskazitelne klejnoty. Prawdziwy cud.

Nawet wspanialsza, niż krążą słuchy. Niezrównana.

Trofie rozpięła naszyjnik i wyciągnęła złotą dłoń. Ale zamiast wziąć rubiny, lady Lockwood przesunęła palcem wzdłuż nadgarstka żony kapitana, tam gdzie ciało łączyło się z metalem.

- Daj mi ją! - zażądała. W jej oczach błysnęło podniecenie.

- Chcesz moją dłoń? - spytała zdumiona Trofie.

- Tak, moja droga. - Lady Lockwood kiwnęła głową, jakby rozmawiała z niemądrym dzieckiem. - Wezmę naszyjnik, bo to ładna błyskotka, ale dłoń jest prawdziwym klejnotem.

- Ale po co ci ona? - nie mogła zrozumieć Trofie.

- Przecież tylko ja mogę jej używać.

Lady Lockwood puściła wreszcie złotą dłoń.

- Już ci powiedziałam - odparła. - Kolekcjonuję przedmioty. Piękne przedmioty. Niezwykłe przedmioty. Czasami daję je przyjaciołom, czasami zatrzymuję dla siebie. A tego... - Poglądziła złote palce. - Tego z pewnością nikomu nie oddam.

- Mamy inne klejnoty - powiedziała Trofie. - Pokażę ci. Przejdziemy do skarbcza i będziesz mogła sobie wybrać...

- Nie, ślicznie dziękuję - odparła lady Lola. - Nie jestem aż tak zachłanna. Dziś wieczorem wrócę do domu z naszymi i dłońią. To wystarczy, żeby uszczęśliwić dziewczynę.

- Ale to przecież ręka mamy! - zaprotestował Promyk. Angelika zachichotała i przeczesała palcami jego włosy.

Trofie zachowała spokój. Spojrzała w oczy lady Lockwood.

- Jeśli ci ją dam, czy zostawicie nas w spokoju? Dajesz słowo?

- Daję słowo - odparła lady Lockwood.

- Mamo, nie możesz jej przecież oddać...

- Uspokój się, Promyku. Widziałeś, kim jest lady Lockwood... i do czego jest zdolna. To niewygórowana cena.

- Ale twoja ręka! - krzyknął Promyk.

Trofie podjęła już decyzję. Odpięła zaczepy mocujące metal i zdjęła złotą dłoń z przegubu. Kiwnęła głową.

- Jest twoja. Proszę. Lady Lockwood z uśmiechem przyjęła podarunek. Uniosła dłoń do ust, ucałowała, po czym wsunęła pod pelerynę. Zaklaskała z radości.

- Drogie panie, puście więźniów. Mamy to, po co przyszliśmy. Kiedy Marianna i Angelika z wahaniem uwalniały z uścisku Promyka i Barbarra, Trofie patrzyła nieruchomo na lady Lockwood.

- Od samego początku chciałaś mojej dłoni, prawda?

- Być może - odparła lady z uśmiechem. - No cóż, do miłego zobaczenia. Smacznego! Stuknęła w srebrną pokrywę tacy, którą przyniosła, po czym otworzyła drzwi. Marianna i Angelika wyszły za nią na korytarz. Drzwi się zamknęły. Wrathe'owie zostali sami. Spojrzeli na siebie oszołomieni. - Idę za nią - oznajmił Promyk.

- Ale mamo, twoja ręka...

- Zdobędziemy nową - odparł Barbarro.

- No jasne - stwierdził Promyk. - Podskoczmy tylko do sklepu ze złotymi dłońmi!

- Ona... ona jest wampirem, prawda? - Głos Trofie, która dotąd ukrywała emocje, wreszcie zdradził, jak wielkiego doznała wstrząsu.

- Tak, kochanie. - Barbarro objął żonę ramieniem.

- Wampirem albo wampiratem, jakkolwiek oni się nazywają. To te same potwory, które zabiły mojego drogiego brata Porfiria.

- Kolejny powód do szybkiej i straszliwej zemsty - dodał Promyk. - To nie jest zadanie, którego można by się podjąć bez przygotowania albo samotnie - odparł ojciec.

- Mamy szczęście, że żyjemy.

- No dobrze - nie ustępował Promyk. - Ale co chcesz zrobić w tej sprawie?

- Przede wszystkim muszę porozmawiać z Molukkiem, on miał z nimi wcześniej do czynienia. Przekonał mnie, żebym zrezygnował z pościgu, ale teraz wszystko się zmieniło. Nie mogą przecież nas atakować na naszych własnych statkach. Przedstawimy sprawę Federacji Pirackiej. Wspólnie oczyścimy oceany z tej grozy. - Najeżył się. - Te istoty wtargnęły dzisiaj na niewłaściwy statek! Niebawem się przekonają!

Promyk nie mógł powstrzymać myśli, że choć przemowa ojca była płomienna, to podczas spotkania z wampiratkami kapitan miał mniej bojowy nastrój.

Barbarro mocniej objął żonę (a zarazem swojego pierwszego oficera) i przemówił spokojniej.

- Zabieram twoją matkę do kajuty - oświadczył synowi. - Jeśli chcesz się do czegoś przydać, wezwij załogę na pokład główny. Przemówię za dziesięć minut. Chcę wiedzieć, w jaki sposób te demony przeniknęły na potężnego Tajfunu. Z tymi słowy Barbarro wyprowadził żonę.

Promyk ruszył za nimi, ale nagle przystanął i zerknął na przykrytą tacę, którą przyniosła lady Lockwood. Głód był silniejszy niż szok chłopaka. Czy pod pokrywą znajdują się jakieś smaczne kąski?

Kiedy ją uniósł, doznał rozczarowania. Taca była prawie pusta. Leżał na niej tylko jeden przedmiot - karta do gry.

Promyk ją podniósł. Choć wyglądała podobnie do zwykłych kart, było w niej coś dziwnego. Przedstawiała królową kier... tyle że kiery są zawsze czerwone. Ta karta była czarna.

Rozdział 4

Rodzinne spotkanie w niepełnym gronie

- Nie warto ukrywać się w cieniu - powiedział Mosh Zu, kiedy Grace i Connor weszli do komnaty medytacji.

Znajdował się pośrodku pokoju i był zwrócony twarzą w ich stronę. Przed nim ustawiono wyplatane krzesło. Gałązki wikliny lśniły w świetle lamp bladym złotem. Krzesło stało oparciem do bliźniaków. Obok dostrzegli okrągły stolik z dzbankiem z wodą i trzema szklankami. Nagle drobna, blada dłoń wysunęła się zza oparcia i sięgnęła po jedną z nich. Serce Grace zabiło mocniej. Ta dłoń należała do matki. Za chwilę ona i Connor usiądą i po raz pierwszy naprawdę z nią porozmawiają. Niezwykłość tego spotkania wydała jej się ciężarem nie do zniesienia. Wzięła za rękę brata i poczuła, że on także drży.

Mosh Zu zachowywał spokój. Poprosił Connora, aby chłopak pomógł mu przenieść dwa krzesła na środek pokoju. Grace stała przez chwilę zaledwie kilka kroków od matki. Odetchnęła głęboko i ruszyła naprzód. Spojrzała Sally w oczy - jej tęczęwki miały ten sam odcień zieleni, co tęczęwki Grace.

- Witaj znowu. - Sally uśmiechnęła się do niej. Wyglądała na bardzo słabą, ale niewątpliwie była człowiekiem z krwi i kości. Dziewczyna pochyliła się i pocałowała matkę w policzek. W dotyku wydawał się chłodny i gładki jak marmur, ale Grace przepełniała radość, że w ogóle coś czuje. Gdy odwiedzała ją Darcy, miała wrażenie, że przyjaciółka jest w tym samym pokoju, a jednak była tylko projekcją astralną. Dłonie Grace przenikały przez jej ciało. Teraz było inaczej, zupełnie inaczej.

Sally chwyciła dłonie córki, ich spojrzenia się spotkały. Patrzyły na siebie dwie pary szmaragdowych oczu. Jednocześnie Grace doznała niezwykłego uczucia. Przypominało atak ostrej migreny - rozdzierający czaszkę ból. To jednak trwało tylko moment. Potem Grace ujrzała serię obrazów. Najpierw zobaczyła ojca, ale młodszego, niż go zapamiętała. Była noc, a on stał na dworze i się śmiał. Dziewczyna poczuła, że Sally znów ścisną jej dłonie. Obraz się zmienił.

Teraz zobaczyła Sidoria. Wchodził do kajuty pod pokładem Nokturnu, gdzie odbywały się Uczty. Gdy Sally znów ścisnęła jej rękę, Grace zobaczyła Lorcana. Przyglądał się jej z bliska, miał łzy w oczach. Wtedy Sally cofnęła dłonie. Obrazy zniknęły. Grace stała jak skamieniała, a Sally tymczasem odwróciła się do Connora. Patrzyła, jak matka obejmuje brata. Zastanawiała się, czy Sally wie, jaki wpływ ma jej dotyk. I co właściwie oznaczał ten dziwny ciąg obrazów? Czy pokazywał przeszłość?

- Niech wam się przyjrzę - powiedziała Sally. - Muszę was dokładnie obejrzeć. Connor wyciągnął rękę i objął siostrę ramieniem, choć nie była pewna, czy chce jej dodać odwagi, czy raczej uspokoić własne nerwy.

- Grace i Connor - powiedziała cicho Sally. - Moje bliźnięta. Moje szczęście! - Jej zduszony głos wskazywał, że ostatnie słowa wypowiedziała z trudem.

- Czemu nie usiądziecie? - zapytał Mosh Zu, wskazując dwa puste krzesła. Zajmując miejsce, Grace zastanowiła się, dlaczego nie przyniósł jeszcze jednego krzesła - dla siebie.

- Z pewnością chcecie zadać matce wiele pytań - powiedział Mosh Zu. Zerknął na Sally, a cień uśmiechu przemknął mu przez twarz. - I wiem, że ona nie może się doczekać, by poznać was jak najlepiej. Zostawię was samych na jakiś czas. Powinniście pobyć teraz w rodzinnym gronie. Każde z was bardzo długo czekało na to spotkanie.

Mosh Zu skierował się do drzwi, a Grace poczuła, jak puls jej przyspiesza. Masa pytań kłębiła się w głowie dziewczyny. Ile mają czasu? Jak ciężki jest stan Sally? Co będzie, jeśli matka się zdenerwuje? Była wdzięczna mistrzowi za ten gest, ale żałowała, że nie przygotował Sally lepiej - dla dobra wszystkich.

Patrzyła, jak zamykają się drzwi, a jednocześnie wyraźnie słyszała jego głos. „Nie pozwól, aby obawy przyćmiły radość z waszego spotkania. Na każde z twoich pytań jest prosta odpowiedź. Wiem niewiele więcej niż ty. Ale będę blisko na wypadek, gdybyście mnie potrzebowali”.

Grace odwróciła się do pozostałych. Czy cokolwiek zauważyli? Nie, chyba nikt nie zwrócił uwagi. Connor patrzył na swoje dłonie, które trzymał na kolanach. Sally patrzyła na niego. „Wygląda jak dziecko” - pomyślała Grace. Dziewczyna nie potrafiła ocenić jej wieku, zwłaszcza teraz, gdy Sally była taka blada. Jeśli nawet urodziła ich jako szesnastolatka, teraz miałyby trzydzieści. Wydawała się jednak młodsza. Grace dałaby jej dwadzieścia parę lat, a może mniej. Ale to przecież niemożliwe.

- No cóż - rzekła Sally - chociaż długo czekaliśmy na tę chwilę, czujemy się trochę niezręcznie, prawda?

Connor uniósł głowę i spojrzał na nią spod grzywki. Sally się uśmiechnęła i rzuciła spojrzenie córce.

- Jak mówił mistrz, na pewno chcecie zadać mi mnóstwo pytań. Od czego powinniśmy zacząć?

Grace nie potrafiła się zdecydować. Nie chciała od razu pytać o nic trudnego czy niepokojącego, a równocześnie zdawała sobie sprawę, że ze względu na stan Sally mogą mieć mało czasu. Musiała zadać najważniejsze pytania. Po chwili wahania wybrała wariant pośredni.

- Zastanawiam się - powiedziała - kiedy widziałas nas po raz ostatni? Nie mówię oczywiście o spotkaniu w komnacie uzdrowień. - Na chwilę urwała.

- Nie chcę sprawić ci przykrości, ale nie mam żadnych wspomnień o tobie z Zatoki Księżycowej.

Sally zaczęła mówić. Jej głos wciąż brzmiał chrapliwie - może dlatego, że długo nie był używany. Odkasznęła i poprosiła:

- Connor, czy byłbyś tak miły i nalał mi wody? Syn przechylił dzbanek nad szklanką i wsunął ją w dłoń matki.

- Dziękuję - powiedziała i uśmiechnęła się do niego. Po raz pierwszy odpowiedział jej uśmiechem.

Sally upiła łyk.

- Teraz odpowiem na twoje pytanie, Grace. Prawda jest taka, że nigdy nie byłam w Zatoce Księżycowej.

- Nigdy?! - wykrzyknęła Grace. Widziała, że Connor także jest zaskoczony. Sally pokręciła głową.

- Chciałabym ją kiedyś odwiedzić. - Blask w jej oczach nieco przygasł. - Przypuszczam, że trzeba będzie się z tym pospieszyć.

- Ale my od zawsze mieszkaliśmy w Zatoce Księżycowej - powiedziała Grace. - Aż do chwili, gdy umarł tata. Wtedy odpłynęliśmy i porwał nas sztorm. Spędziliśmy w latarni całe życie.

- Tak - potwierdziła Sally. - Całe życie, oprócz samego początku. - Tu uniosła drobną dłoń i pokazała gestem, jak krótki to czas. - Wtedy, moi kochani, widziałam was po raz ostatni.

- Byliśmy niemowlętami? Sally kiwnęła głową.

- Ale dlaczego musieliśmy się rozstać? - Grace była zdumiona.

- To długa opowieść - odparła Sally. - Długa i miejscami trudna. - Jej głos zadrżał. Znowu napiła się wody. Po krótkiej przerwie mówiła dalej: Ale to wasza historia. Muszę ją wam opowiedzieć.

Grace zerknęła na Connora, a potem znowu na Sally. Lęk ustąpił miejsca podekscytowaniu. Znowu poczuła się jak mała dziewczynka skulona na jednym z dwóch łóżek w sypialni latarni morskiej. Otulona kołdrą i gotowa do wysłuchania opowieści na dobranoc. Ale teraz mieli już pewność, że Sally nigdy nie mieszkała w latarni. To ich tata, Dexter Tempest, opowiadał im bajki przed snem i śpiewał tę dziwną szantę... Opowiem ci o wampiratach - wieść stara, lecz prawdziwa...

Ogarnął ją smutek. Żałowała, że nie ma z nimi taty. Jego nieobecność sprawiała, że rodzinne spotkanie było niepełne.

- Wasza historia zaczyna się na pokładzie Nokturnu - powiedziała Sally. - Nokturnu? - zawołała Grace. - To statek wampiratów - przypomniała Connorowi. - Tak, wiem - odparł lekko zirytowany. - Pływałaś na Nokturnie? - spytała zafascynowana Grace, kręcąc głową. Właśnie uzyskała odpowiedź na pytanie, jak poznali się Sally i Lorcan. I poczuła silniejszą więź z matką, jakby nieświadomie podążały tą samą ścieżką. - Ale co robiłaś na pokładzie? - spytała.

- Właśnie miała nam o tym powiedzieć! - rzekł Connor z naciskiem. - Grace, pozwól jej mówić i nie przerywaj co pięć sekund.

- No dobrze - odparła Grace i znowu zwróciła się do Sally. - Przepraszam.

- Nie szkodzi. - Sally jeszcze raz napiła się wody.

- Zawsze byłam podobna do ciebie, Grace. Szukałam wiedzy. Pragnęłam wszystko poznać, wszystko zobaczyć. Wszystko zrobić. - Uśmiechnęła się, a potem odstawiła szklanekę. - Co robiłam na Nokturnie? To proste: byłam donorem.

Rozdział 5

Nocne manewry

Stukeley z wprawą dotarł na fali do brzegu, potem zeskoczył na płyciznę i chwycił deskę pod pachę.

Patrzył, jak Johnny płynie za nim. Doskonale trzymał równowagę. Dopiero niedawno, pod kierunkiem Stukeleya, nauczył się surfować, ale już teraz nie ustępował instruktorowi. Doświadczenie z jazdą konną nauczyło go balansować ciałem i panować nad deską nawet przy najpotężniejszych falach.

Pokrzykując z radości, Johnny chwycił deskę i wybiegł z wody na spotkanie przyjaciela.

- Jak mi poszło? - zapytał. Stukeley wyciągnął rękę, by uścisnąć ramię Johnny'ego.

- Znakomicie, kolego - powiedział. - Masz wrodzony talent.

- Dzięki, hermano. - Johnny się uśmiechnął.

Hermano. W ojczystym języku Johnny'ego słowo to oznaczało brata. I rzeczywiście w krótkim czasie stali się sobie bliscy niczym bracia. Stukeley miał niegdyś paru bliskich przyjaciół. Przez jego głowę przemknęły obrazy z pokładu Diabła, gdy żartował z Connorem i Bartem. Z coraz większym trudem przywoływał te wspomnienia, jakby były odległym snem, bezpowrotnie utraconym. Teraz jego życie toczyło się tutaj, w świecie nieprzeniknionej ciemności.

- Zamyśliłeś się. O co chodzi? Stukeley pokręcił głową.

- Po prostu przypomniały mi się czasy, kiedy jeszcze byłem śmiertelnikiem.

- Ciągłe wracają, co? - Johnny uśmiechnął się krzywo i wcisnął na głowę stetsona.

- Tak, myślałem o...

- Więc nie myśl. - Johnny pokręcił głową. - To tylko sprawia ból. - Wbił deskę w piasek. -

Możesz mi wierzyć. Sam zbyt wiele razy popełniłem ten błąd.

Stukeley patrzył, jak w ciemnych oczach Johnny'ego odbijają się osnute księżycowym światłem fale.

- Mam o wszystkim zapomnieć? - zapytał. – O wszystkim, czym kiedyś byłem? Johnny przytaknął.

- Tak. Pozwól odejść przeszłości. Żyj tu i teraz.

Stukeley spojrzał na przyjaciela.

- Czy ty tak właśnie robisz? - Próbuję, chłopie. Nie zawsze przychodzi łatwo, ale to lepsze niż rozpamiętywanie.

Ból, żal, tęsknota.

Stukeley kiwnął głową.

- Są ludzie, na których mi zależało, i ludzie, którym zależało na mnie. Nie zawsze postępowałem wobec nich uczciwie...

- Wierz mi - przerwał mu Johnny - jedyny sposób, aby się od nich uwolnić, to żyć chwilą, na tej plaży, teraz. To jest wszystko, co mamy.

Chociaż Johnny wydawał się młodszy od przyjaciela (z racji wieku, w którym dokonało się jego przejście), był bardziej doświadczony. Przebył długą i trudną drogę. Stukeley domyślał się tego, bo Johnny opowiedział mu co nieco. A zatem dawny vaquero miał wszelkie prawo, aby dawać rady.

- Popatrz. - Johnny wskazał Stukeleyowi innych surferów. Byli niewidoczni dla zwykłych śmiertelników... nawet gdyby jakiś śmiałek znalazł się dzisiaj na plaży, zamiast siedzieć w domu za zamkniętymi okiennicami i zaryglowanymi drzwiami.

Wśród ślizgających się po falach nieprzebranych zastępów panowała atmosfera podniecenia. Wywoływała je nie tylko radość surfowania, ale też oczekiwanie na to, co miało nastąpić później.

- Gdzie kapitan? - spytał Stukeley. - Nie widzę go.

- Jest tam. - Johnny wyciągnął rękę. - Tam, gdzie zawsze można się go spodziewać. W samym środku akcji.

I rzeczywiście Stukeley dostrzegł Sidoria górującego nad swoimi ludźmi. Całkowicie panował nad niosącą go do brzegu falą. Zauważywszy, że czeka na niego dwóch poruczników, wydał okrzyk, pchnął swoje umięśnione ciało w powietrze i wykręcił pełne salto z deską pod stopami. Wylądował na spienionej wodzie i korzystając z kolejnej fali, zakończył podróż na piasku.

- Ładny manewr, kapitanie! - Stukeley pokiwał głową z podziwem. Dowódca się uśmiechnął.

- Czasami sam siebie zaskakuję - powiedział.

- Widział pan już, jak surfuje Johnny? - zapytał Stukeley. - Jest coraz lepszy. Naprawdę.

- Widziałem. - Sidorio skinął Johnny'emu głową.

- Dobra robota, Stetson. Johnny poczuł radość. Kapitan rzadko szafował pochwałami.

Na plażę docierali już pozostali - cała masa ciemnych postaci, które wychodziły z wody i natychmiast wysychały.

- Patrzcie na to! - zawołał Stukeley. Obejrzeni się i zobaczyli długi rząd desek surfingowych wbitych w piasek. To była załoga Sidorio, rosnąca fala wampiratów rekrutująca się z rozczarowanych członków załogi Nokturnu, gości Sanktuarium, jak również niedawnych więźniów. „Nowo nawróceni” - pomyślał Stukeley. Bardzo łatwo dokonali przejścia, z mniejszymi kłopotami niż on. Jak to możliwe? Spojrzał na wpatrzone w niego, wyczekujące twarze.

- Twoja kolej - szepnął mu do ucha Johnny. Stukeley usłyszał te słowa i miał wrażenie, że ktoś wcisnął włącznik w jego mózgu. Nagle wiedział, co musi zrobić i co powiedzieć. Nagle wiedział, kim jest.

- No dobra! - Klasnął, przyjmując pozę pełną godności i pozornej pewności siebie. - Witajcie w Santa Demonica. Mówią, że to małe, gościnne miasteczko. Ale nie mogę obiecać, że o tej porze mieszkańcy powitają was z otwartymi ramionami. Albo, szczerze mówiąc, o jakiegokolwiek porze. - Poczekał, aż ucichną śmiechy. - Znacie zasady. Róbcie, co chcecie. Bierzcie, czego wam trzeba. - Spojrzał na kilka wybranych twarzy. - Ale gra musi być czysta. Żadnej walki między sobą. - Potem znów zwrócił się do wszystkich: - A teraz najważniejsze. Macie tu być, gotowi do powrotu na statek, za trzy godziny.

Stukeley się cofnął, ale wampiraci nadal czekali. Porucznik zwrócił się do Sidorio.

- Może zechce pan wydać rozkaz, kapitanie. Sidorio bez wahania zrobił krok naprzód.

- Na co czekacie?! - krzyknął. - Ruszajcie na polowanie! Słyszając polecenie, puścili się biegiem jak głodne wilki. Niektórzy trzymali się razem, niczym wilcza wataha. Inni szukali własnej drogi - woleli samotnie śledzić i chwycić ofiary. Stukeley usłyszał odgłos pierwszych wyłamanych drzwi, pierwszego wybitego okna. I pierwszy krzyk. Znajome dźwięki stawały się coraz głośniejsze, przechodząc w długą, dziką rapsodię.

Zadrzał lekko, odwrócił się i zobaczył stojącego obok Johnny'ego.

- Gdzie kapitan? - zapytał.

- Już ucztuje - odparł Johnny. - Pobiegnął razem z innymi.

Kolejne narastające odgłosy tłuczonego szkła i krzyki...

- My też powinniśmy iść - przypomniał Stukeleyowi Johnny. - Potrzebujemy tego tak samo jak reszta. Wszyscy jesteśmy tacy sami.

- To fakt - zgodził się Stukeley. - Wszyscy jesteśmy tacy sami. Wraz z Johnnym ruszył po piasku.

Nie dotarli daleko, gdy nagle przyjaciel szturchnął Stukeleya.

- Patrz. - Ruchem głowy wskazał wydmy. - Wygląda na to, że zapolujemy dzisiaj bliżej domu.

Stukeley przeszukał wzrokiem okolicę i nad linią wydm zobaczył dwie kobiety w długich, obcisłych sukniach wieczorowych i trochę niepraktycznych w tych okolicznościach szpilkach. Jedna z nich miała kapelusz z szerokim rondem i ekstrawagancki rubinowy naszyjnik podobny do pajęczyny. Obie, co dziwne, nosiły duże okulary przeciwsłoneczne.

- Hola! Dobry wieczór! - zawołał Johnny i uniósł rękę na powitanie. - Jesteście ubrane jak na przyjęcie!

Kobieta w kapeluszu uśmiechnęła się do niego.

- Przyjęcie - powtórzyła. - Otóż to. Nie wiecie, gdzie możemy je znaleźć? - Tutaj! - oświadczył entuzjastycznie Johnny. - W tym właśnie miejscu! Kobieta posłała mu uśmiech. Johnny widział, jak w jej przydymionych szklach odbija się jego własna uśmiechnięta twarz.

- Czemu nosicie w nocy ciemne okulary? - spytał. Kobiety wybuchnęły śmiechem, a potem odpowiedziały równocześnie:

- Moda, skarbie!

Ton, jakim powiedziały „skarbie”, przyprawił Stukeleya o dreszcze. To będzie krótka piłka.... Zresztą nie pierwszy raz. Mało kto potrafił oprzeć się czarowi, jaki roztaczali dwaj charyzmatyczni porucznicy Sidorii.

- A więc... - rzekł Stukeley, postanowiwszy pchnąć sprawy naprzód - ...czy zechcecie przejść się z nami kawałek? Jestem Stukeley, a ten przystojniak to Johnny.

Jego towarzysz zdjął z głowy kapelusz i uklonił się zamaszyście. Kobiety uśmiechnęły się znowu.

- Jestem Jessamy - przedstawiła się ta w kapeluszu.

- A ja Camilla.

- Piękne imiona dla pięknych dam - rzekł Stukeley. - A teraz może zdejmiecie te okulary i pokażecie nam swoje prześliczne oczy?

Kobiety spojrzały na siebie, a potem równocześnie zdjęły okulary i zwróciły się w stronę mężczyzn, ukazując twarze o wiele piękniejsze, niż Stukeley i Johnny mogli sobie wyobrazić. Obie miały oczy jasne jak klejnoty i tatuaż w kształcie czarnego serca wokół prawej powieki.

Stukeley aż syknął. To było jak sen. Odczuwał teraz ogromny głód. I wiedział, że Johnny także. Widział ogień płonący w głębi jego oczu. A kiedy znów spojrzął na kobiety, wstrzymał oddech. Ten sam ogień płonął w ich oczach.

Zauważywszy zdumienie Stukeleya, Jessamy się uśmiechnęła, otwierając usta odrobinę szerzej niż poprzednio i ukazując parę długich ostrych kłów. Po chwili w świetle księżyca błysnęły białe zęby Camilli.

- Wspomnieliście o przyjęciu - odezwała się Jessamy.

- Myślę, że szukamy rozrywki tego samego rodzaju.

Wyciągnęła rękę do Stukeleya. Niczym jej lustrzane odbicie, Camilla chwyciła dłoń Johnny'ego.

- Chodźmy - powiedziała, a w jej głosie dało się słyszeć łapczywość. - Chodźmy ucztować.

Stukeley obudził się na piasku spokojny, rozluźniony, a także nieco zdezorientowany. Dopiero po chwili zrozumiał, gdzie jest. Odwrócił się i zobaczył śpiącego Johnny'ego. Stetson unosił się i opadał na jego piersi. Na ustach przyjaciela błąkał się szeroki uśmiech. Na skórze, między wargami a podbródkiem, chłopak miał trochę zaschniętej krwi. Krew. To przywołało wspomnienia. Ucztowali. Z jakiegoś powodu Stukeley nie potrafił przypomnieć sobie szczegółów... Ale nic dziwnego. Po przebudzeniu często się zamazywały. Czasem musiało minąć sporo czasu, zanim powracały konkretne obrazy. Stukeley patrzył, jak Johnny otwiera oczy i marszczy brwi.

- Gdzie ja jestem? - spytał. Stukeley prychnął.

- Na plaży, kolego.

- To widzę, ale dlaczego?

- Cóż - rzekł Stukeley - sądząc po śladach krwi na twojej brodzie, zaryzykuję twierdzenie, że ucztowaliśmy.

Johnny zamrugał.

- To zabawne. Nie pamiętam... - Usiadł z wysiłkiem. - Trochę mi się kręci w głowie. - Mnie też, ale to miłe uczucie. Stukeley wstał niepewnie. Mięśnie miał jak galareta, nogi rozjechały mu się na boki.

Ze śmiechem runął na piasek.

Johnny też się roześmiał.

- To najzabawniejsza rzecz, jaką widziałem od wieków! - No dobra, mądralo - powiedział Stukeley. - Ciekawe, jak ty sobie poradzisz. Johnny podjął wyzwanie i zaczął się gramolić.

- Proszę! - oświadczył, prostując plecy. - Żadna sztuka! - Ale gdy to powiedział, nogi ugięły się pod nim. Wampirat padł na piasek.

- Imponujące! - zarechotał Stukeley.

- Chłopie! - wykrzyknął Johnny. - Musieliśmy wczoraj wychlać morze krwi!

- O, tak. - Stukeley kiwnął głową. - Myślę, że mieliśmy niezłą zabawę. Szkoda tylko, że nic nie pamiętamy.

Lady Lockwood czekała w kajucie na powrót Jessamy i Camilli. Stawiała coś w rodzaju pasjansa talią bardzo nietypowych kart. Czarnych kierów. W końcu ktoś zastukał do drzwi.

- Wejść! - zawołała kapitan.

Ujrzała Jessamy i Camillę w wieczorowych sukniach, obwieszone biżuterią. Obie uśmiechały się promiennie.

- No więc? - spytała kapitan. - Wyglądacie, jakbyście przeżyły upojną noc. - O, tak - potwierdziła Jessamy, zdejmując kapelusz i potrząsając długimi rudymi włosami. Cudownie współgrały z jej rubinowym naszyjnikiem.

- Było uroczo, pani kapitan - zgodziła się Camilla.

- Czy wszystko poszło zgodnie z planem? - spytała lady Lockwood.

- Oczywiście - zamruczała Jessamy z uśmiechem.

- Byli jak wosk w naszych rękach.

Lady Lockwood kiwnęła głową z aprobatą.

- To wymaga toastu - stwierdziła. Obok niej stała butelka i kilka kieliszków. Jeden był już w połowie pusty. Lady Lockwood napełniła naczynia swoich towarzyszek.

- Co pijemy? - spytała Jessamy. Lady Lockwood posłała jej uśmiech.

- Krew małego zuchwałego Włocha. Miał chyba na imię Vincent. Nie, Vincenzo! Śpiewak operowy, choć nie najlepszy, prawdę mówiąc.

Camilla przez chwilę rozkoszowała się smakiem, nim przelknęła odrobinę napoju.

- I jak wrażenia, moja droga? - spytała lady Lockwood. - A może wołałybyś coś bardziej konkretnego?

Camilla pokręciła głową.

- To doskonały trunek, kapitanie. Jessamy też pokiwała głową z satysfakcją.

- Naprawdę godny Winnicy Czarnego Serca.

- Cieszę się - oświadczyła lady Lockwood. - Jest go jeszcze kilka butelek. Możecie się nimi podzielić, jeśli macie ochotę. Niech to będzie małe podziękowanie za wypełnioną misję. Kapitan się uśmiechnęła i znów uniosła kieliszek do ust. Pierwsza salwa w kierunku burt Sidorii została wystrzelona.

Rozdział 6

Inne rzeczywistości

- Donorem! - Grace nie mogła powstrzymać okrzyku. Sally uścisnęła jej rękę. Ale choć ten dotyk miał uspokoić Grace, wywołał lawinę myśli dziewczyny. Szybko, jeden po drugim, rozbłysły znane jej już trzy obrazy: najpierw Dexter, potem Sidorio i Lorcan. Tym razem pojawił się też nowy - kapitana wampiratów siedzącego przy stole w swojej kajucie.

Gdy Sally cofnęła dłoń, wizja natychmiast zniknęła. Matka Grace i Connora, jakby nie zdając sobie sprawy ze skutków tego dotyku, mówiła dalej.

- A więc oboje wiecie, kim jest donor. Connor milczał. Grace, wciąż oszołomiona wizjami, skinęła głową. Próbowwała skoncentrować się na słowach Sally. To, że była donorem, wyjaśniało jej młody wygląd. Pakt zawarty z wampirem chronił donora przed upływem czasu. Ale Sally z pewnością porzuciła to zajęcie, skoro urodziła bliźnięta. Chyba że...

Myśli Grace błędziły we wszystkich kierunkach jak oszalałe. Dziewczyna czuła, że jest bliska odkrycia prawdy. Być może jakaś wskazówka znajdowała się w dziwnej sekwencji obrazów: Dexter, Sidorio, Lorcan, kapitan...

- Grace, dobrze się czujesz? - Głos Sally przeciął gorączkowe myśli jej córki. Grace uświadomiła sobie, że ma zamknięte oczy. Otworzyła je.

- Przepraszam - powiedziała. - Ale cały czas pojawiają się te obrazy. - Spojrzała na Sally.
- Za każdym razem, kiedy mnie dotykasz.

Słyszac to, Connor spojrzal na siostrę z zaciekawieniem.

- Robisz to celowo? - spytała matkę. Sally pokręciła głową.

- Nie, Grace. Ale powiedz, co widzisz?

- Ludzi, których znam. Tatę, Sidorio, Lorcana i kapitana. Ale to tylko migawki... nie jestem pewna, co oznaczają. To chyba nie moje wspomnienia. Nie mogę pamiętać tak młodego taty.

Sally się uśmiechnęła.

- Zdziwiająca! - stwierdziła. - Chcesz spróbować znowu? Grace kiwnęła głową. Sally wyciągnęła rękę i gdy tylko ich dłonie się spotkały, wszystko wróciło. Tylko tym razem ból okazał się lżejszy, a wizja - wyraźniejsza. To był jej ojciec. Tak jak poprzednio, ujrzała go nocą, na otwartej przestrzeni. Śmiał się. Zobaczyła, że stoi na pokładzie statku, a potem ze zdumieniem odkryła, że poznaje ten statek. Syknęła. Sally puściła jej dłoń i wizja zniknęła równie szybko jak wcześniejsza.

- Co zobaczyłaś tym razem? - spytała zaciekawiona matka. Grace myślała o obrazie. Otwierał tyle możliwych drzwi... Nie była pewna, czy powinna wyjawic swoje domysły.

- Co widziałaś? - zapytał Connor z lekką irytacją w głosie.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją delikatnie Sally. - Ale cokolwiek zobaczysz, musisz nam powiedzieć. Mówiłam ci, że to trudna historia, ale przejdziemy przez nią razem, wszyscy troje. Obiecuję. - Zwróciła się do Connora. - Obojgu wam obiecuję. Grace nabrała tchu.

- To był tata - zaczęła. - Taki młody i szczęśliwy. - Urwała. - Stał na pokładzie statku. Nokturnu. Widziałam żagle rozbłyskujące światłem.

- To niemożliwe! - rzucił Connor. - Tata nigdy nie był na Nokturnie. Grace pokręciła głową.

- Jestem pewna, że go widziałam. - Zwróciła się do Sally. - Myślę, że odgadłam naszą historię. Byłaś donorem, a nasz tata twoim partnerem. Wampirem.

Zerknęła na Connora i zobaczyła, jak brat marszczy czoło. Potem spojrzała na Sally i wymówiła słowa, o których wiedziała, że mogą zmienić ich życie na zawsze.

- Nasz ojciec był wampirem.

Sally patrzyła jej w oczy. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, Connor zerwał się z krzesła i krzyknął:

- Nie, nie chcę tego słuchać! I nie muszę. Nasz ojciec był dobrym człowiekiem. Nie, Grace, nie „dobrym” jak Lorcan czy kapitan wampirów. Naprawdę dobrym człowiekiem. Wychowywał nas samotnie i poświęcał dla nas wszystko przez czternaście lat. Umarł przedwcześnie. - Connor urwał i rzucił Sally groźne spojrzenie. - Jak śmiesz mówić o nim takie rzeczy!

- Przecież nie powiedziałam... - zaczęła Sally, ale głos jej osłabł, a Connor tymczasem szedł już do drzwi. Ich matka zakaszlała i sięgnęła po wodę.

- Biegnij za nim - szepnęła do córki. Grace nie wiedziała, co robić.

- A co z tobą?

- Idź. - Sally zebrała siły. - Sprowadź go z powrotem. Powinien tego wysłuchać, tak samo jak ty.

Być może głos miała słaby, lecz ton - nieugięty. Grace ruszyła do drzwi i popędziła korytarzem za Connorem. Nie odszedł daleko. Opierał się o ścianę, kryjąc twarz w dłoniach.

- Connor, musisz tam ze mną wrócić. Odwrócił głowę i spojrzał na nią niechętnie.

- Nigdzie nie muszę wracać.

- Powinieneś wysłuchać tego, co ma do powiedzenia nasza matka - nie ustępowała Grace.

- Oboje powinniśmy.

Connor potrząsnął głową.

- To kłamstwa, Grace. Zwykła bajka. - I dodał: - Nie, właściwie nie bajka. Raczej horror.

- Jej słowa mogą ci się nie podobać, ale to nie znaczy, że mówi nieprawdę. Położyła mu dłoń na ramieniu. Strząsnął ją gniewnie.

- Rzeczywiście każesz mi wierzyć, że nasz tata był wampirem? - Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Może - odparła Grace. - Jeśli to prawda, powinniśmy wiedzieć. - Przerwała, zanurzając się we własnych zagmatwanych myślach. - Zastanawiam się... czy w takim razie my też jesteśmy wampirami?

Connor patrzył na nią zdumiony.

- Sama siebie posłuchaj! Czy ty całkiem straciłaś poczucie rzeczywistości? No dobra, wampiraci uratowali cię przed utonięciem. Bez wątplenia zrobili coś dobrego. Ale to ci nie wystarczy, prawda? Musisz się z nimi zaprzyjaźniać. A teraz jeszcze chcesz, żeby byli naszą rodziną? To nie jest normalne, Grace. To dziwactwo. Potworne, przerażające dziwactwo.

- Przyjaźnię się, z kim mam ochotę - oznajmiła wzburzona.

- Proszę bardzo - odparł Connor. - To twój wybór. - A potem zaczął mówić bardzo stanowczo:

- Nasz ojciec nie był wampirem, tylko zwykłym człowiekiem, który miał dwójkę dzieci i posadę latarnika. Pracował ciężko i mało zarabiał.

- Możesz to sobie powtarzać - stwierdziła Grace, zaskoczona własnym spokojem. - Ale nie masz wyłączności na prawdę. Ja nie straciłam poczucia rzeczywistości, braciszku. Jestem tylko otwarta na inne rzeczywistości. Kiedy byłeś daleko i prowadziłeś to swoje pirackie życie,

mnie otworzyły się oczy na niezwykle możliwości, na rzeczy, o których nigdy bym nie pomyślała, że mogą istnieć. - Ogień błysnął w jej źrenicach, gdy mówiła dalej. - Niektóre z tych rzeczy widziałeś na własne oczy! Byłeś tu, kiedy Mosh Zu uleczył kapitana. Connor się zjeżył.

- Nie widzę związku z naszym tatą. - Connor, widziałeś, jak mama i inne dusze wychodzą z ciała kapitana! Czy to nie zmieniło twoich poglądów na rzeczy możliwe i niemożliwe?

- Może - przyznał. - Może nawet wierzę, że ona jest naszą matką albo duchem naszej matki, choć naprawdę trudno zrozumieć, jak wędrowała w brzuchu kapitana. - Westchnął. - Te rzeczy są dla mnie za trudne i nie mieszczą mi się w głowie. Szczerze mówiąc, nawet nie chcę ich rozumieć. Ale znałem tatę. Żyłem z nim przez czternaście lat. Był normalnym człowiekiem. Dexter Tempest nie był wampirem.

Im bardziej starał się ją zakrzyczeć, tym bardziej Grace była wzburzona.

- Musisz zmienić swój ogląd rzeczy - rzekła.

- Wampiraci też mogą być normalnymi ludźmi. Na przykład Lorcan...

Connor pokiwał głową.

- Byłem pewny, że do niego wrócimy. Posłuchaj, Grace, wiem, jak bardzo lubisz Lorcana. To pierwszy chłopak, którym się interesujesz. Ale pogódź się z rzeczywistością. On nie jest normalnym...

- Jest dobry - powiedziała Grace. - Jest rozsądny. I zabawny...

- Jasne - przerwał jej Connor. - Jestem przekonany, że prawdziwa beczka śmiechu z tego Lorcana. Ale zapominasz o faktach. - Przerwał. - Na przykład o tym, że lubi wysysać krew.

- To nie jest tak, że on lubi - oburzyła się Grace. - Lorcan potrzebuje krwi, to jego pożywienie. Łaknie krwi, ale nauczył się panować nad swoim głodem.

- No tak. - Pokiwał głową. - Masz rację, to całkiem normalne. Grace wyciągnęła do brata rękę. Postanowiła jeszcze raz spróbować.

- Proszę cię, wróćmy tam i skończmy rozmowę z Sally, póki mamy szansę. Jest bardzo słaba. Nie wiem, ile czasu nam zostało.

Popatrzył na nią w skupieniu, choć nie potrafiła odgadnąć jego myśli. Potem pokręcił głową.

Grace westchnęła. Ze skrzyżowanymi na piersi rękami ruszyła w stronę komnaty medytacji.

- Grace, zaczekaj! - krzyknął. - Musimy porozmawiać! Tylko ty i ja! Ale nie zdołał jej zatrzymać. Przemaszzerowała korytarzem, wkroczyła gwałtownie do komnaty, podeszła do krzesła matki i jęknęła, przerażona. Sally leżała na podłodze. Oczy miała zamknięte, a ciało bezwładne.

- Nie! - krzyknęła Grace. To nie może się skończyć, nie tutaj, nie teraz. Zbyt wiele zostało do powiedzenia. Musiała ją zatrzymać.

Schyliła się i chwyciła matkę w ramiona. Znow błysnęły obrazy: Dexter, Sidorio, Lorcan, kapitan. A także Mosh Zu i Shanti. Jedna twarz po drugiej... jakby patrzyła na szybko tasowaną talię kart.

„Nie teraz!” - błagała w duchu Grace. Musiała ratować Sally... Ale wizje nie dawały jej spokoju.

Twarze przesuwaly się przed nią, aż w końcu znieruchomiały na postaci Dextera, jakby to jego kartę wybrano z talii. Ojciec stał na pokładzie statku. Widziała za nim główny maszt oraz ogromne, podobne do skrzydeł i pulsujące światłem żagle Nokturnu. Dexter śmiał się i wyciągał do niej rękę. Grace uświadomiła sobie, że widzi go poprzez oczy matki. W tej wizji ona także była na statku - trzymała Dextera za rękę i szła po pokładzie. Potem obejrzała się i zobaczyła Lorcana z Shanti. Uśmiechali się i machali do nich. A jeszcze później Sally i Dexter znaleźli się pod pokładem. Grace widziała znajomy korytarz z kajutami po obu stronach. Dłoń jej matki otworzyła drzwi. Czy zaraz miała zobaczyć, jak matka dzieli się krwią z ojcem? To potwierdzałoby, że rzeczywiście była jego donorem i że Dexter Tempest był wampirem.

- Grace! Krzyk Connora dotarł do jej świadomości, ale trzymała się kurczowo wizji, nie chcąc jej utracić. I wtedy poczuła na ramionach ręce brata. Odciągał ją od Sally.

- Puść ją! Za mocno ją obejmujesz, Grace. Robisz jej krzywdę. Odzyskała świadomość na podłodze, w pewnej odległości od Connora, który teraz opiekuńczo podtrzymywał Sally.

- Co jej zrobiłaś? - spytał.

- Ja? Nic nie zrobiłam. Jak możesz w ogóle myśleć...

- Ścisłałaś ją, jakbyś miała spaść w przepaść...

- Gdy wróciłam do pokoju, leżała nieprzytomna. Chciałam ją podnieść, jak ty teraz, ale natychmiast znow zaczęły się wizje.

Connor zmarszczył brwi.

- Nie chcę tego słuchać - rzekł ponuro. - A ty powinnaś przestać jej dotykać. Nie rozumiem, co się dzieje, ale najwyraźniej to nie jest dobre dla Sally.

Poszukał pulsu, a potem rzucił Grace przerażone spojrzenie.

- Potrzebujemy pomocy. Biegnij! Niech tu przyjdzie Mosh Zu albo... ktokolwiek. Natychmiast!

Rozdział 7

Przyjaciele i tajemnice

Wieczorem, kilka godzin po omdleniu matki, Grace usiadła na ławeczce przed małą fontanną w ogrodzie, starając się uzbroić w cierpliwość. Mosh Zu i jego asystenci zajmowali się Sally.

Ta fontanna była jednym z jej ulubionych miejsc w Sanktuarium - tutaj odzyskiwała spokój ducha. Niezwykłe połączenie chłodnego powietrza, zapachu rosnących w pobliżu dzikich ziół i plusku wody działało na nią niemal magicznie.

W tej chwili myśli dziewczyny szalały, a żołądek zaciskał się w supeł. Myślała o tym, co powiedziała... i co niemal powiedziała Sally. Że była donorem - może Dextera Tempesta. Ojciec bliźniąt był prawdopodobnie wampirem, a zatem oni także są wam... Nie, nie wolno uprzedzać faktów. Sally wyznała na pewno tylko to, że była donorem na pokładzie Nokturnu. Domysły, choć z pewnością miały sens, wymagały potwierdzenia.

Grace myślała o wizjach wywołanych dotykiem Sally. To niezwykle: oglądać oczami matki dawne życie na Nokturnie. Zobaczyć ojca - tak młodego, przystojnego i rozluźnionego. A także Lorcana, choć on oczywiście fizycznie się nie zmienił. Grace pamiętała, jak Lorcan i jej matka patrzyli na siebie w komnacie uzdrowień. Było jasne, że kiedyś łączyła ich przyjaźń, a wizja potwierdziła ten fakt. Grace ucieszyło odkrycie kolejnego powiązania między dwojgiem ludzi, na których bardzo jej zależało.

Ciekawy był też obraz Shanti. Choć Grace żywiła mieszane uczucia wobec dawnego donora Lorcana, wciąż odczuwała głęboki smutek po tragicznej śmierci dziewczyny z rąk zdradzieckiego wampirata.

Zadrzała i wróciła myślami do matki. Czy Connor miał rację? Czyżby Grace naprawdę krzywdziła Sally, sięgając do jej dalekich wspomnień? Oczywiście, Sally była bardzo słaba, a Grace z pewnością nie chciała pogarszać jej stanu. A jednak wizje wybuchnęły gwałtownie, gdy tylko dotknęła matki... Grace miała wrażenie, że Sally chciała - może podświadomie - aby córka

zobaczyła te obrazy. Jakby poprzez nie próbowała opowiedzieć swoją historię. Patrzyła na kaskady wody i żałowała, że nie ma teraz przy niej nikogo bliskiego, z kim mogłaby porozmawiać. Ale kto mógłby to być?

Connor, choć wyraźnie się uspokoił, stwierdził, że potrzebuje czasu dla siebie. Poszedł do swojego pokoju, aby odpocząć.

Kapitan byłby idealnym rozmówcą, ale od czasu uzdrowienia w ogóle go nie widywała.

Szukała Lorcana, ale ktoś jej powiedział, że poszedł do pomieszczeń donorów i że nie należy spodziewać się go szybko z powrotem.

Grace przypomniała sobie samotne noce, kiedy szukała towarzystwa Johnny'ego Desperado. Teraz chłopak odszedł z Sanktuarium, zwabiony mrocznymi pokusami, jakie roztaczał przed nim Sidorio. Choć nie miał kryształowego charakteru, był dobrym towarzyszem i potrafił słuchać. Teraz, siedząc przy małej fontannie, Grace boleśnie odczuwała nieobecność przyjaciół. Miała wrażenie, że wszyscy ją opuścili.

- Grace! Z początku pomyślała, że wyobraziła sobie ten głos. Zresztą nie pierwszy raz...

- Grace!

Uniosła głowę i zobaczyła Darcy Flotsam idącą w jej stronę obok fontanny. Ciepły uśmiech Darcy był niczym odpowiedzią na jej błagania.

Zerwała się i objęła przyjaciółkę.

- Darcy, jak dobrze cię widzieć! Ta uścisnęła ją ze śmiechem.

- Ja też się cieszę - odparła.

- Ale co ty tu robisz? - spytała Grace.

Miała lekkie wyrzuty sumienia. Zapomniała o Darcy, o kochanej Darcy, kiedy wyliczała bliskie osoby.

- Myślę, że to samo co ty - rzekła Darcy. - Wyszłam zaczerpnąć świeżego powietrza. Po nocach na pokładzie Nokturnu Sanktuarium wydaje się strasznie duszne, nie sądzisz?

- Och, Darcy! - Grace promieniała. - Tak się cieszę! Siedziałam tu i martwiłam się o matkę. A potem zaczęłam myśleć o wszystkim, co powiedział Connor, o moim tacie, kapitanie... I poczułam się okropnie samotna. - Łzy wezbrały jej w oczach.

- Ciii - uspokoiła ją Darcy głosem kojącym jak plusk fontanny. - Masz mnie, Grace. Nie jesteś sama.

- Oparła dłoń na jej ramieniu. - Chodź, pospacerujemy. Szły w milczeniu, trzymając się za rękę. Grace zauważyła nagle, jak dojrzała jest Darcy.

Opuściły ogród i przeszły przez dziedziniec. Przed nimi wyrósł mur, na którym kiedyś, w podobne noce, Grace siadywała z Johnnym Desperado. Znow go sobie przypomniała: czarującego, przystojnego i przewrotnego. Wciąż słyszała jego pożegnalne słowa: „I widzisz, nie chodzi o to, że nie potrafię być dobry. Tylko że o wiele lepiej wychodzi mi bycie złym”.

Zadrzała. Czy Johnny nadal trzymał z Sidorem? Jeśli tak, z pewnością nie brakowało mu okazji do pielęgnowania w sobie zła. Był taki zagubiony. Przypominał zbyt długo wiszący na gałęzi owoc, który zerwała brutalnie dłoń Sidorii.

- O czym myślisz? - spytała Darcy, gdy dotarły do muru otaczającego dziedziniec.

- O kimś, kogo znałam. O jednym ze zbuntowanych wampiratów, którzy odeszli z Sidoriem.

Darcy uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Zabawny zbieg okoliczności. Jeśli chcesz znać prawdę, wyszłam na spacer nie tylko po to, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Ja też wspominałam kogoś, kto odszedł z Sidoriem. Oczywiście, staram się o nim nie myśleć, ale im bardziej próbuję, tym mniej potrafię.

- Mówisz o Jezie, tak? - domyśliła się Grace. Dziewczyna wspięła się na mur i skinęła na Darcy, aby przyjaciółka do niej dołączyła. - Naprawdę cię zranił, prawda?

- Naprawdę - przyznała, siadając obok. - Myślałam, że jest tym jedynym. Myślałam, że jest moim panem Jetsamem. - Grace zauważyła, że w kąciku jednego z pięknych dużych oczu Darcy lśni pojedyncza łza podobna do perły. - Jak można być takim człowiekiem? Takim dobrym, a potem złym. Czy to wszystko było kłamstwem? Grace pokręciła głową.

- Nie - powiedziała, myśląc o Johnnym. - Nie wydaje mi się, aby Jez cię okłamywał. Sądzę, że naprawdę mu na tobie zależało. Chciał, żebyś przeszła wraz z nim na stronę buntowników, prawda?

- Tak. - Darcy szeroko otworzyła oczy. - Ale przecież nie mogłam! Nie mogłam!

- Oczywiście, że nie. - Grace skinęła głową.

- Ponieważ dla ciebie byłoby to równoznaczne ze zdradą kapitana. Wysoko sobie cenisz lojalność. Jez jest inny. Słabszy od ciebie. Nie potrafił się oprzeć pokusom Sidorii. A mimo to chciał, abyś z nim odeszła.

- Tak. Chciał, prawda? - Rozpromieniła się nagle.

- Prawdę mówiąc, to ja go odepchnęłam.

- Tak. Ponieważ nie był dość dobry, żeby zostać twoim panem Jetsamem. Jez cię kochał, Darcy, ale nie był ciebie godny. Któregoś dnia pojawi się ktoś inny i będzie dla ciebie prawdziwym panem Jetsamem. Jestem tego pewna. Darcy uśmiechnęła się i uściśliła jej dłoń.

- Dziękuję - powiedziała. - Czuję się teraz o wiele lepiej. Następnym razem, zamiast włóczyć się po dworze na zimnie i wilgoci, od razu pójde cię poszukać.

- Oczywiście - potwierdziła Grace. - Musisz! Jesteśmy przyjaciółkami, prawda?

- No jasne - zgodziła się Darcy. - Nawet nie musisz pytać. A co ciebie dręczyło? Grace skrzywiła usta.

- Sama nie wiem. Miałam poważną rozmowę z Connorem, prawdę mówiąc kłótnię. On uważa, że nie powinnam przebywać z tobą, Lorcanem czy kimkolwiek z wampiratów. Uważa, że to złe i... Przykro mi, że używam tego słowa... dziwaczne. Darcy nawet nie drgnęła.

- Jak posiadanie przyjaciół może być złe i dziwaczne? Grace pomyślała, że Darcy nie do końca rozumie.

- Chodzi o to, że jesteście wampirami - wyjaśniła. - A ja nie. Gdy tylko to powiedziała, usłyszała w głowie własny głos: „A może jednak jestem?”. Czy powinna podzielić się z Darcy tym podejrzeniem? Nie, chyba jeszcze za wcześnie. Wizje były zbyt chaotyczne, aby mieć pewność. Lepiej zaczekać. To zbyt poważna sprawa.

- Rozumiem - odparła Darcy. - Trzymać się swoich, nie zadawać się z obcymi. - Zmarszczyła czoło i pociągnęła nosem. - To dość wąska definicja przyjaźni, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Zgadzam się. - Grace energicznie kiwnęła głową.

- Powiedz mi - poprosiła Darcy - czy nasza przyjaźń jest tak różna od tej, jaka łączyła cię z innymi dziewczętami? To znaczy: z normalnymi dziewczętami...

- Tylko nie „normalnymi”! - przerwała jej Grace.

- No dobrze, więc ze śmiertelniczkami. Kiedy mieszkałaś jeszcze w Zatoce Księżycowej.

- Prawdę mówiąc, z nikim nie przyjaźniłam się blisko. Connor był moim najlepszym przyjacielem. Nigdy jednak nie miałam przyjaciółki od serca, aż do spotkania z tobą. - Uśmiechnęła się. - To jeden z powodów, dla których jesteś dla mnie taka niezwykła.

- No cóż. Ja nie widzę w tym nic niewłaściwego. Zresztą przyjaźnisz się nie tylko ze mną. Jest jeszcze kapitan, Mosh Zu i Lorcan.

Grace wolno pokiwała głową.

- Nie chcę nawet wiedzieć, co Connor powiedziałby o mnie i Lorcanie... Przyjaciółka uniosła brew, a Grace się zawahała.

- Mogę zdradzić ci pewną tajemnicę? - spytała.

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się Darcy. - Czy nie po to są przyjaciele?

- A więc, jak powiedziałam, nigdy przedtem nie miałam przyjaciółki. Nigdy też nie miałam prawdziwego chłopaka. - Zerknęła na Darcy dość zakłopotana. - Rozumiesz. Darcy przytaknęła.

- Wiem, o co ci chodzi. Mówisz o Lorcanie, prawda?

- Tak. - Grace poczuła ulgę, że w końcu przyznała to otwarcie. - Chciałabym tylko wiedzieć, co on czuje do mnie. Czy on w ogóle rozmawia z tobą o takich sprawach? Darcy zastanawiała się przez chwilę, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Lorcan jest bardzo zamknięty w sobie. Nieczęsto mówi o swoich uczuciach.

- To prawda - zgodziła się Grace. - Ale zawsze był dla mnie taki dobry. Taki opiekuńczy. I widzę, że mu na mnie zależy.

- Na pewno mu zależy - przytaknęła Darcy z przekonaniem. - Co do tego nie ma wątpliwości. - Urwała, po czym dokończyła spokojniej: - Ale może nie w taki sposób, jakiego ty byś pragnęła.

Grace zmarszczyła czoło.

- Sądzisz, że chce być tylko moim przyjacielem? - Coś w tym rodzaju. Nie wiem niczego na pewno, ale myślę, że musisz być bardzo ostrożna. Sama powiedziałaś, że nigdy jeszcze nie miałaś chłopaka, a teraz wzięłaś na cel... - Urwała w pół zdania.

Grace spojrzała jej w oczy.

- Dokończ. Wampirata. Chciałaś powiedzieć, że wzięłam na cel wampirata. - Zmarszczyła czoło. - Więc czym innym jest przyjaźń z tobą, a czym innym uczucie do Lorcana?

„Powiedz jej - ponaglał głos w głowie Grace. - Powiedz jej, że ty też możesz być wampirem. Czy to nie zmieni wszystkiego?”. Ale nie potrafiła. Darcy pokręciła głową.

- Grace - odparła spokojnie - chciałam powiedzieć, że wzięłaś na cel kogoś, kto jest prawdziwym wyzwaniem. - Zawahała się. - Lorcan Furey jest... skomplikowany. Myślę, że powinnaś lepiej go poznać.

Teraz i tak sporo się dzieje. Po uzdrowieniu kapitana i powrocie Sally... Grace aż drgnęła.

- Co powrót Sally ma wspólnego z Lorcanem? Darcy odwróciła wzrok. Tylko na moment, ale Grace wystarczająco dobrze poznała reakcje przyjaciółki, by wiedzieć, że Darcy coś przed nią ukrywa.

- Darcy, co powrót Sally ma wspólnego z Lorcanem?

W umyśle Grace znów rozbłysł obraz Lorcana i Sally. Spojrzeń, jakie wymienili w komnacie uzdrowień. A potem drugi obraz. Na pokładzie statku uśmiechnięty Lorcan macha do jej matki.

Darcy znów spojrzała na Grace.

- Sally jest twoją matką. Powinnaś poświęcić jej jak najwięcej czasu, by ją poznać, póki to jeszcze możliwe. Nie próbuję cię straszyć, jestem twoją przyjaciółką. I jako przyjaciółka mówię ci, że w tej chwili musisz się zająć Sally, nie Lorcanem.

Grace kiwnęła głową. To brzmiało rozsądnie. A jednak miała nieodparte wrażenie, że przyjaciółka coś ukrywa. Postanowiła udawać, że bierze jej słowa za dobrą monetę.

- Poszukam mistrza - powiedziała, nagle podejmując decyzję. - Spytaam, jak się czuje mama. Może pozwoli mi ją zobaczyć. Przyda mi się wsparcie. Pójdiesz ze mną?

- Oczywiście. - Darcy się uśmiechnęła i zeskoczyła z muru.

Razem przecięły dziedziniec i przez ciężkie wrota wkroczyły do Korytarza Świąteł, który stanowił początek kompleksu budynków.

Minęły Korytarz Świąteł, Korytarz Rzeczy Odrzuconych i szły przez Korytarz Wstążek, gdy przed nimi rozległ się głos:

- Grace!

- Connor!

Dziewczyna spojrzała na brata, który do niej podbiegł.

- Gdzie byłeś? - zapytał. - Wszędzie cię szukałem. Napięcie w jego głosie budziło lęk.

- Co się stało? - rzuciła. - Masz jakieś wieści o mamie? Connor pokręcił głową. Dopiero wtedy zobaczyła, że niesie swój worek. A w nim wszystkie rzeczy... Już wiedziała, co chce powiedzieć.

- Odchodzę - oznajmił. - Przez kilka ostatnich godzin biłem się z myślami, ale muszę to zrobić, dla dobra nas wszystkich. Szukałem cię, żeby się pożegnać.

Rozdział 8

Droga

- Odchodzisz właśnie teraz? Grace nie mogła uwierzyć, że brat zadał jej taki ból. Chociaż nie, spodziewała się, że tak postąpi, i to było chyba jeszcze gorsze. Z żalem wróciła myślami do dnia, kiedy zatonęła ich łódź. I znowu doznała uczucia, że ten ogromny, rozszalały ocean ich rozdzielił. Rozstanie powtarzało się bez końca.

Kiedy wewnątrz niej szalała burza, Connor patrzył spokojnie. Kiwał głową. Uśmiechał się. Naprawdę się uśmiechał!

Grace próbowała wziąć się w garść. Poczowała dłoń na ramieniu.

- Nie chcę wam przeszkadzać - odezwała się Darcy. - Gdybyś mnie potrzebowała, będę w swoim pokoju. - Spojrzała na Connora. - Miło było znów cię zobaczyć - powiedziała - choć na krótko. - Zrobiła parę kroków i jeszcze obejrzała się przez ramię. - Aha, i nie martw się o siostrę. Dziwacznicy przyjaciele na pewno jej nie opuszczą.

Potem odwróciła się znowu i odeszła. Jej obcasy stuknęły gniewnie o kamienną posadzkę.

Connor patrzył za nią z otwartymi ustami. Potem zwrócił się do Grace.

- Powiedziałaś jej! Powtórzyłaś jej moje słowa? Zwariowałaś?

- Nie, ja nie zwariowałam. Ale ty może tak. Wreszcie spotykamy naszą matkę, a kiedy ona traci przytomność i jest bliska śmierci, ucinasz sobie drzemkę, pakujesz rzeczy i uznajesz, że to najlepszy moment, aby się stąd jak najszybciej wynieść! Connor westchnął.

- Nie mogę sobie z tym poradzić.

- Z czym? Ze mną?

Przytaknął.

- Z tobą. Właśnie tak. Między innymi.

- Mów dalej. Co jeszcze?

- Chodzi o wszystko, co mówisz. O wszystko, w co każesz mi wierzyć. Że Sally jest naszą matką...

- Jest naszą matką. To fakt.

- Jest duchem, być może...

- Jest naszą matką, Connor - powtórzyła stanowczo Grace. - Przestań się zastanawiać nad rzeczami, których nie rozumiesz, i po prostu zacznij je przyjmować.

- Nie. - Na jego twarzy, jak w lustrze, odbijał się także jej upór. - To ty musisz przestać przyjmować to, co niewiarygodne. To, co jest zupełnym szaleństwem!

- Nie bądź taki ograniczony. - Teraz ona mówiła spokojnie.

- Ograniczony? - Roześmiał się ponuro. - Niby ja jestem ograniczony? Bo nie chcę uwierzyć, że nasza matka jest duchem, który włóczył się po oceanach w brzuchu kapitana? Bo nie chcę przyjąć do wiadomości, że nasz ojciec był wampirem, a ty, ja i mama mogliśmy stworzyć szczęśliwą wampirzą rodzinę? - Connor spojrzał na siostrę. - Chcesz, żebym w to uwierzył, prawda?

- Chciałabym, abyś uznał taką możliwość - odparła Grace.

- Nie ma takiej możliwości! - krzyknął.

- Czemu nie? Bo cię przeraża?

- Nie. Bo nie ma sensu. Zastanów się, Grace. Jesteś taka pewna, że tata był wampirem, więc jak mógł umrzeć? Wampiraci nie umierają!

Ostatnie słowa brata uderzyły ją bardziej niż wszystkie wcześniejsze. Jak mogła o tym sama nie pomyśleć? Gdyby Dexter Tempest był wampirem, byłby nieśmiertelny. Więc jak mógł umrzeć? Kręciło jej się w głowie. Czy wampiraci umierają? Kapitan rzeczywiście był bliski śmierci. A więc może tak się zdarza.

A jeśli... jeśli Dexter nie umarł? A jeśli jego śmierć nie była tym, czym się wydawała? To szalona ewentualność, ale nie można jej wykluczyć. Prawdopodobnie istnieje jakaś tajemnica, którą Sally wyjawia, gdy dojdzie do siebie.

„Albo może Connor ma rację - uznała ze smutkiem Grace. - Wymyślam niestworzone historie, bo nie mogę się pogodzić z prostą prawdą: że mój ojciec nie żyje. Że umarł przedwcześnie na atak serca. Że jestem zwyczajną dziewczyną, która lubi się włóczyć z wampirami”.

Kiedy znów spojrzała na Connora, dostrzegła, że złość mu minęła. Ona także poczuła się inaczej. Wściekłość przeszła bez śladu. To był jej brat, jej ukochany brat. Poczowała smutek, że ją opuszcza, choć pogodziła się już z jego decyzją. Westchnęła.

- Czy mogę cię jakoś skłonić, żebyś jednak został? Na przykład mówiąc, że jesteś mi potrzebny?

Zastanowił się nad jej słowami, a potem pokręcił głową.

- Gdybym naprawdę wierzył, że mnie potrzebujesz, tobym został. Wtedy i tylko wtedy. Ale ty mnie nie potrzebujesz, Grace. Nieraz pokazałaś, że jesteś silna. Przepraszam za to, co powiedziałem wcześniej. Masz oddanych przyjaciół: Darcy, Lorcana, kapitana...

- Kapitana nawet nie widziałam od czasu ceremonii - zaprotestowała. - Nie wiem, gdzie jest!

Connor rzucił swój worek na podłogę, położył dłonie na ramionach siostry i spojrzał jej w oczy.

- Chcę, żebyś wiedziała jedno. Nie robię tego, aby cię zranić. Kiedy jestem daleko, myślę o tobie każdego dnia. Martwię się. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa.

Słowa brata nią wstrząsnęły. Jeszcze nigdy do tego stopnia się przed nią nie otworzył. Jeżeli potrzebowała jakichś dowodów, że się zmienił, to właśnie je otrzymała. Czują, jak w jej oczach wzbierają łzy. Connor mówił dalej.

- Ale nie mogę być tu z tobą. Muszę wracać do prawdziwego świata. Świata, który znam. Świata pełnego życia, światła, przygód i...

- ...niebezpieczeństw - wtrąciła.

- Tak - przyznał - i niebezpieczeństw. Ale ktoś kiedyś mi powiedział, że jedyna droga, w jaką warto wyruszyć, to ta, która nas sprawdza. - Oczy mu zalśniły. - Droga, która zdziera z nas ubranie, która zaćmiewa umysł i wstrząsa duchem. Grace zmarszczyła czoło.

- To brzmi jak słowa Cheng Li. Zamierzasz ją znaleźć i wstąpić do jej załogi, tak?

- Jeśli mnie przyjmie - odparł. - Może przyda jej się takie cudowne pirackie dziecko jak ja.

- Czy tym właśnie jesteś? - zapytała zasmucona i bezradna Grace.

- Spróbuj cieszyć się razem ze mną. Myślę, że odnalazłem drogę, którą powinienem podążać.

Raz jeszcze spojrzała mu w oczy, tak samo zielone jak jej własne.

- Dobrze. Ale ja chyba też znalazłam swoją drogę. Więc ty również ciesz się razem ze mną.

Connor objął ją mocno.

- Oczywiście - obiecał. - I wkrótce znów się spotkamy. Kto wie, gdzie i kiedy, ale dzięki temu jest ciekawiej, nie sądzisz?

Słyszac te słowa i widzac jego pogodną twarz, Grace poczuła, że udziela jej się energia brata.

- Lepiej nie przeciągajmy pożegnania, co? - rzucił. Poklepał ją lekko po ramieniu i zarzucił worek na ramię.

- Odprowadzę cię do bramy - zaproponowała. Otworzył usta, aby odmówić, ale zmienił zdanie. Kiwnął głową i wyciągnął rękę. Ujęła ją. Dotyk brata dodawał odwagi. Przypominał ojca.

- Uważaj na siebie, Grace! - rzucił Connor, kiedy żelazne wrota otworzyły się przed nim. Potem ruszył ścieżką wiodącą w dół zbocza.

Grace stała samotnie, gdy odźwierni zatrzasnęli bramę. Niewątpliwie czuła smutek. Słyszała w myślach słowa: „Wkrótce znów się spotkamy”. Czy rzeczywiście? I w jakich okolicznościach? A może przepaść między nimi jeszcze się pogłębi i za każdym razem będzie trudniejsza do pokonania? I dlaczego ona tak się zadręcza? Dlaczego nie może przestać wyglądać w przyszłość i nie cieszy się tym, co ma tu i teraz? Connor był szczęśliwy. Chyba odnalazł swoje przeznaczenie. Wiedziała, że jest dla niego ważna. To powinno wystarczyć. Ale nie wystarczało. Oddalali się od siebie. Może było to nieuniknione, ale i tak bolesne. Po powrocie z zalanej słońcem przestrzeni Korytarz Świąteł wydawał się ciemny i przytłaczający. Dziwnie było wracać do Sanktuarium bez Connora. Nagle Grace poczuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek, bardziej niespokojna o Sally. Uznała, że nie może dłużej czekać - musi sama sprawdzić, jak się czuje matka. Energicznie ruszyła w stronę pomieszczeń mistrza.

Przechodziła obok pokoju rekreacyjnego, gdy usłyszała zbliżające się kroki. Za zakrętem aż podskoczyła, widząc znajomą twarz.

- Lorcan! - zawołała z radością. Uśmiechnął się do niej, ale jego uśmiech szybko przygasł.

- Grace, wszędzie cię szukałem. Gdzie byłaś?

- Na dziedzińcu, z Darcy i Connorem - odparła.

- Powiedzieli mi, że jesteś w bloku donorów.

- Byłem. - Kiwnął głową. - Ale wróciłem, gdy tylko się dowiedziałem, że Sally straciła przytomność.

Puls Grace przyspieszył.

- Pomagałeś mistrzowi ją leczyć? - zapytała. - Jak ona się czuje? Mogę ją zobaczyć? - Właśnie dlatego cię szukałem - rzekł Lorcan spokojnym, opanowanym tonem. - Musisz natychmiast porozmawiać z mistrzem.

Jej niespokojne myśli stały się jeszcze bardziej gorączkowe.

- Przerazasz mnie. Co się stało? - Po prostu chodź ze mną. To z mistrzem musisz pomówić. Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą korytarzem.

- To boli! - krzyknęła Grace.

- Przepraszam. - Rozluźnił uścisk. - Po prostu nie chcę tracić czasu.

- Czemu nie powiesz mi, co się dzieje? - spytała.

- Lepiej będzie, jeśli Mosh Zu ci wyjaśni - powtórzył, idąc w stronę pokoju mistrza. Mosh Zu stał na progu. Z poważną miną wpuścił ich do środka. Lorcan zamknął drzwi.

- Muszę cię przygotować - rzekł Mosh Zu, gdy tylko usiedli na poduszkach na środku pokoju.

- Przygotować? - spytała Grace, czując, że ogarnia ją panika. - Na co? Czy coś się stało? Mosh Zu pokręcił głową.

- Nie, Grace. Sally czuje się dobrze i jest teraz w swoim pokoju. Śpi. Zaraz tam pójdziemy.

- Nie rozumiem - odparła. - Jeżeli nic jej nie jest, to na co chcesz mnie przygotować? Ciemne oczy mistrza nieruchomo wpatrywały się w Grace.

- Inne cienie, które niósł w sobie kapitan, zaczęły się rozwiewać. - Przerwał, czekając, aż dotrze do niej znaczenie tych słów. - Mimo wysiłków nie byłem w stanie odwrócić procesu.

- To straszne - powiedziała Grace. Żal jej było tych dusz, ale natychmiast wróciła myślami do matki.

- Straszne na swój sposób, istotnie - zgodził się Mosh Zu. - Ale te dusze wędrowały z kapitanem, ponieważ cierpiały. On je uratował. Zdołałem uwolnić je od cierpienia, aby mogły odejść.

Wreszcie zrozumiała.

- Moja matka też cierpi, tak? Mosh Zu przyglądał jej się z uwagą.

- Powiedziałbym raczej, że ma tu niedokończone sprawy - stwierdził. - Sądzę, że gdy je zamknie, pójdzie dalej. - Zastanawiał się przez chwilę. - Trudno jej będzie rozstać się z tobą.

Tobie także będzie trudno pozwolić jej odejść. A jednak w tę ostatnią drogę musi wyruszyć z radością.

- Ile czasu jej zostało?

- Nie potrafię powiedzieć. - Mosh Zu potrząsnął głową. - Po prostu nie wiem.

Grace miała zamęt w myślach.

- Czy jest jakaś szansa, że Sally na powrót stanie się śmiertelna? - To było trudne pytanie, ale musiała je zadać.

Raz jeszcze Mosh Zu potrząsnął głową.

- Przykro mi, Grace. Wiem że szukasz jasnych odpowiedzi, ale w tym przypadku nie znam żadnej.

Grace zadrżała. Odetchnęła głęboko. Musiała być silna, nie chciała tracić czasu.

- Czy mogę się z nią zobaczyć?

- Tak - odparł Mosh Zu i podszedł do drzwi.

- Pozwól, że pójde z tobą.

Sally spała oparta o poduszkę. Wciąż wyglądała na bardzo słabą. Grace stanęła w progu. Po wszystkim, co powiedział Mosh Zu, kręciło jej się w głowie, a nie chciała, by Sally zauważyła niepokój córki. Wolą nie myśleć, że mogłaby się przyczynić do spotęgowania cierpień matki.

- Może usiądziesz, zanim się obudzi - zaproponował Mosh Zu, popychając ją delikatnie w głąb pokoju. - Na pewno będzie zachwycona, kiedy cię tu zobaczy. Grace kiwnęła głową i jak najciszej ruszyła w jej stronę. Stanęła przy krześle obok łóżka. Patrząc na chorą, myślała, jak spokojnie wygląda Sally w delikatnym blasku świecy. Usiadła. Matka poruszyła się pod kocem i Grace pomyślała, że się budzi, ale chyba zrobiła to tylko przez sen. Jedną rękę położyła na narzucie - jakby nawet we śnie wyciągała ku córce rękę.

Gdy tylko Grace splotła palce z palcami śpiącej matki, uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Natychmiast poczuła rozdzierający ból, tak intensywny, że niemal zerwała kontakt. Ale uznała, że musi wytrzymać. Nie była pewna, ile czasu im jeszcze zostało. Ile siły ma w sobie matka, czy zdoła dalej opowiadać... A dzięki wizjom mogła dowiedzieć się czegoś więcej o przeszłości i być może złagodzić cierpienia Sally. Mocniej chwyciła dłoń matki, czekając, aż ustanie ból głowy. Potem, tak jak poprzednio, wizje przeniosły ją na pokład Nokturnu.

Tym razem patrzyła w twarz Sally. Jednak po chwili uświadomiła sobie, że wciąż widzi świat oczyma matki. Po prostu miała przed sobą lustro. W odbiciu zobaczyła również Darcy.

Grace uśmiechnęła się do siebie, widząc, jak Darcy układa matce włosy. Małymi grzebykami upinała kasztanowe loki. Matka musiała się przygotowywać na wieczorny bal. Tylko że, uświadomiła sobie Grace, na Nokturnie nie ma żadnych balów. Oprócz jednego... A więc Sally szykowała się na Ucztę. Wtedy usłyszała głos Darcy.

- Wyglądasz przepięknie, Sally. Będzie szczęśliwy, że jesteś jego donorem. Nie denerwuj się! Wszystko pójdzie dobrze.

Widziała, jak matka usiłuje się uśmiechnąć. To naturalne, że jest zdenerwowana. To pewnie jej pierwsza Uczta i na pewno jeszcze dobrze nie zna Dextera. Grace nie miała pojęcia, jak wyglądało życie Sally, zanim znalazła się na statku, ale musiało być trudne, skoro zdecydowała się zostać donorem.

Sally wstała i wyglądziła suknię, bez wątplenia pochodzącą z przepastnych szaf Darcy. Wyglądała w niej bardzo pięknie i niewinnie. Darcy pokiwała głową.

- Mówiłam, że zrobię z ciebie księżniczkę z bajki. Wizja się zmieniła... Grace odkryła, że jest już na dole, w długiej sali, gdzie odbywały się Uczty. Wciąż patrzyła oczyma matki, która zajęła miejsce między dwoma innymi donorami, czekającymi na przybycie swoich partnerów. W tle słyszała muzykę - dziwny perkusyjny rytm. A potem zaczęli wchodzić wampiraci.

Grace patrzyła, jak zbliżają się długą kolumną, i niecierpliwie czekała, aż zobaczy Dextera. Potrzebowała ostatecznego potwierdzenia, że ojciec był wampiratem. W poprzednich wizjach wyglądał zupełnie tak samo jak w Zatoce Księżycowej, choć wydawał się młodszy i nieco szczuplejszy. Ciekawe, jak będzie się prezentował na Uczcie, w wytwornym ubraniu. Zauważyła, że do wnętrza wchodzi Lorcan, uśmiecha się do niej i zajmuje miejsce naprzeciwko Shanti. Zobaczyła także, jak zjawia się Sidorio, a zaraz po nim kapitan. Potem drzwi się zamknęły.

„To dziwne” - pomyślała Grace. Czyżby przeoczyła ojca? Kilku wampiratów wciąż stało na środku kajuty. Może Dexter Tempest jest między nimi? Ale potem kolejne osoby zajmowały miejsca przy stole. Krzesło naprzeciwko Sally wciąż pozostawało puste. Odwróciła głowę i dostrzegła, że Shanti uśmiecha się i mruga porozumiewawczo. Chwilę później odkryła, że ostatecznie krzesło zostało zajęte. Przybył partner Sally. Serce Grace biło mocno, gdy wzrok matki błędził po mankietach surduta, ramionach, szyi... a wreszcie dotarł do twarzy. Ale choć twarz ta rzeczywiście była znajoma, nie ją spodziewała się zobaczyć dziewczyna. Wampirat posłał Sally uśmiech.

- Więc to ty jesteś moim nowym donorem! Zabawna dziecinka z ciebie, co? Grace poczuła zimny dreszcz na plecach. Oczyma Sally spojrzała na trudną do pomylenia z innymi twarz Sidorii.

Rozdział 9

Domek z kart

Kolejna noc. Kolejne ubogie nadbrzeżne miasteczko. Kolejna plaża. Dwie kobiety stały nad urwiskiem i spoglądały w morze. Jedna miała na sobie krótką sukienkę i wysokie skórzane buty. Druga - obcisły gorset i legginsy. Obie nosiły bardzo duże i bardzo ciemne okulary.

- Popatrz - odezwała się pierwsza. - Przypłynął chyba nasz statek. Wskazała wielki kadłub jednostki więziennej, która właśnie wpłynęła do zatoki.

- Jakbyśmy się umówili - stwierdziła druga. - Wyjdziemy chłopcom na spotkanie? Kobiety z bezpiecznej odległości obserwowały wampiratów docierających na brzeg. Wszystko odbyło się jak dwóch poprzednich nocy. Statek rzucił kotwicę u samego wejścia do zatoki. Członkowie załogi przedostali się na ląd - jedni na deskach surfingowych, inni w pław. Panowała atmosfera zabawy. Wszyscy byli głodni i gotowi do ucztowania.

- Pożyczysz mi lornetkę, Jessamy? - poprosiła towarzyszkę Camilla.

- Oczywiście.

Jessamy podała jej szkła. Camilla przyjrzała się wampiratom na plaży.

- Tam są! Nasi dwaj szczególnie przyjaciele - oznajmiła z uśmiechem. - Chętnie znowu się z nimi zobaczę. A ty?

- Och, tak. - Jessamy przygładziła dłonią włosy.

- Oczywiście. Nie masz wrażenia, jakbyśmy każdej nocy spotykały się z nimi po raz pierwszy? Za każdym razem jestem tak samo podekscytowana. Zachichotała. Camilla zawtórowała przyjaciółce.

Zaczekały, aż Sidorio wyda rozkaz, a załoga pobiegnie plądrować miasteczko.

- Wyglądają na bardzo, ale to bardzo głodnych, prawda? - zauważyła Camilla. Jessamy przytaknęła.

- Rzeczywiście. Ale obawiam się, że dzisiaj znów czeka ich rozczarowanie. Ściągnęła wargi.

- Chodźmy - rzuciła Camilla. - Tam stoją Johnny i Stukeley. Jak zwykle czekają do końca. Trzeba się im przedstawić.

Tym razem to Stukeley zauważył je pierwszy.

- Dobry wieczór, młode damy... Jessamy podniosła rękę na powitanie, ale milczała. Zbliżyły się.

- Dokąd się wybieracie tak ubrane? - spytał Stukeley. - Szukamy odrobiny rozrywki - odparła Camilla. - No to trafiłyście we właściwe miejsce - zapewnił je Johnny. - Rozrywka to moje drugie imię.

- Czyżby? - zdziwiła się kokieteryjnie Camilla.

- Bo na pierwsze mam Johnny. - Wampirat wyszczerzył zęby. - Jestem Johnny Desperado. A ty...?

- Camilla - odparła i wyciągnęła rękę.

- Miło cię poznać, Camillo. - Johnny ucałował jej dłoń. - Powiedz, dlaczego w środku nocy nosicie ciemne okulary?

Camilla obejrzała się na Jessamy, a potem obie spojrzały na chłopców.

- Moda, skarbie - odpowiedziały chórem. Gdy we czwórkę wracali plażą, Johnny'emu kręciło się w głowie po nocnym ucztowaniu. Widział, że Stukeley czuje się podobnie.

- To było niesamowite - powiedział Stukeley do Jessamy. Znowu zdziwił go tatuaż w kształcie serca wokół jej prawego oka. - Powinniśmy to kiedyś powtórzyć.

- Owszem - uśmiechnęła się Jessamy. - Chyba powinniśmy.

- Ale teraz musimy wracać - oznajmiła Camilla.

- Czyli jesteście z innego statku? - upewnił się Johnny. - Jak się nazywa? Gdzie można go znaleźć?

Jessamy spojrzała ostrzegawczo na Camillę. Ta wzruszyła ramionami.

- Jakie to ma znaczenie? - szepnęła przyjaciółce do ucha. - I tak nie będą niczego pamiętać. Zawsze zapominają.

Obie kobiety znowu zwróciły się do towarzyszy.

- Obawiam się, że naprawdę musimy już iść... - rzekła Jessamy. Stukeley zrobił smętną minę. Dziewczyna podeszła, by uścisnąć go na pożegnanie. W tej samej chwili Camilla objęła Johnny'ego. Obie pary przez moment stały nieruchomo. Potem kobiety zrobiły krok do tyłu, a

bezwładne ciała wampiratów osunęły się na piasek. Mężczyźni mieli zamknięte oczy. Z zaciekawieniem pochyliły się nad nimi.

- Słodko wyglądają, prawda? - Camilla objęła Jessamy w talii.

- Tak - przyznała Jessamy. - Jak śpiące szczeniaczki.

Camilla sięgnęła do kieszeni spodni i wyjęła kartę - waleta kier. Odcisnęła na niej kształt swoich ust, a potem ją upuściła. Karta opadła na pierś Johnny'ego.

- Ładny ruch - przyznała Jessamy. - Kapitan chyba nie będzie nam miała za złe, co? Jessamy pokręciła głową.

- Lubi, kiedy improwizujemy.

Mówiąc to, również wyjęła z kieszonki kartę, uniosła do ust, a potem przyklękła i wsunęła kartonik między palce Stukeleya.

Camilla zachichotała i pomogła jej wstać.

- Chodź - powiedziała. - Wracajmy na Wagabundę. Trzeba złożyć raport pani kapitan. Johnny obudził się pierwszy. Ziewnął szeroko i potoczył wokół wzrokiem. Chwilę trwało, nim sobie przypomniał, gdzie jest. Usiadł na piasku.

Coś zsunęło mu się z piersi. Na początku myślał, że to ćma, jednak zamiast niej zobaczył nieduży kartonik - kartę do gry. Teraz leżała na ziemi, koszulką do góry. Odwrócił ją i obejrzał w świetle księżyca - nie przypominała żadnej z tych, jakie kiedykolwiek oglądał. To był walet kier - ale z czarnymi sercami. Ślad szminki na rysunku również był czarny... Skąd ta karta się wzięła? Co oznaczała?

Obok poruszył się Stukeley. Johnny zauważył przy nim taką samą kartę. Co się stało? Dlaczego nic nie pamięta? Ostatnio nocne szaleństwa i krwawe uczty wywoływały coś w rodzaju amnezji.

- Hola! - rzucił, kiedy Stukeley otworzył oczy i usiadł.

- Cześć, kolego - odparł Stukeley. - Wyspałem się za wszystkie czasy. Naprawdę spałem twardo i spokojnie.

- Ja też - odparł Johnny.

- No to czemu marszczysz czoło?

- A co trzymasz w ręku, hermano?

- W ręku? - Stukeley spojrzał z zaciekawiony. - To chyba karta do gry. - Przysunął ją do oczu. - Król kier. Czarny... Nieszczerólnie znam się na kartach, ale kiery chyba nie powinny być czarne...

Johnny wolno pokręcił głową.

- Kiery nie powinny być czarne - potwierdził. - Skąd te karty się tutaj wzięły? - Nie wiem. Pamiętam tylko, że szliśmy plażą. A ty? - Tak samo... Nagle zabrzmiał ogłuszający dźwięk.

- To syrena okrętowa! - zawołał Stukeley i zerwał się na równe nogi. - Przecież nie mogą jeszcze odpływać! - zaprotestował Johnny. - Nie bez nas! - Chodź! - popędził go Stukeley. - Coś mi się tu nie podoba. Musimy szybko wracać na Krwawego Kapitana!

Wagabunda był statkiem o wiele mniejszym od Krwawego Kapitana, co dawało mu pewne- przewagi. Jedną z nich była szybkość. Drugą - możliwość ukrycia się w cieniu przy brzegu zatoczki. Na wszelki wypadek lady Lockwood postarała się o zasłonę mgły, by mieć pewność, że statek będzie niewidoczny dla wścibskich oczu. Nie przeszkadzało jej to jednak wyglądać na zewnątrz.

Stała w swojej kabinie z lunetą skierowaną ku morzu. Ktoś zastukał do drzwi.

- Wejść! - zawołała. Odwróciła się i poprawiła długą spódnicę.

Weszły Marianna i Angelika, a za nimi Jessamy i Camilla. Niosły cztery butelki wina i pięć kieliszków.

- Pomyślałyśmy, że zechcesz spróbować trunku z ostatniego zbioru - powiedziała Marianna.

- Ależ oczywiście - zgodziła się lady Lockwood.

- Będiesz tak dobra i nalejesz?

Marianna skinęła głową. Z pomocą Angeliki napełniła kieliszki. Jessamy i Camilla wystąpiły naprzód.

- Kolejna udana noc? - spytała lady Lockwood. Jessamy przytaknęła.

- To było niemal zbyt łatwe - stwierdziła. Lady Lockwood z uśmiechem pokiwała głową.

- Nie martw się, moja droga. Wkrótce podniesiemy poprzeczkę. - Wzięła od Marianny kieliszek. - Powiedźcie więc... - Zakołysała naczyniem, by uwolnić bukiet zapachów. - Dokąd teraz zmierza Krwawy Kapitan?

- Cóż... - odparła Camilla. - Według naszych źródeł... Po raz drugi i ostatni syrena zawyła w chwili, kiedy Johnny i Stukeley zeskakiwali na główny pokład. Obaj potrafili

wyciągnąć wnioski. To przecież właśnie oni powinni byli uruchomić syrenę wzywającą maruderów na statek i ogłaszającą koniec ucztowania. A tymczasem okazali się ostatnimi spośród powracających.

Wokół kręcili się inni członkowie załogi. Niespokojni, niemal rozgorączkowani. To nie był ich zwykły stan ducha po ucztowaniu. Zwykle po takiej nocy siadali gdzieś albo wlekli się do kajut.

- Coś mi tu nie gra - powiedział Stukeley. - Gdzie kapitan? - zainteresował się Johnny. Stukeley rozejrzał się dokoła.

- Nie wiem. Ale miejmy nadzieję, że nie zauważył naszego spóźnienia. A jednak zauważył. Siedział w bocianim gnieździe i stamtąd przyglądał się porucznikom. Wreszcie postanowił ujawnić swoją obecność. Zsunął się z platformy i zeskoczył na pokład, wykręcając po drodze salto. Wylądował przed chłopakami.

- Miło, że się przyłączyliście - powiedział ponuro.

- Witaj, kapitanie - rzucił nerwowo Stukeley.

- Gdzie byliście? - zapytał Sidorio. - Spóźniliście się. Znowu.

- Na brzegu - tłumaczył Stukeley. - Poszliśmy ucztować, jak wszyscy.

- Rozumiem. - Sidorio patrzył mu w oczy. - No to powiedz, czy znaleźliście coś na ząb?

Porucznicy milczeli.

- No? - Głos Sidorio zagrzmiał. - Chyba tak... - odpowiedział Johnny. Sidorio uniósł brew.

- Chyba, Stetson? Co to znaczy: chyba? Johnny zadrżał.

- Chodzi o to, że...

- Bardzo nam przykro, kapitanie - przerwał mu Stukeley. - Ale prawdę mówiąc, mamy kłopoty z pamięcią. Może wypiliśmy za dużo krwi albo...

Sidorio spoglądał to na jednego, to na drugiego. Oczy mu płonęły.

- Mam już powyżej uszu tego, że z nieprzytomnymi minami wtaczacie się na statek godzinę po pozostałych. Jesteście moimi zastępcami! Zapomnieliście?

- Nie, kapitanie - zapewnił go Stukeley. - Bardzo przepraszam.

- Ja też... - dorzucił Johnny. Zwiesił głowę.

- To samo mówiliście wczoraj. I przedwczoraj. I żaden z was nie miał pojęcia, gdzie był i co robił. Chyba że mnie okłamujecie. - Pokręcił głową.

- A okłamywanie mnie byłoby poważnym błędem. Wielkim błędem!

- Mówimy prawdę! - zapewnił go Johnny.

Stukeley zmarszczył czoło.

- Dzieje się coś dziwnego... - mruknął. Sidorio spoglądał gniewnie na swoich poruczników. Wciąż był na nich wściekły.

Stukeley rozejrzał się po pokładzie.

- Co z załogą, kapitanie? - zapytał. - Nie wyglądają, jakby dziś ucztowali. - Dziesięć punktów za spostrzegawczość - burknął Sidorio. - Nie ucztowali. Ktoś inny trafił do tego miasteczka pierwszy.

- Ktoś inny? - zdumiał się Stukeley. - Co pan ma na myśli? Sidorio raz jeszcze obrzucił ich gniewnym spojrzeniem.

- Lepiej chodźcie za mną - rzekł. Kiedy znaleźli się w kajucie kapitana, Johnny od razu podszedł do stołu zaszypanego kartami do gry. To były kiery. I wszystkie czarne.

- Patrz - zwrócił się do Stukeleya. - Całkiem jak... Oczy Stukeleya błysnęły ostrzegawczo i Johnny natychmiast zamilkł.

- Co to za karty? - Stukeley zwrócił się do kapitana. - Skąd się wzięły?

- Znaleźliśmy je nocą w miasteczku - wyjaśnił Sidorio. - Leżały na zwłokach, którymi były usłane ulice.

Stukeley podszedł bliżej. Identyczne karty on i Johnny ukryli w kieszeniach. Jedyna różnica polegała na tym, że ich tajemnicze znaleziska poznaczone były czarną szminką, a te na stole - krwią.

Stukeley wreszcie doznał olśnienia.

- Gdzieś w pobliżu jest drugi statek wampiratów! To chce nam pan powiedzieć, prawda? Inny statek wampiratów dotarł do miasta przed nami! Sidorio przytaknął.

- I to już trzeci raz. Moja załoga zaczyna głodować. A im jest głodniejsza, tym trudniej nad nią zapanować. Wydaje się, że jedynie wy dwaj zdobywacie jakoś krew, tylko nie umiecie sobie niczego przypomnieć.

Rzucił im podejrzliwe spojrzenie.

Stukeley patrzył na zakrwawione karty.

- To nie my zrobiliśmy, kapitanie - zapewnił. - I nie wygląda to na robotę Nokturnu! Chyba że na statku nastąpiły dramatyczne zmiany.

- To nie ma nic wspólnego z Nokturnem - oświadczył Sidorio. - Nowy statek wampiratów musiał wypłynąć na morze! Może bawią się z nami w kotka i myszkę, odgadują, dokąd zmierzamy, a potem nas wyprzedzają...

Stukeley zmarszczył czoło.

- Może nie muszą zgadywać - stwierdził. - Może znaleźli sposób zdobywania informacji u źródła...

- Co masz na myśli? To było ryzykowne zagranie, ale Stukeley postanowił spróbować. Sięgnął do kieszeni, wyjął swoją kartę i skinieniem zachęcił Johnny'ego, by przyjaciel poszedł w jego ślady. Obaj porucznicy położyli karty na stole.

- Mieliśmy je przy sobie - oświadczył Stukeley.

- Kiedy obudziliśmy się na plaży. Nie wiemy, skąd się wzięły ani kto nam je dał, ale to bardzo dziwny zbieg okoliczności, prawda?

Johnny przytaknął.

- Całkiem jakby ktoś od nas wyciągał informacje, a potem usypiał, żebyśmy niczego nie pamiętali.

Sidorio uniósł brew.

- Na to wygląda - przyznał. Stukeley uniósł dłoń.

- Kapitanie, musi pan wiedzieć, że ani Johnny, ani ja nie zrobilibyśmy świadomie niczego, co mogłoby zaszkodzić statkowi. Jesteśmy mu całkowicie oddani, tak jak i panu. Prawda, Johnny?

Johnny kiwnął głową. Potem obaj czekali, co powie kapitan.

- W porządku, chłopcy - odezwał się po chwili Sidorio. - Chyba widzę, co się tu dzieje. Ktoś sobie urządza z nami gierki. Próbuje zapanować na oceanach. No dobrze, miał swoje pięć minut zabawy, ale to się kończy tutaj i teraz. Dzisiaj!

Uderzył pięścią w stół. Karty poleciały na wszystkie strony; rozległ się trzask pękającego drewna.

- Na oceanie jest miejsce tylko dla jednej załogi zbuntowanych wampiratów - oznajmił. - Mojej! Dowiem się, kto dowodzi tym drugim statkiem! A potem go przejmę. - Uśmiechnął się. Dwa kły błysnęły złowieszczo w blasku lampy. - Zmienić kurs! - rozkazał.

- Załoga potrzebuje krwi. I ja im ją dam. A potem zobaczymy, co czeka tych, którzy próbują drażnić się z rekinem!

Rozdział 10

Donor Sidorio

Sally wreszcie się obudziła. Zobaczyła siedzącą obok łóżka córkę.

- Witaj, Grace - powiedziała i usiadła. Gdy dostrzegła wyraz jej twarzy, zawahała się. -
Wyglądasz strasznie. Co się stało?

- Sidorio! - wyrzuciła Grace słabym głosem. - Byłaś donorem Sidorio! Na samą myśl o tym czuła mdłości. Ze wszystkich wampiratów, których wyobrażała sobie jako partnerów matki, Sidorio byłby ostatnim - absolutnie na końcu. Sally nie próbowała zaprzeczać.

- Skąd wiesz? Mosh Zu ci powiedział? Grace pokręciła głową.

- Miałam kolejną wizję. Sama wszystko zobaczyłam.

- Co dokładnie widziałaś? - spytała z lękiem Sally. Wyprostowała się i wsunęła za plecy poduszkę.

- Widziałam, jak szykujesz się na Ucztę - odparła Grace. - Byłaś z Darcy w jej kajucie. Układała ci włosy. - Sally uśmiechnęła się lekko na to wspomnienie.

- Wyglądałaś pięknie, mamó. Miałaś na sobie bladożółtą suknię. Powiem ci coś zabawnego. Tę samą suknię włożyłam na moją pierwszą Ucztę.

- Ty! - zawołała Sally. - Poszłaś na Ucztę? Ale chyba nie jesteś donorem, Grace? Nie możesz!

- Nie. - Grace pokręciła głową. - Nie jestem donorem, ale miałam na sobie tę samą jasnożółtą suknię, pożyczoną od Darcy. Poszłam na Ucztę i Sidorio próbował zrobić ze mnie swojego donora...

- Czego próbował Sidorio?

Sally wytrzeszczyła oczy. Grace poczuła lęk. Na pewno nie chciała zdenerwować matki, ale nie chciała też niczego przed nią ukrywać. Jeśli Sally będzie zadawać pytania, ona spróbuje odpowiedzieć na nie jak najdokładniej.

- Wszystko w porządku, mamó. Nic się nie stało. Kapitan interweniował. Wszystko dobrze się skończyło.

Postanowiła na razie oszczędzić matce szczegółów opowieści o tym, jak Sidorio dopadł ją w kajucie i jak musiała z nim walczyć, dopóki kapitan nie uratował jej po raz drugi. - Wróćmy do wizji - poprosiła Sally. - Co jeszcze zobaczyłaś?

- Siedziałam tam i widziałam wszystko twoimi oczami - powiedziała Grace. - A potem ja, to znaczy ty, byłaś w tej długiej kajucie pod pokładem. Siedziałas po stronie donorów. Spojrzałaś w bok i zauważyłam Lorcana i Shanti. Shanti mrugnęła do ciebie...

- Shanti - powtórzyła Sally. - Droga, słodka Shanti. Taka dobra przyjaciółka. Chętnie zobaczyłabym ją znowu. Znasz ją? Och, na pewno, przecież ją rozpoznałaś!

I znowu Grace przestraszyła się, że zrani matkę. Jak mogła zdradzić, że jej przyjaciółka nie żyje? Zdecydowała, że na razie to pominie.

- Później porozmawiamy o Shanti.

- Tak, masz rację - zgodziła się Sally. - Wróćmy do twoich wizji, Grace.

- Odwróciłaś się i czekałaś, aż przyjdzie twój partner. Spodziewałam się, że zobaczę tatę, ale zamiast niego naprzeciw ciebie usiadł Sidorio. I powiedział...

Ale zanim Grace dokończyła, Sally dokładnie powtórzyła jego słowa.

- Więc to ty jesteś moim nowym donorem! Zabawna dziecinka z ciebie, co? - Najwyraźniej nigdy nie zapomniała tych słów.

Grace przytaknęła.

- Puściłam twoją rękę, mamó, i wizja się skończyła. Nie byłam jeszcze gotowa, aby zobaczyć więcej. Ale nie potrafię przestać myśleć o tym, co widziałam. Jaki był Sidorio, kiedy go poznałaś? Jak to było, zostać jego donorem?

Sally na moment przymknęła oczy, a Grace zadała sobie pytanie, czy nie jest za słaba, by mówić dalej. Ale wtedy oczy matki otworzyły się, jaśniejsze niż wcześniej.

- Jeśli chcesz poznać prawdę... a może być ona szokująca, zważywszy, co zdarzyło się później... to z początku nawet go lubiłam.

- Lubiałaś Sidorio? - Grace pokręciła głową. Sally się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami.

- Trudno zaprzeczyć... zawsze było w nim coś mrocznego i posępnego. Chyba wiedziałam, że kryje w sobie... - szukała odpowiedniego określenia - ...groźbę przemocy. Ale uważałam, że jest bardzo przystojny. Przypuszczam, że to wszystko wydawało mi się bardzo

romantyczne. Pływałam na statku wampiratów, a on miał zostać moim partnerem. To było jak małżeństwo. - Wzruszyła ramionami. - A przynajmniej tak sobie roiłam w tej głupiej małej główce. - Przerwała. - Jest jeszcze woda w dzbanku? W gardle mi zaschło.

Grace napełniła szklankę i podała matce, nie mogąc się doczekać dalszego ciągu.

- Słyszałam, że Sidorio znał Juliusza Cezara, i sądziłam, że to czyni go niezwykle postacią. Tym bardziej stawał się pociągający. - Zielone oczy Sally migotały w blasku świec. - Och, Grace, jesteś rozważną młodą kobietą. Nie brak ci rozsądku. Ale ja wtedy miałam mnóstwo dziwaczych pomysłów. I muszę przyznać, że kiedy szykowałam się na pierwszą Ucztę, czułam, jakbym szła na randkę.

- Na randkę? - wykrzyknęła Grace. - Z Sidorim? Nigdy nie sądziła, że usłyszysz te dwa słowa tak blisko siebie. Trudno było uwierzyć, że ktoś mógł myśleć o Sidoriu w taki sposób.

- Oczywiście na Uczcie wszystko się posypało. Zająłam miejsce naprzeciwko Sidorio i czekałam, aż zacznie mi zadawać jakieś pytania. Myślałam, że zechce mnie poznać, tak jak ja chciałam poznać jego. Dokoła słyszałam rozmowy innych wampiratów i ich donorów. Ale po kilku słowach powitania Sidorio zachowywał kamienne milczenie. Wydawało się, że w ogóle go nie interesuję. Zrozumiałam wtedy, że jestem dla niego wyłącznie źródłem krwi. Głupie złudzenia! Po Uczcie poszliśmy do mojej kajuty, aby dokonać dzielenia. I właściwie był zaskakująco łagodny i zręczny. Na pewno wziął nie więcej, niż było mu wolno. Potem zasnął. Nie wiem, co słyszałaś o dzieleniu, Grace, ale na ogół donorzy muszą się potem wyspać. I zwykle wampiraci zostają wtedy ze swymi partnerami. Na znak szacunku i wdzięczności za dar. Sally pokręciła głową.

- Tylko że Sidorio ze mną nie został. Ani tej nocy, ani żadnej innej. Z jednym wyjątkiem. - Westchnęła.

- Kiedy się obudziłam, byłam sama. Nigdy jeszcze nie czułam się tak samotna jak wtedy w małej kajucie, na tym dziwnym cichym statku...

Grace poczuła łzy w oczach. Nie chciała wyobrazić sobie matki tak nieszczęśliwej. Wyciągnęła rękę, uściśnęła dłoń Sally i poczuła dotyk jej palców. Znieruchomiała w oczekiwaniu - choć bez entuzjazmu - na kolejną wizję, ale nic się nie wydarzyło. Przypomniała sobie, co mówił Mosh Zu: Sally ma niedokończone sprawy. Może jej historia musi być opowiedana powoli. Zresztą jak na jeden dzień Grace usłyszała już dosyć.

- Tak mi przykro - powiedziała matka. - To musi być dla ciebie trudne. Grace uśmiechnęła się, choć oczy miała wilgotne.

- Dla ciebie to pewnie też nie jest drobnostka.

- Nie jest - zgodziła się Sally. - Ale chcę wyjaśnić ci wszystko, zanim... Po prostu chcę ci wszystko wytłumaczyć. Connorowi także. A właściwie gdzie on się podziewa? Grace nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Wreszcie postanowiła nie ukrywać prawdy.

- Odszedł - powiedziała. - Dziś rano.

- Z mojego powodu? - spytała Sally.

Grace znów się zawahała.

- Częściowo - przyznała. - Przez twoją opowieść o tym, że jesteśmy związani ze światem wampiratów, że zawsze byliśmy. - Spojrzała na matkę ze smutkiem. - Connor tego nie chce.

- Nieważne, czego on chce lub nie chce - odparła Sally. - Nie może uciec przed prawdą.

- Wiem. - Dziewczyna westchnęła. - Ale będzie próbował. Odszedł, by odszukać Li Cheng, dowódcę piratów, i wstąpić do jej załogi.

Sally pokręciła głową.

- Może uciekać tak szybko i tak daleko, jak potrafi, ale prawda w końcu go dopadnie. Zawsze tak jest.

Te groźne słowa były ostatnimi, jakie wymówiła Sally, zanim znowu zapadła w sen. Grace została przy jej łóżku. Wciąż była wstrząśnięta opowieścią, a jednocześnie czuła dziwny spokój. To niezwykle, jaka więź łączyła ją z matką - poprzez ścieżki, które wybierały, statek, na którym pływały, i ludzi, których spotkały. Dzięki temu czuła się mniej samotna. Wreszcie po cichu, żeby nie niepokoić Sally, Grace zsunęła się z łóżka. Poprawiła pled, by ochronić matkę przed chłodnym wieczornym powietrzem. Potem delikatnie musnęła ustami policzek chorej i ruszyła do drzwi.

Rozdział 11

Rozmowa kwalifikacyjna

Connor krążył po stoczni, starając się trzymać instrukcji, jakie dostał przy bramie. Było już późne popołudnie, lecz słońce wciąż grzało mocno, więc krople potu ściekały mu po czole, szyi i ramionach. Zmienił koszulkę po męczącym rejsie, ale już teraz na jego piersi pot wyrysował wilgotną literę V.

Mimo upału wszędzie wrzała praca. Mężczyźni i kobiety kręcili się przy statkach - od tych na wczesnym etapie budowy, podobnych do szkieletu wieloryba w morskim muzeum, po te prawie gotowe, które otrzymywały końcowy szlif lub były malowane. Connor przyjrzał się dwójce skutników wciągających napięty żagiel. Był przyzwyczajony do widoku poszarpanych płacht i takielunku ciężkiego od soli i smoły. Nigdy jeszcze nie widział płótna ani liny tak nieskazitelnych.

Zaczerpnął powietrza... Świeżo cięte drewno. Schnąca farba. Stocznia wydzielala oszałamiające zapachy nowego początku.

Dotarł wreszcie do doku, w którym wysoki, wytworny żaglowiec zdawał się unosić w powietrzu. Connor aż wstrzymał oddech, patrząc na majestat tego statku. Serce zabiło mu mocniej. Coś natychmiast związało go z żaglowcem, jakby żyły i ścięgni chłopaka stały się elementem takielunku, jakby talrepy i szoty były wpięte w jego serce. Miał nadzieję, że pewnego dnia, już niedługo, ten statek zostanie jego domem. Wydawał się skończony, gotów wyrwać się ze skorupy rusztowań. Na jednej z najwyższych platform jakiś człowiek starannie malował złotą farbą nazwę statku. Connor zmrużył oczy, ale słońce świeciło oślepiająco i nie mógł nic odczytać.

- Ależ piękny! - wykrzyknął mocny damski głos. Connor odwrócił się i zobaczył wysoką, elegancką kobietę. Wyglądała jak zjawia cała w bieli - od idealnie czystych tenisówek na drobnych stopach po precyzyjnie ścięte na pazia białe włosy. Connora zaciekawiło, czy są naturalnie białe - bo nie wyglądała staro. Skóra na delikatnie opalonej twarzy wydawała się

napięta jak żagiel wciągany właśnie na maszt. Nadal patrzyła z lekką wyższością, kiedy zwróciła się do Connora, nieco przeciągając sylaby.

- Jacinta Slawter, redaktor naczelna magazynu „Gala flagowa”. - Przeszyła chłopca groźnym spojrzeniem. - A ty jesteś...?

- Connor Tempest - przedstawił się i podał jej rękę.

- Trochę jesteś mokry, Connorze Tempeście - zauważyła, szybko cofnęła dłoń i sięgnęła do torebki po chustkę. - Zresztą mniejsza o to. Ważniejsze jest co innego: gdzie twój sprzęt?

- Mój sprzęt? O co jej chodziło?

- Twój apa-rat. - Jacinta Slawter pocięła słowo na sylaby, jakby chłopak był kompletnym idiotą albo cudzoziemcem nieznającym języka.

- Mój aparat? - Connor patrzył na nią tępo. Choć jej mina się nie zmieniła, Jacinta Slawter wyraźnie traciła cierpliwość.

- Słuchaj no, Connorze Tempero, czy jak tam się nazywasz! Przygotowuję reportaż o Cheng Li i jej statku. Materiał ma być na wyłączność, do sierpniowego numeru. Przypuszczam więc, że jesteś tutaj, aby zrobić zdjęcia do siedmiu kolejnych rozkładówek.

- Akcentowała każdą sylabę. - A to skłania mnie do zapytania ponownie, gdzie masz aparat!

Connor z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie jestem fotografem - wyjaśnił. - Jestem starym znajomym Cheng Li. - Znajomym? - Ton Jacinty zmienił się błyskawicznie. Dziennikarka wyjęła zza ucha mały złoty ołówek, a z torebki notatnik. - Czy zechcesz mi opowiedzieć o jakimś szczególnym zdarzeniu albo udzielić gazecie komentarza?

- Może później... Connor wskazał dziób statku, gdzie z rękami wspartymi na biodrach stała Cheng Li. Przypominała drapieżnego ptaka, który obserwuje świat w dole.

- Connor! - zawołała. - Co za miła niespodzianka! I panna Slawter! Jesteście! Może wejdziecie na górę?

Na moment zniknęła. Connor pobiegł za Jacintą, która ruszyła w stronę trapu. Gdy wszedł na pomost, poczuł zawrót głowy, ale uspokoił oddech. Nie miał zamiaru okazywać słabości, zwłaszcza przed Jacintą Slawter. Cheng Li patrzyła na niego, a to kazało mu zachować zimną krew.

- Witam na pokładzie. - Cheng Li wyciągnęła rękę, by pomóc Jacincie zejść na pokład.

- Dziękuję, pani kapitan.

- Och, dopiero za kilka dni będę kapitanem...

Connor widział, że Cheng Li promienieje dumą. Była bardzo podekscytowana.

- Świetny statek! - stwierdził. - Prawda? Zastanawiał się, czy powinien ją objąć, ale nim podjął decyzję, Jacinta Slawter znów zaczęła mówić:

- Pani Li, strasznie mi przykro, ale nastąpiło chyba jakieś nieporozumienie z moim fotografem. Na pewno da się to wyjaśnić...

- Hej, Slawter! - zawołał jakiś głos z góry. - Ustaw się! Wszyscy spojrzeli na bocianie gniazdo. Aparat pstryknął kilka razy w szybkim tempie.

- Sssudownie! - zawołał głos.

- Fabrizio? Skahbie, to ty? - zawołała Jacinta Slawter, arystokratycznie gubiąc „r”.

- We własnej niepowtarzalnej osobie! - zawołał fotograf, muskularny mężczyzna z długimi czarnymi włosami ściągniętymi w kucyk. Zwinnie zsunął się po linach. Z jego opalonych ramion zwisało kilka aparatów fotograficznych. - Czemu tak późno? - spytał, zeskakując na pokład. - Już prawie skończyłem.

- Nie byłam pewna, kogo przyślą... Myślałam, że jesteśmy umówieni na trzecią... Ale nie uciekaj jeszcze, skahbie. Chcę, żebyś pstryknął parę fotek mnie z kapi... z panią Li. Och, i może z tym młodym człowiekiem, Connorem Kompostem. Są chyba dobrymi przyjaciółmi - szepnęła na zakończenie.

- Sssudownie! - zawołał Włoch. Nie tracąc czasu, Fabrizio zrobił kilka zdjęć Cheng Li i Connorowi.

- No więc... - odezwała się Cheng - kto ma ochotę na małą wycieczkę?

- Naprzód! - rzuciła Jacinta Slawter, zdobywając się na odrobinę entuzjazmu.

Idąc za Cheng Li wraz z Jacintą i Fabriziem, Connor na każdym kroku wpadał w zachwyt. Statek był naprawdę arcydziełem skutniczego rzemiosła. Cheng Li naturalnie pomagała przy projektowaniu jednostki. Wskazując teraz pewne cechy konstrukcji, mówiła z absolutną pewnością siebie o tym, dlaczego podjęto niektóre decyzje i w jaki sposób statek łączy tradycję oraz najnowocześniejsze rozwiązania. Jacinta Slawter z miną eksperta kiwała głową i notowała jak szalona, a Fabrizio zaglądał we wszystkie zakamarki i fotografował. Connor był pełen szacunku. Z każdym kolejnym spotkaniem bardziej podziwiał Cheng Li.

- Proszę wybaczyć pytanie - odezwała się Jacinta, zatrzymując złoty ołówek nad notesem - ale jestem je winna czytelnikom „Gali flagowej”. Z pewnością znajdą się wśród piratów tacy, którzy uznają, że jest pani zbyt młoda, by zostać kapitanem. Co mogłaby im pani odpowiedzieć?

Zanim jednak Cheng Li zdążyła otworzyć usta, Connor pospieszył z pomocą.

- Cheng Li jest młoda - oświadczył. - Ale czego ona nie wie o piractwie, tego wiedzieć nie warto!

- Dziękuję ci, Connor. - Cheng Li z uśmiechem skinęła głową. Zwróciła się do panny Slawter. - Jeśli stara gwardia ma problem z moim wiekiem, nie ucieszy jej również skład załogi. Ważne stanowiska obejmie kilkoro bardzo młodych ludzi. Niektórzy wyżej cenią wiek i doświadczenie niż energię i świeżość spojrzenia. Ja wierzę, że należy zachować proporcje. I takim właśnie statkiem chcę dowodzić. Czy jestem wizjonerką? Czas pokaże.

- Wspaniale, skahbie! - westchnęła Jacinta, notując pilnie. - Oczywiście mogę to zacytować?

Cheng Li przytaknęła i mrugnęła porozumiewawczo do Connora. W odpowiedzi posłał jej uśmiech. Słowa pani kapitan o zaletach młodości wydały mu się dobrą wróżbą.

- A to... - Cheng Li otworzyła proste eleganckie drzwi - jest kajuta kapitańska. Jacinta Slawter klasnęła.

- Piękna! Wspaniała, pani Li!

- Sssudowna! - zgodził się Fabrizio. Bez wahania rzucił się na podłogę i zrobił zdjęcie z tej nietypowej perspektywy.

- No, no... - mruknął Connor, gdy zauważył duże okna. Światło padało przez firanki na jasne deski podłogi.

- Atrakcyjne wnętrze - mruzczała Jacinta Slawter.

- Pięknie zaprojektowane... umeblowane z prostotą i wytwornością...

O takiej kajucie Connor zawsze marzył. Jak na kapitańską, wydawała się raczej skromna, choć była wyraźnie większa od kajut oficerów - musiała przecież zmieścić duży stół i krzesła oraz regały z książkami. Na półkach stały chyba wszystkie opracowania poświęcone historii piractwa, jakie kiedykolwiek napisano.

Pomieszczenie zdecydowanie różniło się od kajuty Molucca Wrathe'a - ogromnej świątyni nienasyconego kapitańskiego apetytu na skarby i luksusy. Tutaj wszystko urządzone było rozsądnie i praktycznie.

Na ścianie nad biurkiem wisiał portret atletycznego pirata.

- Chang Ko Li - stwierdziła Jacinta Slawter. - Chyba nie widziałam jeszcze tego obrazu.

Fascynujący styl malarski, choć może nieco naiwny. Kto jest twórcą?

- Ja - odparła Cheng Li. - Namalowałam ten portret, kiedy miałam dziewięć lat.

- Jak uroczo... Fabrizio, musimy zrobić kilka zdjęć przed tym obrazem. Tylko Cheng Li i jej ojciec! Skromnie i elegancko!

- Sssudownie! - Fabrizio pokiwał głową, pstrykając kolejne zdjęcia.

- I na tym skończymy - oświadczyła Jacinta. - Czy mogę wam zaproponować coś do picia? Jacinta zerknęła na platynowy zegarek.

- Obawiam się, że nie. O wpół do ósmej spotykam się na koktajlu z Johnem Kuo, więc muszę wpaść do domu i zmienić ubranie. Wierni czytelnicy „Gali flagowej” byliby wstrząśnięci, gdyby dwa razy zobaczyli mnie w tym samym kostiumie. Cheng Li skinęła głową.

- W takim razie dziękuję, że zechcieliście mnie odwiedzić.

- Nie, to ja dziękuję. To będzie sensacyjny materiał. - Dziennikarka ucisnęła dłoń Cheng Li, a potem rzuciła Connorowi coś zbliżonego do uśmiechu.

- Miło było cię poznać - powiedziała. Connor z uśmiechem wyciągnął rękę. Jacinta Slawter spojrzała na nią, zadrżała lekko i odwróciła się, wsuwając dłoń pod jeden z potężnych bicepsów Fabrizia.

- Chodźmy, skahbie! Odprowadzisz mnie. Nie mogę się doczekać najnowszych ploteczek. Pani redaktor oraz jej ekscentryczny fotograf opuścili kapitańską kajutę.

Cheng Li odczekała, aż w korytarzu ucichnie odgłos kroków.

- No, to nie było aż tak straszne - westchnęła z ulgą. Uśmiechnęła się do Connora i wskazała mu krzesło. Potem nacisnęła jakiś guzik. Fragment ściany odsunął się i ukazał niewielki, ale dobrze zaopatrzony barek. Cheng Li pokręciła głową.

- Dla mnie to przesada, ale dekorator się uparł. Napijesz się czegoś?

- Wody, jeśli można.

- Tylko wody? Przecież trzeba wnieść toast za wizytę dawnego towarzysza.

Connor uśmiechnął się, słysząc te słowa.

- Woda wystarczy - zapewnił ją. - Zresztą... miałem nadzieję na nieco inny toast.

- Doprawdy? - Jedna z brwi Cheng Li się uniosła.

- W takim razie proszę...

Dziewczyna nalala wody do dwóch szklanek i podała mu jedną z nich. Connor uniósł naczynie.

- Za nowych kapitanów, nowe początki i... - Wypuścił powietrze. - Za dawnych towarzyszy, którzy znów są razem.

Uważnie obserwował jej reakcję. Serce biło mu mocno pod mokrą od potu koszulką. - Ładny toast. - Cheng Li podniosła szklankę.

Connor zauważył, że dłonie mu drżą. Wylał niechcący trochę wody na blat.

- Przepraszam... - Wyciągnął rękę, żeby wytrzeć mokre miejsce. - Nic się nie stało. - Cheng Li już trzymała ściereczkę. - Coś takiego... Connor Tempest nerwowo?

- Starła rozlaną wodę. - Można by pomyśleć, że to spotkanie jest dla ciebie sprawą życia i śmierci.

- W pewnym sensie jest. - Wiedział, że nie zdobędzie się na nonszalancję, więc postanowił postawić na szcerość. - Przecież wiesz, po co przyjechałem - rzekł. - Kiedy widzieliśmy się ostatnio, obiecałaś, że jeśli porozmawiam z kapitanem Wrathe'em i mój kontrakt zostanie rozwiązany, rozważysz przyjęcie mnie do załogi.

Cheng Li odstawiła szklankę i przyjrzała mu się z uwagą.

- Czyli rozmawiałeś z kapitanem Wrathe'em?

- Tak. Powiedziałem mu, co czuję... Że powinienem opuścić statek. I że chcę wstąpić do twojej załogi. Migdałowe oczy Cheng Li otworzyły się szeroko.

- Pewnie oszalał z zachwyty.

- Coś w tym rodzaju. - Connor uśmiechnął się.

- Uznał, że to ty mnie nakłoniłaś do zdrady, ale powiedziałem wyraźnie, że to samodzielnie podjęta decyzja.

Cheng Li milczała, co wskazywało, że zyskał jej uwagę - a zapewne również szacunek.

- W każdym razie, żeby nie przeciągać... zwolnił mnie z umowy. I dlatego tu jestem. Chcę cię prosić o przyjęcie do załogi.

Zakończył przemowę i przyjrzał się wielkiemu portretowi. Jak ten styl malarski określiła Jacinta Slawter? Naiwny? Connor podejrzewał, że nie było to pochlebne określenie. Ale według niego Chang Ko Li wyglądał imponująco. Zdumiewające, że Cheng Li miała zaledwie dziewięć lat, kiedy go malowała. Sławny kapitan piratów zdawał się na niego patrzeć. Miał srogą, ale i trochę rozbawioną minę.

Chłopak zerknął na Cheng Li. Odkrył, że ona także się uśmiecha.

- Będę zachwycona, jeśli dołączysz do załogi - odezwała się. - Jesteś przyjęty. Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Nie wyobrażał sobie, że pójdzie tak łatwo.

- To świetnie! - oświadczył. - Będziesz ze mnie dumna, obiecuję.

- Jestem pewna, Connorze. Szkoda jednak, że przedstawiłeś mi skróconą wersję spotkania z Wrathe'em. Według moich źródeł spalił kontrakt przy tobie i o mały włos sam się nie podpalił, ze Scrimshawem na dodatek!

- Wiedziałaś! - zdumiał się chłopak. Oczywiście, że wiedziała. Miała przecież oczy z tyłu głowy i swoich informatorów.

- No cóż, skoro należysz do załogi, zapewne będziesz chciał poznać towarzyszy? Z niektórymi umówiłam się na wieczór u Mamy Kettle. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, a potem możemy pójść tam razem.

Connor kiwnął głową.

- Bardzo chętnie. Miał wrażenie, jakby po raz drugi otwierały się przed nim drzwi do pirackiego świata. Teraz czuł się jednak lepiej niż poprzednio. Dokonał przecież świadomego wyboru. Może i miał kiedyś wątpliwości co do Cheng Li, ale to już przeszłość. Dziewczyna będzie znakomitym kapitanem i świetnym nauczycielem.

- Może obejrzysz jeszcze raz statek, kiedy ja zajmę się papierami? - zaproponowała Cheng Li, wkładając małe okulary. - Do czytania drobnego druku - wyjaśniła, widząc jego zdziwioną minę. - A teraz ruszaj. Wybierz sobie kajutę. Connor wstał, ale jeszcze nie wychodził.

- Wiem, którą chciałbym dostać. Cheng Li spojrzała na niego zza okularów zsuniętych na czubek smukłego nosa.

- Słucham.

- Tę dla pierwszego oficera - oświadczył.

Wiedział, że mierzy wysoko, ale tego dnia los był dla niego łaskawy. Czemu nie poprosić o jeszcze jeden podarunek?

Cheng Li zdjęła okulary, cały czas się w niego wpatrując.

- Obawiam się, Connorze, że stanowisko mojego zastępcy jest już obsadzone. Czuł, jak rumieniec oblewa mu twarz.

- Wiedziałem - mruknął. - Powinienem być wrócić szybciej.

- Nie - odparła spokojnie, ale stanowczo. - W tym wypadku nie chodziło o czas. Jesteś dobrym piratem, Connorze. Uczysz się szybko i potrafisz grać zespołowo. Nikt nie wątpi w twoją odwagę ani umiejętności szermiercze. Ale ten talent wymaga oszlifowania, a ty sam nie masz doświadczenia. Bez wątpienia czeka cię oszałamiająca kariera, jednak dużo musisz się jeszcze nauczyć.

Wiedząc, jak ostra potrafi być Cheng Li - ostra jak klingi jej katan - Connor uznał, że pani kapitan starannie dobiera słowa. Nie mógł też nie zgodzić się z jej opinią. Realistycznie oceniła jego możliwości. Nie twierdziła, że nigdy nie dostanie tego stanowiska, powiedziała jedynie, że jest jeszcze za wcześnie. A zatem obiecał sobie w duchu uczyć się jak najpilniej od niej i od tego, kogo wybrała na swojego zastępcę.

- Rozczarowany? - spytała.

- Tak. - Connor nie chciał tego ukrywać. - Ale przyjmuję twoje argumenty. I wiedz, że w stu procentach będę wspierał ciebie i twojego pierwszego oficera. Chętnie go poznam... A może ją? Będzie w tawernie?

Cheng Li znowu się uśmiechnęła.

- Już się znacie. Prawdę mówiąc, poznaliście się całkiem dobrze. - Przerwała na chwilę, nim podjęła:

- Connorze, moim pierwszym oficerem jest Jacoby Blunt.

Rozdział 12

Kiedy Dexter poznał Sally

Był rześki poranek i Grace spoglądała na zbocze góry. Wstała ponad godzinę temu. Zapowiadał się piękny dzień, słońce świeciło mocno na czystym niebie. Daleko w dole migotał ocean, jakby ktoś wrzucił cekiny do turkusowej sadzawki. To podsunęło jej pewien pomysł. Postanowiła nie marnować ani chwili i ruszyła szybko z powrotem do kompleksu, kierując się do kwatery mistrza.

Nie wiedziała, czy Mosh Zu w ogóle sypia. Jako jedyny z wampiratów wydawał się pracować dzień i noc. Być może z powodu skomplikowanej sytuacji w Sanktuarium - stanu rozplywających się dusz, w tym duszy jej matki. Tak czy inaczej, doskonale kontrolował energię własnego ciała, a więc zapewne potrzebował niewiele snu.

Zapukała lekko w drzwi komnaty medytacji. Na tyle głośno, aby zwrócić uwagę guru, gdyby nie spał, i dość cicho, aby mu nie przeszkodzić, gdyby odpoczywał. Z radością usłyszała okrzyk:

- Wejść! Kiedy znalazła się w środku, skinął głową i uśmiechnął się ciepło.

- Witaj, Grace. Jak się dziś czujesz?

- Bardzo dobrze - odparła. - Jest piękny poranek. Słońce świeci tak mocno! A widok z góry jest niesamowity!

Mosh Zu uśmiechnął się znowu, uprzejmie słuchając jej opowieści.

- Zastanawiam się... - rzekła Grace. - Na dworze jest tak pięknie. Myślisz, że mogłabym zabrać matkę na zewnątrz?

Mosh Zu zastanawiał się chwilę, a potem kiwnął głową.

- Tak, myślę, że to świetny pomysł. Sally na pewno poczuje się lepiej, gdy znów poczuje na twarzy promienie słońca.

Grace była podekscytowana.

- Tak się cieszę. Pomyślałam, że najpierw cię zapytam... bardzo mi zależy, żeby pokazać Sally ogrody i całą resztę. - Stała już w drzwiach, by nie tracić cennego czasu, gdy nagle przez głowę przemknęła jej posępna myśl. Krucha radość w jednej chwili uleciała. Mosh Zu zauważył, że posmutniała, i szybko podszedł do dziewczyny.

- Myślisz o naszych wcześniejszych rozmowach... Kiwnęła głową. Chociaż bardzo starała się stłumić to uczucie, nie mogła zapomnieć o okrutnej prawdzie: że ona i matka żyją w pożyczonym czasie. Mosh Zu spojrzał jej w oczy.

- Grace, mam dla ciebie tylko jedną radę. Spróbuj traktować chwile spędzone z matką jako dar. - Przerwał i uśmiechnął się znowu. - Dar nie tylko dla ciebie, ale i dla niej. Grace westchnęła. Miał rację.

Szła ze smutkiem do pokoju Sally, jednak z każdym krokiem było jej lżej na sercu.

- Mamo, to ja! - zawołała, pukając do drzwi. - Mogę wejść?

- Oczywiście, Grace.

Głos był słaby, ale wesoły. Dziewczyna otworzyła drzwi.

Sally siedziała na łóżku, wsparta o stos poduszek. Coś w jej zachowaniu wskazywało, że nie jest sama. Grace odwróciła się i zobaczyła siedzącego na krześle Lorcana.

- Dzień dobry - powiedział. Nie potrafiła ukryć zaskoczenia. To, że nie spał o tej porze, było czymś naprawdę niezwykłym. Miała wrażenie, że przerwała ważną rozmowę.

- Co tu robisz? - usłyszała własny głos. Uśmiechnął się, a w błękitnych oczach błysnęły iskierki.

- Nadrabiam długie lata rozstania ze starą i drogą przyjaciółką.

- Nie taką starą, jeśli można! - upomniała go Sally i też się uśmiechnęła. - Gdybym miała dość sił, przyłożyłabym ci jedną z tych poduszek. Ale nie czuj się bezpiecznie. Przybyły moje posiłki, Z uśmiechem spojrzała na Grace. - Prawda, kochanie?

- Oczywiście.

Grace usiadła na łóżku, uszczęśliwiona dobrym nastrojem matki. Znowu zwróciła się do Lorcana.

- A ty... lepiej zachowuj się, jak należy.

- No dobrze. Wygrałaś! - powiedział, wyjął z kieszeni białą chustkę i pomachał nią w geście kapitulacji.

Grace parsknęła śmiechem. Początkowe zakłopotanie zniknęło bez śladu. Cieszyła się towarzystwem Lorcana i Sally. Ogarnęło ją uczucie harmonii, której od dawna nie doświadczała.

- Spójrzcie tylko na siebie - rzekł Lorcan. - Idealne podobieństwo. Włosy, oczy, te same piegi... Tak samo marszczycie nos przy uśmiechu. Jesteście jak dwie krople wody.

- Rzeczywiście - zgodziła się Sally i odwróciła Grace twarzą do siebie. - Kiedy na ciebie patrzę, kochanie, czuję się, jakbym miała przed sobą lustro. Widzę siebie w twoim wieku. - Westchnęła. - Tak bardzo bym chciała, żebyś była szczęśliwa, bezpieczna i żeby ktoś się o ciebie troszczył. Po tym, gdy ja... Kiedy ja... - Nie potrafiła dokończyć zdania. Lorcan wstał i podszedł do łóżka. Objął ramionami matkę i córkę.

- Grace nie zostanie bez opieki, Sally. Już nigdy. Nie martw się. - Potem ucałował w czoło najpierw matkę, a potem córkę. Delikatnie uwolnił się z ich objęć i podszedł do drzwi. - Lepiej już pójdę - powiedział. - Od dziesięciu minut powinienem być u mistrza. A poza tym należy wam się trochę intymności.

- Owszem. - Sally kiwnęła głową.

- Zobaczymy się później - obiecał i wyszedł z uśmiechem.

Kiedy zamknął drzwi, Grace zwróciła się do Sally.

- Pomyślałam, że mogłybyśmy wyjść do ogrodów, mamó. Jest piękny, słoneczny dzień. Masz ochotę?

- Jasne - odparła. - Z wielką chęcią. Najwyraźniej sama perspektywa przechadzki dodała jej energii. Sally zsunęła nogi na podłogę. Grace patrzyła, jak wsuwa buty i okrywa się kardiganem. Miał wyszyte delikatnym haftem bładoniebieskie muszle i korale na białym tle oraz małe guziczki z masy perłowej.

- Jest śliczny! - zawołała Grace. - Skąd go masz?

- A jak ci się zdaje?

Ze śmiechem obie zawołały razem:

- Darcy!

- Cudownie być tutaj razem z tobą - powiedziała Sally, gdy przeszły przez dziedziniec. Patrzyła na widok za bramą.

- Czuję to samo - stwierdziła Grace. Miała w sobie spokój, kiedy tak szła ręka w rękę z matką. - Nie jesteś zmęczona? Może chciałabyś usiąść na chwilę? Sally przytaknęła.

- Znam idealne miejsce. Delikatnie poprowadziła matkę w stronę fontanny, na jedną z ławeczek.

- Jak tu pięknie! - zawołała Sally.

- Cieszę się, że ci się podoba. To moje ulubione miejsce w Sanktuarium. Tutaj przychodzę rozmyślać. Bardzo spokojne, prawda?

- Tak, istotnie - przytaknęła Sally. - I jest cień.

- Usiadła i przeciągnęła się leniwie, po czym zmarszczyła nos. - Czy to zapach lawendy?

- Tak. Tam są grządki z ziołami, widzisz? Stamtąd Mosh Zu bierze zioła, których potem używa do leczenia.

- O, tak - odparła Sally, wdychając powietrze.

- Czuję trawę cytrynową, rozmaryn, kardamon i kurkumę. Jak ładnie pachną!

- Rzeczywiście. - Grace się rozpromieniła. Była uradowana, że ogród tak działa na Sally. Miała nadzieję, że chwila jest odpowiednia, by matka kontynuowała opowieść. - Czujesz się na siłach, żeby mówić dalej? - zapytała. - O tym, co się działo na Nokturnie?

- Tak - potwierdziła Sally. - Tak myślę. Na czym skończyłyśmy?

Grace westchnęła.

- Mówiłaś, że byłaś donorem Sidoria. I że nie spełnił twoich oczekiwań.

- A, tak - odparła. Wyciągnęła rękę i ułamała łądkę lawendy. Skręcając ją w dłoniach, ciągnęła opowieść. - Wkrótce przyzwyczaiłam się do Sidoria. Zrozumiałam, że chce ode mnie tylko krwi. Gdy początkowe rozczarowanie minęło, byłam zadowolona, że mogę mu ją dawać. - Wzruszyła ramionami. - To, że prawie w ogóle się mną nie interesował, oznaczało pewną swobodę działania. Tylko z rzadka, w ciemności i w bezruchu, po dzieleniu się krwią, kiedy czułam się słaba, pragnęłam, żeby przy mnie był. Tylko wtedy cierpiałam. Spojrzała na Grace.

- Sidorio był bardzo stanowczy i dumny. Inni wampiraci, na przykład Lorcan, uważali donorów za równych sobie. Sidorio nie. A przynajmniej tak wtedy sądziłam. - Zawahała się i przez chwilę patrzyła na fontannę. Jej uwagę zwrócił zwiewny biały motyl lecący nad wodą. Kiedy znów zaczęła mówić, głos Sally brzmiał inaczej. - Moje życie na statku było wygodne. Zawarłam umowę i dostawałam godziwą zapłatę za cotygodniową ofiarę krwi. Wiodłam naprawdę łatwy i wesoły żywot. Tamci zawsze troszczyli się o nas, donorów. No i jedzenie! Te porcje, w porównaniu z posiłkami w domu... W każdym razie jadłam tak dużo, że wkrótce zaczęłam przybierać na wadze. Musiałam zapanować nad tym i zacząć ćwiczyć.

- Ćwiczyć? - zdziwiła się Grace. - Na Nokturnie?

Sam pomysł wydał jej się osobliwy.

- Co w tym dziwnego? - zapytała Sally. - Zaprzyjaźniłam się z innymi donorami, zwłaszcza z dwiema osobami... Jedna z nich pojawiła się w twojej wizji. To była Shanti, pamiętasz?

- Tak. - Grace kiwnęła głową.

- Piękna dziewczyna. I bardzo wesoła, prawda?

Kiedy poprzednio matka wspomniała o Shanti, Grace ukryła prawdę, ale nie mogła dłużej kłamać. Sally dostrzegła smutek w oczach córki.

- Co się stało? - spytała. - Grace, o co chodzi? Powiedz! - Obawiam się, że mam smutne wieści - rzekła Grace i lekko ścisnęła dłoń matki. - Niestety, Shanti nie żyje. Bardzo mi przykro.

- Och, nie! - Sally przycisnęła dłoń do piersi i zamknęła na chwilę oczy. Kiedy znów je otworzyła, dostrzegła w oczach córki niepokój. - W porządku, Grace, naprawdę. Oczywiście to dla mnie straszny cios, Shanti była moją przyjaciółką, ale nie chcę, żebyś cokolwiek ukrywała. Powiedz, proszę, co się z nią stało. Grace nabrała tchu.

- Shanti została zabita przez swojego partnera.

- Lorcana? - wykrzyknęła zdumiona Sally.

- Ależ nie - zaprzeczyła Grace. - Oczywiście, że nie. Lorcan nigdy by tego nie zrobił.

- Nie rozumiem. Przecież to on był jej partnerem.

- Tak. Ale Lorcan stracił wzrok i musieliśmy sprowadzić go tutaj na leczenie. Shanti przyjechała z nami, lecz nie znosiła tego miejsca. Kapitan zgodził się zabrać ją z powrotem na Nokturn i znaleźć dla niej innego wampirata.

- To nie takie łatwe... Grace nadstawiła uszu. Czyżby matka próbowała coś powiedzieć? Sally zaczęła życie na Nokturnie jako donor Sidorii. Ale czy zmieniła partnera, kiedy inny wampirat zjawił się na pokładzie? Czy sugerowała, że jednak została potem donorem Dextera? Że on także był wampirem?

Pytanie miała już na końcu języka, ale nie potrafiła go zadać. Matka odezwała się znowu.

- To były błogie, niewinne chwile. Shanti, Teresa i ja codziennie ćwiczyłyśmy na pokładzie. Chichotałyśmy bez przerwy. Naprawdę. Zupełnie jak na statku wycieczkowym. Całymi dniami przesiadywałyśmy na pokładzie, wolne od trosk. Jeden z donorów... miał na imię Oskar... okazał się wspaniałym muzykiem. Często grywał nam na gitarze. Przepięknie!

Opalałyśmy się każdego popołudnia. - Sally spojrzała na Grace, oczy jej błysnęły. - W takie właśnie popołudnie poznałam Dextera.

Serce Grace zamarło na moment, gdy usłyszała imię ojca. Całkiem jakby matka czytała jej w myślach.

- Chciałabym o tym usłyszeć - poprosiła.

- Och, kochanie, obawiam się, że przechadzka i świeże powietrze trochę mnie zmęczyły. Muszę odpocząć, zanim wrócę do opowieści. To miejsce cudownie się do tego nadaje...

Grace nie potrafiła ukryć rozczarowania. Sally objęła ją w talii i ujęła dłoń córki.

- Poza tym czemu miałabyś słuchać? - zapytała. - Przecież możesz sama zobaczyć. Ścisnęła dłoń dziewczyny i zamknęła oczy. Kiedy matka zasnęła z głową wspartą na jej ramieniu, Grace się uśmiechnęła. Ujrzała Nokturn w słoneczne popołudnie. Pokład był zatłoczony. Grace widziała wszystko oczami matki, która miała na sobie staroświecki kostium kąpielowy, siedziała na ręczniku i smarowała się kremem z filtrem. Naprzeciwko niej Shanti robiła to samo i coś mówiła. W pobliżu siedziała też trzecia dziewczyna, zapewne Teresa. Pośrodku koca znajdowała się taca pełna owoców. Błyszczały jak klejnoty w popołudniowym słońcu: świeże figi, soczyste jasne brzoskwinie i lodowato zimne cząstki arbuza. Wyglądały bardzo apetycznie.

Grace słyszała dźwięki gitary, o której wspomniała Sally. Spojrzała przez ramię Shanti i ujrzała młodego człowieka opartego o maszt i trącającego struny. Pochwycił jej spojrzenie i się uśmiechnął. Jak on miał na imię? Ach tak, Oskar.

Nagle poczuła czyjąś dłoń na ramieniu. Z początku sądziła, że coś wrywa ją z wizji, ale było na odwrót - coś wciągało ją w głąb obrazu. Teraz naprawdę przeistoczyła się w Sally. Na ramieniu miała dłoń Shanti. Słyszała jej charakterystyczny głos.

- Róbcie, co mówię, dziewczęta. Pomyślcie życzenie! Ale najpierw musicie zamknąć oczy, bo inaczej się nie spełni!

Grace na chwilę zamknęła oczy. Wszystko pociemniało. Znowu poczuła dłoń Shanti i usłyszała jej podniecony okrzyk.

- Otwórz oczy, Sally! Otwórz oczy! Twoje życzenie chyba właśnie się spełniło! Zobaczyła, że Shanti i Teresa prowadzą ją w stronę burty.

- Patrz! - krzyknęły jednocześnie, wskazując coś nad relingiem. Na brzegu, na ręczniku w biało-czerwone paski, siedział Dexter Tempest.

Grace poczuła, jak bije jej serce. Ojciec wydawał się taki przystojny. Miał przy sobie piknikowy kosz i jadł coś... Brzoskwinie. Nie, jabłko! Przypadkiem spojrzał jej w oczy, znieruchomiał, a potem pomachał ręką. Grace poczuła dreszcz, ale był to dreszcz radości, gdyż w tej właśnie chwili ojciec po raz pierwszy zobaczył jej matkę. Odkryła, że nadal stoi z dziewczętami przy burcie.

- Zrób to! - rzuciła Shanti. - No dalej, Sally. Sally się odwróciła. Deski pokładu parzyły jej bosc stopy.

- Ale to wbrew regułom!

- Zrób to! - powtórzyła Shanti.

Nagle Sally skoczyła z burty statku i zanurzyła się w cudownie chłodnym, przejrzystym oceanie. Kiedy wypłynęła na powierzchnię, odgarnęła kosmyki włosów. Zobaczyła statek i roześmiane dziewczęta. Potem odwróciła się w wodzie i spojrzała na skałę, gdzie siedział Dexter. Wciąż leżał tam czerwono-biały ręcznik, ale mężczyzny już nie było. Zmarszczyła brwi. I wtedy dostrzegła... że Dexter płynie w jej stronę, odgarniając wodę mocnymi pociągnięciami rąk. Uśmiechnęła się i ruszyła mu naprzeciw. Spotkali się w połowie drogi.

- Witaj - powiedział z uśmiechem. - Jestem Dexter. Dexter Tempest.

- A ja Sally - odparła.

- To twój statek?

- Pływam na nim - odparła, pomijając niewygodne szczegóły.

- Wspaniale. Ja też podróżuję. Jestem latarnikiem w małym miasteczku, Zatoce Księżycowej. Naszła mnie chęć, aby wyjechać. Po prostu musiałem zobaczyć kawałek świata.

- Wiem, o czym mówisz. Miałam tak samo.

Dexter uśmiechnął się, zaglądając jej głęboko w oczy.

- Może ogarnęło nas to samo uczucie, żebyśmy oboje przybyli tutaj, w to miejsce, właśnie w tej chwili. I znaleźli siebie nawzajem...

Były to śmiałe słowa. Z początku Sally pomyślała, że powinna się uśmiechnąć i odpłynąć. Ale w Dexterze było coś niezwykłego, jakaś uczciwość i otwartość. Dlatego została. Jego słowa nabierały sensu. Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Chodźmy! - rzucił. - Chodźmy, śliczna Sally! Popłyniemy do mojej skały i zjemy razem obiad.

Dopłynęli do lądu, osuszyli się po pływaniu, a potem Dexter zaczął rozwijać paczuski z jedzeniem. Sally była zbyt podekscytowana, by dużo jeść. Czuła radość, ale miała też złe przeczucia.

Dexter sięgnął po lornetkę i spojrzał na statek.

- Bardzo piękny galion - powiedział, opuszczając szkła. Sally znieruchomiała.

- Ale ta figura ma dziwny wyraz twarzy - mówił dalej. - Jakby patrzyła na nas groźnie! A chyba większość galionów ma namalowany uśmiech?

- Tak. - Sally kiwnęła głową, a serce zaczęło jej bić jak oszalałe. - Ale to nie jest zwyczajny galion ani zwyczajny statek. - Poderwała się nagle, spłoszona.

- Nie powinnam tu być. Muszę wracać.

- Zaczekaj! - rzucił, ale ona wskoczyła już do wody i popłynęła w stronę Nokturnu.

Usłyszała za sobą plusk i wiedziała, że Dexter ją goni. Miała łzy w oczach.

- Nie płyn za mną! - krzyknęła.

Ale on nie posłuchał i wkrótce ją doścignął. Miała nadzieję, że nie zauważył łez.

Dopłynął wraz z nią do statku.

- Nie możesz wejść na górę - powiedziała, sięgając po drabinkę. - Chciałabym, żebyś mógł, ale to niemożliwe. Miałabym wielkie kłopoty. Straszne kłopoty...

- Wszystko w porządku - przerwał jej. - Nie chcę cię wpędzić w tarapaty. Ale musimy znów się zobaczyć, śliczna Sally. Po prostu musimy. Stała już obiema stopami na drabince. Pokręciła głową.

- Nie możemy. Już ci mówiłam. To nie jest zwyczajny statek.

- Racja - zgodził się. - To niezwykle statek. Przyniósł mi bardzo niezwykłą ciębie. Znów poczuła radość i smutek. Zaczęła się wspinać.

- Przykro mi - powiedziała. - Już się nie zobaczymy, Dexterze. Musisz o mnie zapomnieć.

- Zapomnieć o tobie? - zawołał. - To niemożliwe! Będę ścigał ten statek, zrobię wszystko, żeby cię znowu ujrzeć.

Wizja się zamgliła. Grace otworzyła oczy... Znowu siedziała na ławeczce w ogrodach Sanktuarium, a serce mocno jej biło. Jakie to niezwykle - przeżyć pierwsze spotkanie rodziców!

Spojrzała na Sally, która także otworzyła oczy.

- Widziałas wszystko? - spytała. Dziewczyna skinęła głową.

- Tak - odparła. - Aż do chwili, kiedy wróciłaś na statek. Nie mogę się doczekać tego, co było potem. Znalazł cię...

Sally się uśmiechnęła.

- To całkiem inna historia. Wszystko w swoim czasie. - Chciałabym, żeby był tu Connor. Chciałabym, żeby mógł to wszystko usłyszeć i zobaczyć.

- Sama mu opowiesz - powiedziała Sally i cień pojawił się w jej oczach. - Kiedy będzie gotów cię wysłuchać.

Rozdział 13

Towarzysze

- Hej, Connor! - Jacoby! - Connor wyciągnął rękę. - Gratuluję nominacji na pierwszego oficera. - Dzięki, stary. - Jacoby wyszczerzył zęby. - Strasznie się cieszę, że trafiłeś do załogi. To najlepsze wieści, jakie mieliśmy w tym tygodniu. Prawda, Min? Jasmine Peacock przytaknęła. - Miło będzie z tobą pracować, Connor.

Objęła go lekko. A kiedy przez króciutką chwilę trzymał ją w ramionach i czuł delikatny, kokosowy aromat jej włosów, uznał, że to wystarczająca nagroda za wielkoduszność okazaną Jacoby'emu.

- Tutaj jesteście! - zawołał znajomy głos. - Kolejka Ciemnych i Burzliwych! Connor obejrzał się i zobaczył Ciasteczko stawiającą tacę z koktajlami. Podbiegła i mocno uściśnęła go.

- Connor! Świetnie wyglądasz!

Z uśmiechem wzięła ją w ramiona. Zauważył z ogromną satysfakcją, że Jacoby'emu oczy o mało nie wyszły z orbit.

- Cześć, Ciasteczko - powiedział. - Pozwól, że przedstawię ci moich przyjaciół, Jacoby'ego Blunta i Jasmine Peacock. Pierwszy raz u Mamy Kettle. Ciasteczko uśmiechnęła się promiennie.

- Przyjaciele Connora są moimi przyjaciółmi. Witajcie u Mamy. Gdybyście czegokolwiek potrzebowali, wrzańnijcie: „Ciasteczko!”.

- Możesz zdefiniować „cokolwiek”? - zażartował Jacoby. Jasmine wbiła mu łokieć pod żebro.

- Brawo, dziewczyno - pochwaliła Ciasteczko i przybiła jej piątkę. - Myślę, że doskonale będziesz tutaj pasować. - Odwróciła się do Connora i objęła go w pasie. - Więc to prawda? Skończyłeś z kapitanem Wrathe'em i jego załogą? Zaciągnąłeś się na statek Cheng Li? Connor przytaknął.

- To skomplikowane - stwierdził. - Ale wiem, że podjąłem właściwą decyzję.

- W takim razie przestań się zamartwiać. - Ciasteczko się uśmiechnęła. - I pamiętaj, co ci powiedziałam ostatnio. Zawsze będziesz tu mile widziany, niezależnie od tego, do jakiej załogi się przyłączysz. Jesteś dobrym człowiekiem, Connorze Tempeście. - Te słowa poruszyły go bardziej, niż potrafiłby wyrazić. - No, muszę lecieć. Goście są dzisiaj spragnieni. Może później pokażę nowy numer z tańcem i śpiewem. Przebrana za syrenę. Mrugnęła do Jacoby'ego.

- Czekaj... - zatrzymał ją Connor. - Jeśli zobaczysz Barta i Cate... to znaczy: kiedy ich zobaczysz... przekaż im... Przekaż, że ich pozdrawiam.

- Sam to zrób. - Ciasteczko wskazała głową sektor dla VIP-ów. - Wygląda na to, że załogi Diabla i Tajfuna bawią u nas tej nocy.

Connor zobaczył Mamę Kettle prowadzącą Molucca Wrathe'a na jego ulubione miejsce. Za nimi szli Barbarro oraz jego żona i pierwszy oficer Trofie, jak zwykle w oszłamiającej sukni. Connor rozejrzał się z bijącym sercem. Chciał wiedzieć, czy są z nimi Bart i Cate. Powinien podejść i coś powiedzieć, ale wołał nie ryzykować spotkania z Molukkiem. Przyjaciół wprowadzić nie zauważył, ale miał pecha - spostrzegł go kapitan. Przez chwilę patrzył mu prosto w oczy, ale nie uśmiechnął się, nie wykonał żadnego gestu. Connor pamiętał, co powiedział, kiedy się rozstawali: „Teraz jesteś dla mnie nikim”. Chłód go ogarnął, kiedy Molucco po prostu odwrócił głowę. Widocznie mówił poważnie.

- Hej, Connor - odezwała się Jasmine, stając obok z drinkiem w ręku. - Spróbuj Ciemnego i Wzburzonego. Normalnie niebo w szkle.

Obejrzał się i zobaczył, że Jacoby i Cheng Li także są przy nim. Pani kapitan mrugnęła porozumiewawczo i podniosła szklanę.

- Za nowych towarzyszy - powiedziała. Powtórzyli toast i stuknęli się szklankami, po czym wypili koktajl Mamy Kettle. Barbarro i Molucco pogrążyli się w rozmowie. Trofie siedziała obok, głucha na ich słowa i zatopiona we własnych niewesołych myślach. Na stoliku bąbelkowa! w kieliszku ostrygowy szampan, lecz Trofie była pozbawiona życia, czuła się jak stojąca woda. Wiedziała, że w zasadzie nic się nie zmieniło. Nadal była bogata, wpływowa i olśniewająco piękna. Nic nie groziło jej rodzinie. A jednak odczuwała boleśnie brak dłoni. Włożyła wspaniałą srebrzystą suknię z długimi rękawami sięgającymi za nadgarstki. Ale choć kreacja kosztowała majątek i miała nienaganny krój, Trofie wydawała się sobie zaniedbana i ubrana jak zakonnica. Gdyby tylko potrafiła przezwyciężyć ten ponury stan ducha!

- Cześć, mamó - rzucił Promyk z uśmiechem, przechodząc nad aksamitnym sznurem oddzielającym stół od reszty sali.

Zjawienie się ukochanego syna, który z każdym dniem był wyższy i przystojniejszy, w końcu wywołało na jej twarzy uśmiech. Nadstawiła policzek do całusa. A kiedy Promyk się cofnął, zauważyła, że w długich palcach trzyma sznureczek. Był nim obwiązany pakunek w brązowym papierze. Trofie wskazała paczkę.

- Co to jest, min elskling? Byłeś na zakupach?

- To prezent, mamó. Dla ciebie.

- Dla mnie? A z jakiej okazji? Nie mam urodzin ani nawet pirackich imienin...

- Chciałem poprawić ci humor, mamó. - Promyk wręczył jej paczkę.

Trofie pokazała swoje długie rękawy.

- Mógłbyś ją dla mnie otworzyć, min elskling? Promyk skinął głową i zaczął gorliwie rozplątywać sznurek.

- Spójrz, mężu. - Trofie szturchnęła Barbarro. - Nasz kochany chłopiec przyniósł mi prezent.

Barbarro i Molucco zerknęli z ciekawości. Promyk rozwiązał sznurek, a potem odwinął brązowy papier. Wewnątrz leżało kwadratowe pudełko. Otworzył je. Trofie przyglądała się z podnieceniem, jak syn wyjmując z środka jakiś przedmiot. Przedmiot był owinięty w bibułkę, a migoczący proszek, sypiący się pomiędzy jej warstw, dawał przyjemny dla oka efekt. Jak srebrny deszcz... W końcu, teatralnym gestem, Promyk odrzucił ostatni arkusik bibuły i pokazał swój prezent. Barbarro, Molucco i Trofie westchnęli chórem.

- Twoja nowa dłoń - oznajmił Promyk, po czym dodał, całkiem niepotrzebnie: - Sam ją zrobiłem.

Trzymał coś, co kiedyś było dłonią manekina, nim zostało nierówno odpiłowane i pomalowane na srebrno (niezbyt dokładnie).

- I co? Podoba ci się? - zapytał Promyk, patrząc wyczekująco w oczy matki. Trofie przełknęła ślinę.

- Ja... Nie wiem, co powiedzieć.

- Jakież to piękny i troskliwy gest! - huknął Molucco. - Dobry z niego chłopak - dodał i szturchnął Barbarro.

- Patrz... - Promyk podsunął matce pod nos srebrną dłoń. - Widzisz, jak pomalowałem paznokcie?

Zauważyła, że na wszystkich nakreślono czaszkę i skrzyżowane piszczele. Najwyraźniej poświęcił temu sporo wysiłku. Trofie poczuła pod powiekami gorące łyzy.

- No popatrz - rzekł Barbarro. - Doprowadziłeś matkę do płaczu. - Poglądził ramię żony. - No już, kochanie. Widzę, jak bardzo cię wzruszył prezent od naszego syna. Łkająca Trofie pokiwała głową.

- Założę ci ją - zaproponował podekscytowany Promyk. I zanim matka zdążyła zaprotestować, uniósł obfite fałdy rękawa i odsunął go, odsłaniając przegub. Na nadgarstku srebrnej dłoni umocował gruby, skórzany pasek, przycisnął ją do ręki Trofie i delikatnie, ale mocno zapiął klamrę. Cała rodzina Wrathé'ów, wstrzymując oddech, patrzyła, czy wytrzyma. W cudowny sposób sztuczna dłoń zdawała się doskonale pasować. Promyk z dumą podziwiał swoje dzieło.

Trofie także się przyglądała. Z jej dziwnej nowej dłoni wciąż odpadały patki srebra. Zupełnie jak łupież.

- Dziękuję - wykrztusiła. - Dziękuję, min elskling. Jestem taka... taka... Wyciągnęła rękę do syna. Wtedy ciężar dłoni zerwał pasek z przegubu. Dłoń uderzyła o podłogę, kciuk odłamał się i poleciał za aksamitny sznur. srebrne odpryski pofrunęły na wszystkie strony. Promyk zaklął szpetnie, za co natychmiast oberwał od ojca.

- Zniszczyła się! - jęknął chłopak. - A całe dwa dni robiłem ją z Transomem!

- Nie przejmuj się, chłopcze - pocieszył go Molucco. - Liczą się chęci. A teraz idź i podnieś ten kciuk, zanim ktoś na niego nadeptnie. Może uda się ją naprawić.

- Po co? - Promyk potrząsnął głową. - Nie jestem głupi. Widzę, że jej się nie spodobała. Upuściła ją naumyślnie!

- To bez znaczenia! - huknął Barbarro. - Odzyskamy dłoń twojej matki! I to wkrótce! Trofie próbowała objąć syna.

- Och, min elskling, przecież mi się podobała! Oczywiście, że mi się podobała! Ale Promyk wyplątał się z jej obszernych rękawów i kopnął aksamitny sznur, wychodząc na salę. Umysł wypełniła mu czarna mgła napięcia i gniewu. Marzył o tym, by wymierzyć cios - czemuś albo komuś. I to mocno. A kiedy podniósł głowę, zobaczył znajomą twarz. Tym razem jego pięść nie chybiła celu.

Działął z zaskoczenia, więc cios powalił przeciwnika. Connor Tempest runął bezwładnie na podłogę. Dźwięk ciała uderzającego o spróchniałe drewniane deski był chyba najprzyjemniejszym dla uszu Promyka od czasu premiery ostatniej płyty zespołu Mroczne Przestrzenie - bogów trashowej szanty.

- Dochodzi do siebie! - ucieszył się Jacoby. - Patrzcie, odzyskuje przytomność! Wszyscy obserwowali Connora leżącego na welwetowej sofie. Chłopak otworzył oczy.

- Te sole trzeźwiące są niezawodne - stwierdziła Mama Kettle. Jasmine uśmiechnęła się lekko.

- Nie wydaje mi się, żeby chodziło o sole. - Wskazała Ciasteczko. - Ona go pocałowała.

- Naprawdę? - Mama Kettle również się uśmiechnęła. - Jak mogłam to przegapić? No, najważniejsze, że pomogło.

Connor spojrzał na nich nieprzytomnie.

- Co się dzieje? - wymamrotał. - Dlaczego ta srebrna czaszka i piszczele tak się kręcą? Jacoby wyraźnie się zaniepokoił.

- Jest z nim gorzej, niż sądziłem - rzekł. - Ma halucynacje.

- Wcale nie. - Mama Kettle wskazała coś wiszącego nad parkietem do tańca. - Widzicie moją nową kulę z czaszką i kośćmi? Zobaczyłam ją na jakimś przedstawieniu baletowym i pomyślałam, że muszę taką mieć. Wspaniała, prawda? Jacoby odetchnął z ulgą i zwrócił się do Connora.

- Wiesz, jak się nazywasz i gdzie jesteś?

- Tak, tak... - Chłopiec skinął głową. - Jestem Connor Tempest, leżę w tawernie Mamy Kettle, a ten kretyn Promyk właśnie uderzył mnie bez żadnego powodu.

- Ale chyba nie zrobił ci poważnej krzywdy. To dobra wiadomość. - Jacoby zerknął na pozostałych.

- Cofnijcie się wszyscy. Zróbcie mu trochę miejsca, żeby mógł oddychać. Mama Kettle zaśmiała się głośno.

- A najlepiej dajcie mu coś na wzmocnienie. - Skinęła na Ciasteczko. - Przynieś tu jeszcze kolejkę Ciemnych i Wzburzonych. Na koszt firmy!

- Robi się, Mamo!

Kiedy Mama i Ciasteczko odeszły, teatralne chrząknięcie zapowiedziało przybycie Barbarra Wrathe'a i jego brata, Molucca.

- Co z nim? - zapytał Barbarro. - Wyjdzie z tego - odparła Cheng Li. - Ale bez pomocy pańskiego nieobliczalnego syna.

- Przykro mi. Jego zachowanie było karygodne.

- Owszem - zgodziła się Cheng Li. - Miejmy nadzieję, że żadna kość nie jest złamana.

- Ależ pani Li... - wtrącił Molucco. - Nie wydaje mi się, żeby sprawa była aż tak poważna.

Cheng Li wyprostowała się i przeszła kapitana gniewnym spojrzeniem migdałowych oczu.

- Może dla pana atak na członka załogi to drobnostka, kapitanie. Ale nie dla mnie. Molucco lekceważąco machnął ręką.

- To zwykły młodzieńczy wybryk - stwierdził. - Connor znalazł się w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwej chwili. Promyk ma wiele trosk. Jak my wszyscy. Zakładam, że słyszała pani o zaatakowaniu Tajfuna przez wampiratów?

- Tak. - Cheng Li nieco ochłonęła. - Mimo to... Molucco uznał, że zyskał przewagę. Brnął dalej z subtelnością lodołamacza.

- Rozumie pani chyba, że zmienia to nasze spojrzenie na niektóre sprawy. Wszyscy powinniśmy się skupić na zagrożeniu ze strony wampiratów. I dlatego chcielibyśmy zamienić słowo z młodym panem Tempestem. Zdaje się, że ma wiedzę na ich temat i pewne doświadczenia.

Molucco przecisnął się obok Jacoby'ego i Jasmine i podszedł do Connora, który siedział wyprostowany na sofie. Wciąż wyglądał na nieco oszołomionego.

- Kapitanie Wrathe. - Cheng Li zagroziła drogę piratowi. - Co właściwie ma pan zamiar zrobić?

Molucco zmarszczył brwi.

- Sądziłem, że wyraziłem się całkiem jasno. Chcemy uzyskać od Connora informacje o wampiratach.

Cheng Li oparła rękę na biodrach.

- Przyjęłam do wiadomości pańską prośbę - powiedziała. - Ale chwila nie jest odpowiednia.

- Przepraszam bardzo... - rzekł Molucco tonem dalekim od przepraszającego. Cheng Li niespieszona ciągnęła:

- Pan chyba żyje w przekonaniu, że Connor nadal jest członkiem pańskiej załogi. Otóż nie jest. Ja też nie, skoro już o tym mowa. Connor znajduje się obecnie pod moją komendą. A zatem to ja decyduję, kiedy i czy w ogóle może pan z nim rozmawiać.

- To oburzające! - Barbarro rzucił jej gniewne spojrzenie zza ramienia brata.

- Nie bardziej niż nieuzasadniony atak jednego pirata na drugiego. Właściwie powinnam zameldować o tym komandorowi Kuo i Federacji Pirackiej. To byłaby kolejna plama na honorze Promyka Wrathe'a.

- Proszę nam nie grozić, pani Li - rzucił wyzywająco Molucco. - Może pani wysyłać raporty, jakie tylko chce. Ale my musimy porozmawiać z panem Tempestem.

- Zapewne - zgodziła się. - Ale nie tutaj i nie teraz. - Skrzyżowała ręce na piersi. - Proszę umówić się na spotkanie.

Molucco przez kilka chwil piorunował ją wzrokiem, po czym odwrócił się na pięcie i odmaszerował, gniewnie tupiąc. Barbarro podążył za nim.

- Brawo, kapitanie! - rzekł Jacoby.

Wszyscy obstąpili Cheng Li.

Z powagą skinęła głową.

- Chcę, żeby jedno było jasne - powiedziała. - Wszyscy podpisaliście kontrakt, a ja obiecałam się wami opiekować. I to właśnie mam zamiar robić, kiedy za kilka dni zostanę kapitanem.

Rozdział 14

Martwy punkt

Stukeley zapukał do drzwi kapitańskiej kajuty. - Wejść! - zawołał Sidorio.

Porucznik pchnął drzwi i wszedł do środka w towarzystwie Johnny'ego. Sidorio skinął im głową.

- Jesteśmy na właściwym kursie? - Tak, kapitanie - potwierdził Stukeley. - Lada chwila powinniśmy wpłynąć do zatoki. - Doskonale. Zaraz się dowiemy, kto z nami pogrywa. I zakończymy zabawę w kotka i myszkę.

- Tak, kapitanie - powtórzył Stukeley. - Jeszcze jedno. Johnny i ja przemyśleliśmy kilka spraw i chcieliśmy przekazać panu nasze wnioski. Sidorio uniósł brew.

- No dobrze - powiedział. - Mówcie. Stukeley kiwnął głową.

- Uważamy, że powinniśmy być lepiej zorganizowani. Bardziej zdyscyplinowani. Johnny przytaknął.

- Rozrastamy się bardzo szybko - powiedział, zwracając się do Sidorio. - Mamy już w załodze... ilu? Dwustu, trzystu ludzi?

Sidorio niedbale machnął ręką.

- Do końca miesiąca będzie ich pięciuset. A w przyszłym tysiąc. - Otóż to - rzekł Stukeley. - O to nam właśnie chodzi. Jeśli mamy tak szybko rosnać w siłę, potrzebujemy organizacji. Na początek musimy mieć więcej statków. Sidorio wzruszył ramionami.

- I zdobędziemy je. Zaczynając od tego, który przejmemy dzisiaj. Zbudujemy flotę...

- Świetny pomysł. A każdy statek będzie potrzebował kapitana.

- Tak, tak... - Sidorio już ich nie słuchał.

Stukeley zauważył, że kapitan myśli o czymś innym, ale nie ustępował.

- Nie chodzi zresztą tylko o kapitana. Trzeba będzie dokładnie określić strukturę dowodzenia.

Sidorio parsknął śmiechem.

- Za chwilę zaproponujesz donorów i cotygodniową Ucztę! - Nie! Za nic w świecie! Nie ma powodów, by naśladować rozwiązania z Nokturnu. - I słusznie. Bo nie tak będziemy załatwiać sprawy. Nie w mojej armii. - Sidorio spojrzał na Johnny'ego.

- Jak ją nazwałeś, Stetson?

- El ejército de la noche - odpowiedział Johnny.

- Bardzo poetycko - uśmiechnął się Sidorio.

Stukeley wstał.

- Kapitanie, nie twierdzę, że powinniśmy organizować się na wzór Nokturnu. Pochodzi pan z czasów rzymskich, prawda? To natychmiast ponownie przykuło uwagę Sidoria.

- Czasy rzymskie, tak...

- No więc - ciągnął Stukeley - przeczytałem trochę o rzymskiej armii i jej strukturze. Czy wiedział pan, że miała...

Sidorio prychnął lekceważąco.

- Daj spokój, wiem wszystko, co można wiedzieć o rzymskiej armii. - Zatem jak pan uważa? - naciskał niestrudzony Stukeley. - Gdybyśmy zorganizowali nasze... to znaczy pańskie statki... na wzór rzymskich legionów?

- Hm... To możliwe. Przemyślę sprawę. Dla Stukeleya było jasne, że temat został zamknięty.

- Chodźmy na pokład - rzekł kapitan. - Mam przeczucie, że zbliżamy się do celu. Stukeley kiwnął głową. Zrobił wszystko, co mógł.

- Oto i statek - stwierdziła Jessamy, zakładając ciemne okulary.

- Tak - potwierdziła Camilla. - Pora się spotkać z naszymi chłopcami.

- Po raz ostatni. - Jessamy ze smutkiem wygięła usta w podkówkę.

- Skoro taki jest rozkaz pani kapitan... - odparła Camilla. - Muszę przyznać, że będzie mi ich brakowało. Takie z nich śliczne zabaweczki... Uśmiechnęła się do koleżanki.

Czekały na wydmach, gdy załoga Krwawego Kapitana zebrała się na plaży. Widziały, jak Sidorio daje znak do rozpoczęcia polowania. Wszyscy oprócz dwóch wampiratów pobiegli w stronę miasteczka. Miasteczka zdziesiątkowanego już przez lady Lockwood i jej załogę.

A gdy Johnny i Stukeley zbliżyli się do pasa wydm, Jessamy i Camilla wyszły na spotkanie swojej zdobyczy.

- Dobry wieczór, panowie! - zawołała Jessamy. Zdjęła buty i zeszła po stoku wydmy. Camilla poszła za jej przykładem.

- Hola! - zawołał Johnny z uśmiechem.- - Skąd się tu wzięłyście? - Wyszłyśmy na plażę, żeby odetchnąć nocnym powietrzem - odparła Camilla. - A wy?

- Właśnie zeszliśmy ze statku - wyjaśnił Johnny, wskazując kołyszącą się w zatoce jednostkę więzienną.

- Ach... A co panów sprowadza dziś wieczorem do miasta? - spytała Jessamy. Stukeley wzruszył ramionami.

- Chcieliśmy trochę się odprężyć. Wiecie, jak to jest. Jessamy przytaknęła.

- A wy? - zapytał Stukeley. - Mieszkacie tutaj czy jesteście przejazdem? Kobiety spojrzały na siebie. Odpowiedziała Jessamy:

- Przejazdem.

- Zaraz! - zdziwił się Johnny. - A właściwie dlaczego nosicie ciemne okulary? Jest przecież środek nocy! Kobiety znowu się uśmiechnęły. I wyjaśniły chórem:

- Moda, skarbie!

- Zdejmijcie okulary!

Uśmiechy stężały im na twarzach. Tych słów nie wymówił żaden z mężczyzn.

- Powiedziałem: zdejmijcie okulary! - Głos zabrzmiał groźniej. Camilla zerknęła na Jessamy, szukając wskazówek. Obejrzały się w tej samej chwili. Za nimi stał Sidorio ze skrzyżowanymi na piersiach rękami.

- Czy muszę prosić po raz trzeci? - spytał. - Zdejmijcie... Okulary... Już! Obie wykonały polecenie, odsłaniając tatuaże w kształcie czarnego serca.

- Wpadają w oko - przyznał Sidorio, który zszedł z wydmy i zatrzymał się między porucznikami. - Nic dziwnego, że noc w noc udawało wam się zawrócić w głowie tym dwóm.

- Kim jesteś? - spytała Jessamy.

Choć Sidorio mógł budzić lęk, nie wydawała się zaniepokojona.

- Ja tutaj zadaję pytania! - warknął. - A zaczniemy od tego, kim wy jesteście i jakim statkiem przyplyniecie.

Patrzył na nie. One patrzyły na niego. Znaleźli się w martwym punkcie. Po chwili Sidorio znów się odezwał.

- Miałyście niezłą zabawę przez ostatnie noce, co? Wyciągałyście z chłopaków informacje o tym, dokąd płyniemy, a potem sprawialiście, że zapominali o spotkaniu. - Przerwał na chwilę. - Mam rację, prawda?

Jessamy stanęła w wyzywającej pozie, z rękami wspartymi na biodrach.

- Może istotnie tak było, mój drogi panie.

- To już jakaś odpowiedź. Więc powtórzę: z jakiego statku przybywacie?

Jessamy spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie jestem uprawniona do udzielania informacji. Sidorio zmarszczył brwi.

- Nie jesteś uprawniona? - Zbliżył się o krok. - Nie jesteś uprawniona? Może chcesz to przemyśleć? Byle szybko.

- Nie, nie sądzę. - Jessamy pokręciła głową. - Gadatliwe języki posyłają statek na dno.

- Co takiego? - Spojrzał na nią zdezorientowany. I znowu zapadła cisza.

- No dobrze - rzucił Sidorio. - Dałem wam szansę. Ale są inne sposoby załatwienia sprawy. - Obejrzał się na poruczników. - Zaprowadźcie je na statek! - rozkazał. Odwrócił się i odszedł w stronę wody. Johnny i Stukeley zbliżyli się do kobiet.

- Pozwólcie z nami, młode damy.

Jessamy zmierzyła ich pogardliwym wzrokiem.

- Pokonałyśmy was już trzy razy - stwierdziła.

- Dlaczego uważacie, że dzisiaj będzie inaczej?

- Właśnie - przytaknęła Camilla. - A przy okazji, ten tekst o „młodych damach” staje się już nudny.

Cała czwórka stała w kręgu. W oczach wampiratów płonął ogień - jednak tym razem nie głód krwi ich pobudzał, lecz pragnienie walki. Nagle czyjś głos rozległ się na brzegu.

- Jakieś kłopoty?

Lady Lola Lockwood szła przez plażę. Dół jej obcisłej sukni włókł się po piasku.

Sidorio zawrócił.

- Z kim mamy przyjemność? - spytał. - Lady Lola Lockwood. - Skinęła na Jessamy i Camillę. - A to członkowie mojej załogi.

- Twojej załogi? - zdziwił się Sidorio.

- Zgadza się. - Lady Lockwood wyciągnęła rękę i wskazała skraj zatoki. - Tam jest zacumowany mój stateczek.

- Doprawdy? - Sidorio pokazał gestem wielki kadłub statku więziennego. - A to jest mój statek.

- Ojej! - zawołała z uśmiechem lady Lockwood.

- Jaki duży...

Zaskoczony Sidorio kiwnął głową.

Lady Lockwood mówiła dalej przyjacielsko, jakby oboje właśnie spotkali się na przyjęciu.

- Obawiam się, że mój Wagabunda to zaledwie płotka przy pańskim wielorybie! Krwawy Kapitan.... tak się chyba nazywa? Jak ekscytująco!

Miała dziwny sposób mówienia - Sidorio nigdy niczego podobnego nie słyszał. Jej głos hipnotyzował, tak samo jak oczy. I jeszcze ten tatuaż w kształcie serca. To mu nasunęło pewną myśl... Sięgnął do kieszeni.

- Przypuszczam, że to od ciebie? - Wyjął plik kart i rzucił na piasek.

- Och, znaleźliście nasze skromne wizytówki?

- Tak, znaleźliśmy. Znajdowaliśmy je co noc. Zgodnie z twoim życzeniem.

Lady Lockwood zmarszczyła brwi.

- Naprawdę nie rozumiem.

- Nie udawaj niewiniątka - rzekł Sidorio. - Wiemy, co kombinujecie, ty i twoja załoga. - Pogardliwie cedząc słowa, wskazał Camillę i Jessamy, wciąż stojące naprzeciw Johnny'ego i Stukeleya. - Te dziewczyny wyciągały informacje z poruczników, a potem wyprzedzałaś nas i pierwsza atakowałaś miasteczko!

Z początku twarz lady Lockwood była nieprzenikniona. Po chwili rozjaśnił ją promienny uśmiech.

- No cóż, bycie płotką ma pewne zalety - stwierdziła.

- A więc przyznajesz się! - zawołał Sidorio. - Skończmy z tymi gierkami!

- Och, to nigdy nie była gra, Sid. Mogę cię tak nazywać?

- Nie, nie możesz. Jestem Sidorio. Kwintus Antoniusz Sidorio. Król wampiratów. Lady Lockwood uśmiechnęła się znowu.

- Ach, gdzie moje maniery? Zupełnie się zapominam. To dla mnie wielki zaszczyt. - Dygnęła.

- Tak mi przykro, że nasza znajomość zaczęła się od sprzeczki. Sidorio pokręcił głową.

- A jak się miała zacząć, skoro robiłaś to, co robiłaś? Lady Lockwood wzruszyła ramionami.

- Próbowałam tylko zwrócić na siebie uwagę - wyjaśniła. - Niełatwo płotce wysłać sygnał do wieloryba.

Sidorio znów zmarszczył czoło, dziwnie skrępowany jej słowami, kuszącym głosem i uwodzicielską urodą.

- Chciałaś zwrócić na siebie uwagę? - powtórzył ze zdziwieniem.

- Ależ oczywiście - zapewniła z uśmiechem.

- Więc to dla ciebie tylko gra?

- Ależ nie, drogi panie. Wcale nie gra.

- Nie próbujesz ze mną rywalizować? Zapanować na tych wodach?

- Ależ nie, drogi panie! To by było niedorzeczne.

- Rzeczywiście. - Kiwnął głową. - Byłoby.

- Może ogłośmy zawieszenie broni - zaproponowała lady Lockwood. Wskazała Johnny'ego i Stukeleya, stojących naprzeciw Jessamy oraz Camilli, gotowych do walki. Sidorio zastanawiał się przez chwilę.

- Zostawcie je, chłopcy - polecił.

- Cofnijcie się, dziewczęta! - zawołała lady Lockwood.

Przeciwnicy odstępili od siebie. Johnny i Stukeley stanęli przy Sidorio, a Jessamy i Camilla podeszły do lady Lockwood.

- Ale to ucztowanie musi się skończyć - ostrzegł Sidorio. - Mam dużą, coraz większą załogę. Potrzebuję krwi.

- Zgoda. Ale na oceanie jest miejsce dla więcej niż jednego statku wampirów...

- Jest miejsce dla każdej liczby statków - odparł Sidorio. - Ale tylko jednego głównodowodzącego. - Stuknął palcem w pierś, na wypadek gdyby jego teza wymagała silniejszego zaakcentowania. - Mnie!

- Oczywiście - zgodziła się lady Lockwood. - Już mówiłam, Sidorio, nie mam zamiaru z tobą rywalizować. Próbowałam tylko, być może niezbyt fortunnie, wynegocjować prezentację.

Sidorio przyglądał się jej, nie rozumiejąc. Z pomocą pospieszył Johnny.

- Chyba po prostu chciała się z panem spotkać, kapitanie - szepnęła mu do ucha. Lady Lockwood usłyszała jego słowa. Skinęła głową.

- Zgadza się. Chciałam poznać wielkiego Sidoria, króla wampiratów. To pochlebstwo wywołało szeroki uśmiech na twarzy kapitana.

- No więc teraz już mnie poznałaś.

- Rzeczywiście. - Oczy jej błysnęły. - A to, co widzę, przekracza moje najśmielsze oczekiwania.

Sidorio uśmiechnął się znowu.

- Niestety - lady Lockwood zrobiła skruszoną minę - obawiam się, że moja załoga przetrzebiła już miasteczko. Ale zapewniam, że to się więcej nie powtórzy. Sidorio wzruszył ramionami.

- Żaden kłopot. Moi ludzie ucztowali gdzie indziej. Przy płynęliśmy tutaj tylko po to, żeby się z wami spotkać i w końcu zamknąć sprawę.

- I jesteś zadowolony, że została ostatecznie zamknięta? Patrzył na nią, myśląc, jak niezwykłą jest istotą.

- Tak - stwierdził w końcu. - Jesteśmy kwita. Lady Lockwood odwróciła się do dziewcząt.

- Chodźmy, drogie panie. Wracamy na Wagabundę. Jessamy i Camilla raz jeszcze zerknęły na Johnny'ego i Stukeleya, po czym ruszyły w stronę statku. Lady Lockwood nagle zawróciła. Zatrzymała się i wyciągnęła rękę do Sidoria.

- Mam nadzieję, że znów się spotkamy - powiedziała. - W nieco innych okolicznościach.

Sidorio patrzył na jej dłoń, jakby nie wiedział, co ma robić. Potem, ku zaskoczeniu wszystkich - a także własnemu - pochylił się i pocałował ją.

- Spotkamy się znowu - obiecał. - Dopilnuję tego. Kiedy trzy kobiety oddaliły się wystarczająco, Stukeley powiedział do kapitana:

- Co to właściwie było? Myślałem, że przejmujemy jej statek!

- To tylko płotka - stwierdził Sidorio, powtarzając słowa lady Loli. - Nie potrzebuję płotek. Niech sobie zachowa tę swoją zabawkę. - Powiódł wzrokiem za odchodzącymi. - Lubię ją - oświadczył. - Lubię, jak mówi.

Stukeley chciał zaprotestować, ale Johnny wbił mu łokieć pod żebro. Towarzysz zrozumiał przekaz.

- Czy chce pan, żebyśmy uruchomili syrenę, kapitanie, i wezwali załogę na pokład? Sidorio kiwnął głową.

- Zajmij się tym, Stukeley. Po czym odszedł, oglądając się raz jeszcze za lady Lockwood.

- Mówił, że jest rekinem. - Stukeley potrząsnął głową. - A wycofał się jak mięczak. Johnny uśmiechnął się tylko.

- Rozumiem, o co ci chodzi, hermano. Ale podejrzewam, że nasz kapitan się zakochał.

- Nie bądź głupi - burknął Stukeley. - Sidorio nie zna nawet słowa „miłość”. Takie sprawy go nie interesują.

- Uwierz mi. - Johnny pokręcił głową. - Posiadłeś mądrość w wielu dziedzinach, przyjacielu, ale ja wiem, co się dzieje między mężczyzną a kobietą. I między tą dwójką zaiskrzyło, to pewne.

- Niewiele brakowało - odetchnęła z ulgą Jessamy.

- Istotnie - zgodziła się kapitan.

- Czy ten typ jest taki na serio? - zdziwiła się Camilla. - Owszem, różne krążą o nim pogłoski, ale to większy prymityw, niż się spodziewałam. Lady Lockwood uśmiechnęła się nieznacznie.

- Uważam, że jest na swój sposób czarujący - oświadczyła.

- Czarujący?! - wykrzyknęła Camilla.

- Była pani bardzo dla niego uprzejma, jeśli wolno zauważyć - stwierdziła Jessamy.

- Naprawdę? Takie sprawiałam wrażenie? - Lady Lola położyła jedną dłoń na ramieniu Jessamy, drugą na ramieniu Camilli. - Chodzi o to, moje drogie, że czasem trzeba przegrać bitwę, aby wygrać wojnę. - Uśmiechnęła się szerzej. - A do końca wojny jeszcze daleko. - Westchnęła. - Po tej pogawędce zachciało mi się pić. Wracajmy szybko na statek. Otworzymy jakiś argentyński trunk.

- O, tak - zgodziła się Jessamy. - Argentyński ambasador. Był całkiem smaczny, prawda?

- Rzeczywiście - przyznała lady Lockwood. - Niczego sobie...

Rozdział 15

Prośba Sally

Kiedy Grace znowu weszła do pokoju matki, zastała ją w zaskakująco dobrym nastroju.

- Och, kochanie, mam dobre wieści! Cudowne wieści!

- Co- takiego? - spytała zdumiona Grace.

- Wyruszamy razem w podróż - odparła Sally. Oczy jej błyszczały. - Pytałam mistrza i on uważa, że mogę. Ruszamy do Zatoki Księżycowej!

- Do Zatoki Księżycowej? - zdziwiła się Grace. - Ale po co?

- Chcę zobaczyć, gdzie ty i Connor dorastaliście. I chcę odwiedzić grób Dextera. Pragnę znowu poczuć jego bliskość. Och, Grace, proszę, ciesz się razem ze mną!

- Cieszę się. Tylko że to takie niespodziewane. Na pewno jesteś wystarczająco silna? - Grace odetchnęła głęboko. - Och, mam, oczywiście! Z radością pokażę ci Zatokę!

- Musisz się zaraz spakować. Wieczorem wypływamy na Nokturnie.

- Na Nokturnie? - powtórzyła Grace. - To znaczy, że kapitan wybiera się z nami? Jest już zdrowy?

Ta możliwość naprawdę ją ucieszyła. Ale Sally pokręciła głową.

- Tego nie wiem. Musisz zapytać mistrza.

Grace spojrzała na matkę. Wydawała się podniecona jak dziecko w przeddzień urodzin.

- Jesteś pewna, że możesz tam wrócić? - spytała Sally. - Odwiedzić grób Dextera? I latarnię? Musisz mi pokazać latarnię.

Grace odruchowo kiwnęła głową. To będzie dziwny powrót, zwłaszcza bez Connora. Ale z radością pokaże Sally, Lorcanowi i mistrzowi - a możliwe, że i kapitanowi - gdzie się wychowywali. I chętnie zobaczy znowu grób ojca.

Kiedy pomyślała o Dexterze, zwróciła się do matki z oczywistym pytaniem.

- Myślisz, że możesz kontynuować opowieść?

- Tak - zapewniła ją Sally. - Bez wątpienia. - Poklepała materac obok siebie. - Chodź, usiądź. Chcę mieć cię blisko.

Grace, nie zwlekając, usadowiła się przy matce.

- A więc Shanti i Teresa czekały na mnie na pokładzie - mówiła Sally. - Strasznie chciały się dowiedzieć jak najwięcej o spotkaniu z Dexterem. Dziwne... Spędziłam z nim tylko parę chwil, ale wiedziałam, że to ten jedyny.

Grace się uśmiechnęła. Przeczynała, że to była miłość od pierwszego wejrzenia.

- Przez kilka dni nie mówiłyśmy o niczym innym - ciągnęła Sally. - Zgodziłyśmy się, że świat poza statkiem musimy zostawić za sobą. Taki przecież zawarłyśmy układ, stając się donorami. Każda z nas miała powód, by tak postąpić, choć niekoniecznie chciała go zdradzać pozostałym. Wiedziałyśmy, że nie możemy wrócić do dawnego życia. Miło było opuścić na krótko pokład. Ale na tym koniec. Grace zmarszczyła czoło.

- Ale to przecież nie był koniec! Nie mógł być!

- Oczywiście, że nie, skarbie - uśmiechnęła się Sally. - Życie, jak mówią, jest tym, co ci się zdarza, gdy masz inne plany.

- Więc kiedy znowu spotkałaś tatę? Sally pogładziła jej włosy.

- Kilka dni później. A tymczasem odczuwałam tak wielki smutek... jakbym była w żałobie. Ale po czym? Po moim dawnym życiu? Wyborze, jakiego dokonałam? Człowieku, którego zobaczyłam na skale i z którym pływałam... jak długo? Pół godziny? Wydawało się to dość śmieszne, jednak moje uczucia były głębsze niż kiedykolwiek. - Westchnęła. - Nawet Sidorio zauważył, że coś jest nie tak. Pamiętam, zapytał mnie o to podczas Uczty. Tuż przed dzieleniem się spytał, czy wszystko w porządku. Byłam tak zdumiona, że wybuchnęłam płaczem.

- Sally pokręciła głową. - Sidorio na pewno żałował, że się odezwał, ale wiesz co? Naprawdę starał się mnie uspokoić. Tej nocy pierwszy i ostatni raz zaproponował, że zostanie. Ale odmówiłam. Chciałam być sama.

Grace pomyślała o matce leżącej samotnie w kajucie. Ta myśl bolała. Sally opowiadała dalej.

- Następnego dnia zbudziłam się w jeszcze gorszym nastroju. Dziewczęta próbowały mnie jakoś pocieszyć. Statek przybił do brzegu, żeby załadować zapasy żywności dla nas, donorów. I cóż... - Przerwała na moment. - Okazało się, że wzięliśmy na pokład nie tylko zapasy, lecz i nowego kuchcika... Grace szeroko otworzyła oczy.

- Tatę? - spytała.

- Tak. Ale odkryłam to dopiero następnego dnia. Szłam korytarzem, myśląc o swoich sprawach, i nagle jakiś głos powiedział: „Witaj znowu, śliczna Sally”. Aż podskoczyłam! Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Spytałam, co tutaj robi, jak mnie znalazł, ile wie o statku... i zadałam mu jeszcze, och, setkę innych pytań. Oczywiście jej lśniły, gdy wspominała to spotkanie.

- I co odpowiedział? - chciała wiedzieć Grace. Sally pokręciła głową. Błady uśmiech pojawił się jej na wargach.

- Powiedział: „Mówiłem przecież, że cię znajdę, Sally. I znajdę sposób, żebyśmy mogli być razem”.

- Brawo, tato! - zawołała Grace. Była z niego dumna. Okazał się taki romantyczny - i taki odważny - skoro wytropił statek wampiratów i zaciągnął się do jego załogi. Na pokładzie niewiele było funkcji dla śmiertelników, ale pamiętała swoje pierwsze dni na Nokturnie i wizytę w kuchni, gdzie rozmawiała z kuchcikiem Jamie'em. Pomyśleć tylko, że jej własny ojciec też kiedyś tam pracował. I że w różnych okresach Sally, Dexter, Connor i Grace podróżowali tym samym statkiem.

- Musiałaś być bardzo szczęśliwa - westchnęła Grace. Sally się zastanowiła.

- Szczęśliwa? Może. Na pewno podniecona. Ale też przestraszona... bardzo przestraszona. Nie zrozum mnie źle, Grace. Byłam zachwycona, widząc znowu Dextera, ale czułam się, jakbyśmy razem wsiedli do wagonika kolejki górskiej. I nie mogłam się nie obawiać, jaki będzie koniec tej szalonej jazdy.

Grace dostrzegła na twarzy matki znajomy lęk. A także znużenie. Zdawało się, że opowieść ją wyczerpuje.

- Lepiej już pójdę - oznajmiła. - Muszę przygotować rzeczy do podróży.

- Tak... - Myśl o wyprawie znowu wywołała ożywienie matki. - Och, nie mogę się już doczekać! Bardzo chcę zobaczyć te wszystkie miejsca, które były dla ciebie ważne! Grace pocałowała matkę w policzek.

- A ja nie mogę się doczekać, żeby ci je pokazać. Zobaczymy się później.

- Jak rozumiem, wyruszamy w drogę - powiedziała Grace, wchodząc do kwatery mistrza.

- Wracam do Zatoki Księżycowej.

- Tak, rzeczywiście - odparł. - Nie ma czasu do stracenia. Nokturn odpływa wieczorem. Darcy i Lorcan wybiorą się z nami.

- A co z kapitanem? - zapytała Grace z nadzieją.

- Czy spotkamy się z nim na pokładzie?

Mosh Zu pokręcił głową.

- Nie, Grace. Kapitan nie wyruszy z nami w ten rejs. Ja go zastąpię. Grace nie zdołała ukryć rozczarowania.

- Jak on się czuje? - spytała. - Tęsknię za nim.

- Byliście sobie bliscy, prawda?

- Tak. Od chwili, gdy znalazłam się na Nokturnie. Dziwnie będzie płynąć bez niego.

Mosh Zu pokiwał głową.

- Dziwnie dla nas wszystkich. Grace milczała przez chwilę. Nie miała odwagi zadać następnego pytania.

- Czy on wyzdrowieje? Czy wróci? Mosh Zu położył dłonie na jej ramionach.

- Mam nadzieję, że tak. Wiem, że tego pragnie. Ale jest bardzo chory, Grace. Musimy dać mu czas, żeby odzyskał siły.

- Rozumiem - odparła. - I wiem, że świetnie sobie poradzisz ze statkiem. Mosh Zu z wdzięcznością pokiwał głową.

- To miło, że we mnie wierzysz - powiedział. Zmarszczył czoło. - Gdybym mógł przełożyć tę podróż, zrobiłbym to. Ale Sally musi wyruszyć natychmiast.

- Wiem. - Grace dostrzegła wahanie Mosh Zu.

- Czy jest coś jeszcze?

- Stan twojej matki jest dość niepewny - stwierdził. - Sally rozmawiała z tobą o przeszłości, prawda?

- Tak. Wypytywałam ją. Opowiadała o swoim życiu na Nokturnie. A część wspomnień udało mi się odebrać bezpośrednio. Poprzez wizje.

- Wygląda na to, że twoja moc rośnie, Grace - uznał Mosh Zu.

- Ale to dobrze, prawda? Mama wydaje się bardzo słaba. Chciałabym usłyszeć jej historię, ale czy mam prawo? Czy to jej nie męczy? Bo jeśli tak, zrezygnuję. Mosh Zu uśmiechnął się łagodnie.

- Nie obwiniaj się. Owszem, rozmowa o przeszłości i wyjawianie dawnych sekretów ją męczą, jak to określiłaś. - Znowu wyciągnął rękę. - Grace, mówiłem ci już, że inne dusze rozwiewały się szybciej niż dusza twojej matki. Ona jest tutaj z twojego powodu.

- Tak. - Grace ścisnęło się serce. - Więc co teraz? Czy ona wytrzyma dłużej?

- U innych dusz zaobserwowałem następującą właściwość - rzekł Mosh Zu. - Kiedy się uwalniały, cierpienie, przed którym osłaniał je kapitan, wciąż było świeże. Pamiętasz może, jak bardzo oszołomione się wydawały?

- Tak.

Grace wciąż miała przed oczami ich cienie pośród mgły.

- Moi asystenci i ja robiliśmy wszystko, żeby przynieść spokój udręczonym duszom. Przekonaaliśmy się, że kiedy uwalniają się od cierpienia, są bardziej ulotne.

- Urwał. - Szybciej się rozwiewają. - Uśmiechnął się lekko. - Odsuwają się... od swojego cierpienia, ale też tracą fizyczny kształt. Każda z dusz zmierza ku trwałemu spokojowi.

Grace zadrżała. Mosh Zu mocniej ścisnął dłoń dziewczyny, jakby chciał przekazać jej swoją energię.

- Coś takiego dzieje się z moją matką... - W oczach Grace wzbierały łzy. - Kiedy wyjawia mi swoje tajemnice i dokonuje pojednania ze swoją przeszłością, jednocześnie zmierza ku ukojeniu.

- Właśnie tak - przyznał Mosh Zu poważnym i łagodnym głosem.

- A im więcej mi opowiada, tym bardziej ulotna się staje. I kiedy opowie wszystko... rozwieje się i zniknie.

Mosh Zu przyglądał się jej długo, nim odrzekł:

- Sądzę, że tak właśnie będzie. Grace zmarszczyła czoło.

- Czyli mam wybór. Jeśli pozwolę jej opowiedzieć wszystko i odnaleźć spokój, stracę ją na zawsze. - Zadrżała. - A jeśli... jeśli nie pozwolę jej opowiadać, nie znajdzie prawdziwego ukojenia. Samolubnie zatrzymam ją przy sobie. - Potrząsnęła głową i westchnęła.

- To żaden wybór, prawda?

- Tak - zgodził się Mosh Zu. - Właściwie żaden.

Grace przetarła oczy.

- Powiedz mi jedno - poprosiła. - Czy ona wie, co się dzieje? Ta wyprawa do Zatoki Księżycowej to jej ostatnie życzenie?

- Chyba tak - powiedział Mosh Zu. - Myślę, że jest tutaj dla ciebie. Potem czeka ją cudowny, szczęśliwy odpoczynek, gdyż będzie wiedziała, że jej życie, jej marzenia znalazły kontynuację w tobie. I w Connorze, oczywiście.

- Ale przecież dopiero ją spotkałam... Nie wiem, czy jestem dostatecznie silna, żeby pozwolić jej odejść.

Mosh Zu pochylił się nad nią.

- Wiesz, co myślę, Grace? Myślę, że jesteś o wiele silniejsza, niż ci się wydaje. I chociaż pewnie trudno się z tym pogodzić, sądzę, że wszystko przebiega, jak powinno.

Grace westchnęła. Chciała mu wierzyć, ale to było bardzo trudne.

Rozdział 16

Nowy kapitan

Serce Cheng Li biło szybko, kiedy szła w stronę przystani Akademii Piractwa. Podczas studiów widziała tę scenę wiele razy: miejsca wypełniały się wielkimi i sławnymi - albo niesławnymi - osobistościami ze świata piratów. Wszyscy mieli na sobie wyszukane stroje, a błękitny kobierzec rozciągał się od nabrzeża aż do głównego podium. Z trudem mogła uwierzyć, że tym razem całe zamieszanie i gala są właśnie dla niej. A jednak to była prawda! Nim dzień dobiegnie końca, przyjmie tytuł kapitana i związaną z nim odpowiedzialność.

- Pani Li! Odwróciła się i zobaczyła komandora Kuo na schodach swojej kwatery. Pięknie się prezentował w mundurze: ozdobiona medalami kamizelka wskazywała na wysoką rangę, a długi błękitny frak pasował do obcisłych spodni. Kuo niósł również swoją legendarną broń, toledański rapier. Cheng Li była zaskoczona i zachwycona. Zwykle rapier wyjmowano tylko raz w roku, w Święto Mieczy. To wielki zaszczyt, że komandor Kuo naruszył protokół, aby wykorzystać go do ceremonii mianowania.

- No tak... - John Kuo dogonił ją i wskazał krzątanicę wokół przystani. - Czy to spełnia twoje oczekiwania?

Cheng Li podążyła za jego wzrokiem. Zatrzymała spojrzenie na mężczyznach we frakach i kobietach w kapeluszach z piórami sunących w stronę swoich miejsc oraz na orkiestrze Akademii grającej czwartą część symfonii Ocean Rubinsteina. Był to ulubiony utwór Federacji.

- Jest idealnie - odparła, a oczy jej błyszczały jak popołudniowe słońce na wodach zatoki.
- Absolutnie idealnie.

- Federacja Piracka nie skąpi niczego swoim najjaśniejszym gwiazdom - zapewnił ją Kuo i mrugnął porozumiewawczo. - A jak się czuje nasza pani kapitan?

- Nie sprzedajmy wypadków. - Posłała mu uśmiech. W towarzystwie Johna Kuo zawsze czuła się dobrze. - Jest jeszcze drobna sprawa mojej nominacji.

- To tylko formalność, nic więcej. Ceremonia i pompa. Byłaś kapitanem od pierwszego dnia w Akademii, kiedy jeszcze konikowi morskemu sięgałaś do kolan. Te słowa sprawiły jej przyjemność. Czowała się, jakby stąpała po wodzie.

- Mam wrażenie, że wszystkie wydarzenia w moim życiu prowadziły do tej chwili - powiedziała.

- Jesteś podekscytowana, ale też zdenerwowana, co? Chcesz jak najszybciej objąć stanowisko, ale nie wiesz, czy spełnisz oczekiwania... swoje własne oczekiwania? Kiwnęła głową.

- Tak. Tak właśnie się czuję.

Jak mądrze ujął to w słowa...

Kuo się uśmiechnął.

- Ze mną było tak samo, kiedy pierwszy raz obejmowałem dowodzenie. Podobnie jak Płatonow, Grammont, Lisabeth Quivers i cała reszta. Nie ma powodu do obaw. Jak już powiedziałem, jesteś więcej niż gotowa. Lęk dowodzi, jak bardzo się przejmujesz, pokazuje, jak bardzo zależy ci na Sukcesie. Lęk potwierdza, że Federacja obdarzyła zaufaniem właściwego pirata.

- Dziękuję, John. To wiele dla mnie znaczy. Zwłaszcza że ty to mówisz. Wyciągnął rękę i ścisnął jej ramię.

- Zawsze będę przy tobie, Cheng Li. Pamiętaj o tym. Zawsze tak było i nic się nie zmieni.

- Dziękuję - powtórzyła, gdy dotarli do nabrzeża.

- Ach, zapomniałabym: powodzenia w wyścigu.

- Mogę liczyć na twoje wsparcie?

Cheng Li uśmiechnęła się tajemniczo.

- Mój pierwszy oficer, Jacoby, będzie w załodze kapitan Quivers. A kapitan Płatonow zabiera Jasmine, kolejnego ważnego członka mojej załogi.

- Rozumiem - rzekł komandor Kuo. - Więc twoje serce jest rozdarte.

- Nie wiem, co masz na myśli - odparła z uśmiechem. - Ale sądzę, że jesteś faworytem.

- Jesteś podekscytowana, ale też zdenerwowana, co? Chcesz jak najszybciej objąć stanowisko, ale nie wiesz, czy spełnisz oczekiwania... swoje własne oczekiwania? Kiwnęła głową.

- Tak. Tak właśnie się czuję.

Jak mądrze ujął to w słowa...

Kuo się uśmiechnął.

- Ze mną było tak samo, kiedy pierwszy raz obejmowałem dowodzenie. Podobnie jak Płatonow, Grammont, Lisabeth Quivers i cała reszta. Nie ma powodu do obaw. Jak już powiedziałem, jesteś więcej niż gotowa. Lęk dowodzi, jak bardzo się przejmujesz, pokazuje, jak bardzo zależy ci na Sukcesie. Lęk potwierdza, że Federacja obdarzyła zaufaniem właściwego pirata.

- Dziękuję, John. To wiele dla mnie znaczy. Zwłaszcza że ty to mówisz. Wyciągnął rękę i ścisnął jej ramię.

- Zawsze będę przy tobie, Cheng Li. Pamiętaj o tym. Zawsze tak było i nic się nie zmieni.

- Dziękuję - powtórzyła, gdy dotarli do nabrzeża.

- Ach, zapomniałam: powodzenia w wyścigu.

- Mogę liczyć na twoje wsparcie?

Cheng Li uśmiechnęła się tajemniczo.

- Mój pierwszy oficer, Jacoby, będzie w załodze kapitan Quivers. A kapitan Płatonow zabiera Jasmine, kolejnego ważnego członka mojej załogi.

- Rozumiem - rzekł komandor Kuo. - Więc twoje serce jest rozdarte.

- Nie wiem, co masz na myśli - odparła z uśmiechem. - Ale sądzę, że jesteś faworytem.

- Doprawdy? - Komandorowi Kuo zalśniły oczy.

- Będę szczęśliwy, jeśli uda mi się poprawić zeszłoroczny wynik.

- O, tak. I pobić kolejny rekord Akademii.

- Ach! - Komandor Kuo chwycił się za ramię.

- Jak zawsze, twoje strzały są boleśnie celne! Roześmiała się, ale nagle posępna myśl zmała jej spokój. Myśl nieunikniona. Choć przyrzekała sobie, że dzisiaj ją zignoruje, to było niemożliwe.

- Co się stało? - zapytał John Kuo. Cheng Li westchnęła.

- Pomyślałam o moim ojcu. To głupie, wiem, ale chciałabym, żeby mnie dzisiaj zobaczył.

- To nie jest głupie - odparł i objął ją. - Wcale nie. Chang Ko Li był dla mnie jak brat. Znałem go lepiej niż ktokolwiek, prócz ciebie i rodziny. I wiem, drogie dziecko, że patrzy teraz na ciebie i jest najdumniejszym ze wszystkich ludzi.

- Dziękuję. - Cheng Li przytuliła twarz do szerokiej piersi Johna Kuo.

- Mówiłem poważnie. - Komandor pocałował ją lekko w czubek głowy. - A teraz chodźmy. Musimy zdążyć na brzeg. Nie byłoby elegancko spóźnić się na własną nominację. Kiedy orkiestra zagrała pierwsze takty hymnu Federacji Pirackiej, wszyscy dygnitarze, wykładowcy i studenci podnieśli się jednocześnie. Cheng Li poczuła dreszcz na karku, gdy śpiewała znajome słowa...

*Poświęcam życie przygodzie, oddaję serce wodzie,
by walczyć z wiatrem i sztormem dla marzenia, które we mnie płonie.
A marzenie, które we mnie płonie, to wolnym być i koniec!
Nie ma zaś większej swobody, niż być piratem!*

Słowa i muzyka odbijały się echem w jej głowie. Kiedy odśpiewała drugą zwrotkę, spojrzała na podest, gdzie komandor Kuo wkrótce miał rozpocząć ceremonię. Z tyłu wisiało stare płótno żaglowe z godłem Akademii Piractwa złożonym z czterech symboli: miecza, kompasu, kotwicy i perły. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich Cheng Li nauczyła się po przybyciu do Akademii, było ich znaczenie: miecz symbolizował zdolności szermiercze, kompas - talent do nawigacji, kotwica podkreślała wagę tradycji i historii piractwa, a perła oznaczała umiejętność wyjścia cało z każdej opresji i zdobycia skarbu. Według Federacji Pirackiej były to najważniejsze przymioty każdego pirata. Cheng Li wiedziała, że spełnia te wymagania.

...I będę zawsze dbać o miano godne chwały, którym chlubi się właśnie piracka brać!
Kiedy trzecia, najbardziej wzruszająca zwrotka dobiegła końca, komandor Kuo uściśnął dłoń Cheng Li, a potem wstał i wspiął się po schodkach na podium.

- Panie i panowie - powiedział, z naturalną swobodą zwracając się do publiczności. - Witajcie ponownie w Akademii Piractwa. Jak każdy port, to miejsce budzi liczne wspomnienia. Wielu z was było tu kiedyś studentami. Teraz jesteście oficerami oraz kapitanami na własnych statkach. Inni są wykładowcami w Akademii. Podobnie jak ja porzuciliście oceany, aby przekazać swoją wiedzę i doświadczenia kapitanom przyszłości. - Wskazał ruchem głowy rzędy studentów. Rozległy się oklaski. Dyrektor Akademii odczekał, aż ucichną, nim podjął: - Tak, wydaje mi się, że nasza niewielka przystań w Akademii to miejsce, do którego wraca się po wielokroć w ciągu pirackiego życia. - Przerwał na chwilę. - Zebraliśmy się tu, aby po raz kolejny uczestniczyć w nominacji nowego kapitana. Takie okazje zawsze napęniają mnie dumą, ale dzisiejsza jest wyjątkowa. Za chwilę zobaczymy, jak niezwykle młody pirat wyrusza na morze jako dowódca własnego statku.

Wzrokiem dodał otuchy Cheng Li. Stała na swoim miejscu, dumna i szczęśliwa.

- Ojcem Cheng Li, jak wszyscy wiecie, był wielki kapitan, Chang Ko Li. Znany jako najlepszy spośród najlepszych, i nie bez powodu. Niestety, zginął, zanim zdołał przekazać swoje umiejętności pani Li. Czy piractwo ma się we krwi, to sprawa dyskusyjna. Ale nikt nie może zaprzeczyć, że Cheng Li była wcieleniem sumiennosci. Ani razu nie slyszalem, by podczas swoich studiow powolywala sie na wiezy rodzinne, zeby cokolwiek sobie ulatwic. Ani razu nie skorzystala z tego przywileju, by zyskac sympatię kolegow. Nie, poniewaz Cheng Li jest pracowita. Traktowala szkole bardzo powaznie, ukończyła Akademię z pierwszą lokatą i zgodnie ze zwyczajem opuścila nasze mury, by rozpocząć praktykę jako pierwszy oficer na pokładzie statku pirackiego, Diabla, pod dowództwem Molucca Wrathe'a. Cheng Li zastanawiała się, czy inni zauważą, że ani Molucca, ani nikogo z członków jego rodziny nie ma na ceremonii. Nieważne. Zapewne zgromadzeni przypiszą to niedawnym wypadkom na pokładzie Tajfuna i determinacji braci Wrathe'ów próbujących odzyskać zrabowaną dłoń Trofie. Mając w pamięci zatarg w tawernie Mamy Kettle, Cheng Li z ulgą przyjęła fakt, że nie zjawili się na uroczystości. Chociaż z przyjemnością by patrzyła, jak jej nominacja irytuje Molucca. Znow wslychala sie w slowa komandora Kuo.

- Mieliśmy to szczęście, że pani Li przez kilka miesięcy pomagała ciału pedagogicznemu. Po raz pierwszy, muszę dodać, zaprosiliśmy do współpracy kogoś, kto nie jest kapitanem. Nie będzie dla was niespodzianką, gdy powiem, że Cheng Li nie zawiodła oczekiwań, a nawet je przekroczyła. Ma naturalny talent wykładowcy i najchętniej zatrzymalibyśmy ją tutaj nie na całe życie, lecz na dwa... Jednak miejscem Cheng Li jest pokład statku. A więc już bez zbędnych słów chciałbym poprosić, by dołączyła do mnie na podium, gdzie mianuję ją kapitanem.

Kiedy Cheng Li wspinała się na platformę, rozległy się spontaniczne oklaski.

Wymienili ukłony, a Teagan, poważny uczeń z pierwszej klasy, przyniósł poduszkę uszytą ze starej flagi joli rouge, na której leżał kapitański łańcuch. Wśród złota i najpiękniejszych kamieni szlachetnych lśniły cztery symbole Federacji Pirackiej: miecz, kompas, kotwica i perła. Taki łańcuch dostawał każdy kapitan mianowany przez Federację, a noszenie go miało być dla Cheng Li nie tylko wielkim honorem, ale i dowodem pamięci o piratach, którzy żyli przed nią. Burza oklasków przetoczyła się jak grom przez widownię, gdy chłopiec przekazał poduszkę komandorowi Kuo, a ten założył łańcuch na szyję pochylonej Cheng Li.

Teagan się wycofał. Kandydatka uklękła przed komandorem. Wśród publiczności zapadła cisza, gdy Kuo wyjął toledański rapier.

- Na mocy władzy przekazanej mi przez Federację Piracką ja, komandor John Kuo, po wieczne czasy nadaję Cheng Li tytuł kapitana.

Oparł klingę o jej szyję. Gdy metal dotknął bladej skóry dziewczyny, komandor rzekł:

- Obfitość i przesyt. Przesunął ostrze nad jej głową i dotknął szyi Cheng z drugiej strony, mówiąc:

- Rozkosz i swoboda. A potem oparł czubek ostrza o jej pierś.

- Wolność i siła.

Schował miecz do pochwy i rozpoczęła się ostatnia część ceremonii. Zebrani wyrecytowali razem słowa mianowania:

W myślach i w sercu bądź wierna tradycjom Federacji Pirackiej.

Szanuj tych, którzy byli przed tobą.

Tym, którzy przyjdą po tobie, daj powód, by cię szanowali.

Niech oceany cię unoszą, niech sprzyja ci pogoda.

Nauczaj swoją załogę i ucz się od niej.

Zachowaj spokój w chwale i porażce.

A o zachodzie słońca niech twój powrót do domu

Przebiega w pokoju i harmonii.

Kuo skłonił się i wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać. A kiedy się podniosła, pocałował ją lekko w policzek i szepnął do ucha:

- Gratuluję, kapitan Li.

Cofnął się, zostawiając dziewczynę samą pośrodku podium. Znowu rozległy się burzliwe oklaski.

- Dziękuję wam - powiedziała rozpromieniona Cheng Li. - Obiecuję, że nie będę mówić długo. Ale chciałabym skorzystać z tej okazji, by podziękować kilku osobom. Przede wszystkim panu, komandorze Kuo, za przeprowadzenie ceremonii, a także za piękne słowa o mnie i o moim ojcu. Dziękuję wykładowcom Akademii, którzy tak dobrze mnie wykształcili i... - przerwała na moment - ...którzy bezlitośnie pędzili mnie do pracy! - Tu i tam zabrzmiały śmiechy. - Ale jeśli nawet sądziłam, że studenci ciężko pracują, to nic w porównaniu z pracą wykładowców, z czego teraz zdaję sobie sprawę.

I sama zaczęła klaskać, by uhonorować kolegów nauczycieli. Wśród tłumu dostrzegła kapitan Quivers dziękującą ruchem głowy za słowa uznania.

- Dziś jest mój szczęśliwy dzień, lecz piractwo to gra w zespole. Jestem wdzięczna, że otrzymuję od Federacji tak cudowny statek. I już wkrótce zdradzę nazwę, którą dla niego wybrałam. Zanim to jednak nastąpi, chcę przedstawić załogę. Dziękuję wszystkim, którzy podpisali ze mną kontrakt. Mam nadzieję, że będę wam dobrze służyć jako kapitan. Wiem, że jesteście bardzo utalentowani, i nie mogę się już doczekać wspólnej pracy.

Spojrzała tam, gdzie stali uśmiechnięci Jacoby, Jasmine, Connor i pozostali członkowie jej załogi.

- Wracając do nazwy statku. Myślałam o niej bardzo długo, ale kiedy zapełniałam notes nowymi pomysłami, stale powracała jedna. Nie mogłam się od niej uwolnić. Musiałam poprosić komandora Kuo, by nagiął trochę zasady. Z radością stwierdzam, że Federacja Piracka udzieliła mi zgody, a zatem mój nowy statek, nasz nowy statek, będzie nazywał się Tygrys.

Tłum westchnął głośno, kiedy odsłonięto napis na burcie.

- Wiem! - mówiła dalej Cheng Li. - Nigdy dotąd nie nazwano nowej jednostki imieniem dawnego statku Federacji. Ale nie muszę wam chyba przypominać, że to mój ojciec pływał na Tygrysie. Chang Ko Li zginął młodo. Ludzie mówią o nim jako o najlepszym z najlepszych, a wiele mógł jeszcze osiągnąć. Chcę podjąć jego dzieło. Mam nadzieję, że zrozumiecie: wybrałam tę nazwę nie po to, by wykorzystywać jego dobre imię, ale żeby oddać mu hołd. I mam nadzieję, że we właściwym czasie dorównam ojcu.

Gdy skończyła mówić, zapadła kompletna cisza. Cheng Li spojrzała nerwowo na zebranych. Pochwyciła wzrok Jacoby'ego. Chłopak zaczął bić brawo. Potem przyłączyli się Jasmine, Connor i reszta załogi. Za sobą Cheng słyszała klaskanie Johna Kuo. Nie miała odwagi odwrócić głowy, ale spojrzała w górę, na rząd kapitański, i z ulgą stwierdziła, że dowódcy również klaszczą. W jednej chwili rozległa się burza aplauzu i owacji. Wiele osób wstało, by dobitniej okazać poparcie.

- No widzisz? - szepnął jej do ucha John Kuo.

- Mówiłem ci, że się uda, prawda?

Cheng Li pokiwała głową z uśmiechem, a komandor Kuo raz jeszcze zwrócił się do zebranych.

- Panie i panowie, kapitan Li i jej załoga, jak nakazuje tradycja, będą teraz pozowali do zdjęć przed pierwszą wyprawą. Co do reszty, proszę dołączyć do mnie na tarasie Akademii, gdzie wypijemy naszą cieszącą się zasłużoną sławą herbatę. A potem wrócimy na miejsca, a raczej wywróćcie na miejsca, i rozpocznie się Kapitański Wyścig! Na morzu lady Lockwood patrzyła przez peryskop wysokiej rozdzielczości, który pozwalał oglądać jej świat bez konieczności wychodzenia na światło dzienne. Ustawiała ostrość, aż wreszcie uzyskała krystalicznie czysty obraz przystani Akademii Piractwa. Przyglądała się jej przez chwilę, a potem wstała, odsuwając z oczu niesforny kosmyk kruczoczarnych włosów.

- I jak? - spytała Marianna, unosząc wzrok znad haftu. Siedziała naprzeciwko pani kapitan na pięknym, krytym jedwabiem krześle.

- Wyścig zaraz się zacznie - oznajmiła lady Lockwood. Marianna uśmiechnęła się i odłożyła tkaninę.

- Mam pójść i przygotować resztę?

- Tak, moja droga. - Lady Lockwood rozpromieniła się i energicznie zatarła ręce. - Dobrze, dobrze! Jestem dzisiaj w sportowym nastroju.

Rozdział 17

Kapitański Wyścig

Obdarzając uśmiechem życzliwą sobie publiczność, Cheng Li wróciła na miejsce.

- Cześć, Connor. Mogę tu usiąść? - zapytała, choć na krześle wypisano jej nazwisko.

- Nie krępuj się - odpowiedział.

Dziewczyna przejrzała program wyścigów, który dostała od jednego z młodszych studentów.

- Zakładam, że wiesz, o co w tym chodzi? - spytała Connora.

- Dziesięciu kapitanów w osiemnastostopowych skifach, każdy z dwoma załogantami - odparł Connor. - Wyścig składa się z dwóch części: rejsu do Pajęcznej Wyspy i z powrotem.

- Dobrze. - Cheng Li posłała mu uśmiech. - Szybko się uczysz.

- Od najlepszych. - Connor odwrócił się, by popatrzeć, jak kapitanowie wraz z załogami wchodzą na pokład.

Jacoby pokazał gestem, że wszystko gra, idąc za Lisabeth Quivers do skifu. Towarzyszył im jeden z kolegów Jacoby'ego, Bastian. Connor się uśmiechnął. Ekscentryczna kapitan Quivers oczywiście wybrała na swoich załogantów dwóch najsilniejszych studentów z ostatniego roku.

Jasmine już siedziała w skifie obok chłopaka, którego Connor mgliście pamiętał ze swojej pierwszej wizyty w Akademii - miał na imię Aamir. Oboje słuchali w skupieniu ostatnich instrukcji kapitana Płatonowa.

Po drugiej stronie zatoczki komandor Kuo rozmawiał przyjaźnie z dwoma młodymi załogantami - Żakiem i Varshą. Kuo emanował pewnością siebie, jak przystało na dyrektora szkoły i faworyta wyścigu, wiedział jednak, że nikt z dziewięciorga zawodników nie podda się bez walki. Connor przebiegł wzrokiem po ich twarzach: Rene Grammont, Francisco Moscardo, Apostolos Solomos, Kirstin Larsen, Floris van Amstel, Shivaji Singh, Wilfred Avery. Razem z Kuo, Quivers i Płatonowem tworzyli dziesiątkę najsłynniejszych dowódców wszech czasów. Każdy był żywą legendą.

„Pewnego dnia - pomyślał Connor - i ja do nich dołączę”.

Cheng Li wpatrywała się w wody zatoki z większą jeszcze koncentracją niż on. Miał wrażenie, że dokładnie wie, o czym myśli dziewczyna.

Kiedy wystrzał z armatki ogłosił godzinę szóstą, załogi rzuciły się do pracy. Connor znieruchomiał. Żałował, że sam nie trafił do żadnego skifu.

- Ależ są szybcy! - zawołał do Cheng Li, patrząc na małe łodzie mknące przez zatokę.

- Owszem - odparła. - Osiemnastki to najszybsze żagłówki. Ich płaskie kadłuby niemal prześlizgują się po faliach.

Jednostka kapitana Singha prowadziła, Kuo zajmował drugą pozycję. O długość łodzi za nim płynął kapitan Grammont, a kapitanowie Solomos i Moscardo walczyli o czwarte miejsce.

- Trzymają się bardzo blisko siebie, prawda? - zauważył Connor. Cheng Li wybuchnęła śmiechem.

- Apostolos i Francisco to odwieczni rywale. Ale lepiej niech zwiększą odległość, bo się nawzajem wyeliminują z wyścigu. Tak już zresztą bywało.

Większość widzów sięgała po lornetki, by śledzić przebieg wyścigu. Zawodnicy zbliżali się do kamiennego łuku wytyczającego granicę przystani Akademii. Spoglądając przez własne szkła, Connor zauważył, że kapitan Quivers i jej ludzie doskonale sobie radzą. Aby nie dopuścić do wywrotki, załogi musiały strategicznie wykorzystywać własną wagę, wychylając się za burty. Connor nie widział jeszcze kapitan Quivers w akcji i był zaskoczony jej zwinnością. Przy wsparciu Jacoby'ego i Bastiana miała duże szanse na zwycięstwo. Poszukał wzrokiem Jasmine. Łódź kapitana Płatonowa miała kilka długości straty do prowadzących, ale szybko odrabiała dystans. Connor patrzył, jak dziewczyna wypuszcza spinaker.

- Spójrz na Jasmine! - krzyknął.

- Tak - zgodziła się Cheng Li. - Widzisz, co ona robi? Spinaker przypomina ścianę jedwabiu. Potrzebna jest jak największa powierzchnia, żeby chwycić każdy podmuch powietrza. W ten sposób skif żeglujecie niemalże z prędkością wiatru.

Oboje obserwowali, jak dzięki manewrowi Jasmine skif kapitana Płatonowa przemknął do czołówki, która właśnie dotarła do łuku. Wyprzedził kapitana Singha, wychodząc na drugie miejsce. Ale na razie nie byli w stanie zagrozić komandorowi Kuo. Jego skif wyskoczył już poza kamienny łuk. Jeśli utrzyma tempo, nikt nie zdoła go doścignąć. Connor nie mógł dostrzec

twarży dyrektora, ale wiedział, że mimo uzyskanej przewagi Kuo nie jest jeszcze spokojny - do końca wyścigu było daleko.

Nagle wśród widzów rozległy się krzyki, a potem chóralne westchnienie. Co się stało? Connor opuścił lornetkę. Rozejrzył się po zatoce. Jedna z łodzi została z tyłu, praktycznie nieruchoma. Ale która? Podniósł szkła i spojrzał niemal prosto w twarz Kirstin Larsen. Widział, jak pani kapitan ukrywa twarz w dłoniach.

- Dla Kirstin wyścig chyba już się skończył - westchnęła Cheng Li. - Złamała bom spinakera. Nie będzie zachwycona. Ale coś takiego zawsze może się zdarzyć. Dmucha mocny wiatr z południowego wschodu. W drodze na wyspę i z powrotem morze będzie wzburzone. Connor patrzył, jak jednostka ratunkowa płynie na pomoc kapitan Larsen i jej załodze. Zauważył, że kilka innych żaglówek odbija od brzegu.

- Czy szykują się kolejne łodzie ratunkowe? - zapytał. - Jak niebezpieczny będzie ten wyścig?

Cheng Li pokręciła głową.

- To łódki serwisowe, które mają zapalić ogień i dzięki światłu doprowadzić skify do portu w drugiej połowie wyścigu. Czekają, aż zwiększy się dystans, żeby nie przeszkadzać zawodnikom.

- Aha... Connor znowu śledził ścigające się łodzie. Patrzył, jak ostatnie dwa skify - dowodzone przez kapitanów Avery'ego i van Amstela - mijają łuk. Dalej nie dało się już rozróżnić poszczególnych jednostek. Prowadzący wypłynęli na otwarty ocean, a pozostali zawodnicy rozsunęli się, wykorzystując przestrzeń. Connor chciał dalej oglądać wyścig, ale musiałby w tym celu unieść się w powietrze.

- Co teraz? - zapytał, opuszczając lornetkę.

- Och, zaplanowano sporo rozrywek. - Cheng Li zajrzała do programu i stuknęła w kartki palcem.

- Zaraz zacznie się pokazowa walka w wykonaniu pierwszego roku, potem drugi rok zaprezentuje krótkie przedstawienie inspirowane historią Federacji Pirackiej. Później coś pokaże trzeci rok. Jeszcze później będzie przerwa na kolację. Do tego czasu skify powinny już dotrzeć do wyspy i zawracać. A wtedy zacznie się robić naprawdę ciekawie. Po pokazowej bitwie (prawdę mówiąc, całkiem udanej), sztuce o Federacji (strasznie nudnej) i oryginalnej szancie w wykonaniu studentów trzeciego roku (bez komentarza) Connor nie mógł się doczekać przerwy na

kolację. W towarzystwie Cheng Li poszedł na taras, gdzie przygotowano wielki wybór apetycznych potraw. Connor zauważył na tarasie rząd teleskopów.

- Popatrz przez nie - zachęciła go Cheng Li. - Mają bardzo daleki zasięg. Może uda ci się dostrzec którąś z zawracających łodzi.

Connor przycisnął oko do okularu i zaczął szukać na oceanie śladów życia. Widział jednak tylko ogniska rozpalone przez załogi serwisowe. Kiedy zaszło słońce i zapadł zmierzch, łuny stały się jeszcze lepiej widoczne.

- Wciąż nic - oświadczył i odsunął się od teleskopu.

- No trudno. - Cheng Li wręczyła mu talerz. - W takim razie lepiej uzupełnij zapas protein.

Nie potrzebował zachęty. Z entuzjazmem zaatakował bufet, a tymczasem Cheng Li otoczyli ludzie chcący jej pogratulować. Connor załadował talerz jedzeniem i patrzył, jak pani kapitan rozmawia z grupką podnieconych dzieciaków i trzęsącym się piratem starszym, który chciał dołączyć do jej załogi. Każdego traktowała tak samo przyjacielsko. Była w świetnej formie. Miała swój wielki dzień i nic dziwnego, że się cieszyła. Connor nigdy chyba nie widział jej tak szczęśliwej i rozluźnionej.

Na łodziach mknących ku Pajęczej Wyspie załogi miały ręce pełne roboty. Morze było wzburzone, tak jak przewidywała Cheng Li, więc nawet chwilowy spadek koncentracji oznaczał duże ryzyko. Komandor Kuo wciąż zachowywał bezpieczną przewagę, ale nie przestawał zachęcać załogantów, by dawali z siebie jak najwięcej.

- Dalej! - zawołał. - Pokażcie, na co was stać! A potem pokażcie jeszcze więcej!

- Aj, aj, kapitanie! - odpowiedzieli chórem Zak i Varsha, wychylając się za burtę. Kuo parsknął śmiechem.

- Zostawiliśmy Singha daleko w tyle! Będziemy w Akademii, zanim skończą kolację!

- Uważaj, Jasmine! - rzucił kapitan Płatonow. - Ty też, Aamir. Jak dotąd mieliśmy trochę pecha, ale jeszcze możemy wygrać!

Jasmine skinęła głową. Wyraz twarzy miała zdeterminowany, jak jej kapitan. Piekły ją obtarte linami dłonie. Ból był silny, ale nie myślała o nim. W tej chwili nic się nie liczyło prócz zmniejszenia dystansu do czołówki.

- Czy to nie wspaniałe? - Kapitan Quivers promieniała, patrząc na Jacoby'ego i Bastiana. Skif sunął po grzbiecie fali. - Po prostu uwielbiam Kapitański Wyścig. Chyba powinnam częściej wypływać na morze.

Jacoby parsknął śmiechem.

- Przyjemna zmiana po lekcji z węzłów, prawda? - Istotnie - zgodziła się. - Powiedz: co czujesz, wiedząc, że zostaniesz pierwszym oficerem Tygrysa...?

Przerwała, kiedy zalała ich wysoka fala. Ale kapitan Quivers parsknęła tylko i czekała, aż Jacoby odpowie na jej pytanie.

Chłopak rozchylił usta w uśmiechu.

- Nie mogę się już doczekać.

Przy brzegu Pajęczej Wyspy stał Wagabunda. Słońce wreszcie zaszło i lady Lockwood wyszła na pokład z częścią swojej świty. Większość załogi rozkoszowała się świeżym powietrzem i początkiem nocy. Lady Lola stanęła samotnie na dziobie statku i przez bardzo starą lornetkę spoglądała na ocean.

Marianna zakaszlała dyskretnie.

- Herbata, pani kapitan - powiedziała. Lady Lockwood opuściła lornetkę i uśmiechnęła się, widząc na małym stoliku zastawę. - srebrna taca po mamie - szepnęła z satysfakcją.

Na tacy stały: srebrny imbryk, porcelanowa filiżanka na spodeczku, dzbanuszek do mleka i sitko. Cała załoga wiedziała, że lady Lockwood jest bardzo wymagająca, jeśli chodzi o serwowanie herbaty.

- Mam nalać? - spytała Marianna. - Zaparza się dokładnie trzy minuty.

- Bardzo proszę.

Marianna ostrożnie wyjęła z imbryka zaparzacze i nalała trochę bursztynowego płynu do porcelanowej filiżanki ozdobionej malowniczym obrazkiem przedstawiającym pasterki z owieczkami dokazującymi na brzegu rzeki. Obok filiżanki stał dzbanuszek. Jednak nie zawierał mleka - lady Lola wolała do herbaty coś mocniejszego. Marianna, dobrze znająca upodobania swojego dowódcy, przelała odrobinę do filiżanki. Karmazynowy wir rozpląnął się w złocistej herbacie.

Dziewczyna położyła na spodku srebrną łyżeczkę i oddała filiżankę lady Loli.

- Dziękuję ci, moja droga. - Lady Lockwood uśmiechnęła się, zamieszała herbatę, po czym uniosła filiżankę do nosa. Głęboko wdychała aromat. - Istny nektar - szepnęła. Po czym wypila herbatę jednym haustem.

- Jeszcze filiżankę, pani kapitan? - zaproponowała Marianna. Lady Lockwood pokręciła głową.

- Popatrz - powiedziała. - Sądzę, że cię to zacieka. Zaintrygowana Marianna podeszła bliżej. Lady Lockwood podniosła filiżankę i zamieszała w niej łyżeczką. Dziewczyna się zdziwiła - przecież naczynie było puste.

- Nie, moja droga. Nie patrz na filiżankę.

O co mogło chodzić? Marianna rozejrzała się i nagle usłyszała szum gałęzi w górze. Drzewami na brzegu wyspy zakołysał wiatr - jakby zbliżał się sztorm.

Wiatr się wzmaczał. Lady Lockwood była jak pogrążona w transie; srebrna łyżeczka obracała się w filiżance coraz szybciej i szybciej. Marianna zauważyła, że wody w pobliżu statku falują gwałtownie, a potem zaczynają zataczać koła i pienić się niczym miniaturowy wir.

- To powinno wystarczyć - uznała w końcu lady Lockwood i odłożyła łyżeczkę na spodek.

Marianna wskazała wir powstały na oceanie.

- To pani dzieło - stwierdziła. - Prawda? Lady Lola przytaknęła z uśmiechem.

- To taka sztuczka, której się nauczyłam. Nazywam ją burzą w filiżance herbaty.

- Ale po co...?

- Cierpliwości - odparła pani kapitan. - Niebawem się przekonasz.

Rozdział 18

Pajęcza Wyspa

Osiemnastostopowy skif komandora Kuo znalazł się w samym środku gwałtownego wiru.

- Kapitanie, morze jest coraz bardziej wzburzone! - krzyknął Zak.

- Wiem - zawołał Kuo. - Ale już prawie dotarliśmy do wyspy. Widzę ogień!

- Łódź jest niesterowna! - wrzasnęła Varsha, tak mocno ściskając liny, że aż zdarły jej skórę z palców.

- Skupcie się! - rzucił Kuo. - Trafiliśmy po prostu na zawirowanie turbulentne! To wszystko! Przebijemy się!

Oczy Varshy były czerwone jak jej dłonie i szczypały, wciąż zalewane strugami słonej wody. Dlaczego komandor Kuo nie chciał przyznać, że mają kłopoty? Bardzo poważne kłopoty.

- Statek na sterburcie, kapitanie! - wykrzyknął Zak. John Kuo obejrzał się - o sekundę za późno. Żaglówka uderzyła o burtę pirackiego galeonu. Statek wyłonił się jakby znikąd. Za to złudzenie były zapewne odpowiedzialne rozszalałe fale i gęsta mgła osnuwająca wyspę.

- Zwrot! - rozkazał Kuo.

- Próbuje! - odpowiedziała Varsha. - Kapitanie, niech pan spojrzy na bom!

Trzy pary oczu oglądały bom, który uderzył o kadłub statku. Wszyscy widzieli z daleka, jak na łodzi kapitan Larsen złamał się bom spinakera i wyeliminował ją z wyścigu. Teraz ich własny pękł od uderzenia. Stracili wszelkie szanse na ukończenie wyścigu.

- Macie kłopoty? - Nad relingiem pojawiła się zatroskana kobieca twarz.

- Tak - odpowiedział Kuo. - Przykro mi, ale zderzyliśmy się z waszym statkiem. Chociaż nie sądzę, żebyście doznali jakichś uszkodzeń...

- Tym się nie martwcie - uspokoiła ich kobieta.

- Co z waszą łodzią?

- Mamy złamany bom! Poza tym chyba w porządku! Złapał nas ten niespodziewany wir...

- Tak, widziałyśmy! Walczyliście, póki było można. Czasami żywioły są zbyt silne!

- Kapitanie! - zawołał Zak. - Nasz skif tonie!

Kuo się obejrzał. Łódka nabierała wody. Zderzenie spowodowało większe szkody, niż wydawało się na początku.

- Lepiej wejdźcie na pokład! - dobiegł głos z góry.

- Sięgniecie do sztormtrapu czy mam wysłać pomoc?

- Sięgnijemy! - zapewniła Varsha, wyciągając ręce do stalowej drabinki.

- Ale nasz skif... - zaprotestował Kuo. - Wyścig...

- Dla nas już się skończył, komandorze - stwierdził ze smutkiem Zak, wspinając się po szczeblach za Varsha. Patrzył, jak skif zanurza się coraz głębiej w ciemną wodę. Komandor Kuo nie potrafił zrezygnować z marzeń o zwycięstwie.

- Proszę do nas, sir - zachęcił go głos z góry.

- Niech pan wejdzie za swoimi towarzyszami, a zajmijmy się panem.

Ze smutkiem kręcąc głową, Kuo wszedł na drabinkę - w ostatniej chwili. Skif zanurkował pod powierzchnię oceanu i szybko zniknął.

Trójka przemoczonych piratów wspięła się na pokład. Na ich spotkanie wyszła kapitan oraz dwaj oficerowie.

- Witajcie na Wagabundzie - powiedziała kapitan.

- Nazywam się lady Lola Lockwood, a te panie należą do mojej załogi. Marianna i Angelika.

- Jestem komandor Kuo, dyrektor Akademii Piractwa. Ta dwójka to moi studenci, Zak i Varsha. Uczestniczymy w wyścigu.

- Tak właśnie myślałam. - Lady Lockwood ze smutkiem pochyliła głowę. - Co za straszny pech, że trafiliście akurat na taką pogodę...

- Nazywamy go Kapitańskim Wyścigiem - ciągnął Kuo. - Odbywa się za każdym razem, kiedy Federacja mianuje nowego kapitana. Wszyscy dowódcy, którzy pracują w Akademii, prowadzą osiemnastostopowe skify... Ale pani wie o tym, naturalnie, jako że sama jest pani pirackim kapitanem. Lady Lockwood uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Och, nie jestem pirackim kapitanem, komandorze. I to nie jest piracki statek.

- Nie? - zdziwił się Kuo.

Spojrzał na szczyt masztu i odkrył, że na fladze nie ma - jak początkowo sądził - wizerunku czaszki i skrzyżowanych kości. To był jakiś inny symbol, podobny do karty do gry.

- Więc co to za statek? - Prywatna jednostka żaglowa - odparła z uśmiechem lady Lockwood. - Ale teraz jest pan przemoczony, a pańscy podopieczni trzęsą się z zimna. Angeliko, idź i przynieś jakieś ręczniki i koce, dobrze? Aha, Marianno, chyba wypijemy jeszcze trochę twojej słynnej herbaty.

- Nie chcielibyśmy się narzucać... - zaczął Kuo.

- Żaden kłopot - zapewniła stanowczo. - Lubimy gości na pokładzie Wagabundy. Prawda, moje drogie?

- Aj, aj, pani kapitan - odparły chórem Angelika i Marianna, po czym odeszły do swoich obowiązków.

- Chodźmy. - Lady Lockwood zaprowadziła ich na osłonięty przed wiatrem kawałek pokładu. - Usiądźmy tutaj. Zaczekamy, aż dziewczęta wszystko dla was przygotują. Jestem pewna, że zaraz będą z powrotem.

Kiedy Zak zajął miejsce, zauważył na pokładzie inne osoby z załogi Wagabundy.

- Pani kapitan, czy wszyscy członkowie załogi są kobietami? - zapytał.

- Istotnie - przyznała lady Lockwood. - Obawiam się, że ty i komandor Kuo jesteście w mniejszości.

- Zachichotała. - Ale nie martw się, chociaż nie przyjmujemy żadnych mężczyzn do załogi, chętnie witamy ich jako gości.

Zak się uśmiechnął. Potrafił sobie wyobrazić gorsze rzeczy niż wyciągnięcie z lodowatej wody przez piękne młode kobiety, które w tej chwili spieszyły do niego z ręcznikami i kocami.

Kiedy jednak zjawiała się Angelika, lady Lockwood uniosła dłoń.

- Właściwie, Angeliko, ci młodzi ludzie są przemoczeni do suchej nitki. Może zabierzesz ich do środka i znajdziesz jakieś ubrania?

Varsha wstała, doceniając ten gest, ale Zak pokręcił głową.

- Bardzo dziękuję. Wolę raczej zmarznąć, niż włożyć sukienkę. Lady Lockwood znowu się roześmiała.

- Bardzo zabawne. Ale nie martw się, mój drogi. Jak wspomniałam, wiele razy gościłyśmy na statku mężczyzn. Jestem pewna, że znajdziemy ci coś odpowiedniego.

- No dobrze. - Zak ruszył za Varshą i Angeliką zmierzającymi już w stronę kajut.

- Och, przepraszam, komandorze - powiedziała lady Lockwood. - Jestem pewna, że i panu znajdziemy suchą odzież, jeśli tylko pan zechce. Pokręcił głową.

- Bardzo dziękuję, ale nic mi nie trzeba, lady Lockwood. To nader uprzejme, że zatroszczyła się pani o moich studentów. Chyba są trochę wytrąceni z równowagi tym, co nastąpiło.

- Oczywiście. To całkiem zrozumiałe. Ale człowiek o pańskim doświadczeniu zbudowany jest z twardszego materiału.

- Cóż, owszem... - zgodził się z uśmiechem John Kuo.

- Jest już Marianna z naszą herbatą... Dziękuję ci, moja droga. Postaw, ja sama naleję. Co my tu mamy... Wolisz z mlekiem czy z cytryną, John?

- Piję czystą.

- Bardzo dobrze. - Lady Lockwood podniosła sitko i czajniczek.

Komandor Kuo przyglądał się, jak nalewa.

- Zna pani moje imię - zauważył.

- Tak. - Podała mu filiżankę na spodku. - Przedstawił mi się pan przecież.

- Przedstawiłem się jako komandor Kuo. Ale pani przed chwilą nazwała mnie Johnem.

Lady Lockwood zaśmiała się cicho.

- No cóż, było to odrobinę nieoficjalne. Ale nie krępuj się, możesz mówić mi Lola.

- Nie rozumiała pani, lady Lockwood. - Kuo przypatrywał się jej twarzy. - Skąd pani wie, że mam na imię John?

Zarumieniła się.

- Przyłapałeś mnie. - Uniosła ręce. - Mea culpa. Wiedziałaam, kim jesteś. Słynny komandor John Kuo, dawniej kapitan, obecnie dyrektor Akademii i jeden z przywódców Federacji Pirackiej. A tutaj masz, jeśli się nie mylę, swój legendarny toledański rapier. Wskazała ruchem głowy rękojeść. W świetle księżyca migotały charakterystyczne wykończenia ze skóry trygona. Kuo szeroko otworzył oczy.

- Wiedziałaś to wszystko?

- Jesteś człowiekiem bardzo znanym - odparła.

- Widziałaam twoje portrety. Ale jeśli wolno mi wygłosić śmiałą opinię, nie oddają ci sprawiedliwości.

Kuo uśmiechnął się lekko.

- Z pewnością powiedziałbym to samo, gdybym zobaczył twój portret. Jak to możliwe, że nigdy o tobie nie słyszałem, Lolu?

- Jestem osobą prywatną, John. Prowadziłam dość barwne życie, więc to chyba naturalne, że wolę teraz trzymać się w cieniu.

- Hmm... - Komandor wypił łyk herbaty. - Tak piękny i drapieżny ptak jak ty nie powinien tkwić w klatce, spowity w ciemność.

Lady Lockwood z uśmiechem zamieszała łyżeczką herbatę.

- Czyżbyś ze mną flirtował, John? To słodkie. Kuo znów napił się herbaty i nagle zauważył, że Lola nawet nie tknęła swojej.

- Co się stało? Dlaczego nie pijesz?

- Och, wypłam filiżankę całkiem niedawno - wyjaśniła. - Poza tym herbata nie jest moim ulubionym napojem.

- Nie? - spytał zaciekawiony. Pokręciła głową. I wtedy zobaczył, że zmieniają się jej oczy. Z początku sądził, że to refleks ogni sygnałowych w ciemnobrązowych tęczówkach lady Lockwood, ale obejrzał się i przekonał, że nie ma ich w zasięgu wzroku. Ogień jarzył się w jej oczach, jakby płonął w bardzo głębokiej studni. Po raz pierwszy w swojej długiej i wspaniałej karierze komandor John Kuo nie potrafił wykrztusić ani słowa.

Rozdział 19

Mizerykordia

- Ta herbata... - odezwał się komandor Kuo. - Dosypałaś coś do niej, prawda? Lady Lockwood kiwnęła głową.

- Delikatny środek usypiający. Coś, co uspokoi twój wzburzony umysł.

- Nie był wzburzony. Ale teraz już tak. Jesteś wampirem, prawda? To jest statek wampiratów.

Uśmiechnęła się.

- Och, imiona... Ochrzczono mnie jako lady Lolę Elizabeth Mizerykordię Lockwood, ale przez lata dorobiłam się wielu przydomków. Awanturka. Rozbójniczka. Pirat. Czemu więc nie dodać do listy wampirata?

- Czego ode mnie chcesz? W jej oczach znowu zapłonął ogień.

- To całkiem proste. Chcę twojej krwi, John. Jestem pewna, że ma boski smak.

Głęboki i wytrawny, jak podejrzewam.

Kuo zbladł.

- Mojej krwi? - wyjąkał. - Zgadza się, John. Wystarczy na pół skrzynki. Będzie też bardzo cenna, ponieważ jesteś słynnym piratem, dyrektorem Akademii, jednym z przywódców... i tak dalej.

- Jesteś szalona - wybełkotał niepewnie. - Całkiem obłąkana.

- Nazywaj mnie, jak chcesz, John. Już mówiłam, różnie mnie w życiu nazywano. Kuo osunął się na krzesło. Środek nasenny wyraźnie zaczął działać. Komandorowi zostało niewiele energii, ale wyprostował się z wyraźnym wysiłkiem.

- Moi studenci... Zak i Varsha?

- Co z nimi? - zdziwiła się lady Lockwood. - Popatrz, właśnie tu idą.

Rzeczywiście, Angelika prowadziła ich po pokładzie. Ubrani w suche rzeczy, żartowali z dziewczętami z załogi.

- Oszczędź ich - poprosił Kuo. - Ze mną rób, co chcesz, ale ich wypuść. Ja przeżyłem już swoje lata chwały. Oni mają je jeszcze przed sobą...

- Tak, tak. - Lady Lockwood przerwała mu w pół zdania. - Oczywiście, że ich oszczędzę, jeśli tak ci zależy. Poza tym młoda krew jest nieco zbyt cierpka, choć niektóre dziewczęta z mojej załogi mają inne zdanie.

- Inne... Słowa zamarły Kuo na wargach. W oczach Angeliki dostrzegł te same piekielne ognie, co u lady Lockwood. Na szczęście Zak i Varsha niczego nie zauważyli.

- Dobrze się pan czuje, komandorze? - spytała Varsha.

- Błado pan wygląda - dodał Zak. - Może też powinien się pan przebrać? Proszę spojrzeć, jakie ciuchy dla mnie znalazły...

„Całkiem nieświadomi - myślał John Kuo. Mimo wszystkiego, czego uczył ich o zanshin - podwyższonej czujności samuraja, w każdej chwili gotowego stawić czoło niebezpieczeństwu. Ale i on zbyt późno rozpoznał zagrożenie. Teraz za to zapłaci.

- Musicie odejść - wychrypiał. - Lady Lockwood i ja kończymy pewne ważne sprawy.

- Odejść? - zdumiał się Zak. - Dokąd?

- Skif zatonał, komandorze - dodała Varsha. - Nie pamięta pan?

- Tak - odpowiedział, ale jego głos zabrzmiał głucho, jakby dobiegał z daleka.

- On ma rację - zgodziła się lady Lockwood. - Rzeczywiście powinniście odejść.

- Nie możemy zostawić komandora Kuo - oświadczyła Varsha. - Wygląda strasznie.

- Musicie - szepnął Kuo. - Płynicie do brzegu. Czekać przy ogniu na następną zmianę.

Sprowadzą pomoc i zabiorą was do Akademii.

- Płynąć? - zaprotestował Zak. - W nowym ubraniu? Ale czemu?

- Dość tego! - zirytowała się lady Lockwood. - Angeliko, usuń ich ze statku!

- Aj, aj, kapitanie.

Angelika skinęła na trzy towarzyszek. Razem odprowadziły Zaka i Varshę do burty.

- Skaczcie, rybki! - syknęła Angelika. Ogień zapłonął w jej oczach. Zak to zauważył, Varsha nie. W jednej chwili chłopak zrozumiał, co się dzieje. Chwycił koleżankę za rękę i pociągnął za sobą. Oboje runęli do lodowatej wody. Angelika z koleżankami wróciła do pani kapitan.

- Już odpłynęli - poinformowała.

- Wolni? - upewnił się słabym głosem Kuo.

- Tak - potwierdziła lady Lockwood. - Zgodnie z twoim ostatnim życzeniem. Bo to było twoje ostatnie życzenie, jak sądzę?

- Tak - wyszeptał komandor i osunął się na deski pokładu. Angelika spojrzała na lady Lockwood, czekając na rozkazy. Kapitan wstała z krzesła.

- Zabierzcie go do tłoczni - poleciła. - Ale bądźcie ostrożne. - Uśmiechnęła się. - Chcę, żeby później ciało było w idealnym stanie.

- Aj, aj, kapitanie. - Angelika odwróciła się, by wezwać pomoc. I wtedy Kuo wykorzystał okazję. Jednym płynnym ruchem przetoczył się do przodu, wyciągnął z pochwy tolekański rapier i uderzył. Nie miał pojęcia, czy trafienie w serce zabije przeciwniczkę, ale tak czy inaczej było niebezpieczne.

Ona jednak okazała się szybsza. Kiedy zaatakował, po prostu się cofnęła.

- No, no, John... - powiedziała. - Bardzo szybko odzyskałeś siły. Kuo groźnie kierował broń w jej stronę.

- Twój środek nasenny nie miał na mnie wpływu. Dzięki samurajskiej sztuce wykorzystującej siłę woli zważyłem jego działanie. Lady Lockwood posłała mu uśmiech.

- Samurajska sztuka i pretensjonalna gra aktorska - stwierdziła. Skrzyżowała ręce na piersi. - Więc jaki masz plan, mały człowieczku? Chcesz w pojedynkę pokonać całą załogę?

- Nie byłby to pierwszy raz - odparł, patrząc jej w oczy.

- Brawo! - zawołała. - Piękna odpowiedź, John. Zaczynam rozumieć, w jaki sposób zyskałeś swoją imponującą reputację. Rzeczywiście chowasz w zanadrzu parę asów. - Opuściła ręce. - Ale na twoje nieszczęście ja również.

Zaczęła jedną ręką zataczać kręgi wokół drugiej, z początku wolno, potem coraz szybciej. Kuo poczuł, że rapier wibruje mu w dłoni, całkiem jakby kobieta stworzyła pole magnetyczne wrywające mu broń. Rozpaczliwie zacisnął palce na rękojeści.

Ręce lady Lockwood poruszały się coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie nie mógł ich nawet dostrzec.

Kuo poczuł, że jego uchwyt na rękojeści słabnie... Ale nawet wtedy nie był przygotowany na to, co nastąpiło później. Rapier, zamiast upaść na deski, zawisł w powietrzu i skierował się ostrzem ku właścicielowi. Kuo zamarł w bezruchu. Czyżby to był koniec? Ma zginąć przeбитym własnym mieczem? Kiedy będą wspominać wielkiego pirata, Johna Kuo, czy taką opowiedzą historię? Znowu usłyszał wytworny akcent lady Lockwood.

- Mówiłeś, że znasz sztukę samurajów, więc czemu nie umrzesz jak jeden z nich, rzucając się na własny miecz? Czy seppuku nie jest najbardziej honorową śmiercią? Komandor Kuo przyglądał się, jak toledański rapier grozi swemu panu. Teraz zrozumiał, jak w tej sytuacji czuły się setki, może tysiące jego ofiar. A jeśli ta kobieta ma rację? Jeżeli to najlepszy, najbardziej honorowy sposób, by zginąć? Patrzył nieruchomo na lśniącą klingę wykutą wiele lat temu przez mistrza z Toledo.

- Znałam samurajów, Johnie Kuo - rzekła lady Lockwood. - I nie jesteś jednym z nich. Pomyślał o Zaku i Varshy, płynących teraz ku wolności. Pomyślał o uczestnikach wyścigu żeglujących do Akademii. Pomyślał o Cheng Li, która właśnie została kapitanem. Zakończył swoje dzieło. Chwała, którą kiedyś się cieszył, teraz przechodziła na następne pokolenie. To rzeczywiście był właściwy koniec.

Poczuł nagły przyływ adrenaliny i skoczył ku swemu rapierowi. Ze śmiechem rzucił się na klingę. Potem osunął się na pokład, uśmiechnięty w śmierci szerzej niż kiedykolwiek za życia. Lady Lockwood skinęła na otaczające ją podwładne.

- Weźcie go pod pokład - rzekła. - Nie chcę zmarnować ani kropli. Kiedy go podniosły, wyrwała mu z piersi rapier. Ostrze pokryte było gorącą krwią komandora. Lola przejechała po stali palcem, po czym uniosła go do ust. Oczekała, aż smak rozplynie się na podniebieniu, i po chwili wydała werdykt.

- Złożony, ale dobrze zbalansowany bukiet. Agresywny, słodki, z egzotyczną nutą granatu pod koniec. Wyśmienita krew. - Przekazała miecz Angelice.

- Każ go oczyścić. Będzie ładnym dodatkiem do mojej kolekcji. Wracam do kajuty. I niech nikt mi nie przeszkadza.

- Pani kapitan! - zawołała za nią Angelika.

- Tak?

- Ta dwójka studentów... Czy naprawdę chce ich pani puścić wolno?

Lady Lockwood zastanawiała się przez chwilę.

- Właściwie nie mam zdania - stwierdziła. - Zostawiam tę decyzję, moja droga, w twoich jakże sprawnych rękach.

Zak i Varsha płynęli w stronę wyspy.

- Nie damy rady! - zapłakała Varsha. - Wydawało się, że to blisko, ale teraz mam wrażenie, że jest dalej i dalej...

- Po prostu jesteśmy zmęczeni - odparł Zak. - Ale przesuwamy się. Płyn! Widać już ogień! Patrz na niego! Tam poczekamy na pierwszą załogę, która się zjawi!

- A jeśli tamtych też napadną?

- Już po wszystkim - zapewnił ją. - Nie myśl o tym.

- Ale co one zrobiły komandorowi? Co teraz z nim robią?

- Przestań! - wysapał Zak. - Nie chciałby, żebyś o tym myślała. Przypomnij sobie jego wykłady: zanshin i wszystko inne... Musimy być silni i całkowicie się skupić na bezpiecznym powrocie do domu. Na tym by mu zależało.

Varsha, patrząc, jak Zak płynie do brzegu, pomyślała, że może ma rację. Może jednak się uda...

Ale właśnie wtedy coś chlupnęło w wodzie. O kilka metrów od nich wynurzyła się głowa. Kobięca głowa. Potem druga, też kilka metrów dalej, ale z drugiej strony. Potem jeszcze dwie. I następne dwie. I kolejne.

Zak i Varsha zostali otoczeni przez Mariannę, Angelikę i sześć innych dziewcząt z załogi lady Lockwood.

- Witajcie znowu - uśmiechnęła się Angelika. - Jak się wam płynie?

- Zostawcie nas w spokoju - odparł Zak. - Taka była umowa. Komandor Kuo poświęcił się, żebyśmy mogli odejść.

- Tylko sobie pływamy - odpowiedziała Angelika.

- To wolny ocean - dodała Marianna.

- Nie przejmuj się. - Zak popchnął Varshę naprzód. - Płyn dalej.

Para studentów sunęła wolno do brzegu. Dziewczęta lady Lockwood płynęły z nimi, tworząc krąg, jakby ochraniały młodych podopiecznych.

- Nic z tego! - jęknęła Varsha. - Nie dam rady, Zak! Zatrzymała się. Zak nie miał wyboru - nie mógł jej zostawić.

- W takim razie spróbuj rozluźnić ramiona - poradził. - Ale ciągle pracuj nogami. Kobiety także się zatrzymały. A potem nagle zaczęły pływać dokoła studentów. Z uśmiechem. Może była to jakaś dziwaczna zabawa, jednak niekoniecznie niebezpieczna? Zak zastanawiał się, ile jeszcze potrwa przeprawa. W lodowatej wodzie drętwiały mu nogi. Wyczuwał, że i Varsha traci ostatnie siły. Nagle Varsha kichnęła. Potem drugi raz. I trzeci.

Kobiety zachichotały. Zaczęły śpiewać, nie przestając pływać wokół nich:

Kółko graniaste, czworokanciaste.

Kółko nam się połamało,

cztery pensy kosztowało,

a my wszystkie bęc!

Kiedy skończyły, zaśmiały się głośno i zniknęły pod wodą. Zak był zaskoczony. On i Varsha znowu zostali sami.

Od wyspy dzieliło ich już tylko dziesięć metrów, może mniej. Chłopak poczuł przypływ sił. Uśmiechnął się zachęcająco do Varshy.

- Ruszamy - powiedział. - Już niedaleko!

Ale nagle poczuł czyjeś dłonie na kostkach. Ogarnęła go groza, kiedy zrozumiał, jaki los czeka ich oboje. A potem te ręce bezlitośnie pociągnęły bezwolnego Zaka w dół.

Rozdział 20

Zwycięzcy i pokonani

- Już płyną! Ekscytacja przenosiła się na widowni niczym pożar po stepie, kiedy pierwszy z powracających skifów został dostrzeżony u wejścia do przystani.

- Kto to?

- Kapitan Płatonow! - wykrzyknął Connor. - Brawo, Jasmine!

- Nie tak prędko - rzuciła Cheng Li. - Widzę, że pod łukiem przepływa właśnie kolejny skif. To pewnie komandor Kuo.

- Nie! - zawołał Connor. - To kapitan Singh. I szybko dogania Płatonowa. Kolejni dwaj zawodnicy zbliżyli się do kamiennego łuku, oddaleni od siebie o długość łodzi.

- Nie wierzę! - rzucił Connor. - Kapitanowie Solomos i Moscardo wciąż płyną łeb w łeb. Cheng Li opuściła lornetkę i zmarszczyła czoło.

- Czyli komandor Kuo jest na piątym miejscu. Jak na niego to dość słaby wynik. - Nie jest piąty. - Podekscytowany Connor wyciągnął rękę. - Piąta jest kapitan Quivers i Jacoby.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy skif Lisabeth Quivers przemknął pod łukiem, wykorzystał sprzyjający wiatr i zmniejszył dystans do konkurentów. Wody zatoki oświetlało kilka ogni sygnałowych. Tyle rzeczy działo się naraz, że nie wiadomo było, gdzie patrzeć. Kolejny skif zbliżył się do łuku, ale miał zbyt dużą stratę, by poważnie zagrozić czołówce. Kapitan Płatonow wciąż prowadził, a o długość łodzi za nim sunął Singh. Solomos i Moscardo walczyli o trzecie miejsce, ale Quivers z każdą sekundą zmniejszała dystans.

- Dalej, Jasmine! Dalej, Jacoby! - krzyczał Connor. Wokół niego studenci i goście także dopingowali swoich przyjaciół i faworytów. Fale w zatoce były wysokie i spienione. Jedna z nich wyrzuciła w powietrze skif kapitana Moscardo. Lądując, łódź uderzyła o skif kapitana Solomosa, a potem przewróciła się na bok. Tłum wstrzymał oddech. Żaglówki odwiecznych rywali niemal w ostatniej chwili wyeliminowały się z wyścigu.

Uwagę widzów znów przykuli liderzy. Niecała długość łodzi dzieliła skif Płatonowa od skifu Singha. Mniej niż połowa tej długości pozostała między Singhem a Quivers. Connor aż zachrypnął od okrzyków, ale nie miał zamiaru przestawać.

- Dalej, Jacoby! Naprzód, kapitan Quivers!

Kiedy tak krzyczał, skif kapitan Quivers zrównał się ze skifem Singha. Płatonow wciąż prowadził. Łodzie zbliżyły się do mety.

- Dalej! - Dopning widzów wyraźnie się nasilał. To jednak kapitan Płatonow przeciął jako pierwszy linię mety, o pół długości przed kapitan Quivers, a wyraźnie rozczarowany Singh spadł na trzecie miejsce.

- Udało im się! - wykrzyknął z podnieceniem Connor. - Udało się! I Jasmine, i Jacoby'emu!

- O tak - przyznała Cheng Li. - Kapitan Quivers z pewnością pociągnęła ostro na ostatnim etapie. Należą jej się brawa.

- Patrz! - rzucił Connor. - Następne dwa skify przeszły pod łukiem.

- Zobaczymy. - Cheng Li uniosła lornetkę. - Kapitan Grammont i kapitan van Amstel - stwierdziła.

- Więc pozostał tylko Avery i...

- Komandor Kuo - dokończyła. - To nie do pomyślenia, aby Kuo dotarł na dziewiątym czy dziesiątym miejscu! Coś jest nie tak. Idę porozmawiać z Płatonowem.

- Ja też pójdę - rzucił Connor i ruszył za nią, nim zdążyła zaprotestować. Pospiesznie przeszli przez tłum rozbawionych widzów. Na przystani zwycięskie załogi wychodziły z łodzi. Connor zauważył Jasmine, łąpczywie pijącą wodę z butelki. Podbiegł do niej i impulsywnie objął dziewczynę.

- Gratuluję! - zawołał. - Wygraliście!

- Dzięki - odparła. - Było ciężko, ale jakoś się udało.

Tuż przy nich kapitan Płatonow pochylał się nad Cheng Li i kręcił głową.

- Nic nie rozumiem. Komandor Kuo prowadził przez całą pierwszą część wyścigu. Dotarł do wyspy tak szybko, że nawet nie widzieliśmy, jak zawracał. Założyłem, że wygra z nami o milę. Kiedy przepłynęliśmy pod łukiem, naprawdę sądziłem, że walczymy o drugie miejsce. Aż do chwili, gdy spojrzałem na publiczność i zrozumiałem, że skif komandora jeszcze nie dotarł.

- Myśli pan, że ma kłopoty? - spytała, marszcząc brwi i rozglądając się niespokojnie. Płatonow pokręcił głową.

- Sam nie wiem, co myśleć. Porozmawiajmy z Shivajim, zobaczymy, co powie.

- Gratuluję, Pawle - rzekł kapitan Singh, uśmiechając się z przymusem. - Dzielnie walczyłeś.

- Dziękuję. Byłeś godnym przeciwnikiem. A teraz posłuchaj. Rozmawialiśmy z Cheng Li o komandorze Kuo. Nie widziałeś po drodze jego samego albo jego łodzi? Singh pokręcił głową.

- Nie. Twój skif był jedynym, jaki mieliśmy w polu widzenia przez cały wyścig, aż do chwili, gdy na samym końcu wyprzedziła nas Quivers.

- Ktoś tu wymienił moje nazwisko? - Kapitan Quivers w towarzystwie Jacoby'ego i Bastiana dołączyła do grupy. - Przepraszam, że pokonałam cię przed samą metą, Shivaji. Singh zmarszczył czoło.

- Kapitan Quivers, gdzie i kiedy widziała pani po raz ostatni skif komandora Kuo? Lisabeth Quivers natychmiast spoważniała.

- Nie wrócił jeszcze? Nie widziałam go od samego początku wyścigu. Po tym, jak przefrunął pod łukiem Akademii, nie sądziłam, że ktokolwiek ma szansę go dogonić.

- Coś jest nie tak - powtórzyła Cheng Li, a twarz jej poszarzała.

Connor spostrzegł, że pozostali kapitanowie dochodzą do podobnego wniosku. Fala niepokoju ogarnęła publiczność. Wszyscy już wiedzieli, że jeśli łódź komandora Kuo płynie jako ostatnia, musiała mieć poważne kłopoty poza zatoką.

Gdy kapitan Grammont i van Amstel przecięli linię mety, a kapitan Avery przyплыła o kilka długości za nimi, oklaski były już bardzo skąpe. W powszechnej opinii wyścig się zakończył. Naprawdę ważne pytanie brzmiało: gdzie jest komandor Kuo i co mu się przydarzyło.

- Na razie nie ma powodów do paniki - stwierdził kapitan Grammont, który zajął czwarte miejsce (Salamos i Moscardo zostali usunięci z tabeli wyników) i objął dowodzenie jako wieloletni zastępca Kuo.

- Musimy wysłać zwiadowców na poszukiwania - stwierdził kapitan Płatonow.

- Dlaczego tylko zwiadowców? - zapytała Kirstin Larsen. - Wszyscy powinniśmy płynąć.

- Czy naprawdę potrzebna jest cała nasza dziewiątka i zwiadowcy, żeby stworzyć grupę poszukiwawczą? - spytał Singh. - Pewnie istnieje jakieś proste wytłumaczenie. Może zerwany

spinaker? - Słowa wydawały się skierowane do kapitan Larsen, która zmarszczyła brwi i odwróciła się do niego plecami.

- Mówimy tu o komandorze Kuo - przypomniał van Amstel. - Proponuję, abyśmy wszyscy zaczęli go szukać. Nie marnujmy czasu na kłótnie.

- Zgadzą się - rzekł Avery. - Moi aussi - przytaknął kapitan Grammont. - Czas jest istotny. - Ja też chcę popłynąć - powiedziała Cheng Li. - Jeśli nie macie nic przeciwko. Kapitanowie odwrócili się i spojrzeli na nią, a ich twarze nagle stężały.

- Och - odezwała się kapitan Quivers. - To okropne... Właśnie w dniu twojej nominacji.

- Daj spokój, Lisabeth - uspokoił ją Grammont.

- Przecież nie wiemy, czy rzeczywiście zdarzyło się coś złego.

Larsen położyła dłonie na ramionach Cheng Li.

- Mimo to ceremonia została zakłócona. Wiem, że John był nie tylko twoim dowódcą, ale i bliskim przyjacielem.

- Proszę cię - rzucił Grammont. - Nie mów o Johnie w czasie przeszłym.

- Czy to naprawdę konieczne, aby w takiej chwili poprawiać moją gramatykę? - warknęła Larsen, wyraźnie nie rozumiejąc sensu uwagi.

- Oczywiście, że możesz płynąć z nami - oświadczył Grammont, zwracając się do Cheng Li. - Weźmiemy szalupę Akademii.

- Chwileczkę! - odezwał się Płatonow. - Przykro mi, ale jestem innego zdania. Co zrobimy, jeśli stało się coś naprawdę złego? Potraktujmy poważnie możliwość, że komandor Kuo został zaatakowany. Uważam, że to błąd, by wszyscy pędzili z powrotem na morze. A jeśli to element planu napaści na Akademię? W takiej sytuacji tylko pomożemy przeciwnikowi, bo usuniemy ze sceny wszystkich doświadczonych dowódców. To ich zszokowało. Grammont szybko się opanował.

- Jak zawsze, Pawle, twoje słowa są brutalne, ale mądre. Proponuję, żebyśmy się podzielili. Ja, Larsen, Moscardo i Solomos wyruszymy na morze. Z Cheng Li, oczywiście. Reszta zaczeka tutaj.

- Nie tylko zaczeka - odparł Płatonow. - Jeśli coś zagraża Akademii, musimy ewakuować studentów, a przynajmniej przygotować się na atak.

- Nie sądzę, byśmy musieli ewakuować studentów - odparł Grammont. - Po prostu zbierzmy ich w Rotundzie i spróbujmy zachować spokój. Pawle, ty przekażesz zebrany nasze

plany. - Spojrzał jeszcze na Cheng Li i dodał: - Obawiam się, że trzeba też odesłać do domu naszych gości.

Płatonow zasalutował, a potem grupa się rozdzieliła, aby wcielić w życie plan. W końcu to kapitan Quivers musiała poinformować zebranych o sytuacji - uznano, że potrafi wyrażać się delikatniej niż Płatonow. A jednak po Akademii zaczęły krążyć lękliwe komentarze i rozmaite spekulacje.

Connor odszukał pośród zdenerwowanych widzów Jacoby'ego i Jasmine.

- Czy to nie straszne? - rzuciła Jasmine. Jacoby objął dziewczynę.

- Być może jednak nic się nie stało - odparł. - Możliwe są tysiące różnych wyjaśnień. Nawet jeśli komandor Kuo wpadł w jakieś kłopoty...

- I Varsha, i Zak - dodała Jasmine. - Nikt jakoś o nich nie mówi.

- Tak - zgodził się Jacoby. - Ale to byli dobrzy żeglarze, naprawdę dobrzy. Inaczej Kuo by ich nie wybrał, prawda?

- Jak myślicie, co się tam stało? - zapytał Connor. Jacoby tylko pokręcił głową.

- Nie wiem, chłopie. Po prostu nie wiem. W końcu postanowiono, że rozsądniej będzie zebrać studentów w jadalni, a nie w Rotundzie. To, co zaczęło się jako radosna ceremonia, zakończyło nocne czuwanie. Pozostali na lądzie kapitanowie próbowali dodawać otuchy studentom, ale atmosfera była raczej ponura. Poczucie osaczenia wzrosło zwłaszcza wtedy, gdy zerwała się tropikalna burza. Raz po raz wszyscy zadawali sobie to samo pytanie: co się wydarzyło? Kiedy wróci grupa ratunkowa?

Za każdym razem, kiedy któryś z kapitanów wchodził do sali, rozmowy cichły w oczekiwaniu na wieści. Ale na próżno. Gdy upłynęły minuty, a potem godziny, kapitan Quivers musiała raz jeszcze wystąpić i poprosić uczniów o uwagę.

- Jest już późno i nic więcej nie zdołamy zrobić. Poszukiwania Varshy, Zaka i komandora Kuo będą trwały przez całą noc. Wracajcie do swoich pokojów i spróbujcie odpocząć. Miejcie zaginionych w swoich sercach. Możecie pomodlić się o ich szczęśliwy powrót, ale nie pozwólcie, by opanował was lęk. W imieniu wszystkich kapitanów chcę wyrazić nadzieję, że jutro rano będziemy mieli dla was dobre nowiny.

Studenci rozeszli się powoli, zmęczeni burzliwym, niespokojnym dniem.

Connor, Jasmine, Jacoby i Aamir szli wzdłuż nabrzeża. Było mokro po krótkiej, gwałtownej ulewie. Wokół stały nadal przemoczone puste rzędy krzeseł ustawionych z okazji

nominacji Cheng Li - w świetle księżyca przypominały miasteczko duchów. Jednak cztery pary oczu spoglądały w inną stronę. Spacerujący całą uwagę skupili na wodach zatoki, w nadziei, że lada chwila powróci grupa poszukiwawcza z dobrymi wiadomościami. - Patrzcie! - Aamir wyciągnął rękę. - Płynie jedna z naszych łodzi.

Z podnieceniem patrzyli, jak łódź przesuwa się pod łukiem Akademii i podpływa do nabrzeża. Szalupa była rześcicie oświetlona, a jej przybycie zauważyli wszyscy studenci i pracownicy w ogrodach Akademii.

Łodzią przyплыли kapitanowie Rene Grammont, Kirsten Larsen, Francisco Moscardo, Apostolos Solomos i Cheng Li. Ich pobladłe twarze nie wróżyły nic dobrego.

- Nie ma po nich śladu - oznajmił kapitan Grammont. - A jest już za ciemno, aby prowadzić dalsze poszukiwania. Zwiadowcy pozostaną na wyspie. Rano wznowimy akcję ratunkową.

Connor spojrział na Cheng Li. Jej twarz wydała się bez wyrazu. Przypomnił sobie, jak szczęśliwa i pogodna była jeszcze parę godzin temu, podczas nominacji. A teraz wszystko się zmieniło.

- Nic na to nie poradzę, że obawiam się najgorszego - powiedziała, nie umiejąc zachować spokoju przy Connorze i pozostałych.

Oni z kolei nie potrafili jej pocieszyć. Kapitan Grammont wziął dziewczynę pod ramię i poprowadził na górę. „Nie tak powinien zakończyć się dla niej ten dzień” - myślał Connor. Poranek okazał się bezchmurny i upalny. Connor wstał wcześniej i choć nie spał długo, czuł energię i gotowość do pracy. Jacoby, który zajmował sąsiednie posłanie, spał jak kamień, chrapiąc przy tym głośno. „Ale ostatecznie poprzedniego dnia uczestniczył w dwugodzinnym wyścigu” - usprawiedliwił przyjaciela Connor, ubierając się i wychodząc z pokoju. W ogrodzie chłopak zauważył drobną sylwetkę stojącą na podium przy nabrzeżu. Była to Cheng Li. Wpatrywała się w morze.

- Wszystko na nic - powiedziała. - Od dzisiaj jestem kapitanem, ale za bardzo się martwię o Kuo, żeby myśleć o czymkolwiek innym.

Connor pokiwał głową. Wydała mu się bezbronna i samotna. Miał ochotę podejść do niej i objąć ją ramieniem, ale jak zwykle nie bardzo wiedział, jak się przy niej zachować. W jednej chwili potrafiła zmienić się z przygnębionej przyjaciółki w wyniosłego dowódcę.

- Pani Li! Panie Tempest! - zawołał do nich z tarasu kapitan Moscardo. Z entuzjazmem machał ręką.

- Szybko! - rzuciła Li. - Na pewno ma jakieś wieści. Pognali w górę po zboczu.

- Przybiegłem najszybciej, jak mogłem - powiedział zdyszany Moscardo. - Podobno komandor Kuo wrócił! Jest teraz w swoim gabinecie.

Cheng Li uśmiechnęła się szeroko. „Zupełnie jakby słońce wynurzyło się zza chmur” - pomyślał Connor. Choć była rozczarowana przerwana ceremonią, wiedział, że przede wszystkim martwi się o starego przyjaciela.

- Chodźmy! - zawołała i pociągnęła za sobą Connora. Drzwi do gabinetu dyrektora stały otworem. Francisco Moscardo odsunął się, przepuszczając Cheng Li i Connora.

Wewnątrz odkryli, że wyprzedził ich kapitan Grammont. Stał przed biurkiem komandora Kuo, ale minę miał nie radosną, lecz przerażoną. Connor się zdziwił.

- O co chodzi? - zapytała Cheng Li, wyrażając także myśli Connora. - Kapitan Moscardo powiedział, że wrócił komandor Kuo. I że jest w gabinecie.

- To prawda... w pewnym sensie - odparł Grammont. - Nie wiedział przecież, w jakiej wrócił postaci. Proszę, bądźcie gotowi na wstrząs.

Na wstrząs? O czym on mówi? Zrozumieli dopiero, gdy odsunął się od biurka. Za nim rzeczywiście siedział w fotelu komandor Kuo, tyle że nieruchomy i ze szklistymi oczami. Jego ciało było pozbawione krwi.

- Przykro mi - rzekł Grammont, spuszczać głowę. - Żałuję, że nie potrafiłem was lepiej przygotować.

Ale jakie słowa mogłyby ich lepiej przygotować na ten przerażający i absurdalny widok? Komandor Kuo był martwy, bez wątpienia. Ubrany jak za życia, siedział przy biurku z jedną ręką na blacie, jakby chciał im coś pokazać.

- Co to jest? - spytała Cheng Li. - On coś trzyma w palcach.

- To karta - stwierdził Connor.

- Tak - przyznał kapitan Grammont. - Ale dość dziwna karta. Widzicie? To królowa kier, ale nie czerwona. Czarna.

Rozdział 21

Światło poranka

Było to piątego dnia podróży do Zatoki Księżycowej. Grace stała na górnym pokładzie Nokturnu. W pewnym sensie powrót na statek był dla niej czymś całkiem naturalnym, ale musiała przywyknąć do nieobecności kapitana. Po rozmowie z mistrzem żywiła nadzieję, że dowódca wróci, że potrzebuje jedynie czasu, aby wyleczyć rany. Z drugiej strony, po wszystkim, co jej opowiedziała i pokazała Sally, Grace patrzyła na statek nowymi oczami. Dziwna, ale i cudowna była myśl, że na tym pokładzie stała jej matka. Że tutaj dzieliła się z przyjaciółkami olejkiem do opalania i słuchała dźwięków gitary. Sally wydawała się krucha i delikatna, ale Grace widziała ją taką, jaką była wtedy - pełną życia. Oparta o reling, powróciła myślami do pierwszego spotkania matki z ojcem, który siedział na skale, na ręczniku w biało-czerwone paski. I nagle coś sobie przypomniała: przecież ona знаła ten ręcznik! Znalazła go podczas sprzątanía szafy z pościelą. Czerwień pojaśniała do bladego różu, a włókna były przetarte przez czas i morską sól, więc chciała wyrzucić ręcznik do śmieci, ale gdy ojciec zauważył, podniósł go czule, jakby to było niemowlę.

- Myślę, że ten ręcznik ma jeszcze przed sobą trochę życia - powiedział wtedy do Grace i mrugnął porozumiewawczo.

Patrzyła zdumiona, jak składa go starannie i bez dalszych wyjaśnień chowa na półkę. Teraz to wszystko nabrało sensu.

Zamyślona Grace nie zwróciła uwagi na młodego człowieka, który biegł po pokładzie w jej stronę. Kiedy mijał dziewczynę, poślizgnął się na plamie morskiej piany. Oboje upadli na deski.

- Tak mi przykro - powiedział, pomagając Grace wstać. - Nic ci się nie stało?

- Nie - odparła. - Wszystko w porządku. Nie przejmuj się, to moja wina. Myślałam o czym innym.

- Rzeczywiście wyglądałaś na zamyśloną - przyznał. - A co tak zaprzęta twoje myśli?

- To długa historia.

- Długie historie lubię najbardziej.

Grace odsunęła się nieco, by móc go lepiej obejrzeć. Był dość przystojny, miał krótko ścięte włosy, szare oczy i szczupłą sylwetkę.

- Codziennie biegasz? - spytała. - Zawsze. Oni lubią, gdy jesteśmy w dobrej formie. - My? - powtórzyła. - My, donorzy - wyjaśnił. - A więc jesteś donorem? - spytała. „Jak moja matka” - pomyślała. - Tak. - Młody człowiek kiwnął głową. - Chociaż mój wampirat uciekł ze statku razem z Sidoriem i buntownikami. - Podciągnął koszulkę, odsłaniając brzydką ranę na piersi. - A zanim uciekł, był dość brutalny.

Grace zmarszczyła brwi.

- Wygląda paskudnie. Donor wzruszył ramionami.

- Wielu oberwało gorzej. Ale podobno szybko się zagoi. Grace zamyśliła się znowu.

- Jeżeli twój wampirat opuścił statek, to co się teraz z tobą stanie? - Przypomniała sobie Shanti.

- Dla donora to przecież niebezpieczne, jeśli nie ma partnera? Młody człowiek kiwnął głową z uśmiechem.

- Na szczęście dostałem już nowego wampirata do pary. Tym razem jestem pewien, że mnie nie poharata. To sympatyczny gość, nazywa się Lorcan Furey.

- Lorcan! - wykrzyknęła Grace.

- Znasz go?

Przytaknęła.

- Czekaj! - rzucił donor. - Chyba się domyślam, kim jesteś. Grace, prawda? Zarumieniła się.

- Tak, zgadza się. Jestem Grace. A ty?

- Och, przepraszam. - Wyciągnął rękę. - Mam na imię Oskar. Cieszę się, że cię poznałem, Grace. Lorcan dużo mi o tobie opowiadał. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. Grace przypomniała sobie napięte stosunki z Shanti.

- Tak, byłoby miło.

- Co właściwie teraz robisz? - spytał. - Chciałbym lepiej cię poznać.

Zawahala się.

- Co się stało? Musisz gdzieś iść?

Grace błyskawicznie podjęła decyzję. W końcu minie sporo czasu, zanim dopłyną do zatoki, a Sally wciąż spała.

- Nie, nigdzie się nie wybieram - powiedziała. - Ale jedno chcę zaznaczyć bardzo wyraźnie: nie biegam! Roześmiała się serdecznie.

- Nie ma sprawy. Zaliczyłem już dziś odpowiedni dystans. Siądźmy gdzieś i pogadajmy! Piękny poranek! W taki dzień warto świętować sam fakt, że się żyje! Grace posłała mu uśmiech. Oskar emanował ciepłem i energią jak poranne słońce. Właśnie tego potrzebowała.

Spędziła z Oskarem kilka godzin. Rzeczywiście był miłym towarzyszem i po tym jednym wspólnym poranku miała wrażenie, że zna go lepiej, niż kiedykolwiek poznała Shanti.

„Znalazłam nowego przyjaciela” - myślała z pewną satysfakcją. - A co ważniejsze, takiego, który nie przesypia całego dnia...”. Ale przecież zawsze mogła nawiązywać przyjaźnie z donorami na pokładzie Nokturnu. Czemu nie robiła tego wcześniej? Zupełnie jakby fascynacja wampirami przyćmiła zdrowy rozsądek. Poza tym chęć bycia jak wampiraci odrywała ją od dziennego trybu życia. „A może to coś więcej - pomyślała. - Może gdyby miała wybór między donorami a wampirami, zawsze wybierałaby wampirów? Tak jak mówił Connor”.

Grace się otrząsnęła. Oskar patrzył na nią, nieco zdziwiony.

- O czym myślałaś? - zapytał. Nie była pewna, czy chce mu powiedzieć, więc zmieniła temat.

- To zabawne, że jesteś donorem Lorcana - powiedziała. Uniósł brew.

- W jakim sensie zabawne?

- Mam na myśli to, że jesteś chłopcem, a jednocześnie donorem Lorcana - odparła, pąsowiejąc, Grace. - Shanti była dziewczyną, więc chyba zakładałam, że jej następcą... Oskar wzruszył ramionami.

- Wielu wampirów ma partnerów tej samej płci. Kiwnęła głową. Przypomniała sobie, że widziała to na własne oczy podczas Uczty.

- Grace, wiem, że ty i Shanti nie byliście w najlepszych stosunkach. Lorcan mi mówił. Bardzo mu zależało, żeby znaleźć donora, który się z tobą dogada. To ją zaskoczyło.

- Tak powiedział? Oskar skinął głową.

- Jesteś dla niego bardzo ważna. Nie, nie powiedział tego wprost, ale nie musiał. Jego uczucia do ciebie są aż nadto widoczne. - Uśmiechnął się. - Grace, mówiłem poważnie o tym, że chcę się z tobą zaprzyjaźnić. Lorcan to równy gość, ale jestem dla niego tylko RRK.

- RRK? - zdziwiła się Grace.
- Ruchomą Rezerwą Krwi - odparł z uśmiechem.
- Nie - zaprotestowała. - Nie mów o sobie w ten sposób.

Oskar wzruszył ramionami.

- W porządku. Nie mam złudzeń. Wiem, co tutaj robię. Miałem swoje powody, by podjąć taką decyzję, i rozumiem, na czym polega układ. Grace przyjrzała mu się uważnie.

- W takim razie dlaczego tu jesteś? - spytała - Jeśli to nie nazbyt osobiste pytanie... Chciała usłyszeć odpowiedź także dlatego, że interesowały ją motywy matki. Jediną rzecz, o której Sally nie chciała rozmawiać, był powód związania się z wampirami.

- Nie ma sprawy - odparł z uśmiechem. - Widzisz, Grace, jestem fajnym facetem, co nie? I dostałem złoty bilet do nieśmiertelności. Innymi słowy: mogę podróżować po świecie i cały czas być taki młody i przystojny. - Mrugnął porozumiewawczo.

Grace z początku miała ochotę odrzucić wyjaśnienia Oskara jako powierzchowne, ale może niesłusznie? Współczesne życie było trudne. Wiedziała coś o tym, dorastając na granicy ubóstwa w małym zatęchłym miasteczku. Czy nie stawała często przy oknie latarni i nie spoglądała na wody zatoki, tęskniąc za ucieczką i przygodą? Ją przygoda sama odnalazła. Lecz gdyby wypadki potoczyły się inaczej, kto wie, dokąd zagnałby ją wiatr? Może nawet zawarłaby ten sam układ co Oskar, a wcześniej Sally? Czy miała prawo ich osądzać? Kto tak naprawdę nie chciałby pozostać na zawsze młody, kto nie miałby ochoty na ciekawe i pozbawione trosk życie? Raz jeszcze pomyślała o Sally. Życie nie spełniło jej oczekiwań. Ale dlaczego? Dlaczego coś poszło nie tak? Z powodu ojca? Czy Sidorii? Czy może obu? Grace miała nadzieję, że podróż przyniesie jakąś odpowiedź.

- Właściwie czemu tak cię interesują relacje między wampirami a donorami? - zapytał Oskar. - Chcesz być donorem?

Grace pokręciła głową, wspominając chwilę, kiedy zaproponowała, że zostanie donorem Lorcana.

- Nie. Ale moja matka była kiedyś donorem. I chyba chcę się dowiedzieć, jak to jest.

- Twoja matka? - zdziwił się Oskar. - A wiesz... wydałaś mi się trochę znajoma. Grace się rozpromieniła.

- Znałeś ją! - I nagle coś w jej umyśle zaskoczyło. - Ty jesteś Oskar!

- Tak, Grace, przecież ci mówiłem. - Grasz na gitarze. Miałaś kiedyś dłuższe włosy, ale i tak cię poznaję! Zdziwiony pokręcił głową.

- Poznajesz mnie? Chyba się pogubiłem.

- To skomplikowane. Moja matka ma na imię Sally. Przyjaźniła się z Shanti i Teresą... Oskar patrzył na nią z rozdziawionymi ustami.

- Oczywiście, pamiętam Sally! Jesteś do niej taka podobna. Sam nie wiem, jak mogłem wcześniej nie zauważyć. Co z nią? Gdzie teraz jest?

- Tutaj, na statku - odparła. I znowu twarz Oskara zdradziła jego dezorientację.

- Słyszałeś o duszach, które nosił w sobie kapitan? - spytała. Kiwnął głową, wyraźnie zasmucony.

- Zawsze chciałem wiedzieć, co się z nią stało. Wszystko z nią w porządku?

- Tak, zważywszy okoliczności. Ale jest słaba, bardzo słaba. - Przerwała na moment. - Pewnie o tym wiesz: inne dusze, które wróciły do świata razem z nią, w większości już się rozwiały. - Poczula, jak coś ściska ją w gardle. - Ale choć jest bardzo delikatna, jakoś się trzyma. Teraz płyniemy do Zatoki Księżycowej, na grób mojego ojca, Dextera. - Przerwała znowu. - Prosiła o to... Myślę, że to jej pomoże...

- Dextera też pamiętam. - Oskar się uśmiechnął.

- Świetny facet. Naprawdę wesoły. - Urwał. - Czyli zabierasz Sally do domu?

Grace wzruszyła ramionami.

- To nie jest jej dom. Nigdy tam nie była. Nie jestem nawet pewna, czy to jeszcze mój dom. Ale mam wiele miłych wspomnień związanych z tym miejscem. Tyle że nie został tam nikt z moich bliskich. Tata nie żyje, Connor jest gdzieś na morzu... Właściwie nie mam po co wracać.

- Grace poczuła narastającą panikę. - Nie sądzę, abym w ogóle miała jakiś dom.

- Rozumiem, co czujesz. Mnie też się tak kiedyś wydawało. Ale, wiesz, może tak naprawdę dom to nie jest miejsce. Może to uczucie, jakie cię ogarnia, gdy jesteś z ludźmi, którzy są dla ciebie ważni. Może twój dom jest właśnie tutaj, na pokładzie tego statku. Grace zastanawiała się przez chwilę.

- Tak - przyznała w końcu, nagle uspokojona.

- Tak, myślę, że to może być prawda.

Przez jakiś czas oboje siedzieli w milczeniu, patrząc na fale, wystawiając twarze na bryzę słońce.

Nagle Grace zobaczyła coś przed nimi.

- Oskar! - krzyknęła i zerwała się na równe nogi. Parsknął śmiechem i przycisnął dłoń do piersi.

- Uważaj, Grace! Taki okrzyk mógłby zbudzić umarłego.

- Przepraszam - powiedziała. - Przepraszam, ale myślę, że jesteśmy już na miejscu. Patrz, latarnia! Moja latarnia!

Była zaskoczona głębią własnych emocji. Może jednak Zatoka Księżycowa znaczyła dla niej więcej, niż chciała przyznać?

Latarnia w biało-czerwone pasy była widoczna wysoko na urwisku.

- Muszę iść po mamę! Z pewnością zechce to zobaczyć. Chodź ze mną, szybko! Przebiegli przez pokład i minęli drzwi prowadzące do labiryntu korytarzy. Grace była już bez tchu, kiedy zastukała do kajuty Sally.

- Mamó! Nie śpisz? Mogę wejść?

- Proszę! - odpowiedział ze środka podniecony głos Sally.

Matka wcale nie leżała w łóżku, jak się spodziewała Grace. Siedziała na krześle przy bulaju i spoglądała na morze. Odwróciła się z uśmiechem.

- Dotarliśmy na miejsce, prawda?

- Tak - potwierdziła córka. - Widzisz latarnię?

Sally kiwnęła głową.

- Tak, kochanie.

- Widok z pokładu jest o wiele lepszy - dodał Oskar, wsuwając do wnętrza swoją przystojną twarz.

- Oskar! - wykrzyknęła zachwycona jego widokiem Sally.

- Sally! - Podeszedł i ucałował ją w oba policzki. - Cudownie zobaczyć cię znowu po tylu latach.

- W oczach błysnęły mu łzy.

- Wciąż jesteś wrażliwym artystą, jak widzę. - Sally z uśmiechem pokręciła głową. - A jeśli na górze widok jest o tyle lepszy, to czemu tkwimy tu na dole jak trzy sieroty?

- Masz rację - stwierdziła Grace. - Idziemy!

Dotarli na pokład w chwili, gdy Nokturn mijał ostatni skalisty cypel przesłaniający cel wyprawy.

Sally wstrzymała oddech, kiedy w polu widzenia pojawiło się nadmorskie miasteczko.
Ścisnęła dłoń Grace. .

- Więc to tutaj. To naprawdę tu! Zatoka Księżycowa!

Rozdział 22

Misja

Tygrys wciąż stał zacumowany w przystani Akademii Piractwa. Jego pierwszy rejs opóźniał się z powodu tragedii podczas Kapitańskiego Wyścigu. Connor, podobnie jak reszta załogi, coraz bardziej czuł się jak w klatce. „Pora rozwinąć żagle i wypłynąć na ocean” - myślał. Co mogą jeszcze poradzić? Oczywiście, to, co się zdarzyło, było straszne. Przeróżające. Nieopisane. Ale piraci powinni pływać po morzu, nie zaś tkwić w przystani Akademii. To miejsce łączyło się dla Connora ze zbyt wieloma przykrymi wspomnieniami, by mógł czuć się dobrze w murach szkoły - nawet niezależnie od morderstwa popełnionego w dniu nominacji Cheng Li.

- Tempest! - zawołał ktoś z załogi. - Jest tam Connor Tempest?

- Tutaj! - krzyknął i podskoczył, by łatwiej go było zobaczyć.

- Kapitan Li chce cię widzieć. W swojej kajucie. Natychmiast.

- Aj, aj - odpowiedział Connor, uśmiechając się pod nosem. Czy Cheng Li kiedykolwiek nie chciała, aby jej polecenia zostały wykonane natychmiast?

Przebiegł po pokładzie do korytarza prowadzącego do kajuty kapitańskiej. Kiedy zastukał, drzwi od razu się otworzyły.

- Connor - powiedziała Cheng Li. - Czemu tak długo?

- Co się dzieje? - odpowiedział pytaniem, po czym przypomniał sobie, że chyba powinien zwracać się do Cheng bardziej oficjalnie. Ostatecznie była kapitanem, a on zaledwie porucznikiem.

- Wezwali nas na spotkanie - oświadczyła.

- Dobrze. Gdzie? Kiedy?

- W Akademii. Za jakieś trzy minuty. Myślisz, że dobiegniesz na górę w takim czasie?

- No pewnie. - Uśmiechnął się. - Ale o co chodzi?

- Chodzi o Federację - wyjaśniła Cheng Li.

- Och... - Podekscytowanie Connora osłabło. Wcześniejsze spotkania z Federacją nie nastroiły go entuzjastycznie. - A czy to nie Jacoby powinien iść z tobą? Jest pierwszym oficerem, a ja tylko porucznikiem.

- Znam rangi członków mojej załogi - odparła surowo. - W normalnej sytuacji towarzyszyłby mi rzeczywiście Jacoby, ale dziś rano udał się na pewną ekspedycję.

- A więc zastępuję zastępcę, tak? Czy staję się przez to drugim oficerem?

- Prawdę mówiąc, poproszono, abyś to właśnie ty pojawił się na spotkaniu - powiedziała Cheng Li.

- A teraz ruszajmy. Nie każmy im czekać. Odgłosy kroków Cheng Li i Connora na marmurowej posadzce zwróciły uwagę sekretarki dyrektora. Panna Martingale uniosła głowę i uśmiechnęła się blado. Jej twarz, jak zauważył Connor, była mokra od łez, które rozmazały kobiecie makijaż. Kiedy zbliżyli się do biurka, sięgnęła po chusteczkę, by osuszyć oczy.

- Witaj, Frances - odezwała się Cheng Li. - Jak się dziś czujesz?

- Nie za dobrze - odparła. - To był prawdziwy szok.

- Tak... Dla nas wszystkich John Kuo był kimś wyjątkowym: wybitnym piratem, niezastąpionym nauczycielem i cudownym przyjacielem.

Jej słowa miały pocieszyć sekretarkę, ale zdawało się, że wywarły przeciwny efekt. Panna Martingale sięgnęła po kolejną chusteczkę. Cheng Li odczekała cierpliwie, a potem podjęła cichym głosem:

- Frances, przykro mi, że w takiej chwili musimy wracać do obowiązków, ale wezwano nas tutaj na spotkanie z kimś z Federacji.

- Tak. - Sekretarka kiwnęła głową. - Mówili, że przyjdziecie. Zajrzę tylko do gabinetu i sprawdzę, czy są gotowi.

Odeszła. Connor zwrócił się do Cheng Li.

- Wiesz właściwie, z kim mamy się spotkać? - Nie. - Pokręciła głową. - John był najwyższym rangą przedstawicielem Federacji, z jakim miałam do czynienia. I stał w hierarchii bardzo wysoko. Przypuszczam, że zastąpił go Rene Grammont. - Słyszac kroki panny Martingale, Cheng dodała: - Zaraz się przekonamy.

- Już na was czekają - oznajmiła sekretarka. - Przejdźcie korytarzem... ale przecież znacie drogę... do gabinetu dyrektora.

Umilkła zasmucona.

- Tak - zapewniła ją Cheng Li. - Nie przejmuj się nami. Trafimy. - A kiedy wyszli, odwróciła się do Connora. - Biedactwo. Była taka oddana Johnowi. Zresztą jak my wszyscy. Connor pokiwał głową. Uznał, że w takiej chwili lepiej zachować myśli dla siebie. Cheng Li zapukała. Ujrzeni znajomą twarz kapitana Rene Grammonta.

- Pani Li... Och, proszę o wybaczenie... kapitan Li. I pan Tempest. Wejdźcie, proszę. „No tak - pomyślał Connor. - Cheng Li zgadła. Grammont zastąpił Kuo na jego stanowisku w Federacji”. Chłopak lubił Grammonta. Wydawał się bardziej godny zaufania od poprzednika. Mimo to Connor postanowił mieć się na baczności.

- Miło pana widzieć, kapitanie - powiedziała Cheng Li, kiedy ucałował ją na dzień dobry. - Nawet w tak smutnych okolicznościach.

- Rzeczywiście smutnych - zgodził się Grammont. Ucisnął Connorowi rękę. - Powiedz, jak się trzyma reszta twojej załogi?

- Ludzie są wzburzeni. Ale gotowi wciągnąć żagle. Myślę, że tego właśnie chciałby John i studenci.

- Chyba tak. No cóż, jestem pewien, że Tygrys nie zabawi tu długo. Właściwie to mamy dla ciebie ważne wiadomości...

- Mamy? - Cheng Li pytająco uniosła brew. W odpowiedzi kapitan Grammont wskazał ruchem głowy postać, której ani Cheng, ani Connor nie zauważyli, wchodząc do gabinetu. Mężczyzna stał plecami do nich w cieniu drzwi balkonowych za biurkiem komandora. Teraz się odwrócił i zmierzył ich wzrokiem. Nosił szarobłękitny uniform. Chociaż widzieli go już w pełnym świetle, trudno było ocenić jego wiek. Twarz miał dziwnie pozbawioną zmarszczek, nosił wąsy i kosią brodkę. Jego lewe oko przesłaniała opaska. Prawe miało kolor głębokiego fioleto.

- Kapitan Li, panie Tempest, pozwólcie... To komandor Ahab M. Black... Connor widział, że Cheng Li też jest zaskoczona, ale jak zwykle nie dała nic po sobie poznać.

- Komandorze Black... Bardzo mi miło.

- Kapitan Li - odparł, ściskając jej dłoń. - Wiele dobrego słyszałem o pani.

- Dziękuję. Chciałabym zrewanżować się podobnym komplementem, ale, niestety, nie znam pańskiego nazwiska. Jest pan nowym członkiem Federacji?

Komandor Black patrzył na nią w milczeniu. Kapitan Grammont musiał sam wyjaśnić.

- Komandor Black był zwierzchnikiem Johna. Fakt, że nie słyszałaś o nim do tej chwili, jest wynikiem polityki Federacji. Na najwyższych szczeblach zachowujemy dużą ostrożność.

Black skinął głową.

- Tak to mniej więcej wygląda. Dziękuję ci, Rene - odparł bez uśmiechu. - Możesz już iść.

Dalej poradzę sobie sam.

Po minie kapitana Connor poznał, że było to dla niego zaskoczenie. A jednak Grammont jak zwykle okazał się dyplomata.

- Oczywiście. Może później zajrzę na statek - rzucił z uśmiechem do Cheng Li i Connora.

- Moglibyśmy napić się herbaty...

- Bardzo chętnie - odpowiedziała Cheng Li. Obaj starzy piraci zasalutowali i Grammont wyszedł z gabinetu. Ahab Black, który zdaniem Connora jeszcze gorzej od Cheng radził sobie z kontaktami z ludźmi, znowu się odwrócił i podszedł do okna:

- Możemy usiąść? - spytała Cheng Li i zniechęcona przewróciła oczami. Connor starał się nie roześmiać.

- Siadajcie albo stójcie, jak sobie życzycie - odparł Black. - To nie potrwa długo.

- Dobrze.

Cheng Li zagłębiła się w jednym z dwóch obitych skórą foteli przed dawnym biurkiem Kuo. Skinęła na Connora, by usiadł obok.

- Czasy się zmieniają. I to szybko - oświadczył Ahab Black irytująco bezbarwnym głosem.

- Najwyraźniej - przyznała Cheng Li. Nagle Black odwrócił się i spojrzał na nich bacznie nieprzesłoniętym okiem.

- Federacja ma dla was misję - rzekł. - Już od dłuższego czasu jesteśmy świadomi istnienia statku wampirów-piratów, zwanych również „wampiratami”. Jak podejrzewam, oboje słyszeliście o tym zjawisku?

- Tak - potwierdził Connor.

- Coś obilo mi się o uszy - przyznała ostrożnie Cheng Li.

Connor wyraźnie pamiętał, jak mówiła mu z pełnym przekonaniem, że taki statek nie może istnieć.

O tak, Cheng Li potrafiła zmieniać zdanie...

- Wampiraci nie sprawiali nam dotąd większych kłopotów - ciągnął Black. - Owszem, zdarzały się drobne incydenty, ale panowaliśmy nad sytuacją. Przymykaliśmy, że tak powiem, oko.

„Niezbyst fortunne określenie w ustach kogoś, kto nosi opaskę” - powiedział sobie w duchu Connor.

- Ale teraz wszystko się zmieniło! - Zdrowe oko Blacka błysnęło, głos stał się zimny jak stal. - Atak na komandora Kuo i jego młodych załogantów to wyzwanie rzucone Federacji!

- I myśli pan, że odpowiedzialni są ci... wampiraci? - zapytała Cheng Li.

- Tak. Chcieli uderzyć w nasze dowództwo. A my zrozumieliśmy przekaz i mamy zamiar wysłać odpowiedź.

Connor i Cheng Li słuchali w skupieniu.

- Czas pobłażania dobiegł końca - stwierdził Black. - Od tej chwili Federacja będzie realizować politykę agresji wobec wampiratów. Wykorzenimy tę plagę z naszych mórz i wyeliminujemy zagrożenie dla tego oraz przyszłych pokoleń piratów. - Obiema pięściami uderzył o blat biurka. - Oczyszczymy oceany!

- A jaka jest nasza rola? - spytała Cheng Li.

- Będziecie pierwszą linią na tym froncie. Tygrys zostanie statkiem specjalizującym się w likwidowaniu wampiratów. Zaczniecie od wyeliminowania mordercy Johna Kuo i jego studentów.

- Mam pytanie - wtrącił Connor.

- Ja też - przerwała mu Cheng Li. W jej oczach błyszczało podniecenie. - Na jakie wsparcie możemy liczyć?

- Na najwyższe - odparł Black. - Dostaniecie wszystko, czego wam trzeba. Już teraz ma pani znakomitą załogę. Ale jeśli zażąda pani dodatkowego personelu, to żaden problem.

- Budżet? - spytała Cheng Li.

- Otwarty. Tyle, ile trzeba, żeby wykonać zadanie.

- Potrzebne będą nowe miecze - oświadczyła Cheng Li.

Connor przypomniał sobie skrzynie mieczy niedawno przywiezionych z warsztatu mistrza Yin. Jak dotąd, używano tej broni tylko do ćwiczeń.

- Walczymy teraz z nowym przeciwnikiem - powiedziała Cheng Li, jakby czytała w myślach chłopaka. - Potrzebna będzie nowa broń i studia nie tylko nad bronią, ale i nad strategią walki.

- Zgoda. - Black kiwnął głową. - Myślimy podobnie, pani Li. Widzę, że wybraliśmy właściwego kapitana do tej misji. - Wreszcie się uśmiechnął.

- Wspomniała pani o studiach. W tym moglibyśmy pomóc. - Przeszedł na drugą stronę biurka, otworzył szufladę, wyjął ośmiokątną mozaikową płytkę i podsunął Cheng Li. - Ta łamigłówka jest kluczem do tajnej skrytki zawierającej wszystkie wyniki badań prowadzonych dotąd nad wampirami. Myślę, że będą bardzo pomocne. - Znów się uśmiechnął do Cheng Li. - Są ukryte pod podłogą Rotundy.

Dziewczyna kiwnęła głową, obracając w palcach dziwny ośmiokąt.

- I pomyśleć, że cały czas mieliśmy je pod nosem.

- Spojrzała na Ahaba Blacka. - Czyli Federacja już od lat obserwowała wampirów? - spytała, wyraźnie zaintrygowana.

- Istotnie. Jak powiedziałem, mieliśmy ich na celowniku od dłuższego czasu. I jakoś nie wchodziliśmy sobie wzajemnie w drogę. Ale teraz przekroczyli granicę. Pora im przypomnieć, kto rządzi na oceanach.

Connorowi zrobiło się niedobrze. Musiał coś powiedzieć.

- Zaczekajcie! - zawołał.

Zabrzmiało to gwałtowniej, niż było jego zamiarem, ale skupił na sobie uwagę zarówno Cheng Li, jak i Ahaba Blacka.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem być niegrzeczny. Ale miałem pewne kontakty z wampirami...

- Tak. Dlatego cię wezwałem. Już raz poprowadziłeś na nich atak. Bardzo bohatersko, jak twierdzą moje źródła. Spaliłeś statek i unicestwiłeś ich.

- To nie było takie proste - odparł Connor. - Niektórych uśmierciliśmy, ale nie wszystkich. Ten najsilniejszy, Sidorio, przeżył.

- Nie szkodzi. Nazwijmy to pierwszą próbą. Ćwiczeniem. Ale od tej chwili spodziewamy się od was stuprocentowej skuteczności.

- Nawet jeśli potrafimy znaleźć sposoby... - zaczął Connor.

- Znajdziecie - oświadczył Black. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Jeśli nawet - nie ustępował chłopiec - to nie wszyscy wampiry są mordercami. Owszem, jest załoga buntowników. Ale to raczej wyjątek niż reguła. Inni... No przecież sam pan mówił, że pływamy z nimi po morzach już od dawna...

Pocił się. Zdawał sobie sprawę z wysokości stawki. Myślał o Grace - nie wiedział, gdzie jest teraz, ale był pewien, że wśród wampirów. Myślał również o kapitanie wampirów, o ich

spotkaniu u Mamy Kettle, kiedy ten poradził Connorowi, żeby zaatakować buntowników ogniem. I to się udało. Może nie w stu procentach, ale się udało. A potem przypomniał sobie coś jeszcze - to dziwne uczucie, kiedy ścisnął dłoń kapitana i był pewien, że trzymał ją już kiedyś, że w jakiś tajemniczy sposób jest z wampirami związany. Głos Blacka wyrwał go z zamyślenia.

- Rozumiem, o co panu chodzi, panie Tempest, ale, jak już mówiłem, zmieniliśmy politykę. Federacja podjęła nieodwołalną decyzję.

- Jest pewien problem - spróbował jeszcze raz Connor. - Nie wszyscy wampiracy są źli...

Te słowa jego samego zaskoczyły. Widocznie Grace zdołała przeciągnąć go na swoją stronę. Wiedział, że miała rację. Ale nie spodziewał się, żeby Federacja zgodziła się z nim albo z siostrą...

- Lepiej zachowaj te przekonania dla siebie, przyjacielu - burknął niechętnie Black. - A jeszcze lepiej: wyrzuć je z umysłu. Jesteś młodym piratem, któremu powierzono ważną misję. I póki zatrudnia cię Federacja Piracka, masz pamiętać, że jedyny dobry wampirat to martwy wampirat. Należy wyeliminować tę zakałą, zaczynając od samej góry. Od tego, który zamordował Johna Kuo i twoich kolegów z Akademii!

Connor mógł na to odpowiedzieć, że nigdy nie studiował na Akademii, ale protesty nie miały sensu. Istotnie, był młodym piratem, któremu udało się - wbrew wszelkim przeciwnościom - uzyskać rozwiązanie kontraktu. Teraz jego nowy dowódca - na którym tak bardzo mu zależało - otrzymał misję od samej Federacji Pirackiej. Powinien być dumny i wdzięczny.

Czuł jednak zniechęcenie. „Przecież musi być jakieś wyjście” - myślał. A gdyby pomógł Cheng Li wykonać polecenie Federacji i pozbyć się zbuntowanych wampiratów? W ten sposób zyska na czasie - i na szacunku... Może potem uda mu się przekonać Federację, że istnieją też dobrzy wampiracy, tacy jak kapitan albo Lorcan Furey. Tak... Skłoni Grace do zerwania z wampirami raz na zawsze. To może się udać... Potrzebował jedynie czasu.

- Mam pytanie - odezwał się Black. Patrzył na Connora, nie na Cheng Li. - Czy wiesz, który z wampiratów zabił Johna Kuo i jego studentów?

- Chyba tak. Myślę, że Sidorio. Żaden z pozostałych... No, jestem pewien, że to Sidorio.

- Dobrze. Zatem oto wasz pierwszy cel. Zlikwidujcie tego Sidoria, a potem będziemy działać dalej.

- Nie zawiedziemy pana - zapewniła Blacka Cheng Li.

- Ja też tak sądzę, pani kapitan. Proszę nas powiadomić, gdyby czegoś pani potrzebowała.

- Mam się z panem kontaktować tutaj czy w sztabie Federacji? Black znów się uśmiechnął.

- Będziemy utrzymywać regularne kontakty, pani Li, może być pani pewna. Ta misja jest zbyt ważna dla Federacji... Jeśli się powiedzie, zagwarantuje pani błyskawiczną karierę. A jeśli nie... No cóż, właściwie nie ma takiej opcji.

- Nie znam słowa „przegrana” - uśmiechnęła się Cheng Li. Ahab Black bez słowa odwrócił się do nich plecami. Connor i Cheng Li pozostali na miejscach, niepewni, co powinni zrobić. W końcu pirat spojrzął na nich przez ramię i z lekką irytacją pogładził brodę.

- Co wy tu jeszcze robicie? - zapytał. - Rozmowa skończona.

Rozdział 23

Krwawa łaźnia lady Loli

Na pokładzie Wagabundy wachta zmieniała się o pełnej godzinie, była więc dwunasta, gdy Marianna i Angelika wyszły na pokład. Skinęły głowami Jessamy i Camilli, które, uwolnione od obowiązków, zeszyły na dół.

- Sterburta czy bakburta? - spytała koleżankę Marianna. Angelika zastanawiała się przez moment.

- Ty weź bakburtę. Ja sterburtę. Marianna kiwnęła głową i przeszła na lewą stronę statku, Angelika zaś ruszyła na prawo. Ich latarnie kołysały się na wietrze niczym świetliki.

- Angeliko! Przenikliwy okrzyk towarzyszki sprawił, że dziewczyna natychmiast się odwróciła i pobiegła z powrotem. Zobaczyła potężnego, dobrze zbudowanego mężczyznę podciągającego się i przechodzącego nad relingiem. Wylądował ciężko na deskach pokładu. Choć z pewnością dopiero co wyszedł z wody, jego ubranie i krótko ścięte włosy wydawały się suche.

- Stój, przybyszu! - zawołała Marianna. Jej latarnia oświetliła szeroki uśmiech i dwa złote kły mężczyzny. - Kim jesteś i skąd się tu wzięłeś?

- Daj spokój z tym przedstawieniem - odparł.

- Dobrze wiesz, że jestem Sidorio, król wampiratów. A teraz zaprowadźcie mnie do swojej kapitan.

Marianna i Angelika wymieniły spojrzenia, a potem zwróciły się do intruza.

- Nie może pan teraz zobaczyć naszej kapitan - oświadczyła Marianna. - Jest zajęta. Sidorio wzruszył ramionami.

- Zaczekam. Angelika zmarszczyła brwi.

- Dała nam bardzo wyraźne instrukcje. Nie oczekuje pana, prawda? Uśmiechnął się szeroko.

- To, że się mnie nie spodziewa, jeszcze nie znaczy, że nie chce mnie widzieć.

- Jest za wcześnie na wizyty towarzyskie - rzuciła Marianna uprzejmie, ale stanowczo. -
Może zechce pan zostawić wizytówkę, a my prześlemy jej wiadomość.

Sidorio postanowił nie marnować więcej czasu. Wyminął je i ruszył w kierunku schodów.

- To oburzające! - poskarżyła się Marianna.

- Proszę wracać! - krzyknęła Angelika.

Ale Sidorio nie zważał na nie. Zszedł pod pokład i ruszył korytarzem. Otwierał kolejne drzwi, witany okrzykami irytacji i zdenerwowania. Podwładne lady Lockwood z zaciekawieniem wyglądały na korytarz.

- Co się dzieje?! - krzyknęła jedna.

- Co to za jeden?! - zawołała inna.

Mężczyznom na ogół nie było wolno wchodzić na pokład Wagabundy.

- Ma na imię Sidorio! - zawołała Marianna, biegnąc za intruzem.

- Mówi, że chce się zobaczyć z kapitan - dodała Angelika.

Donośny głos, czysty jak kryształ, przeciął powietrze.

- Kto chce się ze mną zobaczyć? Marianna i Angelika równocześnie otworzyły usta, ale już zagrzmiała odpowiedź:

- Sidorio, król wampiratów!

Intruz zatrzymał się wreszcie i spojrzał na podwójne złoczone drzwi na końcu korytarza. Dobiegł zza nich głośny śmiech.

- Co za urocza niespodzianka! Witaj na Wagabundzie, Sidorio. Jedną chwileczkę, jestem trochę niegotowa.

Głos jakby wmurował Sidorio w podłogę, co dało Mariannie i Angelice szansę, żeby go dogonić. Po około minucie drzwi się otworzyły.

- Wejdz! - zawołała lady Lockwood.

Sidorio wkroczył do kajuty. Zmarszczył nos, gdy poczuł przenikliwą woń. Wewnątrz nie paliła się bowiem lampa, lecz świece - setki świec. Pachniały jak kwiaty. A nie był to ulubiony zapach Sidorio.

- Przykro mi, pani kapitan - odezwała się Angelika, wchodząc za Sidorium. -
Próbowałyśmy go zatrzymać - dodała Marianna. - Ale był bardzo uparty. - Wszystko w porządku. - Lady Lockwood wynurzyła się z ciemności. - Teraz ja się nim zajmę. - Posłała

uśmiech podwładnym, po czym skupiła uwagę na przybyszu. - Sidorio - powiedziała - dotrzymałeś słowa. Znów się spotykamy!

- Tak - odparł. - Przyszedłem podziękować za twoje małe upominki. - Jak rozumiem, Winnica Czarnego Serca to ty?

- Tak - potwierdziła lady Lockwood. - Może jednak wejdiesz? Na korytarzu jest trochę chłodno.

Dopiero teraz Sidorio dostrzegł, że lady Lockwood ma na sobie tylko jedwabny szlafroczek. Wyczuwając jego zakłopotanie, uśmiechnęła się lekko.

- Proszę mi wybaczyć déshabillé, sir. Nie spodziewałam się dzisiaj towarzystwa. A ty przybyłeś w porze kąpieli.

Gestem wskazała wannę w kącie kajuty, wypełnioną czerwoną wodą. A ściślej: z pewnością nie wodą. Raz jeszcze Sidorio zmarszczył nos. Znajomy zapach przebił się przez kwietny aromat zapalonych świec.

- Tak - przyznała. - To krew. Kąpię się w niej co noc. Jak inaczej zachowałamby różaną cerę? - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Ale nie waż się o tym rozpowiadać!

Dziewczyna musi mieć jeden czy dwa sekrety!

Sidorio uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- To, hm, wino było bardzo dobre - powiedział odrobinę speszony. - Zgadza się! Posłałam ci kilka butelek naszych ostatnich roczników. Pomyślałam, że przypadną ci do gustu. - Znów się uśmiechnęła. - Ale dość tych grzeczności. Może usiądziesz?

Wyciągnęła rękę i poprowadziła go do dwóch srebrnych krzeseł przypominających trony. Kiedy usiadł, wzięła kryształową karafkę i napelniła kieliszki. Jeden postawiła przed Sidoriem, a drugi ujęła w smukłe palce.

- Powinniśmy wnieść toast, nie sądzisz? Sidorio wzruszył ramionami i powąchał płyn, który mu podała.

- Bez obaw, to jeden z lepszych bukietów. Młode wino, z delikatną owocową nutą. Więc za co wypijemy? Za przyjaźń? Nie, to dość nudne. Za wielkość? Też nie. Myślę, że już ją mamy, prawda? Och, wiem!

- Uniosła kieliszek do toastu. - Za wieczność! Upiła łyk.

- Za wieczność - wymamrotał Sidorio. Jednym haustem wypił zawartość i oblizał wargi.

- No, no. Spragniony chłopak! Cóż, nie brakuje nam trunków, ale może tym razem będziesz dłużej rozkoszował się smakiem? - Wzięła karafkę i dołąła mu wina. - A może coś słodkiego?

Podsunęła Sidoriovi tacę z czymś, co wyglądało jak małe ciemnoczerwone galaretki obsypane kryształkami cukru.

- Jestem wampirem - powiedział, jakby ktoś mógł mieć wątpliwości. - Nie potrzeba mi jedzenia.

- Ależ to nie jest kwestia potrzeby, sir. To tylko łakocie. Od czasu do czasu każdy potrzebuje słodczy. Spróbuj. Zapewniam cię, że są znakomite.

Dość ostrożnie Sidorio wziął jedną z galaretek i wrzucił do ust.

- Smakuje? - spytała. Unosząc brew, kiwnął głową i sięgnął po następną.

- Tak, tak, poczęstuj się. Z doświadczenia wiem, że jedna krwawa galaretka nigdy nie wystarcza. - Zachichotała, a potem dodała jakby mimochodem: - Słyszałeś może ostatnie plotki? O zabójstwie dyrektora i jego małych piratów z Akademii? Straszna sprawa. Sidorio uświadomił sobie, o czym mowa, kiedy sięgał po następną galaretkę.

- To ty ich zabiłaś, prawda? Lady Lola wybuchnęła śmiechem.

- Przyznaję się do winy. Jak mogłabym zaprzeczyć? Byłam trochę znudzona. Prawdę mówiąc, kiedy się nudzę, jestem niebezpieczna dla siebie i dla otoczenia. - Posłała Sidoriovi promienny uśmiech.

- Ale teraz Federacja Piracka wpadła w szal i obawiam się, że to ciebie wskazują jako niegodziwego mordercę dyrektora. Podobno zawiązali elitarną grupę łowców nagród, która ma cię odszukać.

- Niech spróbuje!

- Brawo - pochwaliła go lady Lockwood. - Cieszę się, że nie wzięłaś sobie tego do serca. To bardzo szarmancko z twojej strony.

- Szarmancko? - zdziwił się Sidorio.

- Bierzesz na siebie moje występkę, kiedy ja, że tak powiem, przemykam poniżej radaru.

Sidorio wzruszył ramionami.

- Nie interesują mnie śmiertelnicy i ich śmieszne problemy. - Słusznie, słusznie. - Znów się uśmiechnęła. - Taka jest i moja filozofia. Jeśli ktoś ma mniej niż sto pięćdziesiąt lat, co właściwie może wiedzieć o życiu?

Obawiam się, że dzisiejszy świat zbyt dużą wagę przywiązuje do młodości, a za małą do doświadczenia. Sidorio wyszczerzył zęby.

- Lubię cię. Lubię, jak mówisz.

- Jesteś słodki - zapewniła go lady Lockwood.

- Tak się cieszę, że mnie odwiedziłaś. Naprawdę musimy częściej się spotykać, choć jesteśmy tacy zapracowani. - Podniosła kieliszek do warg i wypła odrobinę. Jej ciemne oczy zamigotały w blasku świec.

Sidorio spojrzał na wannę i jej gęstą zawartość.

- Powinienem już iść. Twoja kąpiel stygnie. - Ach, co tam kąpiel! - zawołała lady Lockwood. - Od dziesięcioleci nie bawiłam się tak dobrze. Poza tym krew nie stygnie przez wiele godzin. A teraz opowiedz mi wszystko o sobie. Chciałabym poznać każdy szczegół twojego życia.

- No cóż. Pochodzę z czasów rzymskich - zaczął.

- Słyszałaś o Cezarze? Juliuszu Cezarze?

- Ależ oczywiście, skarbie, słyszałam. - Rozpromieniła się. - W takim razie przypuszczam, że ty słyszałaś o Kleopatrze?

Kiwnął głową.

- A zatem - oświadczyła lady Lockwood z uśmiechem - mam wrażenie, że znakomicie do siebie pasujemy.

Rozdział 24

Próba komandora Blacka

- Pani kapitan, co to za przedmiot, ten od komandora Blacka? - spytał Jacoby. - Coś w rodzaju łamigłówki?

Idąc szybko w stronę Rotundy w otoczeniu najmłodszych członków załogi, Cheng Li pokręciła głową.

- To klucz - powiedziała. - Do tajnej skrytki. Drzwi do niej znajdują się gdzieś w podłodze Rotundy. Pewnie są pod tą mozaiką w kształcie ośmiornicy.

- Nie przypomina żadnego klucza, jaki widziałem - zauważył Jacoby. - I nigdy nie słyszałem o tajnych drzwiach w Akademii.

- Oczywiście, że nie - odparła Cheng Li. - Gdybyś słyszał, nie byłyby tajne.

- Ale dlaczego komandor Black nie udzielił nam dokładnych instrukcji? - spytał Connor.

- Albo sam nie wie, gdzie są te drzwi - uznała Cheng Li - albo chce nas wypróbować.

- Czyli jeśli zgadniemy, jak użyć klucza, będzie pewien, że jesteśmy gotowi do następnego zadania? - domyśliła się Jasmine.

Connor pokręcił głową.

- To chyba nie jest odpowiednia pora na takie gry. Przecież mamy do rozwiązania sprawę trzech morderstw. Ale Cheng Li spojrzała na Jasmine i kiwnęła głową.

- Czasami Federacja działa dość tajemniczo.

- Czy mogę obejrzeć ten klucz, pani kapitan? - poprosiła Jasmine.

Cheng Li rzuciła jej mozaikowy ośmiobok. Jasmine chwyciła go zręcznie i zaczęła zmieniać położenie ścianek.

- Słyszeliście o kostce Rubika? - spytała. Jacoby spojrzał na nią bezmyślnie.

- To ty jesteś królową łamigłówek. - Zwrócił się do Connora i Cheng Li. - Jasmine niczego nie kocha bardziej od zagadek - stwierdził z uśmiechem. - To sekret naszego związku!

Dłonie Jasmine poruszały się błyskawicznie, przesuwając ruchome części ośmioboku.

- Jest zbudowany z zachodzących na siebie elementów - wyjaśniła. - Zaprojektowany tak, żeby się poruszały.

- Przecież to klucz, Min - zaprotestował Jacoby. - Czy nie powinnaś go zostawić w nienaruszonym stanie? Nie zwalniając tempa, Jasmine wykonała ciąg ruchów.

- Proszę. - Oddała klucz Cheng Li. - To początkowy układ ścianek. Cała czwórka dotarła w końcu do Rotundy, pod wieloma względami stanowiącej serce Akademii Piractwa. Każde z nich miało niezwykle wspomnienia związane z tym pomieszczeniem. Cheng Li, Jacoby i Jasmine podczas studiów w Akademii słuchali tu kapitańskich wykładów i poruszających opowieści o ich pirackich przodkach. Connor był w Rotundzie zaledwie kilka razy, jako gość Akademii. Dla niego najciekawsze okazały się miecze w szklanych gablotach. Kiedy wszedł za pozostałymi do środka, broń za szkłem raz jeszcze przyciągnęła jego wzrok.

Podczas pierwszych odwiedzin chłopak zwrócił uwagę zwłaszcza na toledański rapier należący do komandora Kuo. Teraz rzucał się w oczy jego brak. Niezależnie od osobistych uczuć Connora wobec Kuo to morderstwo było wielkim wstrząsem. A już szczególnie sposób, w jaki zadano śmierć dyrektorowi. Przez świat piratów przetaczała się groźna burza, a Connor miał wrażenie, że utknął w samym oku cyklonu.

- No dobrze - stwierdziła Cheng Li. - Przyjrzyjmy się tej mozaice. Connor właściwie dotąd nie zauważył mozaikowej posadzki, zbyt był zajęty mieczami. Ale teraz obejrzał ją uważnie. Mozaika znajdowała się pod kopułą z umieszczonym za szkłem orężem i była obwiedziona szerokim pierścieniem błękitnych płytek. Wydawało się, że każdy kafelek ma inny odcień - być może miały odzwierciedlać zmienny kolor oceanu. Wewnątrz tego kręgu znajdował się wizerunek dużej ośmiornicy. Lazurowe oczy zwierzęcia patrzyły na Connora. Chłopak wyobraził sobie w myślach Molucca Wrathe'a... Odpędził tę myśl, odwrócił się od hipnotyzujących oczu ośmiornicy i zaczął podziwiać osiem potężnych macek wyciągniętych ku brzegom pierścienia. Cheng Li obracała w dłoniach ośmioboczny klucz.

- To rzeczywiście łamigłówka - stwierdziła. - Wygląda, jakby był brakującym fragmentem mozaiki...

- Ale przecież żadnego kawałka nie brakuje! - zawołał Jacoby.

- Owszem - przyznała Cheng Li. - Tyle wiem sama.

Connor przykucnął, żeby przyrzeć się bliżej podłodze. Przesunął palcami po płytkach... Mieli rację, nie brakowało ani jednego kawałka. To rzeczywiście zagadkowe. Chciał wstać, ale

Jacoby precyzyjnie przesunął się obok niego i Connor na moment stracił równowagę. Kiedy wyciągnął rękę, by się oprzeć, nastąpiło coś dziwnego. Podłoga się poruszyła, a raczej poruszyła się mozaika. Tylko nieznacznie, ale był pewny, że sobie tego nie wyobraził.

- Przepraszam, stary - rzucił Jacoby. Connor pokręcił głową.

- Nie ma sprawy - odparł. Teraz, kiedy znów stał pewnie na nogach, pochylił się i nacisnął brzeg mozaiki.

- Patrzcie! - wykrzyknął z podnieceniem. - Rysunek się obraca. Pomóżcie mi!

Mozaika była zbyt duża, by Connor sam dał sobie radę. Z pomocą pozostałych przesunął ją o sto osiemdziesiąt stopni, odkrywając drugą stronę.

- Coś tu nie gra - stwierdził Jacoby. - Patrzcie, teraz nie ma żadnego wzoru. Tylko jakaś mieszanka różnych...

- Właśnie, że gra! - przerwała mu Jasmine. - Spójrz, tutaj jest luka! To musi być miejsce na klucz.

- Obejrzała się na Cheng Li. - Pani kapitan, chce pani spróbować? Ale Cheng Li z uśmiechem podała ośmiobok Jasmine.

- Proszę czynić honory, porucznik Peacock - poleciła. Pozostali wstrzymali oddech, gdy Jasmine umieściła ośmiobok na wolnym polu. Usłyszeli zgrzyt mechanizmu. Setki płytek tworzących mozaikę znów zaczęły się odwracać.

- Świetnie, Jasmine! - zawołał Jacoby.

Czekali, aż płytki się ułożą. Teraz znowu mieli przed sobą wizerunek ośmiornicy. Klucz umieszczony był w środku jej prawego oka.

- Co teraz? - spytał Connor. Jacoby wzruszył ramionami.

- Efekty nie są imponujące. - Spojrzał na Cheng Li, która wpatrywała się w mozaikę, szukając wskazówek.

- Wydaje mi się, że klucz nie był właściwie skonfigurowany - powiedziała Jasmine, wyjmując ośmiobok z mozaiki. Raz jeszcze zaczęła przesuwając jego ściankami. - Tak już lepiej! Widzicie, jak teraz pasują kolory? Odcienie niebieskiego następują po sobie od najjaśniejszego do najciemniejszego.

- Ślicznie, Min - przyznał Jacoby. - Ale czy to podziała?

- Przekonamy się. - Jasmine znów umieściła klucz w mozaice, zwracając ośmiornicy oko.

Kafelki po raz kolejny zaczęły się obracać. Czwórka piratów patrzyła niecierpliwie. - Myślicie, że wróci do poprzedniego położenia?

- spytał Jacoby. - Nie. - Connor pokręcił głową. - To ciągle ta sama ośmiornica! - Niezupełnie - powiedziała Cheng Li. - Przyjrzyjcie się mackom. Przedtem każda z nich wskazywała krawędź mozaiki. Były rozcapierzone i tworzyły gwiazdę. Teraz leżą parami i się przecinają.

- Masz rację! - przyznała Jasmine. - Słyszycie ten dźwięk? Chyba coś zaczyna się ruszać!

Istotnie - już po chwili mozaika zaczęła sunąć w dół, pod podłogę Rotundy.

- Na co czekamy?! - krzyknął Jacoby i wskoczył na platformę, ciągnąc za sobą Jasmine. - Min, jesteś genialna!

- Dobra robota, porucznik Peacock - pochwaliła dziewczynę Cheng Li, gdy ona i Connor dołączyli do pierwszej pary.

Jechali w dół. Wokół nich unosił się kurz. Chyba od bardzo dawna nikt nie pokonywał tej drogi. Po chwili ich głowy znalazły się na poziomie podłogi Rotundy. Otoczyło ich osiem żelaznych prętów, co sprawiło, że poczuli się jak w klatce. Pręty jednak zapewniały gładką i stabilną jazdę. Wreszcie platforma znieruchomiła.

- Chyba dotarliśmy na miejsce - stwierdziła Cheng Li, przycisnęła się między prętami i weszła w mrok.

Po chwili, gdy ich oczy przywykły do ciemności, pozostali zeszli. Jacoby zeskoczył jako ostatni. Gdy to zrobił, winda ruszyła w górę.

- Chwila! - zawołał. - Platforma odjeżdża!

- Oczywiście - stwierdziła Jasmine. - Musi. Gdy ktoś wejdzie do Rotundy, nie może zauważyć, że coś się zmieniło.

- Rozumiem - odparł Jacoby. - Ale jak my się stąd wydostaniemy? A przede wszystkim: jak w ogóle cokolwiek tu zobaczymy?

To pytanie szybko doczekało się odpowiedzi, gdyż zalało ich mętne niebieskawe światło. Connor spojrział w górę i zobaczył, że na odwrocie platformy również umieszczono wizerunek ośmiornicy. Świeciły jej oczy. Gdy winda zrównała się z podłogą, lampy rozproszyły mrok podziemi. Odkryli, że stoją pośrodku korytarza z szeregiem identycznych drzwi.

- Schowek musi być gdzieś tutaj. - Connor sprawdził najbliższe. Były zamknięte. Następne również.

- Wszystkie są pozamykane? To niby jak mamy znaleźć tę skrytkę?

- Drzwi są ponumerowane... - stwierdziła w zadumie Jasmine. - No i? - spytał Jacoby. - Jak to nam może pomóc? - Chyba już wiem. - Jasmine ruszyła naprzód. Stała przed wybranymi drzwiami i przekreśliła gałkę. Otworzyły się bez oporu. - Tak jak myślałam - powiedziała, odwracając się z uśmiechem do pozostałych. - Ten ośmioboczny klucz był wskazówką. Skrytka jest pod numerem ósmym.

Rozdział 25

Tajna skrytka

- Jak tam? - zapytał Connor, stając obok Jasmine, która zatrzymała się w progu. - Niewiele widać - stwierdziła. - W środku jest ciemno i cuchnie stęchlizną. - Ohyda! - wykrzyknął Jacoby. - Spokojnie - powiedziała Jasmine. - Jeśli będziesz się bał, mogę potrzywać cię za rękę. - W takim razie okropnie, ale to naprawdę okropnie się boję - oświadczył Jacoby i wyciągnął dłoń do dziewczyny.

- Czekajcie! - krzyknęła Cheng Li i dołączyła do nich przed drzwiami. Z surową miną skrzyżowała ręce na piersi. - Muszę przypomnieć waszej trójce, że jesteśmy tu w bardzo poważnej sprawie. - Jej ciemne oczy patrzyły na nich z potępieniem. - Chodzi o morderstwo! Morderstwo naszego dyrektora, jednego z przywódców Federacji Pirackiej i... i przyjaciela. Nie jesteście już dziećmi w szkole. Jesteście piratami, członkami mojej załogi. Zaryzykowałam, powierzając waszej trójce wysokie stanowiska. Nie każcie mi tego żałować.

- Przepraszamy, szefowo - odezwał się zakłopotany Jacoby. - To adrenalina związana z rozwiązywaniem zagadki.

- Tak - poparła go Jasmine. - Dobrze rozumiemy powagę sytuacji. Varsha była jedną z moich najlepszych koleżanek. - W jej oczach błysnęły łzy.

- Trudno mi nawet myśleć o tym, co przeszli ona, Zak i komandor Kuo... Cheng Li odwróciła się do Connora. Widział, że czeka także na jego słowa. Nabrał tchu.

- Moje stosunki z komandorem nie były idealne. Byłbym hipokrytą, gdyby udawał, że jest inaczej. Ale nikt nie zasługuje na taką śmierć.

Cheng Li raz jeszcze przyjrzała się swoim podwładnym.

- No dobrze - rzekła. - Cieszę się, że odbyliśmy tę rozmowę. A teraz ruszamy dalej. W bardziej stosownym stylu.

Odsunęli się, by ją przepuścić, a ona pchnęła drzwi. Jak już zauważyła Jasmine, wewnątrz było ciemno, ale niebieskawe światło z korytarza pozwalało zobaczyć stół, na którym ktoś postawił cztery sztormowe latarnie, świece i pudełko zapalek.

- Chodźcie! - wykrzyknęła Cheng Li. - Zapalimy światło! Z pomocą Connora zajęła się latarniami. Wręczyli po jednej Jasmine i Jacoby'emu, kiedy tamci przekroczyli próg. Teraz wszyscy mogli obejrzeć pomieszczenie - było długie i wąskie, z półkami zastawionymi rzędami segregatorów. Na końcu korytarzyka między półkami stały dwa biurka i kilka krzeseł, a na ścianie za nimi regały z książkami. Na ścianie powyżej wisiało kilka map z wetkniętymi kolorowymi szpilkami. Cheng Li przyjrzała się jednej z nich.

- Fascynujące - mruknęła. Connor stanął przy niej.

- Te mapy... - powiedział. - Są na nich zaznaczone spotkania ze statkiem wampirów, prawda?

Skinęła głową.

- Kto by przypuszczał... Chłopiec uśmiechnął się pod nosem. „Na pewno nie Cheng Li” - pomyślał. Kiedy podczas pierwszego spotkania opowiedział jej, że widział ten statek, z wielką pewnością siebie stwierdziła, że to niemożliwe. Już wtedy wiedział, że Cheng się myli. A teraz wychodziło na jaw, że Federacja Piracka przez cały czas znała prawdę.

- Patrzcie na to. - Jasmine postawiła na biurku jeden z pozornie nieciekawych segregatorów i zajrzała do środka. - Tu jest pełno notatek, niektóre spisane ręcznie, inne maszynowo. To raporty świadków, którzy widzieli wampirów i ich statek.

Cheng Li wyjęła arkusz papieru. Przebiegła po nim wzrokiem.

- Pomyśleć, że to archiwum było tu przez cały czas - powiedziała. - Pod podłogą Akademii.

Z niedowierzaniem potrząsnęła głową, odłożyła kartkę i wzięła następną.

- Słowo „archiwum” brzmi strasznie drętwo i nudno - stwierdził Jacoby, otwierając coś, co wyglądało jak duża szafka szkolna. - Ale tutaj nie ma niczego nudnego!

- Co znalazłeś? - zawołała Cheng Li.

- Chodźcie i popatrzcie!

Wszyscy spojrzeli na niego. Jacoby wysunął w ich stronę parę groźnie wyglądających ostrzy.

- Miecze! - zdziwił się Connor. - Co one tu robią?

- Jacoby! - W głosie Cheng Li zabrzmiało wyraźne ostrzeżenie.

- Przepraszam... - chłopak odłożył miecze i znowu sięgnął do szafki. - Rany, to istna szafka zagłady...

Pomachał im przed nosem dwiema butelkami z etykietami: „UWAGA! TRUCIZNA!”

- Proszę cię, bądź ostrożny - westchnęła Cheng Li. Connorowi udało się w końcu zajrzeć do szafki.

- To wygląda jak laboratorium szalonego naukowca! - oznajmił. - Probówki, fiołki i mnóstwo dziwacznych przyrządów!

- Oczywiście - powiedziała spokojnie Cheng Li.

- Eksperymentowali tutaj.

- Eksperymentowali? - spytali chórem pozostali.

- Czy to nie oczywiste?

- Starali się znaleźć sposoby zabijania wampiratów? - spytała szeptem Jasmine.

- Tak jest. - Cheng Li kiwnęła głową. - Dobrze, że chociaż jedno z was ma dzisiaj włączony mózg.

Ale nie dokończyli pracy. A teraz nam przekazano pałeczkę.

- Nam? - zdumiał się Jacoby.

- Takie otrzymaliśmy zadanie. Tygrys nie będzie zwykłym statkiem Federacji Pirackiej. Powierzono nam wyjątkową misję. Trafimy do kronik jako pierwsza załoga zabójców wampiratów.

- Zabójcy wampiratów? - powtórzył z niedowierzaniem Jacoby. - Będziemy zabijać wampiratów?

Cheng Li cierpliwie pokiwała głową.

- Tak. Zaczynając od tego, który zamordował komandora Kuo. - Czy to nie będzie trochę niebezpieczne? - zapytała Jasmine. - Jak niby mamy walczyć z wampiratami?

- Tak samo jak z innymi przeciwnikami - odparła Cheng Li lodowato. - Przygotujemy się. Nic nie pozostawimy przypadkowi. Przeczytamy wszystkie dokumenty w tym pomieszczeniu. Przyswoimy sobie każdy okrucieństwo informacji zebranych przez Federację. Zapoznamy się ze wszystkimi prowadzonymi tu eksperymentami, a potem będziemy je kontynuować. Musimy wiedzieć, w jaki sposób zabijać wampiratów. Ale najpierw zastanówmy się, jak w ogóle ich zaatakować. Jacoby wytrzeszczył oczy.

- I to jest oficjalna misja Federacji? Ale numer! To znaczy... przepraszam, szefowo.

- Nie musisz przepraszać. Cieszę się, że podchodzisz do tej misji z zaangażowaniem. - Po czym Cheng Li dodała z wyraźną satysfakcją: - Mój statek został wybrany spośród wielu innych do tego zadania.

- Jakie wyznaczyli terminy? - zainteresowała się Jasmine.

- Dobre pytanie, poruczniku Peacock. Ta misja ma priorytet alfa, co oznacza, że Federacja chce, by została wykonana na wczoraj. Ale... - Cheng położyła nacisk na to słowo - ale musimy być doskonale przygotowani. - Oczy jej błyszczały. - Nie traćmy więc czasu. Jasmine, ty się zajmiesz tymi notatkami. Przeczytaj wszystko, co tu znajdziesz, i przygotuj mi streszczenie.

- Aj, aj, kapitanie. Jasmine zasalutowała, po czym zajęła miejsce za biurkiem z plikiem dokumentów. Przeszukała kilka szuflad i znalazła notes z ołówkiem.

Widząc niekończące się szeregi pudeł, Jacoby zrobił zboląłą minę.

- Nie martw się - uspokoiła go Cheng Li. - Dla ciebie mam coś innego. Zbadaj całą broń i obejrzyj materiały w tej szafce. Jak się zdaje, jest tam też trochę zapisków. Zdasz nam raport z doświadczeń, jakie przeprowadzono do tej chwili. Musimy do nich wrócić.

- Tak jest, szefowo - odparł Jacoby.

- I przestań do mnie mówić „szefowo”. - Cheng Li się skrzywiła. - Wystarczy „pani kapitan” albo „Cheng Li”.

- Tak, sze... znaczy, pani kapitan. - Jacoby znów otworzył „szafkę zagłady”. Cheng Li spojrzała na Connora. Patrzył jej w oczy, starając się nie okazywać wahania, i czekał na przydzielenie obowiązków. Ale kiedy się odezwała, jej głos brzmiał inaczej, bardziej miękko.

- Nie jesteś przekonany do tej misji? - spytała. Z wyraźną ulgą pokręcił głową.

- Nie, nie jestem. Wiem, że to straszne, co spotkało komandora Kuo. I nie zrozum mnie źle, nie jestem wielbicielem wampiratów. - Westchnął i oparł się o półkę. - Ale Grace coś z nimi łączy, a niektórzy byli dla niej dobrzy.

- Powinieneś z nią porozmawiać - doradziła Cheng Li. - Musi z tym skończyć. Westchnął.

- Kiedy ta więź staje się coraz silniejsza...

- Chodzi o tego młodego wampirata, tak? - Cheng Li zmarszczyła czoło. - Mówiła mi o nim. Lorcan Furey... tak się chyba nazywa. Grace jest w nim zakochana, prawda? „Gdyby tylko o to chodziło” - pomyślał Connor. Pewnie, trudno byłoby się wyplątać, ale rzeczywistość wyglądała jeszcze gorzej. Nie potrafił powiedzieć Cheng Li o ostatnich wydarzeniach i

prawdziwych powodach, dla których opuścił siostrę. Grace przecież zaczęła wierzyć, że ona - oni oboje - są wampirami. Cheng Li uznałaby, że powariowali. Pewnie miałyby rację.

- I jak? - Cheng wciąż czekała na odpowiedź. - Masz rację - rzekł Connor. - Tu chodzi o Lorcana. Jest jej bardzo bliski. I kapitan też... choć oczywiście w inny sposób.

- Rozumiem. To nie będzie łatwe. Dostaliśmy rozkaz, by walczyć z wampirami. Dla mnie nie ma odwrotu. Muszę wykonywać polecenia Federacji. I chcę tego ze względu na pamięć mojego przyjaciela Johna Kuo. Ale jeśli to dla ciebie za trudne, nie musisz się przejmować kontraktem. Możesz odejść choćby teraz. Nie będę ci miała tego za złe. Connor pokręcił głową.

- Nie chcę się wycofywać - oświadczył.

- Na pewno? - Cheng Li urwała na chwilę. - Pytam po raz pierwszy i ostatni.

- Na pewno. Nie chcę się wycofywać. Chciałbym tylko jakoś przekonać komandora Blacka, że nie wszyscy wampiraci są źli.

- Może nam się uda. Może znajdziemy w tym archiwum coś, co pomoże skłonić go do zmiany zdania.

- Ale gdyby coś takiego tu było, to czy już by o tym nie wiedział? Cheng Li przesunęła palcami po jednej z półek. Kiedy cofnęła dłoń, były oblepione kurzem.

- Popatrz na to, Connor. To brud. Czy komandor Black wydał ci się człowiekiem, który brudziłby sobie ręce?

Connor uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Ja też martwię się o Grace - zapewniła go Cheng Li. - Nie tylko dlatego, że jest twoją siostrą. Nie zrobię niczego, co mogłoby narazić ją na niebezpieczeństwo. Musisz mi wierzyć. Wiem, że w przeszłości miewaliśmy... trudne chwile, ale nie warto do nich wracać. Te słowa wydawały się takie proste... Nie zawsze mówiła mu prawdę. Czy teraz, mimo przyływu szczerości, nadal ma tajemnice? Istniała taka możliwość. Ale z drugiej strony, on z całą pewnością miał tajemnice przed nią... Instynkt podpowiadał, że jego miejsce jest w załodze Cheng Li. Wspólnie znajdą sposób, by odizolować Grace od Lorcana i pozostałych wampirów, zanim wydarzy się coś złego. Tak, był skłonny jej zaufać. Wyciągnął rękę. Cheng Li ją uścisnęła.

- No dobrze - powiedziała. - Bierzmy się do roboty.

Rozdział 26

Idealny dzień

- Jesteś pewna, że dacie radę? - upewnił się Lorcan. - Tak. - powiedziała stanowczo Grace. - Poradzimy sobie, prawda, mamó? - Oczywiście. - Sally wsunęła rękę pod jej ramię. - Tylko my dwie. Mosh Zu pokiwał głową. - Tak jak być powinno. To piękny dzień. Cieszcie się nim, drogie przyjaciółki. I chociaż mówił z uśmiechem, wszyscy wiedzieli, co oznaczają jego słowa. Grace nie mogła się już doczekać.

- Czyli jesteśmy umówieni przed kościołem tuż po zmroku? - spytała. Lorcan zerknął na mistrza, który kiwnął głową.

- Tak - powiedział. - Tam się spotkamy.

Grace i Sally ruszyły nadbrzeżną ścieżką w stronę latarni. Ptaki fruwały dokoła nich, a po obu stronach dróżki rosły piękne kwiaty.

- Chyba nazrywam ich trochę i zaniósę na grób taty - powiedziała Grace. Miała nadzieję, że imię Dextera skłoni Sally do kolejnej opowieści. Ale matka milczała, zachowując siły na wędrówkę.

Przez całą drogę Grace zastanawiała się, kim jest nowy latarnik. Czy będzie znał i pamiętał Grace i jej rodzinę? Czy powita ich w latarni? Nie wiedziała, czy Sally zdoła się wspiąć aż do lampy. Cudownie byłoby spojrzeć wraz z matką ze szczytu w dół. Powróciłyby wszystkie wspomnienia tych nocy, kiedy wraz z ojcem i Connorem patrzyła na morze. Ale kiedy zbliżyły się do latarni, nagle Grace znieruchomiała. Zobaczyła drzwi zabite deskami, a na nich wielką kłódkę.

- To dziwne - stwierdziła. - I rozczarowujące. Chciałam ci pokazać widok z pomieszczenia z lampą. Stamtąd najlepiej się ogląda całą zatokę.

- Chętnie bym popatrzyła - wyznała Sally. - Dexter często mi o tym miejscu opowiadał. Z radością spojrziałabym na latarnię oczami twoimi i Connora.

Grace chwyciła kłódkę. Zastanawiała się, czy potrafiłaby ją otworzyć. Gdyby tylko towarzyszył jej Connor... jego siła rozwiązałaby ten problem. Ona jednak była o wiele słabsza. Niemożliwe, by zdołała zerwać grubego żelaznego łańcuch.

I nagle coś przyszło jej do głowy. Może i nie ma siły Connora, ale posiada inne moce, które zaczęły się ujawniać podczas pobytu na Nokturnie i w Sanktuarium. Jak dotąd, objawiały się poprzez podróże astralne, lecz być może istniała szansa, by użyć ich w inny sposób.

- Co robisz, skarbie? - zapytała Sally, dostrzegając skupienie Grace. Ale dziewczyna nie mogła odpowiedzieć. Skoncentrowała się na kłódce, która ciążyła jej w dłoni niczym kotwica. Czy potrafi przekonać zamek, aby się otworzył? Przekona - tak, to właściwie słowo. Nie zmusi, ale po prostu zachęci, by kłódka otworzyła się z własnej woli. Jakby nie była to nieożywiona metalowa konstrukcja, lecz duży owad czy skorpion. I nagle przestała widzieć zardzewiałą kłódkę. Patrząc na swoje dłonie, widziała w nich czerwono-czarnego skorpiona.

„Otwórz się - zachęcała go w myślach. - Proszę, otwórz się dla mnie!”.

Patrzyła, jak szczypce zwierzęcia zaczynają się poruszać. Jeszcze trochę...

- Grace! - rozległ się głos matki.

Musiała pozostać skupiona na skorpionie, nakłonić go, by otworzył szczypce. Jeszcze odrobinę...

Ale chociaż bardzo tego chciała, szczypce ani drgnęły. W końcu westchnęła i pogodziła się z porażką. Skorpion zniknął. Znowu widziała zardzewiałą kłódkę. Sally objęła córkę ramieniem.

- Próbowalaś otworzyć?

- Tak. - Grace kiwnęła głową. - Ale nie potrafię.

Łzy wezbrały w jej oczach. Tak bardzo chciała zabrać Sally do latarni i na samą górę...

- Nic się nie martw - pocieszyła ją matka. - Nie musimy wchodzić do latarni, żeby poczuć bliskość ojca.

Jej głos podziałał jak balsam na nerwy Grace.

- Nie, nie musimy - potwierdziła i puściła w końcu kłódkę. - Masz rację. - No cóż - stwierdziła Sally. - Kucharka była bardzo szczodra. Znowu siedziały na plaży, spoglądając na rozłożone przed sobą kanapki, owoce i inne smakołyki.

- To prawda - zgodziła się Grace, zdjęła kapsle z dwóch butelek różowej lemoniady i podała jedną matce.

- Zdrówko! - rzuciła Sally i stuknęła się butelką z Grace.

- Zdrówko! - powtórzyła Grace.

- Nie, nie, kochanie - zwróciła jej uwagę matka.

- Tak się nie robi. Kiedy mówisz „zdrówko”, musisz patrzeć w oczy osoby, z którą zdrówkujesz. Jeszcze raz.

- Zdrówkujesz? - Grace parsknęła śmiechem. - Nie wydaje mi się, żeby istniało takie słowo, mamo.

- Nie bądź uparta - odparła Sally. - To, że go jeszcze nie słyszałaś, nie znaczy, że nie istnieje.

Znów uniosła butelkę i spojrzała córce prosto w oczy. Grace zrobiła to samo. Patrzyła w oczy matki, zielone jak jej własne.

- Zdrówko! - zawołały chórem, a ich butelki brzęknęły. Potem każda napiła się lemoniady rozgrzanej promieniami popołudniowego słońca.

Gdy zjadły do syta, spakowały resztki do koszyka, a potem wyciągnęły się na piasku.

- Powinnyśmy były zabrać koc - zauważyła Grace.

- Nie. - Sally pokręciła głową. - Lubię leżeć na piasku.

Grace zmarszczyła nos.

- Ale wtedy on wszędzie włazi.

- Tak, kochanie. - Sally się uśmiechnęła. - Na tym właśnie polega bycie piaskiem. Grace zaśmiała się głośno. To były cudowne chwile. Czy tak właśnie spędzają czas matki i córki? Nie miała żadnego porównania. Czuła się, jakby poszła na wycieczkę z przyjaciółką, choć tak naprawdę jedyną jej przyjaciółką była Darcy i nigdy nie urządziły sobie pikniku.

- O czym myślisz? - spytała Sally. Grace zasłoniła oczy przed słońcem.

- O tym, jaka to wyjątkowa chwila. Jak pięknie jest spędzać ten dzień razem z tobą.

- Ja czuję to samo - rzekła Sally. Zawahała się, jakby próbując czegoś nie powiedzieć. Potem jednak potrząsnęła głową: - Staram się zachowywać pogodę ducha, bo nie chcę, aby któraś z nas się zasmuciła i zepsuła ten szczególny dzień.

- Ja też - przyznała Grace.

- Jednak chciałam ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro. Zasługujesz na więcej pikników na plaży i spacerów po klifach. Zasługujesz na lepszą matkę.

- Nie - odparła Grace, patrząc jej prosto w oczy.

- Jesteś matką z moich marzeń.
- Naprawdę? - Łza spłynęła po policzku Sally.
- Tak. - Grace objęła ją mocno. - Naprawdę.

Zostawiły koszyk na kamieniu i ramię w ramię ruszyły po plaży. Wokół nie było żywej duszy, więc długi pas piasku miały tylko dla siebie. Szły bosy - sandały leżały teraz obok koszyka.

- Nasze jedyne popołudnie - rzekła ze smutkiem Sally, idąc wolno wzdłuż linii wody. - A musimy je spędzać, rozmawiając o przeszłości...

Grace kiwnęła głową. Wiedziała, że nie zostało im wiele czasu.

- Co się stało, kiedy tata zaczął pracę na Nokturnie? - spytała delikatnie.

- No cóż - odparła cicho Sally - z początku wszystko wydawało się takie jak wcześniej. Nadal służyłam Sidorowi, tak jak Shanti Lorcanowi. Czasami, przyznaję, żałowałam, że Sidorio nie jest bardziej podobny do Lorcana. Było widać, że Shanti i Lorcan naprawdę się przyjaźnią. W przeciwieństwie do mnie i Sidorio.

Grace mimo woli zmarszczyła ponuro brwi. Sally pokręciła głową.

- To nie był romans, Grace. Nic z tych rzeczy. Ale Lorcana i Shanti łączyła przyjaźń. Rozmawiali z sobą. Ona była dla niego czymś więcej niż tylko rezerwą krwi... Grace przypomniała sobie określenie, jakiego użył Oskar. RRK - Ruchoma Rezerwa Krwi.

- Sidorio - ciągnęła Sally - pozostawał obojętny, oficjalny. - Wzruszyła ramionami. - Ale z biegiem czasu coraz mniej o tym myślałam. Coraz więcej czasu spędzałam z Dexterem, z moim drogim, ukochanym Dexterem.

Grace się uśmiechnęła.

- A o czym rozmawialiście, kiedy byliście razem? - O wszystkim! Był takim ciekawym człowiekiem. Zupełnie innym od wszystkich mężczyzn, jakich znałam. Tamci nie mieli nic wewnątrz, byli puści. Dexter bardzo się od nich różnił. Odnajdywałam w nim wciąż coś nowego. Nigdy nie brakowało nam tematów do rozmów.

Sally przerwała i pochyłona patrzyła, jak piasek przesypuje się przez jej palce.

- Coraz częściej rozmawialiśmy o jednym: o naszej przyszłości. - Westchnęła. - Dexter był optymistą, chciał zabrać mnie ze statku i rozpocząć nowe życie. A ja mu powtarzałam, że związałam się ze statkiem, z kapitanem i Sidorio. Wiedział o tym, kiedy wchodził, na pokład. Powtarzałam mu to zresztą wiele razy. Znał wybory, jakich dokonałam.

- I co mówił? - spytała Grace.

Sally się uśmiechnęła.

- Że żadna decyzja nie jest nieodwracalna. Że powinniśmy porozmawiać z kapitanem, sprawdzić, czy się zgodzi zerwać te więzy.

Grace otworzyła szeroko oczy.

- Tak właśnie zrobiliście? - Nie miałam na to ochoty - powiedziała Sally - ale Dexter umiał przekonywać. I w końcu pomyślałam: może ma rację. Przecież nie zaszkodzi, jeśli zapytamy, prawda? A więc poszłam na spotkanie z kapitanem... Sama.

Sally ucichła. Grace spojrzała na matkę i zobaczyła na jej twarzy zmęczenie. Spacer musiał ją wyczerpać. Powinna chwilę odpocząć. Westchnęła i wyciągnęła dłoń, by odgarnąć z oczu matki niesforny kosmyk kasztanowych włosów.

- Może odpoczniemy, mamó? - zaproponowała, prowadząc ją z powrotem do koszyka i sandałów.

Sally usiadła, przymknęła oczy i chwyciła dłoń Grace. Ścisnęła ją delikatnie, a potem jej ciało się rozluźniło. Już wkrótce oddychała miarowo i powoli.

Przez chwilę Grace patrzyła na śpiącą matkę, zdumiona, że jest tak blisko, a jednak tak mało o niej wie. Wreszcie także usiadła i spojrzała na morze. Wspominała czas, gdy w dzieciństwie przychodziła tu z Connorem. Zbierali muszle i puszczali kaczki albo machali do ojca w latarni. Nagle poczuła nieodpartą potrzebę zobaczenia się z bratem.

Ostrożnie, by nie obudzić matki, odwróciła się w stronę latarni.

- Connor - szepnęła. - Gdzie jesteś? Już nie mogę. Sally ucichła. Grace spojrzała na matkę i zobaczyła na jej twarzy zmęczenie. Spacer musiał ją wyczerpać. Powinna chwilę odpocząć. Westchnęła i wyciągnęła dłoń, by odgarnąć z oczu matki niesforny kosmyk kasztanowych włosów.

- Może odpoczniemy, mamó? - zaproponowała, prowadząc ją z powrotem do koszyka i sandałów.

Sally usiadła, przymknęła oczy i chwyciła dłoń Grace. Ścisnęła ją delikatnie, a potem jej ciało się rozluźniło. Już wkrótce oddychała miarowo i powoli.

Przez chwilę Grace patrzyła na śpiącą matkę, zdumiona, że jest tak blisko, a jednak tak mało o niej wie. Wreszcie także usiadła i spojrzała na morze. Wspominała czas, gdy w

dzieciństwie przychodziła tu z Connorem. Zbierali muszle i puszczali kaczki albo machali do ojca w latarni. Nagle poczuła nieodpartą potrzebę zobaczenia się z bratem.

Ostrożnie, by nie obudzić matki, odwróciła się w stronę latarni.

- Connor - szepnęła. - Gdzie jesteś? Już nie mogę.

Rozdział 27

Gość

Dzień był długi. Connor pragnął wrócić do kajuty i rzucić się na koję. Kiedy jednak wreszcie się położył, myśli wciąż wirowały mu w głowie. Nie pozwalały odpłynąć w sen. Próbował je uciszyć: uformował poduszkę w inny kształt, ale sen nie nadchodził. Sięgnął po książkę i zaczął czytać, jednak nie mógł się uspokoić. Zrezygnowany odłożył ją.

- Connor... Natychmiast rozpoznał ten głos. Zabrzmiało bardzo blisko. Connor uniósł głowę i zobaczył Grace stojącą obok koi. Wydawała się niemal tak samo zdziwiona jak on.

- Grace! - wykrzyknął. - Skąd się tutaj wzięłaś? Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać? I jak ci się udało zakraść do kajuty tak, że nic nie zauważyłem?

- Oparł plecy o poduszkę. - Chyba jednak przysnąłem - stwierdził.

- Nie - odparła Grace. - Mnie tak naprawdę tu nie ma.

- Aha. - Connor się uśmiechnął. - Rozumiem. Śnisz mi się. Dużo dziś o tobie myślałem. Chciałem cię zobaczyć. No więc mi się przyśniłaś. Pokręciła głową.

- Nie. To nie sen. Myślę, że raczej podróż astralna.

- Ona też się uśmiechnęła. - Ale przyjemnie wiedzieć, że o mnie myślałeś. Ja o tobie też myślałam. Zgadnij, gdzie teraz jestem.

Zmarszczył brwi. Co to za pytanie?

- Jesteś tutaj, w mojej kajucie. - Nie, to tylko projekcja astralna. Patrz, pokażę ci. Podeszła i usiadła przy nim na koi. Zdziwił się. Odniósł wrażenie, że siostra nic nie waży.

- Tylko się nie przestrasz... Weź mnie za rękę.

Wyciągnęła dłoń. Ujął ją i splótł palce z jej palcami... Nic jednak nie poczuł. Jego dłoń zwyczajnie zwinęła się w pięść. Ale wciąż widział rękę siostry.

Teraz to on pokręcił głową.

- Prawdę mówiąc, nic nie rozumiem - oświadczył. - Widzisz moją projekcję astralną - tłumaczyła Grace. - To naprawdę ja. Jestem tutaj z tobą, możemy rozmawiać i w ogóle. Ale moje

ciało fizyczne znajduje się gdzie indziej. Oddzieliło się od umysłu. Mosh Zu mnie tego nauczył... Widocznie teraz robię to instynktownie.

Connor miał ochotę się uszczypnąć, by sprawdzić, czy naprawdę nie śpi. Ale słowa Grace miały sens, a on uświadomił sobie, że to kolejny dowód jej zanurzenia w innym świecie - tym, który powinna odrzucić. Ale cokolwiek ją sprowadziło, te odwiedziny były prawdziwym darem. Uświadomił sobie, że nie mógł zasnąć, bo martwił się o nią, chciał porozmawiać. A teraz miał szansę.

- Dobrze, że jesteś - powiedział. - Chcę o czymś pogadać.

- Tak sądziłam. Zawsze byliśmy sobie bliscy, prawda? Wydaje mi się, że wyczuwamy nawzajem swoje nastroje, umiemy określić, o czym myśli to drugie.

- Możliwe - przyznał ostrożnie Connor.

- Musimy tylko dopracować ten proces, wzmocnić połączenie - ciągnęła Grace. - Wtedy będziemy mogli się komunikować w każdych okolicznościach. A teraz odpowiedz na moje pytanie.

- Jakie pytanie?

- To, które ci zadałam. Gdzie jestem?

Znowu zmarszczył brwi.

- Znaczący, oprócz tego, że tutaj?

- Tak - potwierdziła. - Gdzie znajduje się moje ciało?

- Ty mi powiedz - zaproponował. - Jest późno. Miałem ciężki dzień. I nie jestem w nastroju do zagadek.

Grace zmarszczyła czoło, ale zaraz znowu się uśmiechnęła.

- Jestem w Zatoce Księżycowej, na plaży.

- W Zatoce Księżycowej? - Szeroko otworzył oczy.

- Poważnie? Wróciłaś do domu?

- To tylko odwiedziny - odparła. - Mama chciała zobaczyć, gdzie się wychowaliśmy. Och, Connor, było cudownie. Taki piękny dzień. Opowiedziała mi, jak spotkała tatę. Chociaż pływali razem na statku wampiratów, na Nokturnie, ojciec nie był wampirem. Wstąpił do załogi i pracował w kuchni, żeby znaleźć się blisko mamy. Próbował ją przekonać, że powinna opuścić statek. Chciała mówić dalej, ale uniósł dłoń.

- Poczekaj. Nie tak szybko.

- Przepraszam. Ale mam ci tyle do opowiedzenia, a podróże astralne są niepewne. Nie wiem, ile mamy czasu na rozmowę.

- Posłuchaj, Grace - rzekł. - Jeśli nasz czas jest ograniczony, naprawdę muszę ci coś przekazać. - Wyciągnął do niej rękę, ale przypomniał sobie, że to bezcelowe. - Coś bardzo ważnego.

- Dobrze. - Poszło łatwiej, niż oczekiwał. - Mów, Connor.

- Pamiętasz komandora Kuo?

- Oczywiście. To dyrektor Akademii Piractwa.

- Zgadza się. No więc zamordowano go.

- Zamordowano?

Connor przytaknął.

- On i dwójka studentów z Akademii zostali zabici przez wampiratów podczas wyścigu z okazji nominacji Cheng Li na kapitana. Grace sposepniała.

- Mówisz, że zabili go wampiraci. Skąd wiesz, że to oni?

- Znalezione ciało. Uważamy, że zginął na morzu. Ale ten, kto go zabił, podrzucił ciało do Akademii. Całkowicie pozbawione krwi. Grace przygryzła wargę.

- To musieli być wampiraci, Grace! Przecież wiesz! Nie protestowała.

- To wygląda na Sidorio - przyznała. - Jego siły wyraźnie rosną. Kto wie, gdzie się zatrzyma...

- Ja go zatrzymam - oświadczył Connor.

- Nie! - zawołała Grace. - Już raz próbowałeś, pamiętasz? Podpaliłeś jego statek. Ale ogień go nie zabił, tylko wzmocnił. Całkiem jakby Sidorio się tym ogniem pożywił.

- Teraz to co innego - zapewnił Connor. - Teraz należę do misji.

- Misji?

- Tak. Federacja Piracka powierzyła załodze Cheng Li specjalną misję. Mamy być zabójcami wampiratów.

- Zabójcami?! - Grace wyglądała na oszołomioną.

- Będziecie ścigać wampiratów?

- Tak. - Connor kiwnął głową. - O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. - Znów wyciągnął do niej rękę, nie umiał się powstrzymać. - Musisz ich zostawić. Nie chcę, żebyś była w to zamieszana.

Grace zaśmiała się, ale nieprzyjemnie.

- Nie chcesz, żebyś była w to zamieszana? Mówisz, że dostałeś zadanie zabijania ludzi, którzy są mi bliscy, a ja mam się trzymać z daleka? To niemożliwe, Connor. Jak możesz być taki tępy? Nie mam zamiaru stać z boku i patrzeć beczynnie, jak atakujecie kapitana, Lorcana i Darcy. To moi przyjaciele!

- Zaczekaj! Uspokój się! Wiem, jak bardzo jesteś związana z Lorcanem i pozostałymi. Rozumiem to. Nie będziemy na nich polować. W każdym razie nie od razu. Masz rację, oczywiście: to Sidorio musiał zabić Kuo. Sposób działania jest dla niego typowy. Doścignemy jego armię i wyeliminujemy.

- Wyeliminujecie?

- Grace... Wiele o tym myślałem. Rozmawiałem też z Cheng Li. Tłumaczyłem jej, że nie wszyscy wampiracy są źli.

- Cheng Li! - zawołała Grace. - Naprawdę chcesz jej zaufać po tym wszystkim, co zrobiła?

Connor zmarszczył czoło.

- Teraz jest moim kapitanem, Grace. Zresztą ty też jej kiedyś ufałaś. Pamiętasz? - Tak. I dobrze wiesz, jak to się skończyło. Ona nie poprzestanie na Sidoriu i jego załodze. Zaatakuje pozostałych wampiratów! Wiem, że tak będzie! Connor pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie... ale oczywiście trzeba się liczyć z każdą możliwością. Grace, zrobię wszystko, aby przekonać Cheng i Federację, że kapitan i załoga Nokturnu to dobrzy... ludzie, że nie są niebezpieczni. Ale bądźmy realistami. Nie jestem pewien, czy dostrzegą różnicę. I przeraża mnie myśl, że znajdziesz się między młotem a kowadłem. Proszę cię, opuść statek. Zostań w Zatoce Księżycowej. Przyłynę tam i cię zabiorę. Rano porozmawiam z Cheng Li!

- Nie. - Grace pokręciła głową.

- Słuchaj - tłumaczył - porozmawiam z nią zaraz. Mógłbym wypłynąć jeszcze nocą. Byłbym na miejscu o świcie!

- Nie! - powtórzyła Grace. - Nie zostawię ich. Nie teraz.

- O co ci chodzi, Grace?! - rozgniewał się Connor. - Przecież usiłuję cię chronić. Przez całe życie próbowałem się tobą opiekować. Pozwalałem na tę twoją dziwną fascynację wampiratami, a powinienem był wyplenić ją w zarodku...

- Przestań, Connor! Nie mów tak do mnie! Nie potrzebuję twojej troski. Sama umiem o siebie zadbać. A przy okazji: nigdy nie miałeś żadnego wpływu na moje wybory. Zrozumiał, że jest wściekła - bardziej niż kiedykolwiek.

- Grace, chcę tylko, żebyś była bezpieczna... - Bezpieczna? A nie chcesz, żebym była szczęśliwa? Bo tak właśnie się czuję... tutaj, z Lorcanem i Sally! A przynajmniej od bardzo dawna nie czułam się szczęśliwsza. Brakowało jedynie ciebie. Ale ty musiałeś wszystko zepsuć!

- Grace - powiedział. - Wciągnęło nas coś większego niż my oboje. Kiedy wypływaliśmy na morze, kiedy burza zatopiła naszą łódź, nie mogliśmy tego przewidzieć. Ale coś się zbliża. Jest potężne i bezlitosne jak tsunami. Niepowstrzymane. I wszystkich nas porwie. Grace z westchnieniem potrząsnęła głową.

- Wiem - przyznała. - Ale już za późno. Jeśli myślisz, że którekolwiek z nas może się z tego wyplątać, jesteś w błędzie.

- Nie! - zawołał Connor. Obraz Grace zaczął blednąć. Rzeczywiście była tylko wizją. Chłopak wpadł w panikę: żałował, że nie poprowadził rozmowy inaczej. Ale jak?

- Grace! Rozwiewasz się! Nie odchodź!

- Muszę... - Głos się rwał, jakby wskutek zakłóceń na linii. - Mówiłam ci, nie wiem, jak długo...

A potem zapadła cisza. Grace zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Rozdział 28

Połączone dusze

Grace znów była na plaży. Obok niej budziła się matka. Dziewczyna biła się z myślami. Czy powinna uprzedzić Lorcana i mistrza? Ale tak niewiele czasu zostało jej z Sally... Chyba nie należy marnować ani chwili. Connor mówił przecież, że nie ma bezpośredniego zagrożenia.

- Tak wiele chciałabym ci przekazać, Grace - powiedziała Sally, wrywając córkę z zamyślenia. - Nie sądziłam, że będę miała szansę... a teraz czuję się tak, jakbym wszystkie słowa musiała wypowiedzieć w jednym dniu. - Westchnęła i pokręciła głową. - Gdybym miała dać ci tylko jedną radę, Grace, wiesz, co to by było? - Spojrzała jej w oczy. - Nigdy się nie poddawaj. Cokolwiek nastąpi. Jakiegokolwiek napotkasz przeciwności losu. Nie wolno ci zwątpić w siebie.

Grace była oszołomiona. Wydawało się, że matka czyta w jej myślach.

- Nie zwątpię - powiedziała. - Nie martw się.

- ...Okazało się, że warto było porozmawiać z kapitanem.

Grace wstrzymała oddech. Może teraz usłyszy, co zaszło między jej matką a Dexterem. Nagle wszystko inne stało się nieistotne.

- Kapitan przypomniał mi, że związek donora i wampirata jest bardzo silną więzią. Powiedziałam, że wiem i że musiałam zapytać, ale rozumiem, jeśli nie ma odwrotu. On jednak pokręcił głową i oznajmił, że w moim przypadku zrobi wyjątek. Pozwoli mi opuścić statek z Dexterem, kiedy tylko znajdzie się nowy donor dla Sidorii. Grace uśmiechnęła się z ulgą.

- Czyli tata miał rację.

- Tak - potwierdziła Sally. - Kapitan naprawdę jest wyjątkowym człowiekiem. - Spojrzała w stronę horyzontu. - Patrz - powiedziała - nasz dzień dobiegł już końca. Zmierzcha się.

Grace ujrzała słońce nad linią atramentowoczarnej wody i niebo płonące czerwienią.

- Chciałabym, żebyśmy mogły tu zostać – wyznała - i zachować tę chwilę na zawsze. I zatrzymać zbliżające się nieszczęście...

- Ja także - odparła Sally. - Ale przecież mamy spotkanie. Umówiliśmy się z pozostałymi na cmentarzu.

Grace przytaknęła. To, co nieuchronne, rzucało cień na całe popołudnie. A jednak wciąż pragnęła, aby piasek uniósł się i zasypał im stopy, przykuł je do plaży i nie pozwolił odejść.

- Chodź, kochanie - powiedziała Sally. Stała z sandałami w ręku. Grace wydało się, że matkę wypełnia nowa energia: Sally była silna i spokojna. Może to właśnie działo się ze wszystkimi duszami, kiedy zrzucały ostatnie więzy - osiągały stan spokoju i wytchnienia? Dziewczyna podniosła się z wahaniem i raz jeszcze spojrzała na matkę. W złotym świetle dogasającego słońca Sally wydawała się bardziej ożywiona i piękniejsza niż kiedykolwiek.

Tym razem szybko wspięły się na ścieżkę przy urwisku. Minęły latarnię i dotarły do małego cmentarza, gdzie pochowano Dextera Tempesta. Grace otworzyła furtkę i poprowadziła matkę między grobami, aż dotarły do prostego nagrobka z wyrytym imieniem i nazwiskiem ojca. Był to zwykły blok różowego granitu z datami narodzin i śmierci. Grace przypomniała sobie myśli, które prześladowały ją ostatnio. Dexter może nie być naprawdę martwy. Może być wampirem! Pokręciła głową, zła na samą siebie. Teraz wiedziała, że to były tylko urojenia. W tym miejscu historia Dextera Tempesta dobiegła końca. Spojrzała na podłużny granitowy nagrobek. Z jego niewzruszoności czerpała poczucie spokoju. Przypominał jej ojca.

Przyklękła i pod kamieniem położyła bukiet zerwanych kwiatów.

- To dla ciebie, tato. Mam nadzieję, że ci się spodobają. Cofnęła się i patrzyła, jak wiatr znad morza szarpie płatki kwiatów i uwalnia ich zapach. Żeby tato mógł je powąchać... Uśmiechnęła się do siebie.

- Czy chciałabyś zostać z nim na chwilę sama? - spytała matkę. Sally kiwnęła głową.

- Tak, kochanie. Jeśli ci to nie przeszkadza, tego właśnie bym chciała. Grace odwróciła się, aby odejść. Zauważyła przy tym, że furtka cmentarna znowu się otworzyła - przybyli pozostali.

- Zaczekaj chwilę! - zawołała Sally. Gdy Grace się odwróciła, matka uścisnęła ją mocno. - Dziękuję ci - powiedziała. - Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłaś. Do niego. - Przytuliła ją mocno, aż Grace usłyszała jej szept. - Dziękuję za wszystko, córeczko. Tak się cieszę, że mogłam cię poznać.

Poczuła, jak matka niechętnie wypuszcza ją z ramion - niczym ocean, który podczas odpływu wycofuje się z plaży. Grace nie zwlekała. Wiedziała, co musi zrobić. Należało

dotrzymać umowy. Odeszła, szukając wzrokiem towarzyszy, którzy czekali po drugiej stronie grobów.

- Grace - odezwał się Lorcan, wychodząc jej na spotkanie i obejmując dziewczynę ramieniem. - Wszystko w porządku?

- Jest gotowa - powiedziała, spoglądając na mistrza. - Prawda? Mosh Zu przytaknął.

- Tak sądzę.

- I co się teraz stanie? - spytała Grace.

- Poczekajmy chwilę - odparł.

Lorcan obejmował ją mocno. Cała trójka z daleka spoglądała na Sally. Kobieta klęczała przed grobem Dextera, a jej sylwetka wyraźnie odcinała się od różowego granitu. Księżyc wschodził szybko, a kamień nagrobny jakby lśnił jaśniej. Niemal się jarzył. Grace chciała spytać o to Lorcana, ale coś kazało jej nie odrywać wzroku od mogiły. I rzeczywiście przy nagrobku zjawiała się nagle druga postać - mężczyzna. Kim był? Skąd się wziął? Serce Grace zaczęło bić szybciej, gdy mężczyzna wyciągnął rękę do Sally, a ona spojrzała na niego. Grace zrozumiała, że matka się uśmiecha. I wiedziała dlaczego... Wiedziała, kim jest druga postać.

- Tato! - krzyknęła. Lorcan objął ją jeszcze mocniej. Grace odwróciła głowę. - To mój tata - powiedziała.

- Być może jego dusza przybyła, aby pomóc twojej matce w przejściu - odparł Lorcan. Grace uśmiechnęła się, choć twarz miała mokrą od łez. Teraz nie musiała się martwić, że matka wyruszy w drogę samotnie.

Sally wstała, a Dexter wziął ją w ramiona i ucałował w czoło. Podała mu bukiet. Uniósł go na chwilę do twarzy, uśmiechnął się i pokiwał głową. Szepnął coś Sally do ucha, a ona wzięła go pod rękę. Zaczęli odchodzić.

- Dokąd idą? - spytała Grace. Ale nie doczekała się odpowiedzi. Noc była coraz ciemniejsza i szybko pochłonęła obie postacie idące pod ramię przez cmentarz - wreszcie połączone dusze.

Kiedy zniknęli, Grace milczała jeszcze przez chwilę. Miała wrażenie, że wciąż na coś czekają. Ale na co?

Nagle zauważyła sięgający plaży promień światła, całkiem innego niż delikatny blask księżyca. Spojrzała na opuszczoną latarnię, jej dawny dom. Wcześniej latarnia była ciemna, ale teraz znów zapłonęła lampa.

Na samym szczycie dostrzegła dwie postacie. Wyraźnie widziała, że to Sally i Dexter. Stali przy oknie i spoglądali na zatokę. Wydawało się, że Dexter pokazuje coś Sally. I raz jeszcze Grace poczuła ulgę, wiedząc, że rodzice są razem. Teraz nigdy się już nie rozstaną. W końcu się odwrócili. Patrzyli prosto na nią. Ojciec mocniej objął matkę, a potem unieśli dłonie i zaczęli do niej machać.

Z początku myślała, że wzywają ją do siebie, ale potem zrozumiała, że to pożegnanie. Podniosła rękę, nagle ciężką jak ołów, i pomachała w odpowiedzi.

Jednocześnie w myślach raz jeszcze usłyszała głos matki: „Pamiętaj, co ci mówiłam, córeczko”.

Kiwnęła głową. A potem zabrzmiał czysty i wyraźny głos ojca: „Jestem z ciebie dumny, Grace. Opiekuj się bratem i zaufaj fali!”. Raz jeszcze kiwnęła głową. Dotrzyma obu obietnic.

Lampa zaczęła się obracać. Promień przemknął przez plażę, a potem pobiegł łukiem przez zatokę. Po pewnym czasie światło dotarło do samego cmentarza - tak silne, że Grace nie tylko musiała zamknąć oczy, ale i osłonić je dłonią. Kiedy znów spojrzała na pomieszczenie z lampą, przekonała się, że jest puste. Rodzice odeszli.

Drżąc, wyrwała się z uścisku Lorcana i ruszyła w kierunku grobu ojca.

- Poczekaj! - zawołał Lorcan, ale była szybsza. Grób przyciągał ją jak magnes, lśniąc różem w świetle księżyca. Gdy przed nim stanęła, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Pod datami pojawiła się nowa inskrypcja. „Sally, ukochana matka i towarzyszka życia. Nareszcie w domu”.

Serce Grace biło szybko. Tak szybko, że nie była pewna, czy zdoła nad sobą zapanować. Kręciło jej się w głowie, czuła mdłości i oblewał ją żar. Musiała usiąść. Różowy nagrobek rozmywał się przed oczami dziewczyny. Miała wrażenie, że jej ciało słabnie. Wyciągnęła rękę, aby odzyskać równowagę, ale na próżno - osunęła się na chłodną ziemię. Zdążyła tylko zobaczyć zbliżającą się szybko trawę. Potem wszystko spowolniło.

Obaj towarzysze już byli obok dziewczyny. Mosh Zu jako pierwszy przerwał milczenie.

- Tak to się kończy - rzekł. - I tak się zaczyna. Musimy ją przenieść na statek.

- Ja to zrobię - oznajmił Lorcan i schylił się, by wziąć Grace na rękę.

- Potrzebujesz pomocy? - spytał Mosh Zu. Lorcan pokręcił głową.

- Nie - odparł, unosząc bezwładne ciało Grace.

- Jest lekka jak piórko. - Uśmiechnął się do mistrza.

- Prawie tak lekka jak wtedy, gdy niosłem ją za pierwszym razem. A potem znów spojrzał na Grace i pomyślał, jaka wydaje się spokojna. „To dobry znak - powiedział sobie. - Dobra wróżba na nową drogę”.

Rozdział 29

Jak zabić wampirata

Cheng Li każdemu z trójki podwładnych wyznaczyła inne zadania. Mieli na ich wykonanie pięć dni. Pod wieczór piątego dnia pani kapitan wróciła do tajnej kryjówki, by sprawdzić, czego się dowiedzieli. Jadąc w dół na platformie, zastanawiała się, jak im poszło. Oczekiwała wnikliwej analizy od Jasmine oraz mnóstwa szalonych, ale błyskotliwych pomysłów od Jacoby'ego. Znakiem zapytania był natomiast Connor. Więzy łączące jego siostrę z wampiratami wciąż niepokoiły Cheng Li. Musiała brać pod uwagę, że w pewnym momencie chłopak nie będzie pewien swojej lojalności. Zapewnił ją, że nie żywi ciepłych uczuć wobec wampiratów. Ale poznał ten świat. Postrzegał ich jako „ludzi”. To z pewnością będzie utrudnieniem na późniejszych etapach misji. W bitwie należy wiedzieć o nieprzyjacielu jak najwięcej, ale potem trzeba przestać w nim dostrzegać cokolwiek innego niż przeszkodę dzielącą od celu. Przeszkodę, którą trzeba usunąć. Czy Connor będzie potrafił to zrobić?

Jasmine, Jacoby i Connor czekali na nią w pokoju numer 8. Cheng Li, nie zwlekając, zajęła miejsce za odrapanym biurkiem w kącie archiwum.

- No więc kto chce zacząć? - zapytała.

- Damy przodem. - Jacoby wyszczerzył zęby.

- Dobrze. - Jasmine wstała, podnosząc plik papierów. - Dla każdego z was przygotowałam kopię mojego raportu.

Rozdała je towarzyszom.

Cheng Li uśmiechnęła się z zadowoleniem. Jasmine zawsze wykonywała powierzone jej zadania skutecznie, sumiennie i w terminie. Tak było podczas całych jej studiów w Akademii Piractwa i Cheng Li stwierdziła z satysfakcją, że nic się nie zmieniło także teraz, gdy Jasmine została piratem.

- Imponujące - przyznała. Odłożyła raport na biurko, by później dokładnie go przeczytać.
- Prosiłam, żebyś przeanalizowała meldunki o spotkaniach ze statkiem wampiratów. Powiedz, Jasmine, jakie są twoje najważniejsze odkrycia.

- Przede wszystkim - zaczęła Jasmine - miałam bardzo poważne wątpliwości co do wiarygodności zgromadzonych tu źródeł.

Zaintrygowana Cheng Li uniosła brew. Jasmine mówiła dalej, spokojnie i pewnie.

- Wiele meldunków jest... no, można je delikatnie określić jako „nienaukowe”. Duża część to raczej pogłoski przypominające opowieści o duchach. - Westchnęła. - Kilka bardziej malowniczych dołączyłam do raportu jako ciekawostki, ale zgodzi się pani, że trzeba je traktować z dużą ostrożnością. Przez chwilę się zastanawiała.

- Poza nimi odkryłam jednak bardziej spójne obserwacje, w których pojawia się galeon o kilku niezwykłych cechach. Wymieniane są w szczególności żagle wykonane z nieznanego materiału. Niewielu zbliżyło się na odległość pozwalającą zidentyfikować ten materiał, ale kilku świadków wspomina o skórzastej fakturze rozbłyskującej niekiedy światłem. I o ruchach żagli podobnych do trzepotu skrzydeł.

Śluchając Jasmine, Connor myślał o własnych doświadczeniach z Nokturnem. Jak dotąd, dziewczyna nie powiedziała niczego, czego by nie wiedział. Ostatecznie dwa razy był na pokładzie. Nie miał jednak zamiaru przerywać wykładu przyjaciółki.

- Kolejną charakterystyczną cechą statku wampiratów - ciągnęła - jest galion w kształcie kobiety, która rzekomo ożywa nocami. Kilka razy zaobserwowano, jak nurkuje w wodzie po zapadnięciu zmroku, a potem wspina się na pokład.

Cheng Li spoglądała na Connora. Przypomnił sobie, że ona wie, iż widział to wszystko na własne oczy. Myślał o Darcy Flotsam, ślicznej, nadprzyrodzonej figurze dziobowej, która zaprzyjaźniła się z jego siostrą. Zmarszczył czoło, wspominając dziwną wizytę Grace sprzed kilku dni. Nie po raz pierwszy misja ingerowała w jego życie osobiste. Cheng Li zapewniła go, że Grace jest bezpieczna, że to nie Nokturn wkrótce zaatakują. Ale miał nieodparte wrażenie, że kiedy wybuchnie wojna, wszystko wymknie się spod kontroli.

- Wygląda na to, że bardzo trudno tropić ten statek w tradycyjny sposób - ciągnęła Jasmine. - Zawsze przybywał w osłonie gęstej mgły i tak samo znikał. Nie potrafimy więc ocenić, jak szybko może płynąć. Zresztą możliwe, że zwykłe kryteria oceny nie mają tu zastosowania, gdyż galeon przemieszcza się w sposób zasadniczo inny od normalnych jednostek.

- Stuknęła w mapę za sobą. - Potrafi rozwiać się we mgle w punkcie A, tutaj... - Przesunęła palec po mapie - ...i niedługo potem pojawić się w punkcie B, tutaj. Cheng Li przerwała jej pytaniem:

- Mam wrażenie, że mówisz o jednym statku wampiratów, Jasmine. Zgadza się? Jasmine kiwnęła głową.

- Źródła potwierdzają istnienie jednego statku. Connor może chyba wyjaśnić, dlaczego ostatnio sytuacja uległa zmianie. Wszystkie opisy, choć szkicowe, posiadają wspólne cechy, co pozwala założyć, że albo mamy rzeczywiście do czynienia z pojedynczym statkiem, z żaglami-skrzydłami i galionem, który ożywa... albo istnieje cała flota statków, które wyglądają tak samo i działają w ten sam sposób.

- Flota? - Ta myśl zaintrygowała Cheng Li. - Masz coś na poparcie swojej teorii?

- Nie, jeszcze nie. - Jasmine pokręciła głową. - To tylko przypuszczenia. Żadna normalna jednostka nie potrafiłaby przemieszczać się tak szybko po oceanach.

- Wzruszyła ramionami. - Ale przecież na tym właśnie polega problem, prawda? Nie mamy do czynienia z normalną jednostką.

- Nie, rzeczywiście nie - zgodziła się Cheng Li.

- Dziękuję ci, Jasmine. Chętnie przeczytam później cały twój raport.

Jasmine kiwnęła głową, uśmiechnęła się i usiadła.

- Mogę teraz ja? - Jacoby nie potrafił już usiedzieć.

- Dobrze. Miałeś się przyjrzeć badaniom nad sposobami ranienia i uśmiercania wampiratów.

- Tak jest. Jacoby wyszedł na środek. Nie przygotował spiętego porządnego raportu, ale na sąsiednim biurku ustawił liczne rekwizyty. Oczy mu błyszczały.

- Trzeba przyznać - stwierdził - że szafka zagłady była napakowana niezłymi zabawkami.

- Sięgnął po kilka przedmiotów. - Mamy więc klasyczne krucyfiksy, od całkiem prostych po bardzo ozdobne. Ten tutaj to wyjątkowo piękne srebrne cacko, prawda? A skoro o srebrze mowa, warto sprawdzić te oto srebrne kule. Bang-bang! Dobre na wilkołaki, więc może zadziałałyby i na wampiratów.

Rzucił kule na blat, po czym zademonstrował kolejne przedmioty.

- Potem święte sakramenty... to różaniec i butelka święconej wody... Mamy też naszego dobrego znajomego: czosnek. - Nagle sięgnął za biurko i wyciągnął bukiet kwiatów. - Min, to dla ciebie.

Rzucił kwiaty Jasmine, która chwyciła bukiet i powąchała z uśmiechem.

- Dzikie róże - stwierdziła. - Moje ulubione!

- Bo nie jesteś wampirem - oświadczył Jacoby.

- Według jednej z legend, na jakie trafiłem, dzikie róże mogą przywiązać wampira do jego grobu. Jednak żaden z tych przedmiotów nie unicestwi potwora. Zaliczają się one do kategorii apotropaicznych. - Na arkuszu papieru zapisał to słowo i kilka razy podkreślił. - Takie rzeczy stosuje się do ochrony przed wampirami. Planując atak, należy zatem wykazać się pewną kreatywnością...

Cheng Li spojrzała na Connora, ale z jego twarzy trudno było cokolwiek odczytać. Czy myślał o wampiratach, których poznał osobiście? A może zdołał się zdystansować? Postanowiła na niego uważać. Tymczasem zwróciła się do swojego pierwszego oficera.

- Dobra robota, Jacoby - pochwaliła. - Ale teraz skoncentrujmy się na tym, jak można zabić wampirata.

- Oczywiście. Tylko proszę pamiętać, pani kapitan, że tak naprawdę nie chodzi nam o to, żeby wampirata zabić.

- Nie? - Cheng Li znowu uniosła brew. Jacoby potrząsnął głową.

- Wampiry są przecież martwe... czy też nieumarłe, jeśli pani woli. Naszym celem nie jest zabijanie, lecz unicestwianie.

- Słuszne rozróżnienie - zgodziła się Cheng Li. - No dobrze, powiedz nam zatem, jak je unicestwiać.

Jacoby przewrócił arkusz, odsłaniając kolejny, pokryty licznymi bazgrołami.

- Nasi przodkowie opisali dosłownie setki możliwych metod. Na przykład należy umieścić monetę w ustach wampira i odrąbać mu głowę toporem. Albo ugotować mu głowę w occie. Albo zalać go wrzącym olejem i wbić gwóźdź w pępek.

- Piercing w ostrej wersji - stwierdziła Jasmine i zadrżała. Jacoby uśmiechnął się szeroko.

- W Rumunii preferują usunięcie serca, rozcięcie go, włożenie czosnku do ust wampira, a potem wbicie gwoździa w głowę. W Serbii z kolei wbijają gwóźdź w szyję, a potem odcinają palce u nóg...

I znowu Cheng Li zerknęła na Connora. Tym razem pochwycił jej spojrzenie. Nie odwrócił wzroku. Może był twardszy, niż jej się wydawało.

Jacoby z werwą opowiadał dalej, najwyraźniej niczym się nie przejmując.

- Jak już wspomniałem, w szafce zagłady można znaleźć dosłownie setki pomysłów. Ale wybrałem najważniejsze trzy. Zerwał kolejny arkusz i odsłonił trzy duże napisy:

1. Ogień 2. Słońce 3. Kołek wbity w serce - No dobra. - Chłopak uderzył palcem w arkusz. - Numero uno. Ogień! Jacoby gadał, a Connor wspominał noc, kiedy użył ognia do walki ze zbuntowanymi wampirami. Sam kapitan wampirów poradził mu, z jakiej broni skorzystać. Okazała się skuteczna... w pewnym sensie. Kilku wampirów ogień rzeczywiście zniszczył. Ale nie wszystkich... Connor na moment zamknął oczy... To były bolesne wspomnienia. Musiał zwrócić się przeciwko Jezowi... a raczej temu stworowi, którym stał się Jez... i rzucić w niego pochodnią. Była to najtrudniejsza rzecz w jego życiu. Potem odczuł niemal ulgę, gdy się dowiedział, że Jez nie zginął w płomieniach.

- Connor? - odezwała się Cheng Li. Drgnął i otworzył oczy.

- Wiem, że już późno i że ciężko pracowałeś, ale proszę cię, wyświadczyć swoim kolegom uprzejmość i postaraj się nie drzemać podczas prezentacji.

- Tak, pani kapitan. Mógł jej od razu powiedzieć, że ogień nie zawsze jest skuteczny... że Sidorio i Stukeley wyszli cało z pożaru. Ale na razie postanowił milczeć.

Oczy miał otwarte, lecz gdy Jacoby omawiał skutki wystawiania wampirów na światło słońca i przebijania ich serc kołkiem, nadal błądził myślami. Wspominał kapitana wampirów i jego radę dotyczącą ataku na Sidorio i buntowników. Sprawa była interesująca z wielu powodów. Przede wszystkim dlatego, że kapitan wystąpił przeciwko innym wampirami. Czy tak też będzie podczas nadchodzącej wojny? Czy może tym razem siły wampirów zjednoczą się przeciwko wspólnemu wrogowi? Druga rzecz, która intrygowała Connora, to fakt, że metoda zawiodła. Dla niektórych wampirów ogień nie okazał się zabójczy. Czy może rozwinęli się oni tak, że przekroczyli granice wiedzy i mocy samego kapitana? Czy może dowódca świadomie wprowadził go w błąd? Nie, chyba nie. Connor wrócił pamięcią do ceremonii - próby ocalenia kapitana, który poświęcił się, by uratować tak wiele dusz. Co się z nim teraz dzieje? Grace o tym nie wspomniała. Czy jego stan wciąż jest niepewny? Czy może wrócił i stanął na mostku, znowu na czele „dobrych” wampirów?

Koniec wykładu Jacoby'ego wyrwał go z zamyślenia. Cheng Li była pod wrażeniem.

- Doskonale się spisałeś - pochwaliła chłopaka. - Wydaje mi się, że nasz następny krok jest oczywisty. Zanim opracujemy ostateczną strategię, musimy znaleźć jakichś wampirów do eksperymentów.

- To znaczy, że mamy porwać wampirata? - upewniła się Jasmine.

- Jeden nie wystarczy. - Cheng Li pokręciła głową. - Myślę, że na początek potrzeba nam co najmniej trzech.

- Trzech?! - wykrzyknęła Jasmine. - Jak długo będziemy ich trzymać? I gdzie? - O wszystkim pomyślałam - odparła Cheng Li. - Na pokładzie Tygrysa kazałam zbudować kilka klatek. Tam zamkniemy więźniów. A jak długo będziemy ich trzymać? Cóż, aż osiągniemy cel.

- Dopóki nie zdołamy jednego z nich zabić? - upewnił się Connor.

- Nie, nie... Nie „zabić” - poprawił go Jacoby. - Unicestwić. Ale gdzie ich znajdziemy? Cheng Li się uśmiechnęła.

- Connor pracował nad tym elementem misji. Prawda? Kiwnął głową i odchrząknął.

- Jak wykazała analiza Jasmine, główny statek wampiratów, Nokturn, jest trudny do wyśledzenia.

- Zawahał się. - Ale ostatnio pojawił się drugi statek. Sidorio i zbuntowani wampiraci przejęli jednostkę więzienną. I chociaż Nokturn przemieszcza się w sposób bardzo tajemniczy, ten drugi, Krwawy Kapitan, płynie dość krętym, ale możliwym do śledzenia szlakiem wzdłuż brzegu.

- Skąd to wiesz? - spytał Jacoby.

- Stąd, że oni nie są tacy jak wampiraci z Nokturnu. Tamci mają własnych donorów. Connor uświadomił sobie, że właśnie wyjawił rzeczy, których nie odkryli Jasmine ani Jacoby. Ale się nie przejął. Miał teraz dwa cele: przekazać Cheng Li wszystko, co potrzebne, by mogła ścigać Sidorio, oraz jak najdłużej ochraniać Grace.

- Jak powiedziałem, na pokładzie Nokturnu są donorzy, którzy dostarczają wampiratom krwi. To oznacza, że statek nie musi zdobywać jej gdzie indziej. Ale Krwawy Kapitan jest gorzej zorganizowany. Jego załoga szybko się powiększa, jest dzika i trudna do opanowania. To czyni ją niebezpieczną, ale równocześnie wystawioną na atak.

- Wystawioną? - otrząsnęła się Jasmine. - Nie brzmi to, jakby byli specjalnie... wystawieni.

Connor popatrzył na nią spokojnie.

- Potrzebują krwi - wyjaśnił. - Nie mają zapasu na pokładzie, muszą więc schodzić na ląd i tam szukać ofiar. Wzdłuż brzegu zostawili pas zniszczeń. Nietrudno je prześledzić. Rozwinął własną mapę, na której wykreślił trasę statku odpowiednim do sytuacji czerwonym kolorem.

- Myślę, że kierunek, w którym zacierają, jest dość oczywisty.

- Doskonale, Connor - pochwaliła go Cheng Li.

- Jeszcze nie skończyłem. Na koniec miał jeszcze jednego asa w zanadrzu. No, może niezupełnie jednego. Sięgnął do kieszeni i wyjął plik kart do gry. Pochylił się i rozłożył je przed Cheng Li.

- Zauważyliście coś dziwnego? - zapytał, zwracając się do towarzyszy.

- Są poplamione krwią - stwierdził Jacoby. - Fuj!

- I są nietypowe - zauważyła Jasmine. - Wszystkie mają ten sam kolor: to kiery. Ale kiery są czerwone, a te tutaj: czarne. Nigdy jeszcze nie widziałam takiej talii. Cheng Li przyglądała się Connorowi.

- Skąd je wzięłeś? - spytała.

- Znalaziono je przy ofiarach ostatnich ataków. Były ich setki.

Cheng Li podniosła jedną.

- Taką samą trzymał John Kuo, kiedy go znaleźliśmy. Pamiętasz? Connor uśmiechnął się ponuro. Tego widoku pewnie do końca życia nie zapomni.

- To dowodzi, że jesteśmy na tropie zabójców - uznała Cheng Li, spoglądając na Connora z nieskrywanym podziwem. - No cóż - rzekła po chwili.

- Muszę przyznać, że mnie nie zawiedliście. Każdy z raportów okazał się wnikliwy i odkrywczy. - Usiadła wygodniej. - Zostanę tutaj i jeszcze trochę pomyślę. Wy możecie wracać na statek. Powinniście zdążyć na drugą zmianę kolacji.

Nie potrzebowali zachęty. Mieli za sobą pracowity dzień, a od wielu godzin tkwili w dusznej podziemnej komorze. Byli już w korytarzu, gdy Jasmine odwróciła się nagle.

- Przepraszam, chłopaki, ale zapomniałam powiedzieć o czymś Cheng Li. Idźcie, dogonię was.

Wróciła, zapukała do drzwi i weszła do archiwum. Cheng Li pochylała się nad blatem, pogrążona w pracy. Spojrzała na Jasmine, wyraźnie niezbyt zadowolona z jej powrotu.

- Zapomniałaś czegoś?

- Tak. Znalazłam pewien notes. Leży w szufladzie biurka. Był w ostatnim segregatorze. Pomyślałam, że sama powinna go pani obejrzeć.

Zaintrygowana Cheng Li odłożyła pióro i wysunęła szufladę. Rzeczywiście, leżał w niej stary notes. Wyjęła go i położyła przed sobą. Uniosła głowę i przekonała się, że Jasmine już wyszła. Dziwne...

Otworzyła notes i serce zamarło jej na moment. Natychmiast poznała charakter pisma i doznała wstrząsu. Odruchowo zamknęła okładkę, potem odetchnęła głęboko i otworzyła znowu. Nie było żadnych wątpliwości. Te precyzyjne kreski... ten nietypowy turkusowy tusz... Wiedziała, co to takiego, zanim jeszcze przeczytała pierwszy wpis. Chang Ko Li. Dziennik. Styczeń 2495.

To był dziennik jej ojca. Zaczął go prowadzić w styczniu 2495 roku, na kilka miesięcy przed śmiercią. Cheng Li zmarszczyła czoło. Dlaczego nigdy nie widziała tego notesu? Jak to się stało, że trafił do tajnego archiwum? Jakie sekrety skrywał? Czy rzuca światło na zagadkę jego śmierci? John Kuo powiedział, że Chang Ko Li został zabity podczas bójki w tawernie. Taka była ogólnie przyjęta wersja zdarzeń. Ale czy prawdziwa?

Cheng Li zaczęła nerwowo przerzucać zapisane na turkusowo strony.

Pierwsze obserwacje...

Galion, który ożywa po zachodzie słońca...

Nie zasłona, lecz maska!

Druga załoga, którą nazywają donorami...

Cheng Li kręciło się w głowie. Ojciec poświęcił ostatnie miesiące życia na ściganie wampiratów!

I nagle wyczuła w pokoju czyjąś obecność. Tym razem przybysz nie zapukał - a może była zbyt pochłonięta lekturą, by cokolwiek usłyszeć.

- Jasmine - powiedziała. - Dziękuję ci. To niezwykle znalezisko! Ale gdy uniosła głowę, nie zobaczyła Jasmine. Stał przed nią młody chłopak z bladą skórą i włosami czarnymi jak skrzydła kruk.

- Kim jesteś? - spytała, choć miała już pewne podejrzenia.

- Nazywam się Lorcan - odparł. - Lorcan Furey. - Wpatrywał się w nią oczami błękitnymi jak niebo. - Przybyłem, by przekazać ci wiadomość od wampiratów.

Rozdział 30

Zagadka

Czarujący... To słowo nieczęsto pojawiało się w myślach Cheng Li, ale pasowało jak ulał do stojącego przed nią młodego mężczyzny.

- Ach tak - stwierdziła. - Legendarny Lorcan Furey. Uniósł brew.

- Legendarny?

- Wiele o tobie słyszałam - wyjaśniła z uśmiechem. - Ale z tego, co widzę, opisy nie dają wyobrażenia o rzeczywistości.

Oczywiście wcale nie był młody. Na tym polegała ta sztuczka. Krążył po lądach i oceanach od kilku wieków. Świadczyła o tym bladość podkreślająca niezwykłą urodę. Jego skóra przypominała półprzezroczysty marmur antycznego posągu albo cienką jak bibułę, zabarwioną fioletem skórę czosnku. „Zabawne porównanie - pomyślała - zważywszy, co się mówi o czosnku i wampirach”.

Spuścił wzrok. Jego długie rzęsy rzuciły cień na wysokie kości policzkowe.

- To nie jest wizyta towarzyska, kapitan Li - rzekł. - Mosh Zu, mistrz wampiratów, ma dla pani wiadomość.

- Mosh Zu? - zdziwiła się. - Nigdy o nim nie słyszałam.

- Wiele jest rzeczy, których pani o nas nie wie - odparł Lorcan.

- Ale bardzo chcę się dowiedzieć. Usiądź, proszę.

- Wskazała krzesło po drugiej stronie biurka. - To znaczy: może zechcesz usiąść?

- Zakładam, że nie ma pani trumny wyłożonej aksamitem. Niech więc krzesło wystarczy.

- Lorcan zajął miejsce naprzeciwko.

- Poczucie humoru? - Cheng Li znów się uśmiechnęła. - Nigdy bym nie pomyślała. Z opowieści Grace wynikało, że jesteś typem „mrocznym i zamyślonym”. On także się uśmiechnął.

- Z pewnością bywają takie chwile.

- Nie wątpię, Lorcanie Fureyu - zapewniła, czując, jak coś ściska ją w żołądku. - Nie wątpię.

„Flirtuję z wampirem” - pomyślała. Jest takie powiedzenie: flirtować z niebezpieczeństwem. No cóż, niełatwo wyobrazić sobie coś bardziej niebezpiecznego od przebywania w zamkniętym pomieszczeniu w towarzystwie krwiopijcy, nawet jeśli z wyglądu przypomina marmurowy posąg. A jeśli jest głodny? Czy może raczej „spragniony”? Nieważne, w końcu na jedno wychodzi. Wystarczy, że pochyli się nad tym odrapanym biurkiem i wbije w nią zęby...

- Lepiej przejdźmy do rzeczy - rzekł Lorcan, wrywając ją z zamyślenia.

- Tak - zgodziła się. Miała nadzieję, że dziwny gość nie zauważył, jak silne robi na niej wrażenie. - Mówiłeś, że Mosh Zu chce mi przekazać jakąś wiadomość. Jej migdałowe oczy wpatrywały się w Lorcana.

- Właściwie jest ona całkiem prosta - odparł. - Nie zaczynaj czegoś, czego nie możesz skończyć.

Słowa Lorcana sprawiły, że serce Cheng Li zabiło jak szalone. Z początku myślała, że może to strach - przecież właśnie dostała ostrzeżenie od wampirów. Ale nie, znała strach. To było coś innego. Co w takim razie? Zafascynowanie? Trudno zaprzeczyć, pociągał ją ten siedzący naprzeciwko chłopak z błękitnymi oczami, długimi rzęsami i wystającymi kośćmi policzkowymi. Tak, w innym miejscu i czasie sytuacja mogłaby się ułożyć bardzo interesująco. Ale wrażenie, jakiego doznała, było silniejsze niż strach czy fascynacja. I nagle uświadomiła sobie, co to takiego. Mosh Zu - najwyraźniej jeden z najpotężniejszych wampirów - przysłał wiadomość właśnie do niej. Do niej! Nie do Rene Grammonta, przedstawiciela szanowanej starej gwardii Federacji. Nie do Ahaba Blacka, tajemniczego, ambitnego komandora. Nie, Lorcan przyszedł do niej, do Cheng Li! Trudno o wyraźniejszy znak, że jej znaczenie rośnie. Lorcan odchrząknął.

- Czy wiadomość jest jasna? Kiwnęła głową.

- Wiecie o mojej misji... Patrzyła na niego, czekając, aż się odezwie. Ale odpowiadał jej tylko spokojnym spojrzeniem. Kusiło ją, by powiedzieć coś jeszcze, lecz wolała zachować ostrożność. Coś w jego osobie budziło niepewność. Zwykle to Cheng wywierała takie wrażenie na innych. Nie była zachwycona, że nagle znalazła się po drugiej stronie... Istniało poważne

ryzyko, że mimo woli powie mu więcej, niż by sama chciała i niż by sobie życzyła Federacja. Lorcan wstał. Najwyraźniej miał zamiar odejść.

- To wszystko? - spytała Cheng Li.

- Przekazałem wiadomość. Wypełniłem zadanie.

- Poczekaj! - zawołała Cheng Li. Lorcan zatrzymał się w drodze do drzwi. Nie była pewna, co powiedzieć. - Jak się tu dostałeś? - spytała w końcu. - A właściwie skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Czy to ważne? Dostałem się tutaj. Znalazłem panią. Przekazałem wiadomość. Myśli Cheng Li mknęły jak szalone. Chciała zatrzymać przy sobie Lorcana, choć nie całkiem wiedziała dlaczego. Nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

- Czy nie powinnam przesłać odpowiedzi waszemu mistrzowi? - zapytała. Lorcan pokręcił głową.

- To nie jest konieczne.

- Rozumiem - stwierdziła Cheng Li z pewną goryczą. - Czyli to właściwie nie wiadomość, lecz raczej ostrzeżenie.

Lorcan wzruszył ramionami.

- Jestem wdzięczny, że poświęciła mi pani swój czas. I swoją uwagę. Mam nadzieję, że należycie pani rozważy to, co powiedziałem.

- Tak - zapewniła go Cheng Li. - Rozważę. Skinął głową, odwrócił się i podszedł do drzwi.

Cheng Li zauważyła, że spod płaszcza wypadł mu arkusz papieru. Zakołysał się w blasku lampy i opadł na podłogę, biały i delikatny jak piórko.

- Poczekaj! - znów zawołała. I natychmiast ugryzła się w język. Lorcan stał już w progu. Odwrócił się. Błękitne oczy chłopaka poszukały jej spojrzenia.

- Tak?

Cheng Li desperacko usiłowała nie patrzeć na kawałek papieru leżący na podłodze. Z najwyższym wysiłkiem zapytała swobodnie:

- Chciałam tylko zapytać, jak się czuje Grace. - Bardzo dobrze - zapewnił ją Lorcan, jakby bardziej miękko. - Mogę jej przekazać, że pani pytała.

- Będę wdzięczna.

- Coś jeszcze?

Opierał już dłoń na klamce. Za chwilę przejdzie przez drzwi i zniknie w mroku. Pomyślała o papierze... To pewnie nic ważnego, a jednak...

- Nie. - Pokręciła głową. - Już wszystko.

Nie poruszył się. Czyżby wyczuł, że coś przed nim ukrywa? Może umyślnie upuścił ten papier? Chciał ją wypróbować?

- Jak zamierzasz stąd wyjść? - zapytała. - Znikniesz w kłębie dymu? Czy zwyczajnie się rozwiejesz?

Posłał jej uśmiech.

- Choć nie chciałbym pani boleśnie rozczarować, przypuszczam, że chyba po prostu przejdę przez te drzwi.

Po czym odwrócił się i zniknął w korytarzu.

Słuchała, jak cichną jego kroki. Nie zastanawiała się, czy skorzysta z niecodziennej windy, czy może ma jakiś sposób na opuszczenie Akademii. Jak sam powiedział: czy to ważne?

Cheng Li nadal siedziała przy biurku. Spotkanie z Lorcanem Fureyem wytrąciło ją z równowagi. Wciąż czuła lęk i ekscytację, jakie wzbudziła jego wizyta, ostrzeżenie, ale przede wszystkim sama obecność wampirata. Przez chwilę odtwarzała w pamięci rozmowę. Mogła ją poprowadzić o wiele lepiej, o wiele sprytniej. Ale Lorcan Furey był trudnym rozmówcą, naprawdę trudnym. Przypomniała sobie, co opowiadała Grace o jego wymijających odpowiedziach, o jego talencie do mówienia zagadkami. „A on sam jest największą zagadką” - pomyślała Cheng Li.

Zastanawiała się nad więzią łączącą Grace i Lorcana. Z opowieści dziewczyny tamtej nocy w Akademii wynikało, że przeżywała silne zauroczenie. „Grace nie jest pierwszą ani nie będzie ostatnią dziewczyną zakochaną w gniewnym samotniku” - pomyślała Cheng. Ale Lorcan to ktoś więcej niż gniewny samotnik - jest demonem, nawet jeśli ma twarz anioła. Znów spojrzała na upuszczony przez Lorcana prostokąt papieru. Sięgnęła po latarnię sztormową, podeszła bliżej i uklękła. Kiedy postawiła latarnię na podłodze, przekonała się, że to, co zgubił, nie jest kartką papieru, lecz kopertą. Na jej froncie widniało tylko jedno słowo: Qme

Koperta była dość gruba, wypchana kilkoma kartkami papieru, z pewnością gęsto zapisanymi. Ciekawe, co chciał przekazać Grace Lorcan, rozważała, świadomie odwołując moment otwarcia. Czy jest to wyznanie miłości wampirata do śmiertelniczki? Czy może, co

bardziej prawdopodobne, zerwanie? Cheng Li zważyła kopertę w dłoni, uśmiechając się do tego niezwykłego daru, który dosłownie sam wpadł jej w ręce.

Pora już wyjść z tej dusznej kryjówki, wrócić do wygodnej kajuty na pokładzie Tygrysa i zbadać wszystkie skarby, jakie tego dnia otrzymała od losu. Cheng Li była zmęczona, ale podniecona. Wiele spraw musiała przemyśleć.

Spojrzała na notes ojca. Nie mogła się powstrzymać, by nie zajrzeć do środka, nie rzucić okiem na stronicę pokryte charakterystycznym pismem, nakreślony równie charakterystycznym zielonym tuszem. Ale nie chciała czytać w kryjówce. Lepiej zostawić to na później.

Wsunęła list Lorcana do notesu, notes wrzuciła do torby i zasunąwszy zamek błyskawiczny, zarzuciła ją sobie na ramię. Wzięła latarnię i wyszła na korytarz. Zamknęła drzwi. Szła przez mrok, marząc, by jak najprędzej wrócić na statek i rozpakować torbę. Tę noc spędzi na czytaniu. Czuła, że wstępuje w nią nowa energia.

Rozdział 31

Opór

Kolejna noc. Kolejne ubogie nadbrzeżne miasteczko, które wkrótce zostanie zdziesiątkowane.

Stukeley i Johnny obserwowali z mostka podejście Krwawego Kapitana do brzegu. Słyszeli, jak na dole głodny tłum szykuje się do biesiady. Kolejna noc ucztowania, szaleństwa i absolutnego chaosu.

W kapitańskiej kajucie Sidorio stał przed sięgającym sufitu lustrem i wkładał nową pelerynę. Miała skomplikowany krój: składała się z licznych zwierzęcych futer, łańcuchów zrobionych z kości i szpikulców na obu ramionach. Nie trzeba chyba dodawać, że była szyta na miarę. Lola poleciła mu krawca i choć z początku Sidorio okazywał sceptycyzm, łatwo dał się przekonać, że po pierwsze, będzie w pelerynie porażający (w każdym znaczeniu tego słowa), a po drugie, jako król wampiratów potrzebuje ubrania odpowiadającego jego pozycji. Dzięki Loli miał też nowe buty, również ze szpikulcami. Uśmiechnął się. Nie wyobrażał już sobie życia bez lady Lockwood.

Przysunął się do lustra, aby sprawdzić, czy nic nie utknęło mu między zębami. A potem przejechał dłonią po krótko ściętych włosach.

- Bez zarzutu - oznajmił, szczerząc kły. Odwrócił się. Z satysfakcją słuchał, jak szeleści jego peleryna. Wyszedł z kajuty na spotkanie z porucznikami czekającymi na mostku.

Gdy przemierzał korytarz, tłum wampiratów rozstępował się niczym fale Morza Czerwonego. Wszystkie głosy przycichły z szacunkiem, kiedy zaczął wspinać się po schodach na mostek. Szeroko otworzył drzwi, aby uprzedzić o swojej obecności. Uzyskał pożądaną efekt: Johnny i Stukeley odwrócili się równocześnie.

- Dobry wieczór, chłopcy - powiedział Sidorio.

- Dobry wieczór, kapitanie - odparł Johnny.

Stukeley skinął tylko głową, wytrzeszczając oczy na widok wyrafinowanego kostiumu Sidorio.

- Ale ciuchy! - wykrzyknął. - Czy ta peleryna jest nowym nabytkiem? Sidorio z dumą pokiwał głową.

- Lola pomogła mi ją zaprojektować. - Wyprostował się dumnie i pozwolił im obejrzeć płaszcz w pełnej krasie. - Czy nie sądzicie, że jest zbyt... - zawahał się, szukając odpowiedniego słowa.

- Ostentacyjna? - podpowiedział Stukeley.

- Skromna...? - dokończył Sidorio.

Stukeley bardzo ostrożnie pokręcił głową.

- Nie, kapitanie. Może mi pan wierzyć: ona na pewno nie jest za skromna.

- Doskonale. - Sidorio zatarł ręce. - Jesteście głodni? Bo ja bardzo.

Johnny skinął głową.

- Jestem głodny jak wilk! - oznajmił, po czym udał wycie.

- Bardzo dobrze, Stetson - pochwalił go Sidorio.

- Prawdę mówiąc - wtrącił Stukeley - dobrze, że pan jest, kapitanie. Mamy jeszcze parę chwil, więc czy moglibyśmy porozmawiać o pewnej sprawie?

- Jasne - zgodził się Sidorio, chociaż jego znudzona mina sugerowała brak entuzjazmu.

Kapitan nigdy nie był zwolennikiem dyskusji o strategii, nawet w swoich najlepszych chwilach, a dzisiaj wydawał się bardziej niż zwykle rozkojarzony. Lecz Stukeley nie mógł dłużej odwlekać tej rozmowy.

- Słyszał pan wieści. Piraci zbierają siły, aby przypuścić na nas atak.

- Naprawdę? - Sidorio uniósł brew, by okazać choć ciekawienie.

- Tak. - Stukeley pokiwał głową. - To z powodu morderstwa komandora Kuo, szefa Akademii Piractwa, i jego dwójki studentów.

Sidorio wyszczerzył zęby.

- To robota Loli. - Istotnie - przyznał Stukeley. - Wyczyn lady Lockwood i jej załogi z Wagabundy. Sidorio zachichotał.

- Niegrzeczna Lola! Stukeley zmarszczył czoło.

- Kapitanie, nasze źródła sugerują, iż lady Lockwood wymknęła się z ich sieci i zamiast niej piraci ścigają teraz pana. Pamiętają masakrę Porfiria Wrathe'a i jego załogi i uważają, że pan jest odpowiedzialny...

- Owszem. Sądzę, że faktycznie go zabiłem - uśmiechnął się kapitan.

- Tak. Byłem wtedy z panem - przerwał mu Stukeley. - Chodzi o to, kapitanie, że sytuacja szybko ulega zmianie. Musimy się przygotować.

- Na co? - zapytał Sidorio. - Na atak jakichś zarozumiałych piratów? - Palcami przesunął po kolcach na naramiennikach. - Niech spróbują! Zetrzemy ich na proch! - Urwał. - A może założymy własną winnicę, jak...

- To miło słyszeć, że jest pan tak stanowczy w tej kwestii - brnął Stukeley. - Pamięta pan, jak rozmawialiśmy o nowej hierarchii dowodzenia? - Kapitan patrzył tępo na swojego zastępcę. - Na wzór rzymskich legionów?

W oczach Sidorio błysnęło zrozumienie.

- Potrzebujemy więcej kapitanów - rzekł Stukeley, próbując mówić możliwie prosto. - Po jednym na każdy statek.

- Ja jestem kapitanem! - oznajmił Sidorio, a jego głos odbił się echem na mostku i w korytarzu.

- Tak - potwierdził Johnny, przychodząc koledze z pomocą. - Jest pan najwyższym dowódcą i nikt tego nie kwestionuje. Jednak biorąc pod uwagę obecne zagrożenie i to, jak szybko rosną nasze szeregi, potrzebujemy więcej statków, a dla każdego z nich kapitana i pierwszego oficera. Musimy ocenić, kto będzie się nadawał na dowódcę.

Sidorio ziewnął. W jego otwartych ustach błysnęły złote kły. Stukeley wyczuł, że oddech dowódcy jest nietypowo słodki. Miętowy. Zmarszczył brwi i skupił się na temacie rozmowy.

- Wiem, że dla pana to może biurokracja, ale skupmy się. Sytuacja tego wymaga, i to już od pewnego czasu.

Sidorio wzruszył ramionami. Trudno było ocenić, czy nie miał nic sensownego do powiedzenia, czy po prostu się zmęczył. Na ścianie dostrzegł kolejne lustro, więc odwrócił się od poruczników i podszedł do tafli.

Stukeley i Johnny porozumieli się wzrokiem.

- Na twoim miejscu dałbym spokój - mruknął Johnny pod nosem. - Dziś wyraźnie myśli o czymś innym.

- Trudno nie zauważyć! - syknął Stukeley i aż się skrzywił.

- Bez nerwów! - rzucił Sidorio przez ramię. - Jesteśmy niewyciężoną potęgą. Jeśli piraci chcą, mogą próbować. Jeżeli myślą, że zdołają nas powstrzymać, to się mylą. I ten błąd będzie ich kosztować życie. - Sidorio znów odwrócił się do lustra. Wypiął pierś, na zmianę naprężając mięśnie, jakby uczestniczył w jednoosobowych zawodach kulturystycznych.

- Czy już skończyliśmy? - zapytał. - Nie możemy się spóźnić na spotkanie.

- Z kim?! - zapytali chórem obaj zastępcy, wyraźnie zaniepokojeni.

Sidorio uśmiechnął się błogo.

- Nie wspominałem, że tej nocy przyłączą się do nas lady Lockwood i jej załoga? Uznaliśmy, że zabawniej będzie zapolować razem.

Stukeley zmarszczył czoło, odwrócił się i spojrzał na brzeg.

- O, tak - stwierdził głosem całkowicie pozbawionym entuzjazmu. - Jej statek właśnie rzucił kotwicę.

- Doskonale - rzekł Sidorio i powąchał swoje pachy. - No dobra, chłopaki, pora rzucić kotwicę i na brzeg.

- Zanim pan odejdzie! - zawołał Stukeley. - Czy możemy przynajmniej dokończyć naszą rozmowę?

- Myślałem, że już skończyliśmy. Stukeley uzbroidł się w cierpliwość.

- Kapitanie, ten problem sam się nie rozwiąże. Jeśli piraci planują nas zaatakować, a wszystko na to wskazuje, musimy być gotowi.

- No dobrze - rzekł spokojnie Sidorio. - Co proponujesz? Czasami Stukeley miał wątpliwości, czy mimo wielu niezaprzeczalnych zalet jego kapitan potrafił cokolwiek zapamiętać.

- Legiony... Kapitan dla każdego statku.

- Tak, tak - zgodził się Sidorio. - Porozmawiam o tym z Lolą. A teraz muszę iść. Nie mogę pozwolić, aby ta cudowna istota na mnie czekała. Po chwili stał już w drzwiach.

- Kapitanie - powiedział Stukeley - proszę wybaczyć, ale lady Lockwood nie należy do naszego zespołu. Czy naprawdę powinien pan dyskutować z nią o takich sprawach? Sidorio spojrzał na niego gniewnie.

- Czy muszę ci przypominać, kto tu dowodzi? Będę sobie rozmawiał, z kim mi się podoba i o czym zechcę.

- Tak, sir! - rzucił Stukeley, rozumiejąc, że przekroczył granicę. Czasami rozważa polega na tym, że człowiek wie, kiedy powinien się zamknąć. Ale Sidorio jeszcze nie skończył.

- Tak się składa - rzekł - że lady Lockwood i ja rozmawiamy o połączeniu statków.

- Połączeniu?! - wykrzyknął Johnny.

- Zgadza się, Stetson. - Sidorio skinął głową. - Poprosiłem, żeby do nas dołączyła. Podoba mi się jej styl. Mam nadzieję, że trochę nas rozrusza. Jak to mówią? - Uśmiechnął się i wymierzył pięścią cios powietrzu. - Kobieca ręka! - zawołał.

Po czym odwrócił się i ruszył korytarzem, nie chcąc dłużej odwlekać spotkania.

Johnny zwrócił się do Stukeleya:

- Kobieca ręka? - powtórzył. - O co w tym wszystkim chodzi, hermano! Stukeley zmarszczył czoło.

- Kapitan nie potrafi już odróżnić dnia od nocy. Do takiego stanu doprowadziła go lady Lockwood. Próbowaliśmy przemówić Sidoriovi do rozsądku, ale wszystkie słowa wpadają mu jednym uchem, a wypadają drugim. Koncentracja nigdy nie była jego mocną stroną, ale odkąd pojawiła się Pani Paskuda...

- Więc co zrobimy? - zapytał Johnny.

- Weźmiemy sprawy we własne ręce - odparł Stukeley. - Niech kapitan grucha ze swoją przyjaciółką, dopóki się nie znudzi i nie znajdzie sobie nowej zabawki, a my tymczasem przejmujemy kontrolę nad całym przedsięwzięciem, zanim rozsypie się na naszych oczach. Ciemne oczy Johnny'ego zabłysły.

- Mówisz rozsądnie, hermano. Uważasz, że damy radę?

- Musimy spróbować - rzekł Stukeley. - Nie sądzę, abyśmy mieli jakiś wybór. A ty? Wyszedł z kajuty i skinął na Johnny'ego.

Kiedy Stukeley i Johnny pojawili się na plaży, Sidorio stał już obok lady Lockwood. Jej załoga ubrana była w czarne peleryny.

- Jesteście wreszcie! - zawołał przyjaźnie. - Chłopcy, podejdźcie tutaj. Pamiętacie lady Lockwood?

- Jak moglibyśmy zapomnieć - mruknął Stukeley i skłonił się w wyszukany sposób.

- Buenas noches, kapitan Lockwood. - Johnny ucałował dłoń Loli.

Lady Lockwood uśmiechnęła się słodko do poruczników.

- Przypuszczam, że pamiętacie Jessamy i Camillę? Dziewczęta przywitały zastępców Sidorio. Stukeley i Johnny byli nieco zakłopotani. Dobrze pamiętali, że to one robiły z nich durniów przez kilka nocy z rzędu.

- Bez obaw - uspokoiła ich lady Lola. - Obiecały, że dziś będą grzeczne, prawda, moje panie?

- Tak, pani kapitan - odparły razem. Stukeley zwrócił się do Sidorio:

- Chyba już czas zacząć przedstawienie, kapitanie.

- Jasne. - Sidorio kiwnął głową i podał dłoń lady Lockwood. - Proszę ze mną. Będziemy polować jako para.

- Wiesz, skarbie - odparła - mam ludzi, którzy za mnie polują. Wolę pić krew z bezcennego weneckiego szkła.

Sidorio z miejsca posmutniał. Widząc to, lady Lockwood wzięła go za rękę.

- Ale zawsze jestem otwarta na nowe doświadczenia. Chodźmy zatem, brutalu. - Odwróciła się, by przemówić do swojej załogi: - Bawcie się dobrze!

Sidorio poprowadził lady Lockwood przed tłum i wydał rozkaz:

- Ruszajcie ucztować!

Stukeley i Johnny patrzyli, jak horda wampiratów rozbiega się po plaży. Sami zostali na brzegu w otoczeniu załogi lady Lockwood. Johnny nie mógł nie zauważyć, że składa się ona z pięknych kobiet.

- A więc? - Jessamy uniosła brew. - Miałśmy nadzieję, że panowie wskażą nam drogę.

Johnny uśmiechnął się szeroko.

- Drogie damy, proszę za mną! Ruszył biegiem po plaży, prowadząc za sobą rój dziewcząt w czarnych pelerynach. Po uczcie Johnny i Stukeley towarzyszyli załodze lady Lockwood na plaży. Mimo początkowego sceptycyzmu Jeza świetnie się bawili. Teraz, gdy Jessamy i Camilla nie próbowały ich oszukiwać, okazały się całkiem miłymi dziewczętami. Istnieją w końcu gorsze rzeczy niż całonocne biesiadowanie w towarzystwie tłumy pięknych wampiratek. Po krótkiej chwili dołączyła do nich para kapitanów. Sidorio biegł, niosąc lady Lolę w objęciach. Jej suknia powiewała na wietrze.

- Puść mnie! Puść natychmiast! - wołała Lola.

W końcu uwolnił ją i delikatnie postawił na piasku. Odetchnęła głęboko, a potem, nieco zarumieniona, zwróciła się do pozostałych:

- No cóż, rzeczywiście nieźle się dziś bawiliśmy. A wy? Porucznicy pokiwali głowami. Niektóre dziewczęta wykrzyknęły coś z entuzjazmem. Lady Lockwood wsunęła rękę pod ramię Sidorio.

- Nasze załogi nieźle się dogadują, prawda? Przytaknął z promiennym uśmiechem.

- Czy mam uruchomić syrenę? - zapytał Johnny.

- Nie. - Sidorio pokręcił głową. - Jest jeszcze całkiem ciemno. Myśmy się już zabawili, ale nie warto przerywać pozostałym. I nagle noc przeciął mrozący krew w żyłach wrzask.

- Co to było?! - krzyknęła Jessamy. Ale wszyscy znali odpowiedź. Wiedzieli doskonale, jak krzyczą śmiertelnicy. Ten okrzyk był inny. Wydał go jeden z wampiratów.

- Zaczęło się - rzucił spokojnie Stukeley. - Miasto zaczyna stawiać opór.

- Co robimy, kapitanie? - Johnny patrzył na Sidorio, czekając na polecenia.

Sidorio wyprostował się w milczeniu i przeszedł po piasku, spoglądając w stronę miasta. Porucznicy ruszyli za nim.

- Powinniśmy zostać i walczyć? - zapytał Stukeley. - Czy chce pan odpłynąć? Po pierwszym wrzasku rozległ się następny. Na wzgórzu zapłonął ogień. Pojawiła się cała rzeka ognia. Pochodnie. Płonące pochodnie.

- Wynośmy się stąd! - zdecydował Sidorio.

- Uruchomię syrenę - rzekł Johnny.

- Nie! - Kapitan pokręcił głową. - Nie warto. Nie czekamy na maruderów.

- Maruderów? - powtórzył Stukeley. - Kapitanie, przed chwilą sam pan mówił, że trzeba im pozwolić na dłuższą zabawę...

- Sytuacja się zmieniła - odparł Sidorio. - Ci, którzy zdążą, odpłyną. A co do reszty... - Wzruszył ramionami. - Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Stukeley i Johnny stali jak wmurowani, wstrząśnięci postawą kapitana.

- Czy nie wyrażam się dostatecznie jasno?! - wrzasnął Sidorio. - Wracać na statek i podnieść kotwicę!

- Tak, kapitanie! - zawołał Stukeley i rzucił się w stronę wody.

- Natychmiast, kapitanie! - krzyknął Johnny.

- Przypuszczam, że i my powinniśmy szybko się wycofać - oświadczyła lady Lockwood.

- Chodźmy, drogie panie!

Jej załoga ruszyła biegiem po piasku. Lady Lockwood posłała Sidoriovi pocałunek.

- Dobranoc i dzięki za zaproszenie. Było cudownie, Sid, naprawdę cudownie. Jestem pewna, że wkrótce się zobaczymy!

Kiedy lady Lockwood i jej załoga pobiegły w jedną stronę, Sidorio i grupa z Krwawego Kapitana pognali w przeciwną, gdzie czekał ich statek.

Wampiraci wciąż jeszcze wspinali się na kadłub, kiedy statek zaczął robić zwrot. Inni dopiero teraz przybiegli na plażę. Stukeley patrzył na nich z góry - był to przykry widok. Dziewczyna, której paliły się włosy, rozpaczliwie próbowała ugasić płomień. Ktoś inny został przebity kołkiem i teraz patrzył smutno na sterczący z piersi kawałek drewna.

- Czekajcie na nas! - wołano z brzegu.

- Płyńcie! - krzyknął Johnny.

- Nie mogę! - zawołał przebity kołkiem wampirat. Sidorio patrzył obojętnie. Zgodnie z jego poleceniem statek odpływał.

- Nie możecie nas zostawić! - krzyknęła podpalona wampiratka.

- Mogę zrobić, co zechcę! - odparł znudzonym tonem Sidorio.

- Jest pan kapitanem! - zawołał ktoś inny. - Dowódca Nokturnu nigdy nas tak nie traktował!

Sidorio przewrócił oczami.

- Tu was boli! - Spojrzał z pogardą na porzuconych członków załogi. - Jesteście wampiratami, nie? Okażcie trochę odwagi. Mógłbym sam jeden stanąć przeciwko temu miastu i zostawić tylko ruiny... gdyby mi się chciało. - Ziewnął. - Ale teraz mam ochotę na małą drzemkę. Hasta la vista - Odwrócił się i odszedł od burty.

W dole, na plaży, porzuceni wampiraci lamentowali i złorzeczyli, gdy Krwawy Kapitan odpływał w ciemność. Plażą zbliżał się tłum rozwścieczonych mieszkańców miasta. Nieśli płonące pochodnie, kołki, pogrzebacze i całą broń, jaką zdołali znaleźć w środku nocy. Ale do brzegu zbliżał się już inny statek. Jego kapitan stała na dziobie i z góry obserwowała całą scenę.

- Jakie to straszne - westchnęła, zwracając się do pierwszego oficera. - Widziałeś to? Statek zostawił tych biednych wampiratów na zaturę.

- Owszem - odparł. - To nie w porządku, prawda? Kapitan pokręciła głową.

- Myślę, że powinniśmy zejść i zaproponować im pomoc, nie sądzisz? Jacoby uśmiechnął się do Cheng Li.

- Tak - stwierdził. - Myślę, że mamy miejsce dla co najmniej trójki spośród tych nieszczęśników.

Obejrzeni się oboje na trzy klatki ustawione na pokładzie. Cheng Li pokręciła głową.

- Jak to mówią? Z deszczu pod rynnę... Potem zaczęła machać do zrozpaczonych istot na piasku.

Rozdział 32

Jazda na pustyni baku

- Grace, przepraszam, że tak się wdarłem. Pukałem, ale nie odpowiadałaś. Grace sennie otworzyła. Widziała wszystko jak przez mgłę i nie od razu rozpoznała wchodzącego.

- Oskar?

- Tak - powiedział wesoło i podszedł do niej. - Jak się dzisiaj czujesz?

Świat był zamglony.

- Chyba dobrze... tak sędzę. Ale gdy to powiedziała, poczuła lekkie mdłości. Pokój zawirował..

- Spokojnie. Oskar usiadł przy niej. Poczuela, że chwyta ją za rękę. Dotyk miał chłodny, jak wszyscy wampiraci... Ale nie, przecież Oskar nie jest wampirem, jest donorem... Myśli Grace tłukły się jak szalone. Dotyk był chłodny, ponieważ ona jest ciepła. Pewnie ma gorączkę.

- Och... Nie, nie czuję się dobrze.

- W porządku, Grace. Wiem.

Usiadł bliżej, nadal trzymając ją za rękę. Siedzieli tak przez chwilę i milczeli.

Po kilku minutach Grace poczuła, że oddech jej się uspokaja i chyba spada temperatura. Mgła otaczająca wszystkie przedmioty zniknęła. Dziewczyna uniosła się na łóżku.

- Wyglądasz o wiele lepiej niż wczoraj.

- Wczoraj? - spytała Grace niepewnie. - Byłeś tu wczoraj?

- I przedwczoraj, i jeszcze dzień wcześniej. Nie pamiętasz?

Pokręciła głową przerażona.

- Nie, nie pamiętam. Nie wiem nawet, jak długo tu leżę. - Westchnęła. - Myślę, że byłam bardziej chora, niż mi się wydawało.

Uściskał jej rękę.

- Leżysz w łóżku od pięciu dni i pięciu nocy. Odkąd opuściliśmy Zatokę Księżycową. - Przerwał. - Pamiętasz, co się tam stało?

- Tak - odparła. - Oczywiście! Moja matka odeszła. Połączyła się z tatą. A w każdym razie ich dusze się połączyły i odeszły razem.

- Zgadza się. A pamiętasz, co było potem? Wróciła myślami do Zatoki. Stała przy kościele, bezpieczna w ramionach Lorcana, i patrzyła, jak matka i ojciec spotykają się przy grobie. Widziała, jak odchodzą i... Wizja traciła ostrość, ale Grace usilnie starała się ją utrzymać. Zobaczyła ich znowu na szczycie latarni, patrzyli na nią i machali na pożegnanie. Promień światła zaczął przesuwac się po plaży i zatoce, aż musiała zamknąć oczy. Ciemność. Całkowita ciemność. Ale nie, tuż przedtem było coś jeszcze. Nagrobek ojca rozjarzył się czerwienią... nie, różem. Jakby ją przywoływał. Pobiegła w tamtą stronę i zobaczyła nową inskrypcję. Odczytała te słowa, wszystko zaczęło się rozmywać i straciła przytomność.

- Musiałam chyba zemdlec na cmentarzu - powiedziała. Oskar kiwnął głową.

- Widzisz, a jednak pamiętasz! Przynieśli cię na statek, do twojej dawnej kajuty. - Wskazał gestem pomieszczenie i teraz również ona zaczęła się rozglądać.

Sporo czasu minęło od jej ostatniej obecności w tym miejscu. Ale owszem, to była jej kajuta, którą otrzymała, kiedy po raz pierwszy znalazła się na Nokturnie.

Siedziała teraz na łóżku między rzeźbionymi drewnianymi balustradami. Po jej prawej ręce stała nieduża toaletka z porcelanową miską i ręcznikiem. Przebiegła wzrokiem po kajucie, do krzesła, gdzie leżało złożone jej ubranie. Przy krześle stało biurko. Jak zawsze, jego blat był zarzucony piórami, ołówkami i kałamarzami. Oraz notesami, w których spisywała historie przejścia opowiedane jej przez wampiratów ze statku i z Sanktuarium. Za biurkiem stał sekretarzyk z laki, zdobiony dziwnymi rzeźbami. Zauważyła także srebrną szczotkę i zwierciadło. Pamiętała to lustro. Nie miało szkła. Chwyła Oskara za rękę.

- Mówiłeś, że jak długo tu leżę? - spytała znowu i zaczęła się zastanawiać, czy wszystko nie było snem: ślepotą Lorcana, podróż do Sanktuarium, ceremonia uzdrowienia kapitana, powrót matki...

- Pięć dni - powtórzył Oskar. - Pięć dni od czasu, gdy zemdląłeś na cmentarzu. Mosh Zu wybrał dla ciebie to miejsce, a Lorcan cię przyniósł.

Więc to nie był sen. Tylko dlaczego wszystko wydawało się takie niewyraźne?

- Przepraszam - odezwała się - mówiłeś, że odwiedzałeś mnie wcześniej.

- Każdego wieczoru. Lorcan i Mosh Zu powiedzieli, że przyda ci się towarzystwo.

- Bardzo jestem ci wdzięczna. Naprawdę. Tylko to dziwne, że nic nie pamiętam. Jakby czas od zdarzenia na cmentarzu gdzieś zaginął, a wcześniejszy - splątał się i pomieszał. Nie wiem już, co było rzeczywistością, a co wyobrażeniem.

Oskar, przemówił do niej łagodnie.

- Nie martw się, Grace. Wiele przeszłaś w ciągu ostatnich tygodni. Twoje ciało musiało się w końcu zbuntować. Żyłas w silnym stresie.

- Pewnie masz rację - przyznała. - Może od jakiegoś czasu jechałam już na pustym baku. Chyba przechodzę coś podobnego do przeziębienia albo grypy.

- Właśnie - zgodził się Oskar. - Na pewno nie ma powodu do obaw. Najważniejsze, żebyś odpoczęła. Wkrótce poczujesz się lepiej, jestem tego pewien.

- Dziękuję - odparła. Uśmiechnął się do niej. Po chwili ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołała Grace.

- Twój głos brzmi... - zaczął Lorcan, wchodząc do kajuty. Nagle przerwał. - Hm.

Oskar. Nie wiedziałem, że tu jesteś.

- Czy coś się stało? - spytał Oskar. - Mówiłeś, że mogę odwiedzać Grace, pamiętasz? - Tak, tak, pamiętam. Po prostu nie spodziewałem się ciebie akurat teraz. To wszystko - urwał. Wydawał się nieco niespokojny.

- Wolałbyś, żebym zostawił was samych? - spytał chłopak.

- Jeśli ci to nie przeszkadza.

- Nie, oczywiście że nie - zapewnił go Oskar.

- Poza tym muszę przygotować się do Uczty.

- Dzisiaj jest Uczta? - spytała Grace.

Obaj kiwnęli głowami. To wyjaśniało rozkojarzenie Lorcana. Każdy wampirat przed Ucztą był najsłabszy. Poziom krwi spadał wtedy gwałtownie, a wraz z nią odpływała energia.

- No to idę - rzekł Oskar i uśmiechnął się do Grace. - Ale zajrzę do ciebie jutro, dobrze?

- Jasne. Przy okazji, dziękuję za to, co powiedziałaś. Już teraz czuję się o wiele lepiej.

- To dobrze.

Skinął głową Lorcanowi i wyszedł.

- A jak się właściwie czujesz? - spytał Lorcan, siadając na miejscu Oskara.

- Szczerze mówiąc, trochę dziwnie. Nie pamiętam niczego od wieczoru na cmentarzu.

Oskar powiedział, że przyniosłeś mnie tutaj.

- To prawda.

- Dziękuję. W ten czy inny sposób zawsze mnie ratujesz.

Wzruszył ramionami i posłał jej ciepły uśmiech.

- Cóż, jeżeli przychodzi ci do głowy wypadać za burtę albo mdleć na cmentarzach, ktoś musi się tobą zająć - stwierdził.

- A ja się cieszę się, że to jesteś ty - oznajmiła i sięgnęła po jego dłoń. Skórę miał chłodną jak zawsze. Ale już jej to nie dziwiło. W końcu był wampirem.

- A więc - rzekł Lorcan - ty i mój nowy donator chyba się zaprzyjaźniliście. O czym rozmawialiście, zanim przyszedłem?

Grace się zamyśliła.

- Może to tajemnica? - spytał. - Nie. - Pokręciła głową. - Rozmawialiśmy o tym, co przeszłam i jak się teraz czuję. Och, Lorcan, to takie dziwne. W jednej chwili jestem rozgorączkowana, potem dostaję mdłości, a jeszcze później ogarnia mnie zmęczenie. Bez przerwy śpię.

- Wiem - powiedział. - Ale wszystko w porządku. To minie.

- Oskar też tak mówi. Uważa, że to przez stres. Coś w rodzaju grypy... - Przestała mówić, bo zauważyła, że chłopak przygląda się jej w skupieniu. - Lorcan, o co chodzi? Wciąż na nią patrzył, a po chwili mocniej ścisnął dziewczynę za rękę.

- Grace. Moja kochana, słodka Grace. Muszę coś ci powiedzieć. - Urwał.

- Lorcan, o co chodzi? Przerażasz mnie. Proszę, powiedz!

- Tak, już czas. A właściwie ten czas już minął. Tak długo próbowałem cię chronić, wszyscy próbowaliśmy, ale teraz musisz się dowiedzieć.

Grace patrzyła na niego zdumiona. O czym on właściwie mówił?

Rozdział 33

Niebezpieczne trio

Cheng Li przyglądała się portretowi ojca, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Kobieta odwróciła się i dumnie wyprostowała, nim krzyknęła:

- Wejść! Próg przekroczyli Jacoby, Jasmine i Connor.
- Skończone? - spytała Cheng Li. Jacoby kiwnął głową.
- Skończone. Dzisiaj zamknęliśmy eksperyment. Chcemy przedstawić wyniki.
- Doskonale - rzekła Cheng Li. - Weźcie sobie krzesła.

Poprowadziła ich do okrągłego stołu przy oknie, gdzie wszyscy usiedli. Cała trójka przyniosła własne notesy. Otworzyli je, by omówić odkrycia i zanotować nowe polecenia.

- No dobrze - powiedziała Cheng Li. - Trzy noce temu oddałam wam trzy obiekty doświadczalne. Powiedźcie, do jakich doszliście wniosków. Zaczął Jacoby:

- Jasna sprawa, pani kapitan. No więc przede wszystkim obwiesiliśmy klatki girlandami dzikich róż i główek czosnku...

- Jak pięknie... - mruknęła Cheng Li. Jacoby uśmiechnął się szeroko.

- Pamięta pani, że obie te rośliny mają podobno właściwości apotropaiczne, czyli pomagają w obronie przed wampirami. Chcieliśmy sami się przekonać, czy to prawda.

- I?

- Hipoteza została potwierdzona. Nie było żadnych prób ucieczki. Naturalnie, trudno mieć całkowitą pewność, ale moim zdaniem te girlandy działały na więźniów odpychająco. Zgodzisz się, Min?

Jasmine kiwnęła głową. Cheng Li zanotowała coś, po czym gestem zachęciła swojego zastępcę, by mówił dalej.

- Potem - podjął Jacoby - sprawdziliśmy działanie słońca. Chcieliśmy się przekonać, jak bardzo im zagraża. Znamy oczywiście przypadek wampirata, którego spotkał Connor. Tego, który został na pewien czas oślepiony przez słońce.

- I jak wam poszło?

- Nasz plan ich przeraził. Kiedy pierwszej nocy zdjęliśmy z klatek zasłony i powiedzieliśmy, że zobaczymy się rano, całą trójkę ogarnął strach. Oczywiście, obserwowaliśmy ich z pewnej odległości. Kiedy wzeszło słońce, zauważyliśmy kolejne oznaki cierpienia.

- Zaczęli krzyczeć - przerwała Jasmine. Jej twarz także wyrażała cierpienie. - To było okropne, naprawdę okropne.

- A jednak - podjął Jacoby - światło słoneczne wydaje się kolejnym apotropaikiem. Zaszkoziło im, ale ich nie unicestwiło. Powiedziałbym, że miało działanie otępiające.

- Ciekawe. - Cheng Li dalej notowała. Zerknęła na Connora. - Może różni wampiraci różnie reagują?

Connor pokiwał głową.

- To możliwe - przyznał. - Poza tym z opowieści Grace wnioskuję, że nie samo słońce było przyczyną ślepoty Lorcana Fureya. Istniały też inne, nieznanne nam przyczyny. Cheng Li znowu spojrzała na Jacoby'ego.

- A może udawali oszołomienie, żeby was oszukać?

- Nie. Proszę mi wierzyć, kapitanie, nie oszukiwali.

- Po pewnym czasie - dodała Jasmine - musieliśmy przykryć klatki, żeby ulżyć ich cierpieniu i przygotować się do dalszych eksperymentów.

Jacoby wyjął z kieszeni jakiś przedmiot i położył go na blacie.

- Drewniany kołek - wyjaśnił. - Przetestowaliśmy go na Wampiracie 1. Pamięta go pani? Dorosły, płci męskiej. Najpotężniejszy z całej trójki. Kiedy wchodziłem do klatki, wydawał się całkiem bezwładny. Odwróciłem go. Był porażony słońcem, ale jednak walczył. Cheng Li uniosła brew.

- Zdaje się, że był zlakniony krwi - tłumaczył Jacoby. - Kiedy spojrzałem mu w oczy, miałem uczucie, że zaglądam do bardzo głębokich studni z płonącymi na dnie ogniami. A potem zrobiło się naprawdę paskudnie.

- Paskudnie? Dlaczego?

- Wampirat 1 zaatakował. - Jacoby skrzywił się niechętnie na samo wspomnienie. - Pokonał mnie bez trudu i rozdarł mi koszulę...

- Próbował odślonić klatkę piersiową - dodała Jasmine. - Wydaje się, że wampiraci najchętniej przebijają się w okolicy mostka, by otworzyć ujście krwi.

- Gdyby nie tych dwoje, skończyłbym jako jego śniadanie - przyznał Jacoby. - Connor wpadł do klatki i próbował odciągnąć Wampirata 1, ale potwór okazał się zbyt silny. Drapał mnie po piersi, jakby chciał dostać się do krwi. Muszę przyznać, że był to najgorszy moment w całym moim życiu.

Connor przytaknął.

- Wampirat pochylał się nad Jacobym z wyszczerzonymi zębami. Próbowałem go odciągnąć, ale rzucił mną przez całą klatkę.

- No więc jak go obezwładniliście? - zapytała Cheng Li.

- Na scenę wkracza Peacock - oświadczył Jacoby z uśmiechem i spojrzał na Jasmine, która podjęła opowieść.

- Dzień wcześniej Jacoby opowiadał mi o potężnym działaniu tojadu - powiedziała. - To roślina kwitnąca znana też jako mnisi kaptur albo mordownik. Łowcy z Ladakhu używali tojadu do zatruwania strzał. Był on również wykorzystywany jako broń podczas wojen w Chinach. Cheng Li notowała pilnie.

- Na ludzi i zwierzęta trucizna działa szybko, powodując odrętwienie ust i palenie w żołądku. Potem pojawiają się ostre wymioty, a następnie spada puls i oddychanie staje się utrudnione. Śmierć następuje poprzez uduszenie. Tojad był wymieniony jako apotropaik, a ja przypadkiem miałam z sobą worek płatków, które niosłam do laboratorium. Postanowiłam je wypróbować.

- Była nieustraszona - oświadczył Jacoby. - Wbiegła do klatki i wysypała płatki na głowę Wampirata 1. Skutek był natychmiastowy. Przyciskał mnie do podłogi, ale nagle jakby go sparaliżowało. Zwolnił uścisk i krzyknął z bólu.

- Co pozwala stwierdzić - kontynuowała Jasmine - że tojad nie jest jedynie apotropaikiem, jak róże albo czosnek. Nie tylko powstrzymał Wampirata 1, ale naprawdę mu zaszkodził.

Skończyła mówić i obok drewnianego kołka na biurku Cheng Li położyła niewinnie wyglądającą gałązkę obsypaną białymi kwiatkami. Cheng Li popatrzyła na nie, a potem na kołek.

- Czyli kwiaty działają, a kołek nie. Dobrze zrozumiałam? Jacoby pokręcił głową.

- Kołek działa - zapewnił. - Musieliśmy tylko unieruchomić wampiratów, zanim go użyliśmy. Zostawiliśmy ich na jeszcze jedną noc, a w dzień kilka razy wystawiliśmy na słońce. Tak jak poprzednio byli półprzytomni. Wróciliśmy o zmierzchu, żeby wypróbować kołek na Wampiracie 2, drugim samcu drobniejszej budowy.

- Bardzo się bronił?

- Wpadłem do klatki i wbiłem mu kolec w pierś. Otworzył usta, ale nie krzyknął. To było dosyć dziwaczne...

Jasmine przytaknęła.

- Rozległ się wysoki dźwięk, ale nie dochodził z jego ust. I miał całkiem inną częstotliwość, jakby pękało szkło. A potem wampirat dosłownie rozpadł się na naszych oczach.

Cheng Li słuchała uważnie.

- Zgadza się. - Jacoby kiwnął głową. - W jednej chwili tam był, w następnej popękał jak lustro. Jego ludzka postać całkiem zniknęła. W klatce leżały tylko odłamki. Potem te odłamki też się zaczęły rozpadać w taki dziwny metaliczny pył. - Spojrzał na towarzyszy. - I wtedy popełniliśmy pierwszy błąd.

- Błąd? Jaki błąd? - zdziwiła się Cheng Li.

- No więc, powiem szczerze, pani kapitan, że trochę byłem wstrząśnięty. Myśleliśmy, że udało nam się go zniszczyć...

- Myśleliście? To wyglądało na pewne...

- My też tak sądziliśmy. Dlatego postanowiliśmy przerwać eksperymenty i pójść na kolację.

- Dopiero później Kavan, pełniący wachtę w bocianim gnieździe, opowiedział nam, co zobaczył - dodała Jasmine.

- Czyli? - ponagliła ją kapitan.

- Mówił, że to wyglądało jak burza piaskowa na pokładzie.

- Burza piaskowa?

- Z początku tak właśnie pomyślał. Widział unoszący się w klatce metaliczny pył, który zawirował i wysypał się na zewnątrz, jakby wiatr go przeniósł.

Nadal się unosił, ale zaczął nabierać kształtu ludzkiej sylwetki. Kavan mówił, że ten błyszczący pył na jego oczach stał się ciałem. Wampirat 2 wrócił do życia.

- Zadziwiające - przyznała Cheng Li. - Ale to przecież nie wasza wina. Skąd mogliście wiedzieć?

- To jeszcze nie wszystko, pani kapitan - stwierdził Jacoby. - Najgorsze zdarzyło się później. Jak już mówiłem, poszliśmy na kolację. Kavan siedział w bocianim gnieździe. Kiedy

zobaczył, co się dzieje, zszedł na dół, żeby schwytać wampirata. Ale nie był dostatecznie szybki. Więzień uciekł ze statku.

- Uciekł? - wykrzyknęła Cheng Li. - Dokąd?! I dlaczego dopiero teraz o tym słyszę? Jacoby poczerwieniał.

- Pozostali próbowali mnie przekonać, że należy powiedzieć pani o tym natychmiast. Ale ja uznałem, że jestem odpowiedzialny za zadanie. Nie chciałem zawieść. Byłem przekonany, że uda się nam go schwytać.

- Och, Jacoby! - westchnęła Cheng Li. - Ale się nie udało, prawda? Jacoby pokręcił głową.

- Naprawdę mi przykro, szefowo.

- To nieszczęśliwy wypadek, ale usprawiedliwiony. No więc uciekł. Ale to tylko jeden wampirat, prawda?

Jacoby przytaknął. Czuł ulgę, że przełożona tak spokojnie przyjęła wieści. Oczywiście, powinien był posłuchać kolegów i powiedzieć jej wszystko wcześniej. Zaoszczędziłby sobie kilku bezsennych nocy. Cheng Li notowała coś, ale po chwili uniosła głowę.

- Chociaż uciekł, wykazaliście, że kołek to bardzo skuteczna broń, zwłaszcza używana wraz z innymi metodami. Z jakiego drewna jest zrobiony?

- Z głogu - poinformowała ją Jasmine. - Nasze badania wykazują, że głóg jest dla wampiratów wyjątkowo toksyczny.

- Dobra robota. Wszystko zaczyna układać się w całość. Co robiliście potem?

- Postanowiliśmy dokładniej zbadać moc tojadu - odparł Jacoby. - Jak wspomniała Min, substancja wydaje się silnie toksyczna dla wampirów. Płatki miały odrętwiający, paraliżujący efekt. Wywołały opuchlinę w rejonie oczu i ust i chyba także obrażenia wewnętrzne. Przygotowaliśmy więc wywar z tojadu i tej nocy podaliśmy go Wampiratowi 3 w postaci napoju. Wampirat 3 to kobieta. Cheng Li spojrzała z uwagą, czekając na dalszy ciąg.

- Zniszczyliśmy ją - powiedział Jacoby.

- Samym wywarem z tojadu?

- Nazwaliśmy go tojadem tojadowitym - rzucił z uśmiechem.

Cheng Li zauważyła, że Connor się skrzywił, słysząc ten niezbyt udany żart. Był coraz bardziej milczący i ponury. Wiedziała, że pomagał Jacoby'emu i Jasmine w eksperymentach, ale

najwyraźniej trudno mu było osiągnąć dystans. Właściwie spodziewała się tego. Musi zamienić z nim kilka słów. Ale potem. Na razie chciała jak najszybciej usłyszeć o ostatniej części badań.

- Został tylko jeden wampirat - mówił Jacoby.

- Ten, który mnie zaatakował. Wyniszczyliśmy go płatkami tojadu, ale nie mogliśmy skłonić, żeby połknął truciznę. No więc musieliśmy wykorzystać inne sposoby.

I znowu Cheng Li uniosła brew.

- Zakołkowaliśmy go. A właściwie zakłuliśmy. - Zlikwidowaliście Wampirata 1 zwykłym pirackim mieczem? - Nie mieczem, nie. Lichtarzem. Chwileczkę. Pogrzebał w swojej torbie i wyjął lichtarz, który ustawił obok drewnianego kołka i gałązki tojadu.

Zaintrygowana Cheng Li przesunęła po świeczniku palcem.

- Rozsypał się jak Wampirat 2 - wyjaśnił Jacoby.

- Ale tym razem czekaliśmy i patrzyliśmy. Nie zrekonstruował się.

- Jesteście pewni?

- Tak.

Jacoby obejrzał się, szukając wsparcia u towarzyszy. Oboje, Jasmine i Connor, ponuro skinęli głowami.

- A z czego jest zrobiony ten lichtarz? - zainteresowała się Cheng Li.

- Ze srebra - odparła Jasmine. - Podczas badań natrafiliśmy na doniesienia o stosowaniu srebra przeciwko wilkołakom.

Jacoby pokiwał głową.

- I pomyśleliśmy, że co jest niezdrowe dla wilkołaków, może być równie niezdrowe dla wampiratów.

Cheng Li zrobiła kolejną notatkę. Potem przejrzała zapiski.

- Czyli wypróbowaliście wszystkie substancje na waszej liście, od czosnku po srebro?

- Tak - potwierdziła Jasmine. - I zidentyfikowaliśmy trzy, które okazały się dla wampirów silnie toksyczne.

- Jakież stąd płyną wnioski? - spytała Cheng Li, choć najwyraźniej było to pytanie retoryczne. - Te trzy substancje wyrządzają znaczne szkody pojedynczo, a połączenie ich prawdopodobnie będzie miało jeszcze silniejsze działanie. - Wskazała zestaw przedmiotów ułożonych na biurku. - Głóg, tojad i srebro.

- Uśmiechnęła się. - Niebezpieczne trio. Całkiem jak wy. Jacoby się uśmiechnął. Jasmine była poważna. Connor skrzywił usta i odwrócił wzrok.

- Czyli - ciągnęła Cheng Li - nasze uzbrojenie powinno wykorzystywać wszystkie trzy substancje.

- O ile to możliwe, pani kapitan - uzupełniła Jasmine.

- Ma pani jakiś plan? - zainteresował się Jacoby.

- Dajcie mi trochę czasu. - Cheng Li wstała i wyjrzała przez okno. - Dziękuję wam wszystkim za dobrze wykonaną pracę.

Dzień miał się ku końcowi. Connor na pokładzie Tygrysa ćwiczył szermierkę. Był tak zajęty, że nie usłyszał cichych kroków Cheng. Przez dłuższą chwilę obserwowała jego manewry, nim przerwał i się obejrzał. Spojrzeli sobie w oczy.

- Jesteś coraz lepszy - pochwaliła go.

- Dziękuję.

Wyraźnie odczuwał skrępowanie.

- Odłóż broń, Connor - poprosiła. - Musimy porozmawiać. Wsunął rapier do pochwy, położył na deskach i podszedł do relingu.

- Nie podobały ci się eksperymenty, które prowadziliśmy na wampiratach, prawda?

- Przecież znasz odpowiedź - mruknął. - To było trudne. Naprawdę trudne. Może nie dla Jacoby'ego i Jasmine, ale dla mnie... tak. Zresztą nie wiem czemu. Cheng Li uśmiechnęła się lekko.

- To przecież oczywiste. Prawda? Miałeś osobisty kontakt z niektórymi wampiratami. I wiesz, jak bliscy są niektórzy z nich twojej siostrze.

- Tak - przyznał Connor. Wpatrywał się w horyzont.

- Dałam ci szansę zrezygnowania z tej misji - przypomniała Cheng Li. - Pamiętasz?

Pierwszego wieczoru w tajnym archiwum.

Connor przytaknął.

- Ale ja nie chcę rezygnować - oświadczył. - Chcę być wartościowym członkiem załogi. Tego pragnę najbardziej. - Oczy błyszczały mu od łez. - Po prostu trudno mi iść tą drogą, kiedy Grace... Rozmawiałem z nią, tak jak się umawialiśmy. Próbowałem ją przekonać, żeby ich zostawiła.

- Rozmawiałeś z nią? - zdumiała się Cheng Li.

- Kiedy? Jak?

Milczał jak kamień.

- Connor, to ważne. Mów! Westchnął.

- Grace umie odbywać podróże astralne. Wiem, jak niewiarygodnie to brzmi, ale zdarzyło się już dwa razy. Po prostu zjawia się i rozmawiamy. Nie jest obecna fizycznie. Moja dłoń przenika przez jej ciało, ale to naprawdę ona. Musisz mi uwierzyć, Cheng.

- Wierzę ci - zapewniła go Cheng Li. - Oboje dużo widzieliśmy od naszego pierwszego spotkania. Wiele jest rzeczy, w które teraz wierzę, choć dawniej miałabym bardzo poważne wątpliwości. - Znowu się uśmiechnęła. - Czyli rozmawiałeś z Grace i próbowałeś ją przekonać, żeby porzuciła wampiratów?

- Tak. Ale uparła się, że tego nie zrobi. Nie mógł zdradzić Cheng Li niezdrowych teorii Grace o tym, że ona - i on również - są jakoś spokrewnieni z wampirami. Nie potrafił.

Dlaczego wszystko musi być takie skomplikowane? Chciał tylko gdzieś należeć. Tutaj. Chciał być dobrym, godnym zaufania piratem, a nawet to mu nie wychodziło.

- Connor - odezwała się Cheng Li. - Starasz się ze wszystkich sił. Widzę to. Nie jest ci łatwo.

- Zawiodłem - powiedział. - Dałaś mi drugą szansę, a ja zawiodłem. Cheng Li pokręciła głową.

- Nie bądź dla siebie taki surowy. Zrobiłeś dokładnie to, o co cię prosiłam. Porozmawiałeś z Grace. I choć kosztowało cię to wiele trudu, pomagałeś Jacoby'emu i Jasmine w eksperymentach.

- Próbowałem...

- Teraz będzie już łatwiej. Eksperymenty zakończone. Zaplanujemy atak na Sidoria. Na Sidoria, pamiętasz? Nie ruszamy na przyjaciół Grace. Ani jej, ani im nic bezpośrednio nie zagraża.

- Na razie nie, ale...

- Po kolei, Connor. Na wszystko przyjdzie czas, kiedy skończymy pierwszą misję. Będiesz wtedy mógł porozmawiać z Grace dłużej. Nie tylko astralnie. Zabiorę cię do niej. Sama postaram się ją przekonać. Tymczasem przestań się martwić, nic jej nie grozi. Pokiwał głową.

- Dziękuję ci. Naprawdę. Dziękuję za wszystko.

- Drobiazg - odpowiedziała swobodnie. - A teraz... Czy jesteś gotów przyjąć następne rozkazy?

Przytaknął.

- Posyłam cię z powrotem do Lantau - oznajmiła. To słowo obudziło miłe wspomnienia.

- Tak - rzekła Cheng Li. - Wiedziałam, że się uśmiechniesz. Odwiedzisz mistrza Yina i zamówisz u niego nową broń. Pięćdziesiąt mieczy ze srebra... z głogiem i tojadem. Myślę, że mistrz Yin chętnie przyjmie takie wyzwanie. Jak sądzisz? Myślę też, że wyprawa dobrze ci zrobi.

Connor kiwnął głową.

- Spakuj się - poleciła. - Odpłyniesz wcześniej rano. Spędzisz w Lantau mniej więcej tydzień.

- Brzmi nieźle - przyznał chłopak.

Sięgnął po miecz i bluzę z kapturem leżące na pokładzie. Cheng Li oddalała się już, ale nagle przystanęła.

- Aha, zapomniałam o czymś. Jasmine popłynie z tobą. Będzie dotrzymywać ci towarzystwa.

- Jasmine! - wykrzyknął Connor. Bardzo mu się podobał pomysł pozełgowania do Lantau z Jasmine, przedstawienia dziewczyny mistrzowi Yinowi i jego pięknej córce. Ale były pewne przeszkody.

- Ehm... Co powie Jacoby, kiedy na tydzień popłynę do Lantau z jego dziewczyną? Oczywiście Cheng Li zamigotały.

- Znajdę jakieś zajęcia dla pierwszego oficera. - Mam dla niego mnóstwo zadań związanych z przygotowaniem ataku.

Po czym odwróciła się i odeszła, wyraźnie pochłonięta swoimi planami.

Connor stał jeszcze przez chwilę na pokładzie. Niebo ciemniało powoli. Nagle ogarnęła go euforia. Podskoczył i wymierzył cios powietrzu. A potem pobiegł do kajuty, żeby się spakować.

Rozdział 34

Poczwarka

- Grace - rzekł Lorcan. - Te wszystkie dziwne objawy... To nie grypa. I stres nie ma tu chyba nic do rzeczy, choć tak uważa Oskar.

- A więc co mi jest? - zapytała niespokojnie Grace.

- Przechodzisz metamorfozę. A ona bardzo silnie wpływa na twoje ciało.

- Jaką metamorfozę?

- Coś podobnego do przemiany gąsienicy w motyla. Wiesz, jak to się odbywa? Gąsienica zrzuca skórę, która twardnieje i tworzy skorupę ochraniającą poczwarkę, nim ta przeobrazi się w motyla. - Lorcan pokiwał głową. - No więc w tej chwili ty jesteś w takim kokonie. Dlatego wszystko wydaje ci się dziwne i niejasne. A najbardziej niezwykle procesy następują w twoim wnętrzu.

Grace rozumiała jego słowa, ale nadal nie była pewna, co oznaczają.

- Przemiany? To dobrze? Uśmiechnął się i ścisnął jej dłoń.

- Myślę, że przyjmiesz je dobrze. Ale to poważne przeistoczenie, Grace. Musisz przejść je powoli.

Odetchnęła głęboko.

- No dobrze. Chyba to potrafię. Ale musisz powiedzieć mi coś więcej. Chcę wiedzieć, czym się staję.

- Tak. Naturalnie. - Na moment spuścił głowę, po czym znowu spojrzał jej w oczy. - Grace... To, co ci powiem, odmieni wszystko. Zmieni twój sposób myślenia o mnie, o matce, o Dexterze i Connorze. Zmieni wszystko, co wiedziałaś, wszystko, czym byłaś. Próbowałem cię przed tym uchronić...

Grace zmarszczyła czoło. Zanim jeszcze Lorcan zaczął mówić, czuła się trochę niepewnie. Ale jego słowa zabrzmiały wręcz złowieszczo.

- Nie rozumiem. Jeśli ta przemiana jest czymś dobrym, przed czym trzeba mnie chronić?

- Przemiana jest dobra. Ale, jak powiedziałem, zmieni twoje myślenie o świecie i o ludziach, którzy są ci bliscy. Dlatego chciałem sam ci o wszystkim opowiedzieć... i musiałem zaczekać, aż będziesz gotowa.

- Jestem gotowa! - Grace usiadła na łóżku.

- Tak - zgodził się Lorcan. - Tak, teraz już wiem. - Znowu ścisnął jej dłoń. - Będę mówił powoli, Grace. Jeśli czegoś nie zrozumiesz, powiedz. Zgoda?

Kiwnęła głową. Serce biło jej szybko.

- Grace - zaczął Lorcan. - Nie jesteś zwykłą śmiertelniczką. - Wiedziałam! - zawołała. - Jestem wampirem, prawda? I Connor też! - Niezupełnie, Grace. Oboje jesteście dampirami. - Dampirami? - zdziwiła się. - Czy to jakaś odmiana wampira? - Tak. - Lorcan kiwnął głową. - Krótko mówiąc, półwampir. Dampir to dziecko śmiertelniczki i wampira.

Grace czuła oblewające ją na przemian fale gorąca i zimna, ale nie była pewna, czy jest to związane z przemianą, o której mówił Lorcan, czy z jego słowami. Śmiertelna matka i ojciec wampir...

- Czyli miałam rację! Dexter naprawdę był wampirem! Lorcan przyglądał się jej w skupieniu.

- Jeszcze do tego wrócimy. Po kolei. Musisz zrozumieć, co z tego faktu wynika. Ty i Connor jesteście dampirami. Jak wampiry, otrzymaliście dar nieśmiertelności, ale jesteście silniejsi. Nie macie naszych słabości.

Grace próbowała nadążyć.

- Jestem nieśmiertelna? - spytała. Lorcan powiedział jej właśnie, że jest kimś wyjątkowym, że będzie żyła wiecznie, ale nie całkiem potrafiła w to uwierzyć. Mimo zmęczenia i osłabienia objawami zbliżonymi do grypy nadal była tą samą Grace. A jednak w głębi ducha zawsze wiedziała, że jest inna. Teraz wyęźzała umysł, szukając wskazówek, czegoś, czego mogłaby się uchwycić.

- Czy muszę pić krew? - spytała. - Czy to dlatego moje ciało teraz się zmienia? Będę potrzebowała donora?

- Wydaje mi się, że to kwestia wyboru. W odpowiednim czasie poproszę mistrza, żeby z tobą porozmawiał. On wyjaśni ci wszystko lepiej niż ja. Jesteś pierwszym dampirem, jakiego znam.

Grace westchnęła.

- Nie spiesz się - poradził Lorcan. - To bardzo trudne. Daj sobie czas. - Czy dlatego wróciła Sally? - spytała Grace. - Żeby mnie przygotować? - Tak - przyznał Lorcan. - Tak sądzę. - W takim razie nie rozumiem. - Westchnęła. - Czemu odeszła, zanim wszystko wyjaśniła? Dlaczego nie dokończyła opowieści?

- Chciała to zrobić. Pragnęła tego bardziej niż cegokolwiek, ale nie mogła. Dlatego obiecałem, że ją wyręcę.

- Ty?

Grace spojrzała mu prosto w oczy, dwa lazurowe jeziora. Te oczy, które powitały ją pierwszej nocy na Nokturnie.

I nagle znalazła punkt oparcia.

- Ty - powtórzyła, ale nie było to już pytanie. - Słucham? - zdziwił się. Była tak rozgorączkowana, że niewiele brakowało, by krzyknęła: „Teraz, kiedy ja też jestem nieśmiertelna, możemy być razem. Zawsze. Nic już nie stoi między nami”. A jednak coś ją powstrzymało. Uśmiechnęła się tylko. Nagle wszystko nabrało sensu.

Ale Lorcan nie odpowiedział jej uśmiechem. Miał bardzo poważną minę.

- Lorcanie, stało się coś złego? Dlaczego nic nie mówisz?

- Pst. - Zdołał się jednak uśmiechnąć. - Czy powiedziałem, że to coś złego? Przechodzisz teraz cudowną przemianę, Grace. Musisz tylko dać sobie czas. - Odwrócił się na chwilę. - Pójdę już. Niedługo zacznie się Uczta. Można zostawić cię samą? Zajrzę później albo przyślę Oskara czy kogoś innego... Grace pokręciła głową.

- Nic mi nie będzie. - I nagle coś przyszło jej do głowy. - Czemu nie mogę iść z tobą na Ucztę? Raz już przecież byłam!

- Za wcześnie - rzekł. - Musisz wypoczywać.

- Mam dość wypoczywania. Od paru dni nic nie robię, tylko wypoczywam. Dobrze mi zrobi, jeśli stąd wyjdę.

- Przykro mi, Grace - odparł Lorcan. - Jeszcze za wcześnie. Musisz mi zaufać. Czujesz nagłe przyływy energii, ale to tylko pozory. Niedługo znów ogarnie cię zmęczenie. Możesz mi wierzyć.

Westchnęła, ale wiedziała, że nic nie wskóra. Nie знаła nikogo bardziej upartego niż Lorcan Furey. No więc dobrze, niech idzie na tę swoją Ucztę. Ale ona nie będzie spała. Usiądzie

i przemyśli wszystko dokładnie. Poukłada kawałki łamigłówek i odgadnie, co Lorcan przed nią ukrywa.

- No dobrze - powiedziała. - Zostanę tu i będę odpoczywała.

- Tak będzie najlepiej.

Otulił ją kołdrą - jak zawsze troskliwy niczym pielęgniarka...

Pochylił się i spojrzał jej w oczy. Uśmiechnęła się - był taki przystojny. Czy to jest właśnie ten moment, na który czekała? Czy w końcu ją pocałuje?

- Zobaczmy się później - rzekł i ucałował ją w czoło. Mimo rozczarowania była spokojniejsza. Pocałunek pozostawił zimny ślad na jej gorącym czole. Chłód trwał jeszcze długo po tym, jak Lorcan zamknął za sobą drzwi i poszedł na Ucztę.

Grace tymczasem usiłowała myśleć o wszystkim, co jej powiedział. Czuła jednak obezwładniające zmęczenie, większe nawet niż po sztormie, kiedy wypadła z łodzi. Zapadła w sen pełen niezwykłych obrazów. Gdy ocknęła się nagle, uświadomiła sobie coś, o czym zapomniała: Dexter Tempest nie był wampirem. Matka powiedziała to bardzo wyraźnie. A wobec tego nie był ich ojcem.

Grace zaczęła analizować rozmowy, jakie przeprowadziła z matką. Nie była w stu procentach pewna, czy Sally choć raz wspomniała o nim jako o ojcu jej i Connora. Zawsze mówiła „Dexter” albo „on”. Jakby w tych rozmowach przekazywała córce pewne wskazówki... wskazówki, które Grace zbyt późno zrozumiała.

A zatem ona i Connor rzeczywiście byli półwampirami: dampirami. Spłodził ich wampirat. Ale który? Grace znów zaczęła intensywnie myśleć. Sally była donorem Sidoria, ale to jasne, że mieli wyłącznie czysto „zawodowe” stosunki. Stanowiła dla Sidoria, jak to określił Oskar, Ruchomą Rezerwę Krwi. Którego z pozostałych wampiratów można więc brać pod uwagę?

Serce zabiło jej nagle szaleńczo. Kto jako pierwszy powitał Sally z otwartymi ramionami? Lorcan. Kto wymieniał z nią dyskretne spojrzenia i uśmiechy? Lorcan. Kto wydawał się w stosunku do Grace na przemian gorący i zimny, w jednej chwili sugerując bliskość, a w następnej nagle się wycofując? Lorcan. A kto od przybycia Sally mówił jeszcze bardziej wymijająco i tajemniczo? Lorcan.

Czy Lorcan jest ich ojcem? Niemożliwe! Na pewno? To by zmieniło wszystko... Tak jak powiedział.

Rozdział 35

Powrót do Lantau

- Connor! Connor Tempest!

Ledwie zszedł na drewniany pomost i zdążył nabrać tchu, mały kłębek energii skoczył na niego i objął mocno. Spojrzał w dół i zobaczył rozpromienioną twarz Bo Yin, córki płatnerza.

- Connor! To ty! - Cześć, Bo - powiedział ze śmiechem, kiedy dziewczyna go puściła. - To się nazywa powitanie!

- Tak się cieszę, że znowu cię spotykam! Szłam na targ rybny. Myślałam o swoich sprawach i patrzyłam na łodzie, aż tu nagle widzę Connora Tempesta. Co cię tak szybko sprowadza znów do Lantau?

- Mam nowe zlecenie dla twojego ojca - wyjaśnił Connor. - Od kapitan Li. Bo Yin zrobiła zdumioną minę.

- Nowe zlecenie? A te wszystkie miecze, które zrobił wcześniej? Co się z nimi stało? Coś nie w porządku?

Chłopak pokręcił głową.

- Nie, oczywiście, że nie. Były doskonałe, jak wszystkie dzieła mistrza. Przy płynąłem, żeby porozmawiać z nim o czymś... specjalnym.

- Ciekawe - uznała Bo Yin, uśmiechając się od ucha do ucha. I nagle jej twarz się zmieniła. - A to kto?

Jasmine wyszła właśnie z łodzi, zakończywszy długą dyskusję z przewoźnikiem. Potem włożyła okulary przeciwsłoneczne i ruszyła wzdłuż pomostu. Przewoźnik był jak sparaliżowany widokiem jej długich opalonych nóg. Stała przy Connorze i pokręciła głową.

- Czasem żałuję, że w Akademii nie mieliśmy ćwiczeń z negocjacji. - Zauważyła Bo i z uśmiechem wyciągnęła rękę. - Cześć. Jestem Jasmine Peacock.

- A ja Bo Yin. Dobra przyjaciółka Connora Tempesta... Bardzo dobra.

- Naprawdę? Cóż, każda przyjaciółka Connora jest także moją przyjaciółką.

Bo Yin kiwnęła głową. Uśmiech rozświetlił jej twarz.

- Chodźcie - powiedziała. - Porozmawiacie z moim ojcem. Wsunęła Connorowi rękę pod ramię i pociągnęła go po pomoście. Targ rybny stał się najwyraźniej tylko mglistym wspomnieniem. Uśmiechnięta Jasmine pomaszerowała za nimi, chłonąc widoki, dźwięki i zapachy gwarnej zatoczki.

Bo Yin nachyliła się do Connora i zniżyła głos do szeptu.

- Connor Tempest ma dziewczynę - oznajmiła.

- Nie. - Connor pokręcił głową. - To koleżanka.

- Jasmine Peacock. Piękne imię. Piękna dziewczyna.

- Może, ale...

- Wiele do opowiadania - stwierdziła niepoohamowana Bo Yin, gdy podeszli do stopni prowadzących do domu na palach, gdzie mieścił się warsztat jej ojca.

- Już wróciłaś, Bo Yin? - Zza zasłony z koralików dobiegł znajomy głos.

- Tak, tatku. I przyprowadziłam gości!

- Gości? Nie spodziewamy się żadnych gości! Co to za głupstwa?

Po chwili wysunęła się dłoń, po niej twarz, a potem cała drobna postać mistrza. Płatnerz uśmiechnął się na widok Connora.

- Aha, to tłumaczy zamieszanie. Najwyraźniej marzenia Bo Yin się spełniły. Connor się zaczerwienił.

- Dzień dobry - powiedział. - Przepraszam za najście. To moja towarzyszka, Jasmine Peacock.

- Jestem zaszczycona, mistrzu Yin. - Jasmine skłoniła się z szacunkiem.

- Witam, witam. - Mistrz Yin uściskał jej dłoń.

- Jest gorąco i z pewnością chce wam się pić po podróży. Bo Yin, może podasz gościom soku z liczi?

- Już się robi, tatku! - Bo Yin pobiegła do kuchni.

- Wejdźcie dalej, przyjaciele - rzekł mistrz Yin.

- Siadajcie. Rozgoście się i powiedzcie, co was sprowadza do Lantau.

- I co pan o tym myśli? - zapytał Connor. Minęło kilka minut od przekazania mistrzowi próśb Cheng Li. Jak dotąd, płatnerz nie mrugnął nawet okiem. Teraz wreszcie uniósł głowę.

- Intrygujące - przyznał. - Od wielu lat wykuwam miecze dla pirackich kapitanów na wszystkich oceanach. Ale po raz pierwszy poproszono mnie, bym wykonał tego rodzaju broń.

- Czy naprawdę istnieją piraci wampiry? - Bo Yin otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i podniecenia.

- Tak. - Connor skinął głową. - Niesamowite! A widziałeś ich? Jak wyglądają? - Uspokój się, Bo Yin. Nie mogę myśleć, kiedy bez przerwy paplasz. Czy nie powinnaś nakarmić swojego zwierzaka?

- Sindbad! - krzyknęła Bo Yin. - Całkiem o nim zapomniałam! Dzięki, tatku! Poderwała się od stołu i wybiegła.

Mistrz Yin westchnął i raz jeszcze spojrzął na list. Potem bez słowa odłożył go na stół. Czy to miało oznaczać odmowę?

- Mogę wam pomóc - stwierdził w końcu. - Ale potrzebuję czasu.

- Nie mamy go zbyt wiele - odparł Connor. Nie potrafił opanować zdenerwowania.

- To coś zupełnie nowego - rzekł mistrz Yin. - Nie można mnie popędzać.

- Ile pan potrzebuje? - spytała pojednawczo Jasmine.

- Co najmniej dwa tygodnie.

- Dwa tygodnie! - westchnął Connor. - Liczyliśmy na tydzień!

Mistrz Yin wzruszył ramionami. Rozłożył ręce.

- Czy jest jakakolwiek szansa... - zaczęła Jasmine.

- To znaczy, czy uda się zakończyć pracę w ciągu, powiedzmy, dziesięciu dni?

Płatnerz spojrzął jej prosto w oczy.

- Dziesięć dni, powiadasz? Dobrze więc, dziesięć dni. - Zwrócił się do Connora. - A w tym czasie będziecie moimi gośćmi.

- To bardzo uprzejme - odparł Connor. - Ale mamy naszą łódź i zapasy.

- Nie, nie, nie! - zawołał mistrz Yin. - Robię wam przysługę, to i wy zróbcie coś dla mnie. Przez dziesięć dni będziecie moimi gośćmi. I na dziesięć dni zdejmiecie mi z barków troskę o moją zwariowaną córkę!

- Wyciągnął rękę do Connora. - Stoi? Connor uśmiechnął się szeroko.

- Stoi - rzekł i potrząsnął dłonią staruszka.

- Wydaje mi się, że panna Yin trochę się w tobie durzy - stwierdziła Jasmine, kiedy płynęli łódką do swojej żaglówki po zapasy.

- Myślisz? Mnie się wydaje, że po prostu cieszy ją towarzystwo kogoś młodszego. A właściwie jakiegokolwiek towarzystwo. Jej ojciec strasznie zrzędzi.

- Uwierz mi, Connor. Jestem dziewczyną. Potrafię rozpoznać zadurzenie.

- Ale ona ma dopiero dwanaście lat. Ja mam czternaście.

- Dziewczęta dojrzewają szybciej niż chłopcy.

- Jasmine się uśmiechnęła. - A nie możesz zaprzeczyć, że jest bardzo ładna. Idealnie do siebie pasujecie.

Connor pokręcił głową.

- Tylko że ja wolę starsze. Jasmine parsknęła śmiechem.

- Tak? To niespodzianka! No więc zdradz mi, kto jest w twoim typie. Kapitan Li? Nie, pewnie jeszcze za młoda. Co powiesz na kapitan Quivers? Albo Mamę Kettle?

- Nie aż tak stare - odparł cicho Connor i zaryzykował spojrzenie w oczy Jasmine. - Tylko o parę lat starsze ode mnie.

- Naprawdę? - Wargi Jasmine wygięły się w uśmiechu. Ku jego zdziwieniu i radości nie odwróciła wzroku. Był oczarowany, kiedy spotkał ją po raz pierwszy, gdy na tarasie Akademii szkywała się do porannego biegu. Potem oszołomiły go jej czarne jedwabiste włosy i zielone oczy. Teraz był jeszcze bardziej oszołomiony. Ale Jasmine to przecież dziewczyna Jacoby'ego. A Jacoby to jego przyjaciel. To nie może się zdarzyć. Prawda?

- Wszystko gotowe? - spytała Bo Yin, wsuwając głowę do jego pokoju. Trafiała na moment, kiedy zmieniał koszulę. Gdy odwrócił się do niej, nagi do pasa, spiekła raka, zakłopotana.

- Przepraszam! - zawołała. - Przepraszam! Przyjdę później!

- Nic nie szkodzi - powiedział.

Może Jasmine ma rację. Może Bo naprawdę odrobinę się w nim zadurzyła. To mu pochlebiało - była miłą dziewczyną. I rzeczywiście bardzo ładną.

- Chciałam tylko przedstawić ci Sindbada - wyjaśniła Bo Yin.

- Sindbada? - zdziwił się.

Czyżby Bo miała brata, o którym nie wiedział? Ale zaraz sobie przypomniał - wspominała już o Sindbadzie. Wtedy, gdy ojciec zapytał, czy nakarmiła swojego zwierzaka. Jakie zwierzę może hodować Bo Yin? Królika? Jakiegoś ptaszka?

- Chodź tu, Sindbad! Nie wstydz się! - zawołała Bo Yin i przykucnęła. Connor ukląkł przy niej. Nagle do pokoju wbiegło najpaskudniejsze stworzenie, jakie w życiu widział. Wyglądało jak skrzyżowanie nietoperza i szczura, miało błędne, pałające, żółte ślepia, sterczące zęby i wielkie uszy. Splątane kosmyki włosów sterczały mu z czoła, jakby przeżyło niedawno straszliwy szok. Ale najdziwniejsze były łapy stwora. Miały długie, zakrzywione i pomarszczone palce, przypominające dłonie baśniowych czarownic. A w dodatku każdy środkowy palec bestii był co najmniej trzy razy dłuższy od pozostałych. Stwór popatrzył na Connora, potem schylił się i zaczął obwąchiwać mu buty.

- Ha, ha! - zaśmiała się Bo Yin. - Sindbad cię lubi! Sindbad lubi twoje buty!

- Wielkie nieba, co to takiego? - zapytał Connor.

- To aj-aj - wyjaśniła. - Słodki jest, prawda?

Connor potrząsnął głową. „Słodki” nie było pierwszym określeniem, jakie przyszło mu do głowy.

Słońce zachodziło nad przystanią Lantau. Connor nakrył stół do kolacji. Bo stała przy palenisku i szykowała laksę. Jasmine jej pomagała.

- Spróbuj. Powiedz, czy czegoś nie brakuje.

Bo podała Jasmine łyżkę i patrzyła w skupieniu, jak starsza dziewczyna dmucha na wywar i kosztuje ostrożnie.

- Może pasty z krewetek? - dopytywała się Bo. - Soku z limonki? Trochę chili? - Nic - odparła Jasmine. - Absolutnie nic. Bo, to najsmaczniejsza rzecz, jakiej w życiu próbowałam.

Bo uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Może wrócę z wami i zostanę kukiem na Tygrysie? - Masz mój głos. - Ostrożnie - zaśmiał się Connor. - Ona naprawdę nie potrzebuje żadnej zachęty. - Co w tym zabawnego? - spytała Bo. - Cheng Li jest piratem. Jasmine jest piratem. Czemu nie Bo Yin?

Connor się zaczerwienił... Zapomniał, jak poważnie dziewczyna traktuje swoje marzenia o karierze pirata. Im bardziej mistrz Yin starał się wybić jej córce z głowy, tym stawały się silniejsze.

- Oczywiście, możesz być, kim tylko zechcesz, Bo. Ale chyba nie zostawiłabyś Sindbada całkiem samego, prawda?

Bo zmarszczyła czoło i się odwróciła. Connor zrozumiał, że ją zirytował. Musi być na przyszłość delikatniejszy... Na razie jednak postanowił sprawdzić, co słyhać u mistrza Yina. Znalazł go w warsztacie. Starzec mieszał coś w rondlu - zupełnie jak córka.

- Przepraszam - powiedział Connor. - Pukałem, ale chyba mnie pan nie słyszał. Zje pan tutaj? Bo właśnie szykuje znakomitą laksę.

Mistrz Yin skinął na chłopca.

- Nie gotuję zupy, panie Tempest - oświadczył. Wziął ściereczkę, owinął ją wokół uchwytu i przeniósł gorący rondel na stół roboczy. Leżał tam miecz. Mistrz Yin chwycił pędzel, zanurzył w rondlu i zaczął malować ostrze substancją podobną do werniksu.

- Co to takiego? - zdziwił się Connor.

- Weź jeden srebrny miecz. Pomaluj go miksturą z tojadu i głogu. srebro, tojad i głóg. Zabójcze dla wampiratów. - Uniósł broń i podał Connorowi. - Oto on! - rzekł. - Sposób na zwycięstwo. Pierwszy z pięćdziesięciu mieczy, które zamówiła kapitan Li.

- Ojej... - Connor ujął rękojeść.

- Owszem, ojej - zgodził się mistrz Yin. - Myślę, że na dzisiaj wystarczy. W brzuchu mi burczy. Co mówiłeś o tej laksie?

Rozdział 36

Zmowa milczenia

Grace - samotna na pokładzie Nokturnu - czekała, aż zajdzie słońce. Niecierpliwiła się. Czy słońce naprawdę czasem zachodzi wolniej? A może to stan ducha czekającego sprawia, że księżyc uparcie nie chce się pojawić ani ciemność zapaść?

Miała ochotę wyrzeć za burtę, by sprawdzić, czy Darcy już się budzi. Ale zabrakło jej odwagi. Nie chciała, aby przyjaciółka ją zauważyła. Choć jako galion pozostawała nieożywiona aż do zapadnięcia mroku, oczy - nawet gdy były namalowane - miała bystre. Dlatego Grace stała na pokładzie i czekała na te dziwne trzaski, które oznaczały, że kończyny Darcy zaczynają się poruszać. I na pluśnięcie wskazujące, że przyjaciółka skoczyła do wody na wieczorną kąpiel.

I w końcu się doczekała - trzask! plusk! Serce Grace zabiło szybciej. Dziewczyna cały dzień czekała na to spotkanie, ale teraz, kiedy miało nastąpić, była zdenerwowana. Ukryła się za grotmasztem. Miała poczucie winy, że stosuje takie sztuczki wobec przyjaciółki, ale wiedziała, że musi ją zaskoczyć. Nie miała innego wyjścia.

Obserwowała, jak Darcy wspina się na pokład i sięga po ręcznik. Kiedy zaczęła się wycierać, Grace wyszła z mroku.

- Dobry wieczór, Darcy - powiedziała.

- Grace! - Darcy wytrzeszczyła oczy. - Ależ mnie wystraszyłaś! Skąd się tu wzięłaś tak nagle?

- Przepraszam, nie zamierzałam cię przestraszyć - skłamała Grace. - Po prostu chciałam z tobą porozmawiać.

- Cudownie znów cię widzieć - uśmiechnęła się Darcy. - Martwiłam się. Chciałam zajrzeć...

Grace kiwnęła głową.

- Nic się nie stało. Nawet gdybyś przyszła, pewnie bym spała. Ostatnio śpię prawie bez przerwy. Darcy skinęła głową, wycierając ręcznikiem włosy.

- Pewnie w tej sytuacji potrzeba ci snu.

- W tej sytuacji? - Grace uniosła brew.

- No, po wstrząsie związanym z odejściem twojej matki i w ogóle... - Darcy zaczęła składać mokry ręcznik.

- Darcy... - Grace spojrzała przyjaciółce prosto w oczy. - Ja wiem... Darcy wyglądała na zakłopotaną. Upuściła ręcznik na pokład.

- Co wiesz? O czym ty mówisz, Grace? Grace schyliła się, podniosła wilgotny ręcznik i oddała przyjaciółce.

- Wiem, że jestem dampirem. Że Connor i ja jesteśmy w połowie śmiertelnikami, a w połowie wampirami.

Darcy szeroko otworzyła oczy.

- Wiesz! - powtórzyła. - Lorcan mi powiedział. Darcy zdumiała się wyraźnie.

- Jesteś zaskoczona? - spytała Grace.

- Nie, właściwie nie. - Najwyraźniej starała się ochłonąć. - No i jak przyjęłaś te wieści?

- Jestem zadowolona. Właściwie nawet szczęśliwa. Od dawna podejrzewałam, że ty i ja... mamy coś wspólnego.

Darcy uśmiechnęła się do niej.

- Tak - przyznała. - Ja także to czułam. Zaprzyjaźniłyśmy się od razu, prawda, Grace? A teraz jesteśmy trochę jak siostry! - Wyciągnęła ręce, by objąć dziewczynę, ale się zawahała. - Jestem jeszcze mokra. Lepiej się przebiorę.

- Nie szkodzi - uspokoiła ją Grace. - Nie przeszkadza mi to. Masz rację, jesteśmy jak siostry. A siostry nie powinny mieć przed sobą tajemnic.

Odsunęła się i spojrzała w duże brązowe oczy przyjaciółki.

- Tajemnic? - powtórzyła nerwowo Darcy.

- Musisz mi coś wyjawić - oświadczyła Grace.

- I oczekuję szczerzej odpowiedzi.

- Oczywiście. Ale czy to nie może poczekać, aż uderzę w Dzwon Mroku i zapalę latarnie na pokładzie? Nie chcę zaniedbywać obowiązków.

- To potrwa tylko chwilę. A potem pomogę ci z latarniami. Darcy, wiem, że Dexter Tempest nie był wampirem. A zatem nie jest moim prawdziwym ojcem. Darcy zamarła.

- Och... - powiedziała.

Grace uśmiechnęła się do siebie. Do tej chwili to były tylko domysły. Teraz potwierdził jej wyraz twarzy przyjaciółki.

- Darcy - mówiła dalej. - Ty wiesz, kto jest moim ojcem. I chcę, żebyś mi powiedziała. Darcy zerknęła spłoszona na Grace, a potem w stronę dzwonu.

- Naprawdę powinnam... - Darcy... - Grace chwyciła ją za ramię. - Sama mówiłaś: jesteś moją przyjaciółką, prawie siostrą. Musisz mi powiedzieć.

Darcy zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

- To nie takie proste, Grace. Chciałabym, żeby było. Ale mam zakaz rozmawiania o tym z tobą. - Westchnęła ciężko. - Dlatego wolałam cię nie odwiedzać. Bardzo chciałam zobaczyć się z tobą i sprawdzić, jak się czujesz, ale powiedzieli mi, że nie mogę.

- Oni?

Darcy kiwnęła głową.

- Wiedzą, że jestem gadatliwa, że nie umiem trzymać języka za zębami. Zwłaszcza przy osobach, na których mi zależy.

Grace również westchnęła. Czuła, że zbliża się do prawdy. Gdyby tylko udało jej się przełamać upór przyjaciółki...

- Darcy - rzekła. - Jeśli podam ci kilka imion, nie musisz nawet mówić „tak” ani „nie”. Możesz zwyczajnie skinąć głową albo odgarnąć włosy z czoła. Możesz nawet odejść i uderzyć w Dzwon Mroku. Niczego nie powiesz, będziesz tylko wykonywać swoje obowiązki. Patrzyła na przyjaciółkę. Darcy przypominała teraz kota zapędzonego w ślepy zaułek przez groźniejszego drapieżnika. Nie było czasu do stracenia.

- Mosh Zu - zaczęła. Darcy spoglądała na nią obojętnie. Grace zrozumiała. Pora na kolejne imię.

- Sidorio - powiedziała. Darcy zmarszczyła czoło, ale milczała.

- Kapitan...

Darcy znowu zmarszczyła czoło. I nadal milczała. Grace nabrała tchu. Stawka była teraz wyższa...

- Lorcan - powiedziała. - Lorcan! - wykrzyknęła Darcy. Reakcja była inna niż poprzednio. Grace postanowiła przyprzeć Darcy do muru.

- Tak, Lorcan - potwierdziła. - Wszystko na to wskazuje. Za każdym razem, kiedy zbliżamy się do siebie, znajduje jakiś powód, żeby mnie odepchnąć. Zawsze się o mnie troszczył,

stracił wzrok, gdy ratował mi życie. I wiem, że jego ślepotą miała głębsze, psychiczne przyczyny... może spowodował ją fakt, że Lorcan ma córkę, której nie może wyznać prawdy? - Darcy rozdziawiła buzię. Grace skinęła głową i mówiła dalej. - A kiedy podczas ceremonii pojawiła się Sally, było coś niezwykłego w tym, jak ona i Lorcan na siebie patrzyli, jakaś głęboka więź. Później też to widziałam. Wydawali się bardzo sobie bliscy.

- Bo b-byli b-b-bliscy - wyjąkała Darcy. - Ale to nie znaczy...

- Tak? Darcy, nikogo nie zdradzasz, mówiąc mi prawdę...

Darcy zmarszczyła brwi.

- I tak już mi właściwie powiedziałaś.

- Powiedziałaś?

- Nie pamiętasz? Mówiłam ci, co czuję do Lorcana. Rozmawialiśmy o tobie i Jezie, o mnie i o nim. Pamiętasz?

Darcy przytaknęła.

- I powiedziałaś, że jestem dla Lorcana ważna, ale nie w ten sposób... - Grace - rzekła Darcy. - To bardzo skomplikowane. Nie ze mną powinnaś o tym rozmawiać.

- Ale trafiłam, prawda? Lorcan jest moim ojcem? Możesz mi powiedzieć, poradzę sobie z tą wiedzą.

Darcy stanowczo potrząsnęła głową.

- Nie mogę z tobą rozmawiać. Obiecałam. I muszę dotrzymać słowa, nawet jeśli to nadwyręży naszą przyjaźń. Spróbuj tylko zrozumieć, że nikt nie chce cię zranić. Wszyscy się o ciebie martwimy. Pragniemy cię chronić.

- Chronić? Ale jak...

- Grace, naprawdę muszę uderzyć w ten dzwon - oświadczyła Darcy. - Strasznie mi przykro, że przez to przechodzisz. Ale proszę, zaczekaj, aż prawda sama do ciebie przyjdzie. Nie zachowuj się jak słoń w składzie porcelany. To nie pomoże.

Co powiedziawszy, Darcy odeszła pewnym krokiem, by uderzyć w Dzwon Mroku. Grace została sama. Nie dowiedziała się niczego. A jeśli nawet Darcy obowiązywało milczenie, musiała to być poważna sprawa.

W swojej kajucie Grace nieustannie wracała do rozmowy z Darcy. Czy przyjaciółka naprawdę zasugerowała, że Lorcan jest ojcem bliźniąt? Z pewnością na jego imię zareagowała silniej niż na pozostałe. A im dłużej Grace analizowała argumenty za, tym bardziej wydawały jej

się sensowne. Ale jeśli Lorcan jest jej ojcem, czemu wszystkim tak zależy, żeby zachować to w tajemnicy? Oczywiście, będzie musiał sporo jej wytłumaczyć. Sally kochała przecież innego mężczyznę - Dextera. Ale znając matkę i Lorcaną, Grace była pewna, że istnieje jakieś rozsądne wyjaśnienie. Choćby takie, że Sally kochała dwóch mężczyzn - śmiertelnika i wampirata. Grace mogła żyć z tą wiedzą. Poradziłyby sobie nawet z zawodem miłosnym. Lorcan i tak będzie najważniejszą postacią w jej życiu.

Chciała tylko poznać prawdę. Ale jak może ją odkryć, skoro wampiraci najwyraźniej zawiązali zмовę milczenia?

Rozdział 37

Brutalny romans

Lady Lockwood obudziła się na swojej jedwabnej sofie. Poczowała lekkie zmieszanie. Nad sobą, zamiast ręcznie malowanego sklepienia kajuty, zobaczyła gwiazdy. Odwróciła się i ujrzała siedzącego obok Sidorio. Wampirat patrzył na nią w skupieniu.

- Co się stało, ukochana? - zapytał.

- Leżę na mojej sofie - odparła. - Która zwykle stoi w mojej kajucie. Która, o ile mnie pamięć nie myli, jakimś cudem znalazła się na pokładzie. Uśmiechnął się łagodnie.'

- Masz rację. Po prostu zaniósłem cię na górę razem z tą kanapą i całą resztą.

- Zaniósłeś? - Uśmiechnęła się, zdziwiona. - Ale po co?

Wskazał niebo.

- Jest dziś tak wiele gwiazd. Chciałem, żeby były pierwszą rzeczą, jaką zobaczysz po przebudzeniu.

- Och, Sidorio. - Lady Lockwood usiadła. - Jesteś niezwykłym stworzeniem, w jednej chwili zdolnym do delikatności i romantyzmu, a w następnej do niebywałego okrucieństwa.

- Dzięki, ukochana. - Nigdy nie miał dość jej komplementów. - A zatem - spytał - czy podobał ci się nasz dzisiejszy spacer?

Lady Lola posłała mu uśmiech. Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni polowała na własną rękę. Zwykle polegała na swojej załodze, a potem piła krew z eleganckiego weneckiego szkła. Nawet w przypadku Johna Kuo zaczęła, aż cała krew spłynęła z ciała. Sidorio był inny. Choć dla jej przyjemności starał się pić z antycznych pucharów, wolał jednak ssać krew bezpośrednio ze źródła.

A skoro tak się dla niej starał, i ona powinna doświadczyć jego świata.

- To było rzeczywiście ekscytujące - przyznała, lekko zarumieniona. - Nie coś, co koniecznie chciałabym powtarzać każdej nocy, ale raz na jakiś czas... Zwłaszcza z tobą. -

Urwała. - Cudownie było widzieć cię w akcji, Sid. Jesteś absolutnie bezlitosny, skarbie. Nigdy nie zapomnę, jak przebiłeś tę pierś!

Zaczerwienił się, wyraźnie skrępowany komplementami.

Na stoliku obok lady Lola ujrzała karafkę i dwa pucharki. Znowu spojrzała zdziwiona na Sidorio. Wzruszył ramionami.

- Sądziłem, że kiedy się obudzisz, będziesz spragniona. Pokręciła głową.

- Naprawdę pomyślałeś o wszystkim. Czy napełnić twój kielich? - Czemu nie? Pomyślała, jak krucho wyglądają trzynastowieczne puchary w grubych paluchach Sidorio. Był o wiele starszy niż one, ale tak silny, tak pełen energii... Jednym ruchem mógł zmiażdżyć naczynie. Ale nie. Trzymał je ostrożnie w dłoniach - tych samych, które jeszcze kilka godzin temu zadawały ból i śmierć. Z zadowoleniem zauważyła, że nauczył się uwalniać bukiet, a nawet sączyć powoli wino, zamiast wychylać je jednym haustem.

- Wiesz - powiedziała - myślę, że powoli dopasujemy się do siebie. - Zauważyła, że spogląda na nią z namysłem. - O co chodzi, skarbie?

- O nic. Czasami po prostu lubię na ciebie patrzeć.

- Och, Sid. Chodź tutaj i usiądź obok mnie. Będzie trochę ciasno, jesteś taki zwalisty, ale chcę być blisko ciebie. - Zrobiła dla niego miejsce na sofie. - Właśnie tak. Wyciągnij te swoje ogromne nogi w tamtą stronę, a ja się przytulę. - Odstawiła puchar z winem. - Wygodnie?

- Tak - zapewnił ją i ucałował w czoło.

- W twoim życiu nie było dotąd wiele miejsca na uczucia, prawda, skarbie? I choć jesteś taki sławny w swoim świecie, w naszym świecie, myślę, brakowało ci bliskiej osoby. Mam rację? Sidorio wzruszył ramionami i wychylił puchar.

- Mam Stukeleya i Johnny'ego do towarzystwa - stwierdził z uśmiechem. - I jeszcze kilkuset wampiratów, którzy mnie słuchają.

- No tak. Ale oni nie są dla ciebie tak ważni jak ja, prawda? Sidorio zaśmiał się i pokręcił głową.

- Nie, Lolu. Wolę patrzeć na ciebie niż na ich paskudne gęby.

- W każdym razie - mówiła dalej - chodzi mi o to, co było wcześniej... kiedy dokonałeś przejścia. Żyłeś samotnie. Wędrowałeś po świecie, zanim znalazłeś się na Nokturnie. Tam też nie pasowałeś. Ten styl życia nie mógł ci odpowiadać. Konflikt z kapitanem był tylko kwestią czasu. Zmarszczył brwi.

- Chcesz, żebym miał wyrzuty sumienia?

- Oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie. Chcę tylko powiedzieć, że musiałeś czasami czuć się samotny. I wyznam ci, że ja również byłam. Może to cena, jaką każde z nas płaci za swoją wielkość.

- Być może - przyznał po namyśle. - A teraz czujesz się samotna? - Z tobą? Nie! Z tobą nigdy. - No więc - rzekł z uśmiechem - musimy po prostu spędzać więcej czasu razem, prawda?

Lola kiwnęła głową, oparła ją o pierś Sidorio i przytknęła oczy. Drzemała w świetle gwiazd. Sidorio okrył ją kocem. Nie chciał, żeby zmarła. To, że się nią opiekował, było najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Ale nagle ogarnęła go panika. Co się z nim dzieje? Czyżby robił się miękki? Ta myśl sprawiła, że aż podskoczył. Lady Lockwood ocknęła się gwałtownie.

- O co chodzi? - spytała. Sidorio krążył tam i z powrotem po pokładzie, aż wreszcie przystanął obok relingu.

- Co się dzieje?

Wstała, otulając kocem ramiona, i podeszła do niego. Milczał przez chwilę, usiłując zebrać myśli.

- Nie chodzi o ciebie - zaczął - tylko o to, kim się staję, kiedy jestem z tobą. Myślałem, że jestem zły, bardzo zły. Było mi z tym dobrze. A potem ty przychodzisz i budzisz we mnie te wszystkie uczucia, o których nie sądziłem, że je w sobie mam. - Przesunął palcem po łuku jej szyi. - To mi się nie podoba, Lolu. Czuję się trochę nieswojo. Uśmiechnęła się.

- Rozumiem, Sidorio, naprawdę. Ale czy nie widzisz, że możesz mnie kochać i nadal być złym? Mnie się to udaje. Pomyśl o dzisiejszym wieczorze, kiedy razem ścigaliśmy tę parę. Czy to nie było złe? I czy nie było zabawne?

- Owszem - przyznał. - Było zabawne.

- A czy nie bawiliśmy się tak dobrze, ponieważ robiliśmy to razem? Nie polowałeś sam ani z kimś z załogi, lecz z kimś, kogo kochasz i kto ciebie kocha. I oboje byliśmy źli. Bardzo, bardzo źli.

- Tak - przyznał. - Byliśmy.

- Uwierz mi, gdybym przypuszczała, że tracisz zdolność czynienia zła, w jednej chwili wypchnęłabym cię za burtę. Znudziłbyś mnie do nieprzytomności. Nie widzisz tego? Im bardziej

jesteś zły i okrutny wobec innych, tym bardziej cenna staje się dla mnie twoja czułość. Czy to wyjaśnia sprawę?

Zastanawiał się przez chwilę, rozważając jej słowa, aż wreszcie kiwnął głową.

- Tak, jest w tym pewna pokrętna logika. - No właśnie! - zawołała Lola. - W nas też jest pokrętna logika. Nie powinniśmy do siebie pasować, ale jakoś pasujemy. To taki brutalny romans. Ty jesteś zły, ja jestem zła. A razem jesteśmy złem do kwadratu.

- Masz rację - rzekł, nie do końca rozumiejąc, ale chwytając ogólny sens. Popatrzył na nią z zachwytem.

- Wyjdź za mnie! Śmiała się głośno i długo.

- Och, Sid, rozbawiłeś mnie! Naprawdę.

- Mówię poważnie - oświadczył. - Wyjdź za mnie! Możemy być razem przez całą wieczność, wnosząc w swoje życie radość, a w cudze - cierpienie! Lola rozpromieniła się, lecz pokręciła głową.

- Przed chwilą myślałam, że chcesz ode mnie odejść. A teraz? Sama nie wiem, co o tym sądzić!

- Wyjdź za mnie! - powtórzył, obejmując ją w talii.

- Pasujemy do siebie idealnie. Jesteśmy dla siebie stworzeni!

Czuła mocny uścisk wampirata, widziała dziwne światło w jego oczach. Było jak daleka latarnia, która prowadziła ją do domu. Miał rację. Pasowali do siebie idealnie i stanowili razem niepokonany zespół. Sidorio był wszystkim, o czym marzyła. Wiedziała to od chwili, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. A prawdę mówiąc, nawet wcześniej.

- Tak! - powiedziała. - Tak! Wyjdę za ciebie.

- Pobieracie się?! - wykrzyknął Stukeley.

- Czy to nie wspaniale? - odparła lady Lockwood.

- Spójrzcie na mój pierścionek.

Wielkim klejnotem błyszczącym na palcu oślepiła porucznika.

- Kiedy? - spytał bezceremonialnie Johnny.

- Niedługo - rzekł Sidorio.

- Właściwie zaraz - dodała lady Lola. - Nie ma sensu czekać. Jesteśmy wystarczająco dorośli, aby wiedzieć, że tego chcemy.

Stukeley nawet nie spojrział na Johnny'ego. Uśmiechnął się sztucznie, wpatrzony w szczęśliwą parę.

- Cieszę się. Naprawdę. Cieszę się waszym szczęściem. - Ucałował lady Lockwood w policzek, a potem uściskał dłoń Sidorio.

- Oczywiście to nie będzie zwykły ślub - zaznaczyła lady Lockwood. - Ale chcielibyśmy, żebyście w nim uczestniczyli. Prawda, skarbie?

Sidorio kiwnął głową.

- Jako moi druzbowie. - A Angelika i Marianna będą druhami. - Spojrzała z aprobatą na Johnny'ego i Stukeleya. - Stworzycie wspaniały kwartet.

- Czuję się zaszczycony - zapewnił ją Stukeley, zdając sobie sprawę, że nie ma wyboru.

- Ja również - dodał Johnny.

- No to cudownie! - Lady Lockwood klasnęła w ręce. - Będziemy jedną wielką szczęśliwą rodziną!

- Aha - przytaknął Stukeley, czując lekkie mdłości.

- Lepiej wróć na Wagabundę - powiedziała Lola.

- Czeka sporo przygotowań. - Zwróciła się do Sidorio: - Odprowadzisz mnie do drzwi?

Kiwnął głową.

- Dobranoc, chłopcy! - Lady Lockwood pomachała im wesoło. - Gratulacje - rzekł Stukeley. - Tak - dodał Johnny. - Serdeczne! Patrzyli, jak w progu Sidorio przepuszcza szarmancko narzeczoną, a potem bierze ją za rękę i prowadzi korytarzem.

Kiedy kroki ucichły, Stukeley energicznie zarygłował drzwi kajuty.

- Musimy działać szybko! - oznajmił.

- Tak - zgodził się Johnny. - Jak sama powiedziała, przed nami wielkie przygotowania, a czasu mało. Myślisz, że powinniśmy mieć takie same garnitury? Stukeley złapał go za ramiona.

- Ziemia do Johnny'ego! Nie mówimy tutaj o przygotowaniach do ślubu. Musimy przemyśleć o wiele poważniejsze sprawy.

- Naprawdę?

- Oczywiście! To wszystko zmienia. Nie rozumiesz? - Stukeley zajrzał przyjacielowi głęboko w oczy. - Kto w tej chwili dowodzi?

- Kapitan - odparł Johnny. - Sidorio.

- Zgadza się. A po nim?

- Ty i ja.

- Owszem. Ale gdy tylko się pobiorą, Pani Paskuda będzie tu wszystkim rządzić, a my pójdziemy w odstawkę.

- Nie - odparł Johnny. - Szef nam tego nie zrobi. Stukeley pokręcił głową.

- Nie będzie miał żadnego wyboru. Czy nie widzisz, że ona prowadzi go na smyczy jak pudelka?

Zrób to! Zrób tamto! Ożeń się ze mną! Założę się, że od początku miała taki plan.

- Nie - zaprzeczył Johnny. - Wyraźnie powiedziała, że to on jej się oświadczył. I ten pierścień! Sam widziałeś.

Stukeley machnął ręką.

- Co tam pierścień! Lady Lockwood to urodzona intrygantka. Może sprawiać wrażenie zakochanej, ale w rzeczywistości jest zimna jak lód. Wcale nie kocha Sidoria. Łaknie jego władzy. Nic dziwnego, że nazywają ją Czarnym Sercem. Rozegrała to jak stary szuler.

- Nie masz racji. - Johnny pokręcił głową.

- Mam - upierał się Stukeley.

Johnny wzruszył ramionami.

- Zresztą to bez znaczenia. Ślub nastąpi i to wkrótce. Spróbuj cieszyć się ich szczęściem.

Stukeley pokręcił głową.

- Jeśli masz ochotę, szukaj sobie garnituru, kolego. Możesz nawet wybrać jakiś dla mnie.

- Patrzył ponuro, a takiego spojrzenia Johnny jeszcze nigdy u niego nie widział. - Ale mówię ci, że nie będzie żadnego ślubu. Nie, dopóki mam w tej sprawie coś do powiedzenia.

- Co ty knujesz, hermano? - spytał Johnny, zaskoczony, ale też podekscytowany.

- Poczekamy, zobaczymy - odparł Stukeley, uśmiechając się posępnie do przyjaciela. - Jak to mówią, prawdziwa miłość musi boleć.

Rozdział 38

Spotkanie u Mamy Kettle

Noc była deszczowa, ale to nie ulewa martwiła Cate Morgan nazywaną Kordem. Kobieta stała w kolejce przed tawerną Mamy Kettle. Mocniej wcisnęła kapelusz na płomiennorude włosy i spojrzała na zegarek z dewizką. Potem zaczęła obserwować szefa ochrony Mamy, Gnata, który przeszukiwał wchodzących piratów.

Mimo nowych, bardzo rygorystycznych zasad, wielu piratów wciąż jeszcze nie zrozumiało, że nie wolno wносить do tawerny mieczy, noży ani żadnej białej broni. Patrzyła, jak Gnat fachowo sprawdza słynną kapitan piratów, odbierając jej nie mniej niż osiem różnych ostrych narzędzi.

- Życzę przyjemnego wieczoru - rzekł, cierpliwy i grzeczny jak zwykle. Ułożył cały arsenał w skrzynce, by mogła go odebrać przy wyjściu.

- No dalej - mruzczała pod nosem Cate, raz jeszcze zerkając na zegarek. - Szybciej! Na początku kolejki znalazła się po pięciu minutach, ale miała wrażenie, że trwało to o wiele dłużej.

- O, czyżby panna Morgan? - spytał Gnat.

- Tak - powiedziała cicho. - Dobry wieczór. Jestem tu prywatnie, więc byłabym wdzięczna za dyskrecję.

- Oczywiście, panno... Oczywiście! – zapewnił i mrugnął porozumiewawczo. Cate bez protestów odpięła szpadę i oddała ją Gnatowi wraz z banknotem.

- To za dyskrecję. - Skinęła mu głową.

- Bardzo miło z pani strony. Proszę przejść.

Uniósł sznur i Cate weszła do zatłoczonej tawerny.

Raz jeszcze spojrzała na zegarek. Spóźniła się dziesięć minut. Niedobrze. Bardzo niedobrze. Miała tylko nadzieję, że starannie zatarła ślady i że Moluccowi nie przyjdzie do głowy zajrzeć wieczorem do tawerny.

- Cate - rozległ się znajomy głos, a czyjaś dłoń lekko musnęła jej ramię. Dziewczyna podskoczyła, ale okazało się, że to tylko Ciasteczko, prawa ręka Mamy. Panna Morgan uśmiechnęła się nerwowo.

- Cześć. Co słychać?

- W porządku - odparła Ciasteczko. - Gdzie reszta załogi? Jest szansa, żeby Bart jeszcze tu zajrzał?

Trochę zdenerwowana Cate pokręciła głową.

- Nie sędzę. O ile wiem, jestem sama. Załatwiam pewną sprawę. Prywatną. - Nie musisz mówić nic więcej - zapewniła ją Ciasteczko i dotknęła palcem swojego okrągłego noska.

- Twoja tajemnica jest u mnie bezpieczna. Cate z uśmiechem schyliła głowę, ruszyła szybko przez tłum i wspięła się na pięterko, do odosobnionych boksów. Tylko jeden był zajęty - ktoś już na nią czekał. Zacerpnęła powietrza, a potem rozsunęła aksamitną kotarę i wślizgnęła się do środka.

- Już myślałam, że nie przyjdiesz - powiedziała Cheng Li, skąpana w blasku świecy. - Ładny kapelusz.

- Przepraszam. - Cate zdjęła kapelusz i potrząsnęła włosami. - Dotarcie tutaj zajęło mi więcej czasu, niż zakładałam. Na zewnątrz kłębi się straszny tłum.

- Ale już jesteś, i to najważniejsze. - Cheng Li posłała jej uśmiech. - Usiądź i odpocznij. Zamówiłam ci kufel najlepszego piwa Mamy. Pamiętam, że to było twoje ulubione.

- Nadal jest! - powiedziała Cate.

- Widzisz, to jedna z rzeczy, które w tobie lubię. Jesteś stałą wartością w tym zmiennym świecie.

Twarz Cate była jak maska, jeśli nie liczyć uniesionych brwi.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem nudna?

- Nudna? Skądże znowu. Niezawodna. Jak bezpieczna przystań na czas kryzysu. Te cechy wcale nie są nudne. Zwłaszcza z punktu widzenia kapitana. Cate rozluźniła się wyraźnie, słysząc pochwały.

- Pij piwo. Na pewno jesteś spragniona.

Cate podniosła kufel i upiła łyk. Na jej górnej wardze pojawił się pienisty wąs. Nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki nie dostrzegła lekkiego uśmiechu na twarzy Cheng Li.

Zakłopotana, starła z ust pianę.

Cheng Li piła herbatę z chryzantemy. Napełniła swoją filiżankę i dodała łyżeczkę miodu manuka.

- Powiedz mi zatem - rzekła swobodnie - jak płynie życie na pokładzie Diabła? Cate wzruszyła ramionami.

- Nie różni się specjalnie od tego, które zapamiętałaś.

- Och - rzuciła Cheng Li, sącząc herbatę. - Miałam nadzieję, że do tej pory Molucco co nieco zrozumiał, ale to chyba prawda, że starego wilka morskiego nie można nauczyć nowych sztuczek!

- Molucco to Molucco - stwierdziła Cate, starannie dobierając słowa. - On też jest wartością stałą, by się tak wyrazić.

- Owszem - zgodziła się Cheng Li. - Stałym wrzodem na...

- Jestem pewna, że nie wezwałaś mnie po to, by rozmawiać o Molucco - przerwała jej Cate bardziej stanowczo.

- Nie - powiedziała Cheng Li. - Taka rozmowa istotnie niespecjalnie mnie interesuje. - Znów wypła łyk herbaty. - Nie, Cate. Zaprosiłam cię, żeby porozmawiać o tobie. - Przerwała. - Porozmawiać o twojej przyszłości.

- O mojej przyszłości?

- Tak. O twoich zamierzeniach. O twoim planie pięcioletnim. Zakładam, że masz jakiś plan pięcioletni. Cate wypła trochę piwa, a potem pokręciła głową.

- Nie jest mi potrzebny. Wiem, co będę robić za pięć lat. Zaciągnęłam się na statek kapitana Wrathe'a na całe życie.

- Och, Cate - westchnęła Cheng Li. - Mam wrażenie, że tanio sprzedałaś skórę. Jak już mówiłam, świat szybko się zmienia.

- Owszem - przyznała Cate. - Ale, jak również powiedziałaś, ja jestem stała w uczuciach. Nie wierzę w zmianę lojalności co pięć minut. W przeciwieństwie do... - Urwała i spuściła wzrok. Wpatrywała się teraz w migoczący płomień świecy.

- Co chciałaś powiedzieć, moja droga? W przeciwieństwie do mnie? Czy może w przeciwieństwie do Connora Tempesta?

Cate znów spojrzała jej w oczy.

- Connor miał swoje powody. Rozumiem je. Bardzo go lubię i szanuję. A mimo to uważam, że odchodząc, popełnił błąd.

Cheng Li uniosła brew.

- A więc nie jesteśmy zgodne w ocenie. - Jak on się czuje? - spytała Cate. - Rozkwita - odparła Cheng Li. - Obserwowanie, jak z młodego włóczęgi przeobraża się w bardzo uzdolnionego pirata, sprawia mi prawdziwą przyjemność. Trudno zaprzeczyć, czuję się z nim szczególnie związana. W końcu wyłowiłam go z morza tej pierwszej nocy. Gdyby nie ja, pewnie by się utopił i stracilibyśmy wielkiego pirata.

Cate uśmiechnęła się lekko.

- Wiele twoich czynów budzi moje wątpliwości - rzekła. - Ale zawsze będę ci wdzięczna za uratowanie Connora. I jestem pewna, że inni jego przyjaciele również.

- Dzięki. - Cheng Li zniżyła głos. - Tęskni za tobą. I za Bartem. Oczywiście nawiązał przyjaźnię na Tygrysie. No i ma mnie, oczywiście. Ale ja jestem zajęta dowodzeniem i nie mogę mu poświęcić tyle uwagi, ile bym sobie życzyła. Cate spojrzała na zegarek i dokończyła piwo.

- Przejdźmy do rzeczy. Czego ode mnie chcesz? Przed boksem ktoś chrząknął dyskretnie.

- Jak na znak! - ucieszyła się Cheng Li. - Proszę wejść. Gdy kotara się rozsunęła, Cate odetchnęła z ulgą. Ciasteczko postawiła na stole kolejny kufel piwa. Przytknęła palec do warg, mrugnęła porozumiewawczo i wycofała się z boksu.

- Pomyślałam, że będziesz bardzo spragniona - stwierdziła Cheng Li, wskazując pełny kufel.

- Wolę raczej z niezmaconym umysłem wysłuchać tego, co masz do powiedzenia - odparła Cate i odsunęła naczynie.

- Oczywiście - powiedziała Cheng Li. - Wszystko, co teraz powiem, jest poufne. Rozumiesz? Nie wolno ci pisać ani słowa. Nikomu.

- Możesz mi zaufać. Wolalabym, żeby nikt nie wiedział o naszym spotkaniu.

- Naprawdę nikomu - powtórzyła Cheng Li. - Nawet Bartowi.

Cate się zaczerwieniła i odparła bardziej stanowczo:

- Zrozumiałam. Mów.

- Tygrys nie jest zwykłym pirackim statkiem - zaczęła Cheng Li. - A ja nie jestem zwykłym dowódcą. Najwyższy sztab Federacji powierzył mi doniosłą misję. Cate szeroko otworzyła oczy.

„Dobrze - pomyślała Cheng Li. - Wiedziałam, że to cię zaciekawi”.

- Będzie to pierwszy statek zabójców wampiratów. Nakazano nam zaatakowanie wampiratów i usunięcie z oceanów tego zagrożenia. Naszym pierwszym celem jest Sidorio, potwór, który zamordował komandora Kuo i dwóch studentów Akademii, Zaka oraz Varszę. Cate spuściła głowę.

- To było straszne.

- Owszem - przytaknęła Cheng Li. - I nie ma wątpliwości, że zdarzą się jeszcze gorsze rzeczy. Chyba że będziemy działać szybko i bez wahania.

- Mów dalej - ponagliła ją Cate. - Jak wspomniałam, mój statek nie jest zwykłą jednostką piracką. Mamy szczytniejszy cel i jesteśmy na najlepszej drodze, aby doprowadzić do końca naszą pierwszą misję.

- Gratuluję - odparła Cate. - Ale nie bardzo rozumiem, co ja mam z tym wspólnego.

- Zastanów się. - Oczy Cheng Li błysnęły w świetle świecy. - Mamy walczyć z wampiratami. Nie ze zwykłymi śmiertelnikami, lecz z demonami, potworami. Mój zespół przeprowadził dogłębne badania i odnalazł słabe punkty przeciwników. Trzy substancje są dla nich trujące: srebro, glóg i tojad. - Cate pochyliła się, wyraźnie zafascynowana opowieścią. - W tej chwili Connor jest w Lantau i odbiera specjalną broń od mistrza Yina.

- Mistrz Yin - powtórzyła Cate. - To robi wrażenie!

- Pracuję tylko z najlepszymi - odparła Cheng Li. - I dlatego właśnie chciałam się z tobą spotkać.

Mam broń, mam wsparcie Federacji. A teraz potrzebuję specjalisty od taktyki. Nie owijając w bawełnę, obie wiemy, że jesteś najlepsza.

- Chcesz, żebym zaplanowała atak na wampiratów? - spytała Cate, wyraźnie zaintrygowana.

- To byłoby twoje najznakomitsze dzieło. Ukoronowanie pracy. Zwróciłoby na ciebie uwagę Federacji. Ale tu nie chodzi tylko o sławę, Cate. Chodzi o to, żeby walczyć, oczyścić oceany i sprawić, by były bezpieczne dla przyszłych pokoleń. Czy naprawdę wystarcza ci Molucco, gdy do wyboru masz taką misję?

Było widać, że Cate się waha. Cheng Li czekała cierpliwie, niepewna, czy powiedziała dosyć, by przekonać dawną towarzyszkę.

W końcu Cate pokręciła głową.

- Molucco nigdy się na to nie zgodzi. - Przecież nie musi. - Nie mam zamiaru łamać kontraktu. To kwestia zasad. Nie zmienię ich. Nawet dla czegoś takiego.

- Rozumiem - zgodziła się Cheng Li. - Jak powiedziałam na początku, podziwiam twoją lojalność. Ale spójrzmy na to z innego punktu widzenia. Otrzymałam wsparcie z najwyższych kręgów Federacji. A ona potrafi być przekonująca.

- Co masz na myśli? - spytała Cate.

- Nie jest tajemnicą, że wszystko, co zarobisz na Diabłu, oddajesz swojej biednej matce i siostrze. Wszyscy wiemy, że się o nie troszczysz. Jeśli dołączysz do mojego zespołu, będę mogła zaproponować ci bardzo dużą pensję.

Cate pokręciła głową.

- Tu nie chodzi o pieniądze. - Nie - zgodziła się Cheng Li. - Chodzi o coś znacznie ważniejszego. Ale pieniądze nie zaszkodzą. Mogą sprawić, że życie twoje i twoich bliskich stanie się łatwiejsze. Raz jeszcze Cate rozważyła propozycję Cheng.

- Jestem ci wdzięczna za wszystko, co powiedziałas. Bardzo mi to pochwala, ale odpowiedź brzmi: nie. Podpisałam umowę i jej nie złamię. - Wstała i wyciągnęła rękę. - Nie sądziłam, że to powiem, ale naprawdę miło było znowu cię zobaczyć.

Cheng Li uścisnęła jej dłoń. Była rozczarowana, ale nie chciała tego okazać.

- Ciebie również, moja droga. Naprawdę powinniśmy częściej się kontaktować. - Posłała jej uśmiech.

- My, dziewczęta, musimy trzymać się razem.

Cheng Li czekała w boksie, aż jej rozmówczyni dyskretnie opuści tawernę. Cate bardzo się bała, że ktoś zobaczy je razem.

- Jak poszło? - spytała Ciasteczko, zaglądając do boks. - Nie całkiem według planu - odparła Cheng Li. - Szkoda. - Ciasteczko zabrała pełny kufel Cate. - Ale chyba się nie spieszysz? Jeszcze dzbanek herbaty? A może coś mocniejszego? Cheng Li pokręciła głową.

- Nie - odparła. - Muszę wracać na statek. Jak człowiek już zostanie tym kapitanem, pracuje bez wytchnienia i nie ma czasu na rozrywki.

Od Gnata odebrała katany i kord ojca, po czym ruszyła pomostem w stronę łódek przewoźników. Jej ulubione drzewo dzakarandy właśnie kwitło, więc zatrzymała się na chwilę, aby obejrzyć liliowe kwiaty. Przypomniały jej, że na wszystko jest właściwa pora. Kiedy ujęła w dłoń kwiat, pomyślała o Cate. Wybrała po prostu zły moment. Gdy nadejdzie właściwy,

otrzyma inną odpowiedź. Sięgnęła po katanę, odcięła ukwieconą gałązkę i włożyła w dziurkę od guzika. Potem doszła do końca nabrzeża, uniosła dłoń i zawołała:

- Taxi!

- Dokąd płyniemy, piękna panienko? - spytał przewoźnik.

- Mój statek, Tygrys, jest zacumowany po drugiej stronie zatoki.

- No problema - oświadczył wioślarz.

Cheng Li weszła do łódki, nie zdając sobie sprawy, że drugi przewoźnik przykucnął przy rufie.

- Piękna noc na wycieczkę - odezwał się za nią drugi głos. Akcent był dziwnie znajomy.

- Nie mam ochoty na wycieczkę - odparła Cheng Li. - I nie będę płacić za zbaczanie z drogi. Prosto przez zatokę, jeśli łaska.

Pierwszy wioślarz odwrócił się i uśmiechnął do niej. Oczy miał równie ciemne jak ona.

- Buenas noches, panienko - rzekł Johnny.

Zirytowana tą poufałością, Cheng Li odwróciła się i odkryła, że patrzy w twarz Jeza Stukeleya.

- Dawno się nie widzieliśmy - powiedział Stukeley. - Słyszeliśmy, że nagle zainteresowałaś się wampirami, więc pomyśleliśmy, że może warto zamienić słówko. Cheng Li spoglądała to na jednego, to na drugiego. Serce biło jej szybko. Jak, na wszystkich bogów, zdoła się z tego wyplątać?

Rozdział 39

Zaproszenie

- Zatrzymajcie łódź! - nakazała Cheng Li, sięgając po swoje katany. Ale Stukeley był szybki. Zanim zdążyła użyć ostrych jak brzytwy mieczy, mocnym chwytem zatrzymał jej ramiona i zmusił do wypuszczenia broni.

- Przechowam je dla ciebie - powiedział. - Nie martw się, dostaniesz je z powrotem... jeśli będziesz grzeczna.

Cheng Li zmarszczyła czoło. Za życia Jez Stukeley był jednym z najlepszych i najszybszych szermierzy, jakich знаła. Najwyraźniej zachował swoje talenty na tamym świecie - albo raczej w tym ciemnym miejscu, w którym obecnie przebywał. Johnny odchrząknął.

- Och, przepraszam... - W głosie Stukeleya zabrzmiały bardziej przyjazne tony. - Zapominam o dobrych manierach. Pozwól, że przedstawię ci mojego przyjaciela, Johnny'ego Desperado.

- Możesz mi mówić Johnny - rzekł przystojny żeglarz i wcisnął na głowę stetsona.

- ...A to jest Cheng Li - dokończył Stukeley. - Znamy się już szmat czasu, prawda? Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Cheng Li rozejrzała się szybko, oceniając szanse ucieczki. Wydawały się ograniczone. Johnny z wprawą sterował łódką i znaleźli się już bardzo daleko od znajomych neonów Mamy Kettle. Co mogła zrobić? Skoczyć do morza? Podobno wampiraci nie umieją pływać. Ale czy to prawda? Czy Lorcan Furey nie skoczył do wody, by ratować Grace Tempest? Nie mogła ryzykować.

- Dokąd mnie zabieracie? - spytała. Nie zamierzała pozwolić, by tamci wyczuli jej strach. „Graj na zwłokę - mówiła w duchu. W końcu pojawi się rozwiązanie”. Wspomniała wykłady Johna Kuo o zanshin - ale potem uświadomiła sobie straszny los komandora: wciąż miała przed oczami zwłoki siedzące w fotelu w jego gabinecie. Nie była to krzepiąca myśl.

- Na tajemniczą morską wycieczkę - odparł Johnny.

- Nie lubię tajemnic - oświadczyła. - Ani morskich wycieczek, prawdę mówiąc. Usłyszała śmiech za plecami. Znajomy śmiech. Wciąż nie mogła pogodzić się z faktem, że Jez Stukeley, dawny kolega, teraz jest wampirem i jej grozi.

- No, no... - powiedział Stukeley. - A my słyszeliśmy, że kochasz tajemnice. Mam rację, Johnny?

Jego towarzysz kiwnął głową.

- Słyszeliśmy, że próbujesz zdobyć informacje o niezwykłym świecie wampirów. Cheng Li zmarszczyła czoło, ale milczała. Zaprzeczanie nie miało sensu.

- No więc pomyśleliśmy sobie - ciągnął Johnny - że wyświadczymy ci przysługę i złożymy wizytę.

- No właśnie. - Stukeley pochylił się nad nią tak bardzo, że poczuła na karku jego oddech. - A zatem jesteśmy. Gotowi odpowiedzieć na każde twoje pytanie.

To mówiąc, Stukeley usiadł naprzeciwko Cheng. Johnny stał z ręką na rumplu.

- Nie ma pośpiechu - rzekł Stukeley. - Możemy się przecież zatrzymać. Noc jest piękna, nie brakuje nam wspaniałych widoków. Prawda, pani Li?

Cheng Li się skrzywiła. Postanowiła odzyskać choćby pozory panowania nad sytuacją.

- Kapitan Li - poprawiła Jeza.

- Ach, oczywiście! - zawołał Stukeley. - Zapomniałem się. Przepraszam.

- W porządku, Jez. Od naszego ostatniego spotkania wiele się zmieniło.

- Rzeczywiście wiele. Dla nas obojga. Pragnę zauważyć, że nikt nie nazywa mnie już Jezem. Jestem po prostu Stukeleyem.

Cheng Li uniosła brew.

- Jak sobie życzysz. Po raz pierwszy mogła go dokładnie obejrzeć. Nie zmienił się tak bardzo, jak sądziła. Był bledszy, oczywiście. Może trochę szczuplejszy. Największe zmiany zaszły na jego twarzy. Jez był żartownisiem, a jego okrągła buzia i dołki w policzkach sprawiały wrażenie, jakby cały czas myślał o ostatnim żarcie albo planował następny. Teraz rysy chłopaka stały się ostrzejsze i wyglądał bardziej poważnie. Był też przystojniejszy, co ją nieco zaskoczyło. Ale ostatecznie oni wszyscy byli przystojni: Lorcan Furey, Johnny Desperado i Jez... czy raczej Stukeley. Mimo zmian, jakie w nich zaszły - a może właśnie dzięki tym zmianom - mieli w sobie dziwny czar.

„Przestań - powiedziała sobie. - Skończ z takim myśleniem. Jeszcze trochę, a zabrniesz w jakiś ślepy zaułek jak Grace Tempest”.

- O czym myślisz? - zapytał Stukeley. Spojrzała mu w oczy. Stwierdziła z ulgą, że są wesołe jak dawniej.

- Myślałam o nas - odparła. - O tobie i o mnie. Kiedy jeszcze razem służyliśmy na Diabłu. Stukeley zmarszczył czoło.

- Co? - zdziwiła się. - Nie lubisz wspominać? Pokręcił głową.

- Raczej nie. Pogrzebałem przeszłość. Jestem teraz kimś innym. - Być może - ustąpiła Cheng Li, trochę zaskoczona tym, jak bardzo niepokoją go wspomnienia. - Ale nie myślisz czasem o swoim dawnym życiu? O kapitanie, Connorze i Barcie?

Stukeley wyglądał, jakby sprawiła mu ból. Zamknął oczy.

- Nie! - oznajmił. - Nic nie mów! Zatkanął sobie uszy.

- Nie znosi rozmów o tamtych czasach i tamtych ludziach - wyjaśnił Johnny. Cheng Li kiwnęła głową. Ciekawe, że tak ostro zareagował... Postanowiła zapamiętać ten szczegół. Mógł okazać się użyteczny.

Przez kilka minut dryfowali w milczeniu. Nie było wiatru.

- Wiem, o czym myślisz - odezwał się po chwili Johnny. Cheng Li uniosła głowę.

- Tak? To powiedz.

- Żałujesz, że nie masz z sobą broni.

Cheng Li zmarszczyła czoło, patrząc na dwie katany, które wciąż trzymał Jez. Johnny pokręcił głową.

- Nie chodzi mi o miecze - wyjaśnił. - Myślałem o broni, którą wykuwacie... na wampiratów.

Więc i o tym wiedział... Cheng Li zaczynała czuć niepokój i przygnębienie. Najwyraźniej Sidorio poznał jej plany i wysłał swoich poruczników z nocną misją pozbycia się przeciwniczki. Tak jak się pozbył komandora Kuo. Niech to licho! Jej kariera dopiero się zaczynała! Dlaczego akurat teraz? No, ale kiedy podnosi się stawkę, rośnie też ryzyko.

- Czyli wiecie o mojej misji - powiedziała ostrożnie. Johnny kiwnął głową.

- Oczywiście. Uciekł jeden z waszych jeńców.

- Wampirat 2! - krzyknęła z rozpaczą Cheng Li.

Pamiętała, jak pocieszała Jacoby'ego: „No więc uciekł. Ale to tylko jeden wampirat, prawda?”. Oczywiście natychmiast ostrzegł Sidorio i pozostałych...

Stukeley się uśmiechnął. W tym uśmiechu nie było już ani śladu człowieczeństwa, nic z dawnego Jeza, którego kiedyś znała.

- Twoi siepacze paskudnie sobie poczynali z naszym młodym przyjacielem, Buziaczkiem. Zdołał jednak jakoś się pozbierać, odszukać nas i błagać o pomoc.

- Chciał, żebyście ratowali jego towarzyszy... - domyśliła się Cheng Li. Oczywiście: kiedy uciekł, pozostali wampiraci jeszcze żyli. - Dlaczego nie próbowaliście ich uwolnić?

- Gdyby to ode mnie zależało - odparł Stukeley - tak właśnie bym postąpił. Ale kapitan miał inne plany.

- Sidorio? - upewniła się.

- Zgadza się. Nasz kapitan Sidorio, król wampiratów.

- Ten, którego masz na celowniku - dodał Johnny.

Cheng Li przypomniała sobie spotkanie z Ahabem Blackiem. Swoją misję - tę, w której miała okryć się chwałą: unicestwić Sidorio, przywódcę zbuntowanych wampiratów, zabójcę Porfiria Wrathe'a, Johna Kuo i innych.

- Popelniasz błąd - oświadczył Stukeley.

- Stając do walki z takimi jak wy?

- Nie o to mi chodzi. - Pokręcił głową. - Sidorio nie jest wampirem, którego powinnaś ścigać. To nie on zabił komandora Kuo.

- Nie on? - zdziwiła się Cheng Li. Była zdezorientowana. Dlaczego jej to mówią? Nie wyglądali na takich, co lubią rozwiać wątpliwości, zanim zabiją ofiarę. - Czego wy właściwie ode mnie chcecie?

Stukeley wzruszył ramionami.

- Jesteśmy tutaj, żeby podzielić się z tobą pewnymi informacjami. To wszystko. Serce Cheng Li biło jak szalone. Już nie ze strachu, ale z podniecenia.

- Kto zabił komandora Kuo? - spytała.

- Lady Lola Lockwood - odparł Stukeley. - Znana również jako Czarne Serce.

- Czarne Serce!

Oczywiście! Cheng Li przypomniała sobie kartę w martwej dłoni Johna Kuo. I inne karty, poplamione krwią, przyniesione przez Connora.

- Jej statek nosi nazwę Wagabunda - ciągnął Stukeley. - I ma się połączyć z siłami Sidorii.

- Inaczej mówiąc, z waszymi siłami...

- Można tak powiedzieć.

Myśli Cheng Li pędziły teraz z zawrotną prędkością.

- Jest dla was zagrożeniem. - Miała wrażenie, że głowa zaraz jej eksploduje. - Nie chcecie, by połączyła się z Sidoriem, bo jeśli to nastąpi, osłabi waszą pozycję.

- Dobrze kombinujesz - pochwalił ją Johnny. - Sprytna dziewczynka.

Stukeley uniósł dłoń, by uciszyć koleżkę.

- Nie mówimy tu o nas. Ani o tym, czego byśmy sobie życzyli. Chcemy tylko wyprowadzić cię z błędu. Otrzymałaś rozkaz unicestwienia Sidorii, bo wszyscy uważacie, że to on zabił komandora Kuo. Ale mordercą jest lady Lockwood. Pomyśleliśmy, że warto sprostować co nieco. Cheng Li pokiwała głową.

- Rozumiem. Macie głębokie poczucie uczciwości i sprawiedliwości. - Po czym dodała, niemal mimochodem: - A gdybyśmy spróbowali usunąć lady Lockwood, nie będziecie nam przeszkadzać. - Odpowiedziało jej milczenie, więc postanowiła zapuścić sondę głębiej. - Może nawet będziecie zadowoleni? Albo nam pomożecie? Stukeley pokręcił głową.

- Nic z tych rzeczy! Jak już mówiłem, zjawiliśmy się tutaj tylko po to, by udzielić ci pewnych informacji. Sama myśl o pomocy... napawa mnie grozą.

- Uśmiechnął się. - Ale za to chcieliśmy ci coś wręczyć. - Sięgnął do kieszeni. - Gdzie ja je schowałem?

Szukał we wszystkich możliwych kieszeniach.

Johnny parsknął śmiechem.

- Zapomniałeś, hermano? Oddałeś mi na przechowanie. Z kieszeni kurtki wyjął kopertę, którą Stukeley podał Cheng Li.

Chwyciła welinową kopertę. Napisano na niej nienagannym charakterem pisma:

Cheng i osoby towarzyszące.

Uniosła brew.

- Może otworzysz? - zachęcił ją Stukeley. Zaintrygowana, odwróciła kopertę i odkryła, że jest zapieczętowana. Woskowa pieczęć miała tarczę herbową i była ozdobiona wstążeczkami.

- Bardzo wyszukane - przyznała.

- Nikt nie oszczędza na ślubie roku! - Jez skrzywił się drwiąco.

- Ślubie? - powtórzyła Cheng Li. Kiedy wyjęła kartonik z zaproszeniem, ostatni kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce. - Czyli Sidorio żeni się z tą lady Lockwood?

- Co za intuicja!

- I dlatego wasza pozycja jest zagrożona. Będą małżeństwem i podzielią między siebie łupy. A wy dwaj... wasza przyszłość będzie dość niepewna, delikatnie mówiąc. Stukeley znowu pokręcił głową.

- Jak mówiłem, nie przyplłynęliśmy tu, żeby rozmawiać o nas.

- Chcieliśmy tylko zaprosić cię na wesele - wtrącił Johnny. - Wszyscy lubią wesela.

Oczy mu błyszczały.

- No właśnie - zgodził się Stukeley. Obserwował Cheng Li. - Wszyscy lubią wesela.

Mam rację, kapitan Li?

Teraz zrozumiała.

- Chcecie, żebym przyszła na ślub i zabiła lady Lockwood? - Co za szokujący pomysł! - Stukeley udał, że jest wstrząśnięty. Ale jego oczy mówiły coś innego.

Cheng Li myślała szybko.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie pułapka? - spytała. - Że nie chcecie mnie tam zwabić i zamordować? Stukeley śmiał się długo i głośno.

- Kapitan Li - rzekł. - Gdybyśmy chcieli panią zamordować, unosiłaby się pani martwa na wodzie, a nas by już nie było.

Cheng Li rozważyła jego słowa.

- Ale na zaproszeniu jest napisane „i osoby towarzyszące”. Chcecie, żebym przyprowadziła załogę. Wtedy będziecie mogli nas pozabijać.

- Nikt tu nie mówi o zabijaniu - zapewnił ją Stukeley. „W każdym razie nie wprost” - pomyślała Cheng Li.

- Jasne, że nie - zgodził się Johnny. - Wpadnij sama albo z załogą, jak wolisz. Osobiście uważam, że na wesele lepiej przyjść w towarzystwie, ale to twoja sprawa. No więc zajrzyj, spróbuj tortu, rozrzuć trochę konfetti...

- I zamorduj pannę młodą - dokończyła.

- Johnny - wtrącił Stukeley. - Powinniśmy już odstawić kapitan Li na statek. Nie możemy jej dłużej zatrzymywać.

- Oczywiście. - Johnny znów zajął się sterem. - Musi pani trochę odpocząć, pani Li.

Pomyśleć o odpowiednim prezencie ślubnym.

Cheng Li zwróciła się do Stukeleya.

- Macie jakieś propozycje? W końcu znacie narzeczonych o wiele lepiej niż ja. Stukeley pokręcił głową.

- Jestem pewien, że wymyślisz jakąś niespodziankę. Czyli nie zamierzał jej pomóc. Ale wiedział o ich eksperymentach, więc zapewne byli na właściwym tropie. Cheng Li pomyślała o Connorze i Jasmine, płynących z Lantau z ładunkiem srebrnych mieczy zanurzonych w wyciągu z głogu i tojadu. Idealny prezent dla wampirackiej panny młodej: pchnięcie zatrutą klingą w serce.

- A po weselu? - spytała. - Jak mogę być pewna, że uda mi się szybko wynieść? Że nie zdradzicie i nie zaatakujecie mnie i mojej załogi?

- Nie martw się - uspokoił ją Stukeley. - Uczynisz nam wielki zaszczyt, przybywając na zaślubiny. My zadbamy o resztę. Możesz nam wierzyć. Cheng Li zaśmiała się cicho.

- Chcesz, żebym ci zaufała?

- Sama mówiłaś: jesteśmy dawnymi towarzyszami broni, zgadza się? - Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Masz, weź swoje katany. - Wsunął śmiertcionośne ostrza do pochew. - Pomyśl, Cheng Li. Ty musisz zaufać mnie, a ja tobie. O ile pamiętam, w lepszych sferach nazywa się to obopólną korzyścią.

Rozdział 40

Niezsicczalne marzenia

Raz jeszcze Connor trzymał w ręku legendarny miecz. Jego właściciel, Chang Po, był słynnym piratem, dowódcą Floty Czerwonej Flagi. Teraz jednak wszystkie myśli chłopaka koncentrowały się na chwili bieżącej. Patrzył wzdłuż klingi na broń przeciwniczki.

- En gardę! - zawołała Jasmine i jej rapier zderzył się z jego ostrzem. Znow rozgorzała walka.

Jasmine była znakomitym szermierzem. Podczas dziesięciu lat ćwiczeń w Akademii Piractwa osiągnęła najwyższy poziom. Ta edukacja połączona z naturalną biegłością uczyniła z niej niebezpiecznego przeciwnika. W porównaniu z nią Connor czuł się jak bohater prymitywnych bójek. On nie zaliczył dziesięciu lat ćwiczeń - zaledwie kilka miesięcy na morzu i szkolenie przeprowadzone przez Cate, Barta i Jeza. Ale Connor miał wrodzony dar, jakby urodził się z mieczem w ręku. Kiedy Jasmine odparowała jego atak, pozostał spokojny i skupiony. Miał jeszcze kilka niespodzianek w zanadru!

Bo Yin obserwowała pojedynek z boku. Imponowała jej gracja i precyzja ruchów Jasmine. Często w tajemnicy przed ojcem sama trenowała. Nawet przemyciła kilka starych ksiązek o fechtunku do swojego pokoju i czytała potajemnie w nocy, w niemalże całkowitej ciemności, żeby płatnerz się nie zorientował. Kłopot polegał na tym, że nie miała z kim ćwiczyć. Starala się walczyć z dziećmi z sąsiedztwa, ale one, choć z początku okazywały entuzjazm, szybko nudziły się jej zabawami. Bo Yin westchnęła ciężko. Gdyby tylko Connor i Jasmine zostali na dłużej! Mogłaby podszlifować swoje umiejętności.

- Wygrałaś! - krzyknął Connor, gdy Jasmine zaatakowała, a ostrze znalazło się niebezpiecznie blisko jego serca.

- Trzy. do dwóch dla mnie! - zaśmiała się, uradowana.

Bo Yin zaklaskała w ręce.

Connor podszedł do niej, opuszczając klingę.

- Muszę się napić - rzekł, sięgając po butelkę wody. - Ona mnie wykończy! - Myślę, że pozwalasz jej wygrywać, Connorze Tempeście - stwierdziła Bo Yin. - Pozwalasz jej wygrywać, bo ją lubisz.

Connor uśmiechnął się, ale pokręcił głową.

- Uwierz mi, Bo. Jasmine to twardy przeciwnik. - Podał jej miecz, którego używał Chang Po. - Dlaczego sama się nie przekonasz? - Mogę? - Dreszcz przebiegł Bo Yin po karku, gdy spojrzała na klingę. Dziewczyna odwróciła się do Jasmine.

- No dalej! - zachęciła ją Jasmine. - Obiecuję, że będę ostrożna! Tym razem to Connor przyglądał się z boku. Jasmine dotzymała słowa i wobec Bo była łagodniejsza niż podczas wcześniejszego starcia. A jednak młodsza zawodniczka najwyraźniej również miała wrodzony talent do szermierki. Być może należało się tego spodziewać u córki wybitnego płatnerza.

Connor siedział i patrzył na walczące dziewczęta. Jasmine była taka elastyczna, elegancka... wyobrażał sobie, że tak właśnie walczyłyby lampart. Nie po raz pierwszy snuł marzenia o koleżance. I jak zawsze myśli te przesłonił obraz jego przyjaciela Jacoby'ego. „To chłopak Jasmine” - przypomniał sobie. Są rzeczy, których się nie robi. Są myśli, które należy odepchnąć. A jednak patrząc teraz na Jasmine, zwinną jak dziki kot, nie mógł nie myśleć, co by było, gdyby...

Lekkie szturchnięcie w ramię przerwało jego sny na jawie. Obejrzał się - obok stał mistrz Yin. Płatnerz wszedł do pokoju bezszelestnie - albo może Connor był zbyt zajęty swoimi nieziszczalnymi marzeniami, by cokolwiek zauważyć.

- Chodź ze mną - powiedział cicho mistrz Yin. Odwrócił się i wyszedł. Connor ruszył za płatnerzem.

- Ojej! - powtórzył Connor, spoglądając na długi rząd lśniących mieczy w pracowni mistrza Yina.

- Owszem, ojej. - Płatnerz się uśmiechnął. - Pięćdziesiąt srebrnych mieczy. Zanurzonych w wyciągu z tojadu i głogu. Zabójczych dla wampiratów! - Wyszczrzył zęby. - Uważam, że to jedno z najlepszych moich dzieł.

Na końcu ławy stał stos puszek przypominających pojemniki z lakierem do drewna. Connor podniósł jedną z nich.

- Przed każdą walką musimy smarować klingi tą mieszanką? Mistrz kiwnął głową.

- Tak. Ale wystarczy tylko odrobina na czubek miecza. Nie szalejcie z tym. Jedna kropla powinna być skuteczna. Przygotowałem dla kapitan Li szczegółową instrukcję. Wyciągnął spomiędzy puszek równo zapisaną kartkę i wręczył Connorowi.

- No tak - rzekł trochę zasmucony chłopak. - Chyba już pora, żebyśmy zaczęli się pakować.

- Owszem - zgodził się płatnerz. - Bo Yin pomoże mi włożyć miecze do pojemników, a potem zapakujemy je dla was w skrzynie. - Odwrócił się i zawołał: - Bo Yin!

- Już idę, tatku! Po chwili dziewczyna wbiegła do pokoju. Była zaczerwieniona i trochę zdyszana.

Wciąż ścisnęła w dłoni miecz.

Mistrz Yin spojrział na broń, a potem na córkę.

- Odłóż to, Bo Yin. Potrzebuję twojej pomocy przy pakowaniu mieczy. Connor i Jasmine wracają już na Tygrysa.

- Tak szybko? - Bo Yin wydawała się zrozpaczona.

- Więc po raz kolejny mówimy sobie do widzenia.

- Mistrz Yin wyszedł na nabrzeże, aby pożegnać się z gośćmi. - Panno Peacock, było mi bardzo miło.

- Mnie również, mistrzu Yin - odparła Jasmine.

- Dziękujemy za gościnę.

Złożyła oficjalny ukłon, ale potem nie mogła się powstrzymać i uściśnęła starego płatnerza. Może sprawiał wrażenie zrzędy, zwłaszcza jeśli chodziło o córkę, ale w ciągu tych dziesięciu dni spędzonych w Lantau Jasmine zrozumiała, że to tylko pozory. W głębi serca mistrz Yin był aniołem. Aniołem, który poświęcił życie na wykuwanie śmiercionośnej broni.

- Do zobaczenia. - Connor uściśnął dłoń płatnerza.

- Płyńcie bezpiecznie - rzekł starzec. - Ścigając wampiratów, wkraczacie na nieznaną wodę. Zachowajcie przytomność umysłu i bądźcie pewni, że nie moglibyście służyć pod lepszym kapitanem niż pani Li.

Connor przytaknął.

- Wiem o tym - zapewnił go. Rozejrzał się po brzegu. - A gdzie jest Bo? - zapytał. - Nie pożegnaliśmy się z nią jak należy.

Mistrz Yin pokręcił głową.

- Była bardzo zdenerwowana - wyjaśnił. - Gniewa się na mnie. Uważa, że niszczy jej życie, trzymając ją przy sobie. - Westchnął ciężko. - Może ma rację. Ale wiele lat temu obiecałem to jej drogiej matce i zamierzam dotrzymać obietnicy. W każdym razie jeszcze przez jakiś czas.

- Proszę ją pozdrowić - rzekł Connor. - Sindbada także - dodał.

- Tak. - Jasmine kiwnęła głową. - Proszę jej podziękować za ten przepis na laksę! Mistrz Yin kiwnął głową.

- Tak, tak, tak. A teraz wsiadajcie do łódki przewoźnika. Licznik nabił wam już kilka minut.

- Biedna Bo Yin - powiedziała Jasmine, kiedy przygotowali do rejsu własną łódź. - Myślisz, że ojciec pozwoli jej kiedyś wybrać karierę pirata? Connor wzruszył ramionami.

- Możliwe. Tym razem wydawało się, że trochę mięknie. Ale ona wciąż jest bardzo młoda.

- Tylko dwa lata młodsza od ciebie - przypomniała mu z uśmiechem Jasmine.

- To fakt - zgodził się Connor, wciągając grot-żagiel. - Ale gdyby mój ojciec jeszcze żył, nie byłby chyba zachwycony, że jestem piratem.

Żagiel wydał się, a on przebiegł po pokładzie, aby pomóc Jasmine przy linach.

- To zabawne - powiedziała Jasmine. - Moi rodzice marzyli tylko o jednym: żebym poszła w ich ślady i została piratem. Ty i ja pochodzimy z całkiem innych światów, prawda?

- Możliwe. - Connor dociągnął węzły i znalazł się tak blisko Jasmine, że czuł aromat jej szamponu o zapachu miodu. - Ale czy to naprawdę ważne, skąd kto pochodzi? Najważniejsze jest, dokąd się zmierza.

- Owszem - zgodziła się. Wstała i założyła za ucho jakiś niesforny kosmyk. Nagle poczuła się skrępowana. - Connor, gapisz się na mnie. Co się stało? Mam plamę oleju na nosie? Czy może jeszcze gorzej, jakiegoś pryszczka? Connor uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie, nie - odparł. - Jesteś doskonała. - Wymówił słowa mimowolnie. - Jesteś naprawdę absolutnie doskonała - powtórzył.

Skóra wokół oszałamiająco zielonych oczu Jasmine zmarszczyła się lekko.

- Nikt nie jest doskonały, Connor. Nie bądź głupi.

- Ja nie... - zaczął i wyciągnął rękę, zaskoczony własną zuchwałością.

Odwróciła się, wsunęła na nos okulary przeciwsłoneczne i skrzyżowała ręce na piersi, patrząc na morze. Connor podszedł bliżej i ośmielił się położyć delikatnie dłonie na jej talii. Podskoczyła pod jego dotykiem.

- Co się stało? - zapytał. Usłyszał zduszony szloch.

- Jasmine? Zaraz, czy ty płaczesz?

- Nie! Tak! Zresztą nie wiem! To przecież głupie. Naprawdę nie chcę robić z tego dramatu.

- Z czego? - zapytał, czując dreszcze, gdyż wciąż obejmował ją w talii.

- Z tych uczuć. Z rzeczy, których nie powinnam robić. Ale naprawdę ich pragnę. Connorowi zakręciło się w głowie.

- Jas, o czym ty mówisz? O jakich rzeczach? Jasmine odwróciła się z gracją tancerki, wciąż w jego objęciu. Pochyliła głowę i pocałowała go w usta, opierając dłonie na ramionach chłopaka. Connor przeżył wstrząs. Całkiem możliwe, że była to najbardziej magiczna chwila jego życia.

- Nie powinniśmy pomyśleć o kolacji? - zapytał. Żeglowali już od kilku godzin w całkiem dobrym tempie, popychani sprzyjającym wiatrem. Connorowi ten dzień wydawał się trochę nierzeczywisty. Pierwszy pocałunek Jasmine był tylko początkiem. Potem przyszły następne. Dużo też rozmawiali. Pozornie nie było to niczym nowym. Znali się przecież długo. Ale od tej chwili, od tego pocałunku zaczęli rozmawiać inaczej: mówili o przeszłości, o nadziejach i marzeniach na przyszłość. A także o lękach - dotyczących spotkania z Jacobym i niezwyklej misji, na którą wkrótce mieli wyruszyć.

- Hej, Jas, słyszysz? Jesteś głodna? Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Chyba tak. Która godzina?

Connor miał spojrzeć na zegarek, kiedy jego uwagę zwróciło dziwne stukanie.

Znieruchomiał, nasłuchując.

Jasmine przyglądała mu się zdziwiona.

- Co robisz? - Słyszysz to? - Co takiego? - Znowu się zaczyna... - Rzeczywiście! Co to może być? Connor przeszedł powoli na dziób, starając się odnaleźć źródło dźwięku.

- Pewnie coś na dole się obluźowało - uznała Jasmine. Ale chłopak znów usłyszał stukanie. Bliżej i głośniejsze. Przykucnął nad lukiem, uniósł klapę i nie do końca był zaskoczony, kiedy z dołu wysunął się długi palec. Connor chwycił w ramiona ciepłe kudłate ciało.

- Kogo my tu mamy? - powiedział. - Ahoj, Sindbadzie! Zwierzak Bo Yin wydawał się zachwycony widokiem Connora i tym, że słyszy swoje imię.

- Co się dzieje? - Jasmine przeszła przez pokład i stanęła obok Connora.

Chłopak się odwrócił, trzymając w ramionach dziwnego stwora.

- Wygląda na to, że mamy pasażera na gapę!

- Chyba więcej niż jednego - stwierdziła Jasmine, gdy Bo Yin wysunęła głowę przez luk.

- Sindbadzie! - syknęła. - Jesteś bardzo niegrzeczny! - I kto to mówi - rzekł Connor. - Co ty tu robisz, Bo? - Uciekłam! - oświadczyła, wspinając się na pokład. Stanęła na deskach, opierając ręce na biodrach.

- To akurat sam widzę! - Connor z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie bądź na mnie zły, Connorze Tempeście! - poprosiła Bo, szeroko otwierając oczy. - I proszę, nie oddawajcie mnie z powrotem. Będę dobrym piratem. Sam tak powiedziałeś. Chłopak westchnął. Nie potrafił się gniewać na Bo.

- I nie żartowałem. Ale nie teraz. Jeszcze nie.

- Carpe diem - oświadczyła Bo. - Chwytaj dzień.

- I co my z tobą poczniemy? - spytał Connor. Spojrzał na Jasmine.

- Proszę, nie oddawajcie mnie z powrotem - błagała Bo Yin.

- Nie możemy wracać do Lantau - stwierdziła Jasmine. - Jesteśmy już za daleko. Musimy dołączyć do kapitan Li i oddać jej nową broń.

- Hurra! - zawołała Bo. - I wtedy Bo Yin wstąpi do załogi!

- Zobaczymy, co na to powie kapitan Li - ostudził ją Connor.

- Jest przyjaciółką rodziny. - Bo uśmiechnęła się promiennie. - Nie ma strachu!

Connor też musiał się uśmiechnąć, widząc jej entuzjazm i determinację.

Cheng Li popatrzyła na Bo Yin, a potem przemówiła z zaskakującą delikatnością.

- Nie powinnaś działać tak pochopnie. Twój ojciec będzie się o ciebie martwił. Wiem, jak bardzo ci zależy, by zostać piratem, ale nie powinnaś niczego robić, nie pomówiwszy najpierw z nim i ze mną.

- Kiedy ktoś wie, czego chce od życia - odparła Bo Yin - powinien walczyć. Proszę pomyśleć, kapitan Li. Gdyby dawno temu ktoś pani powiedział, że nie może pani być piratem, czy posłuchałaby pani?

- Nie - zgodziła się Cheng Li. - Ale to co innego. - Wskazała portret wiszący nad biurkiem. - Mój ojciec był piratem.

Bo Yin pokręciła głową.

- Nie to powinna pani powiedzieć. - Nie? A co takiego? - Cheng Li uniosła brew. Bo uśmiechnęła się i podeszła bliżej.

- Że była pani kiedyś taka jak ja. Cheng Li zaśmiała się, a był to najserdeczniejszy śmiech, jaki Connor u niej słyszał.

- Tak sądzisz? No cóż, Bo, chyba masz rację. Jesteś do mnie podobna. Chociaż bardziej zuchwała.

Bo nie ustąpiła.

- Teraz proszę powiedzieć, że pozwoli mi pani spróbować, a jeśli okażę się godna, porozmawia pani z ojcem i przekonam go, że ta zmiana wyjdzie wszystkim na dobre. Cheng Li uśmiechnęła się szeroko.

- Wszystko już przemyślałaś, prawda? Dziewczyna kiwnęła głową.

- Tak, pani kapitan. W Lantau miałam dużo czasu na myślenie. Cheng Li zastanowiła się nad sytuacją, a potem podjęła decyzję.

- Bo Yin, w normalnych okolicznościach pozwoliłabym, aby twoja zuchwałość i entuzjizm przeważały szalę. Ale widzisz, mój statek nie jest zwykłym statkiem...

- Nie - zgodziła się Bo. - Tygrys to najlepszy piracki statek. Najlepszy ze wszystkich...

- Nie, moja droga, nie o to mi chodziło. Mamy specjalne zadanie. Bardzo niebezpieczne zadanie. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś ci się stało. Ale nawet teraz Bo była nieugięta.

- Będziecie walczyć z wampirami - powiedziała. - Wiem. Dlatego Connor Tempest i Jasmine Peacock przybyli po nowe miecze. - Urwała na chwilę, po czym dodała: - Mogę pomóc.

Cheng Li pokręciła głową.

- Bo, przykro mi, że cię rozczaruję, ale nie masz nawet pojęcia, co będzie nam groziło. - Bo Yin się nie boi. Bo Yin może pomóc. Cheng Li starała się zachować cierpliwość.

- A jak właściwie zamierzasz nam pomóc? Bo naturalnie miała gotową odpowiedź.

- Ojciec Bo Yin jest mistrzem broni, tak? A Bo nie siedziała przecież z założonymi rękami, niczego się nie ucząc. - Wyjęła z kieszeni kartkę papieru.

- To przepis na truciznę, w której trzeba zanurzyć srebrne miecze. Kiedy wam się skończy, mogę przygotować więcej. Bo Yin dobrze się zna na przepisach.

Cheng Li poczuła, że brakuje jej argumentów. Może jednak coś z tego wyjdzie... Oczywiście, Bo musi się trzymać z daleka od walk. To jasne. Ale czy poza tym grozi jej jakieś realne niebezpieczeństwo? Można oczywiście poddać ją jakiejś próbie, a po zakończeniu sprawy z lady Lockwood porozmawiać z mistrzem Yinem i znów się zastanowić.

- No dobrze. Jesteś przyjęta... na razie! Jeżeli okażesz się przynajmniej w połowie tak dobrym piratem, jak negocjatorem, czeka cię świetlana przyszłość.

- Dziękuję, kapitan Li. - Bo zasalutowała. - Jestem zaszczycona. Nagle za jej plecami nastąpiło małe zamieszanie i kudłata kula przemknęła pod nogami dziewczyny. Connor patrzył z niedowierzaniem, jak Sindbad powtarza gest swojej pani, podnosząc dziwną dłoń i salutując pani kapitan.

- Co to takiego? - spytała Cheng Li.

- To jest aj-aj, kapitanie - wyjaśnił Connor.

- Bardzo zabawne, Connor. Widzę, że ten krótki wyjazd do Lantau wyostrzył ci poczucie humoru.

- Ale to prawda, on się tak nazywa. Prawda, Bo? Bo Yin kiwnęła głową, biorąc Sindbada na rękę.

- To mój zwierzak, pani Li. Sindbadzie, przywitaj się z panią kapitan. Sindbad wyciągnął pomarszczoną rękę w stronę Cheng Li.

- Przykro mi, Bo. Ty możesz zostać, ale Tygrys to strefa bez zwierząt. Dowodzę statkiem pirackim, nie arką Noego.

Bo Yin zmarszczyła brwi i postawiła Sindbada na pokładzie.

- Sprawa wygląda tak... - zaczęła. Connor wyczuł, że zaczyna się kolejna długa runda negocjacji.

Rozdział 41

Zmiany

- Przepraszam - powtórzył Connor. Wraz z Cheng Li maszerował korytarzem. - Musisz mi uwierzyć. Nie miałem pojęcia, że zrobi coś podobnego. Zawrócilibyśmy, gdybyśmy znaleźli ją wcześniej.

- Nie ma sprawy - odparła Cheng Li z zaskakującą obojętnością. - Nie sądzę, by ktokolwiek mógł ją powstrzymać. To była tylko kwestia czasu. Bo Yin jest bardzo ambitną panią.

- Więc pozwolisz jej zostać?

- Na razie. Ale będziemy ją trzymać z daleka od wszelkich sytuacji bojowych. I musisz mi w tym pomóc.

- Oczywiście - zgodził się Connor.

- Dobrze. Gdzie nowa broń?

- Czeka na ciebie w zbrojowni.

- Doskonale. Chodźmy ją obejrzeć.

Cheng Li ruszyła przed siebie. Connor jak zwykle musiał podbiegać, żeby dotrzymać jej kroku.

- Doskonały - oświadczyła, podnosząc jeden ze srebrnych mieczy. Doskonały... To słowo przeniosło Connora na pokład małej żaglówki... Jasmine stojąca w promieniach słońca... Jej opalone ramiona, włosy pachnące miodem... Tuż przed tą cudowną chwilą, kiedy odwróciła się i...

- Connor! - Wołanie Cheng Li ściągnęło go znowu do zbrojowni. - Nie słyszałeś mnie?

- Przepraszam, trochę się zamyśliłem.

- Mamy wyruszyć na bardzo niebezpieczną i jedyną w swoim rodzaju misję. Nie możemy się zamyślać. Nawet na moment.

- Tak jest, kapitanie!

„To szaleństwo” - powiedział sobie w duchu Connor. Miał uczestniczyć w najniebezpieczniejszej wyprawie wszech czasów, a potrafił się skupić tylko na tym, co czuł, kiedy całowała go Jasmine Peacock, najpiękniejsza dziewczyna z Akademii Piractwa. Gdzie jest teraz? Z Jacobym? Czy już mu powiedziała?

Serce Connora biło mocno.

Cheng Li przyjrzała mu się z powagą.

- Pod nieobecność twoją i Jasmine w naszych planach zaszły istotne zmiany. - Zmiany? - zdziwił się Connor. Informacja skłoniła go, by wrócić myślami do chwili obecnej. Kiwnęła głową.

- Idziemy na ślub.

- Na ślub? W środku misji? - Connor nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Ten ślub to właśnie misja - odparła z uśmiechem Cheng Li. - Chyba nawet wampiraci miewają romantyczne odruchy. Sidorio ma zamiar ożenić się z inną kapitan wampiratów, lady Lolą Lockwood.

Wyjęła z kieszeni kartonik i pomachała mu przed nosem.

- Jak to możliwe, że dostałaś zaproszenie? Oczy Cheng Li błysnęły.

- Słyszałeś o teorii sześciu kroków? Powiedzmy, że mam bardzo dobre kontakty... W to Connor nie wątpił.

- Czyli pójdziemy na ten ślub... - Urwał, nagle pojmując, o co chodzi. - I tam, na miejscu, zlikwidujemy Sidoria?

- Ciepło, Connor, ale nie gorąco - Schowała zaproszenie. - Zmienił się obiekt ataku. Odkryłam, że to jednak nie Sidorio zabił komandora Kuo. Zamordowała go w okrutny sposób lady Lola Lockwood. Pamiętasz kartę, którą trzymał John, kiedy widzieliśmy go po raz ostatni?

Connor znowu poczuł chłód w żyłach, kiedy przypomniał sobie przerażający obraz. Ciało komandora Kuo, pozbawione krwi, z dziwaczną kartą w stężałych palcach.

- To był kier, ale czarny - powiedział. Cheng Li przytaknęła.

- Czyli wizytówka tej kobiety. Nazywają ją nawet Czarnym Sercem. Dlatego właśnie nasza misja otrzymała kryptonim Czarne Serce. - Spojrzała na Connora. - Chociaż nadal wolę o niej myśleć jako o operacji Prezent Ślubny.

Connorowi kręciło się w głowie, kiedy usiłował przetrwać wszystkie nowe informacje.

- Chodźmy już - zaproponowała Cheng Li, nagle cieplejszym tonem. - Widzę, że jesteś zmęczony po podróży. Idziemy na kolację. Będziesz miał okazję pogadać z kolegami. Chłopak nie należał do tych, którzy odmawiają jedzenia, ruszył więc za Cheng Li do mesy - albo stołówki, jak mawiała pani kapitan. Nie było tam kapitańskiego stołu - Cheng Li wołała jeść razem z załogą, by podtrzymywać kontakty zarówno ze zwykłymi marynarzami, jak i oficerami.

- Chodź za mną - rzuciła Cheng, zмирzając do stolika na środku. Siedzieli tam już Jasmine i Jacoby. Śmiali się, a Jacoby obejmował ramiona dziewczyny. A więc jeszcze mu nie powiedziała. Uniosła głowę i uśmiechnęła się, ale była w niej jakaś powściągliwość... Connor poczuł się zagubiony i przybity.

- Witaj w domu! - zawołał Jacoby. Podskoczył i przywitał się ich tajnym uściskiem dłoni.
- Słyszałem, że dostarczyłeś nam najnowocześniejszą broń. Connor pokiwał głową.

- I jeszcze coś - dodał Jacoby. - Dzięki, że przywiozłeś Min bezpiecznie. Zamartwiałbym się na śmierć, gdyby popłynęła z kimkolwiek innym.

Connor uśmiechnął się z przymusem. Ale kiedy się odwrócił, zobaczył coś, co jego sztuczny uśmiech zmieniło w promienny. Po drugiej stronie stołu zauważył dwie znajome twarze, choć całkiem tu nie na miejscu. Barta i Cate.

- O rany! - wykrzyknął, biegnąc w ich stronę.

- Skąd się tutaj wzięliście?

- Słyszeliśmy, że potrzebujecie porządnego wsparcia - odparł Bart, ściskając starego przyjaciela. - Dobrze cię znowu widzieć, brachu.

- Ciebie też! - Connor był bliski łez.

- Zostaliśmy czasowo wypożyczeni - wyjaśniła Cate. - Specjalna zgoda na tę misję. Ahab Black porozmawiał z Barbarrem Wrathe'em, a on namówił Molucca... No, w każdym razie jesteście.

- Tak się cieszę, że znowu was widzę! - zawołał Connor. - Jestem tylko zdziwiony, że nie przysłali Promyka...

Ale gdy tylko wymówił to imię, od strony bufetu usłyszał wołanie:

- Co to za nisko węglowodanowe śmieci? Żądam pizzy! Connor się odwrócił. W tej samej chwili Promyk podniósł głowę. Widząc Connora, wsadził dwa palce do ust.

- Już wcześniej miałem mdłości! - krzyknął. - Ale teraz chyba naprawdę się porzygam!

- Nie po raz pierwszy - odpowiedział Connor.

Promyk zwymiotował na niego - dwa razy! – podczas rejsu po silnie wzburzonym morzu na pokładzie Tajfunu.

Młody Wrathe głośno odłożył tacę i wyszedł, tupiąc gniewnie. Connor zwrócił się do Cate.

- Ja tylko żartowałem. Promyk? Kto wpadł na ten pomysł? Cate pochyliła się do niego.

- To polityka, Connor. Czysta polityka. Kiedy Barbarro przekonał Molucca, uparł się, żebyśmy zabrali Promyka. Uważa chyba, że to zbuduje mu charakter.

- Zbuduje charakter?! - wykrzyknął Connor. - A może Barbarro w skrytości ducha liczy, że wampiraci wszystkim nam wyświadczą przysługę i go wykończą?

Bart parsknął śmiechem. Cate uśmiechnęła się lekko, ale pokręciła głową.

- Jak dotąd, strategia względem Promyka pozostaje prosta: trzymać go możliwie daleko od akcji.

- Jasne - zgodził się Connor. - Ale proszę, nawet nie myśl o tym, żeby znów umieścić nas w jednym zespole.

- Bez obaw. Obiecuję, że to się nie powtórzy. Bart położył dłoń na ramieniu chłopca.

- Nie marnujmy czasu na gadanie o tym palancie. Łap jakieś żarełko, brachu, i opowiadaj o swoich przygodach. Tęskniliśmy za tobą jak wariaci. Prawda, Cate? Connor zauważył, że drugą ręką Bart obejmuje dziewczynę. A ona nie protestowała. Uśmiechała się z zadowoleniem. Connor także się uśmiechnął.

- Wygląda na to, że wy dwoje też macie o czym opowiadać - stwierdził.

- Idź po jedzenie - rzekła Cate, starając się mówić surowo, choć bez przekonania. Ku zdziwieniu i radości Connora, odwróciła głowę i pocałowała Barta poniżej ucha.

- Ostrożnie - zaśmiał się chłopiec. - Żeby tylko Cheng Li nie zauważyła! To jednostka piracka, a nie statek miłości.

W drodze do bufetu Connor minął Jacoby'ego i Jasmine, którzy skończyli jeść i szli już do wyjścia.

- Na razie, Connor! - zawołał Jacoby. - Min i ja mamy sporo do nadrobienia, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Mrugnął do Connora, potem szturchnął go pięścią w ramię i poszedł dalej, pożartować z kolegami przy następnym stoliku.

Connora zaczynała boleć głowa. Jasmine zatrzymała się na moment, wyciągnęła rękę i dotknęła jego nadgarstka. Było to tylko muśnięcie, ale i tak przeszył go dreszcz.

- Nie gniewaj się, Connor - powiedziała. - Nie mogłam tak od razu po naszym powrocie. Ale nic się nie zmieniło. Powiem mu. Wszystko, co sobie mówiliśmy w drodze z Lantau, pozostaje prawdą. Chcę tego tak samo jak ty. Connor uśmiechnął się i odetchnął głęboko.

- Dzięki, Jas. To naprawdę ulga.

- Dobrze. - Cofnęła rękę. - Muszę już iść. Ale wrócę i znajdę cię później, obiecuję.

- Jasne.

I znowu w świetnym nastroju chwycił tacę z jedzeniem.

Następnego dnia Cheng Li patrzyła z górnego pokładu Tygrysa, jak pięćdziesięciu członków załogi wybranych do operacji Prezent Ślubny trenuje pod okiem Cate. Przesuwała wzrok od Jacoby'ego do Jasmine, od Connora przez Barta do Bo Yin - zaskakująco dobrze radzącej sobie ze szpadą. Jeśli można było wierzyć pierwszemu wrażeniu, w osobie małej Bo zyskała utalentowanego przyszłego pirata.

Cheng Li uśmiechnęła się do siebie. Wszystko szło gładko - zarówno rzeczy zaplanowane, jak i niespodziewane. Pomyślała o czymś, co powiedział jej kiedyś Chang Ko Li. Odważnym szczęście sprzyja. Miała nadzieję, że słowa ojca się sprawdzą.

Rozdział 42

Zakłęcie

Grace wpadła do kajuty kapitana. Wciąż czuła się tam niepewnie pod jego nieobecność. Gdzie jest teraz? Czy wróci jeszcze na statek - do załogi, która kochała go i tęskniła za nim, której był potrzebny? Ale choć bardzo jej zależało na odpowiedziach, inne pytanie wydawało się o wiele ważniejsze.

- Grace...

Mosh Zu odwrócił się od koła sterowego. Najwyraźniej nie był zaskoczony ani zaniepokojony jej nagłym przybyciem.

Zauważyła, że jest tu również Lorcan - stoi przy kominku i wpatruje się w płomienie. Spojrzał na nią, ale bez uśmiechu. Wydawał się zdenerwowany.

Grace spoglądała to na jednego, to na drugiego, rozważając, jak najlepiej sformułować pytanie. W końcu jednak postanowiła nie owijać w bawełnę.

- Który z wampiratów był moim ojcem?! - wyrzuciła z siebie. - Muszę to wiedzieć! Teraz!

Odpowiedziało jej milczenie. Lorcan patrzył na mistrza, jakby szukał u niego wskazówek. Mosh Zu zastanawiał się przez chwilę, po czym wreszcie porzucił koło sterowe i wszedł w głąb kajuty.

- No dobrze - powiedział w końcu. - Tak. Myślę, że już czas. Grace poczuła, że serce zaczyna bić jej szybciej. Nareszcie zdobędzie jakieś odpowiedzi.

Mosh Zu usiadł przy stole kapitańskim i gestem przywołał ich oboje. Potem zwrócił się do Grace.

- Chcę, żebyś wiedziała: nikt nie próbował niczego przed tobą zataić. Było dla mnie rzeczą oczywistą, że sama zmierzasz ku ważnym odkryciom. Nie widziałem potrzeby, by cię ponaglać. Szłaś we własnym tempie.

- Myślisz o moich wizjach?

- Tak, o wizjach wywołanych kontaktem z Sally.

Grace pokiwała głową.

- Już się skończyły... - powiedziała. - Odkąd mama... To znaczy, odkąd zostawiliśmy ją w latarni. Nie wiem, jak mam do nich wrócić.

- Jak wiesz, Grace, twojej matce trudno było rozmawiać. Rozpaczliwie chciała opowiedzieć ci swoją historię... twoją historię. Jestem pewien, że tylko z tego powodu została z nami tak długo. I chociaż jej głos brzmiał słabo, znalazła inny sposób, by ci coś przekazać. Grace szeroko otworzyła oczy.

- Chcesz powiedzieć, że mama świadomie wywoływała te wizje? Mosh Zu zastanowił się. Pokręcił głową.

- Świadomie nie - stwierdził. - Nie, nie przypuszczam. Ale podświadomość jest bardzo potężna.

- Urwał na chwilę. - Pamiętasz, jak podziały na ciebie wstążki w Sanktuarium, kiedy sięgnęłaś do zamkniętej w nich energii i uzyskałaś dostęp do cudzych wspomnień?

- To znaczy - szepnęła Grace - że potem osiągałam to samo, zwyczajnie trzymając mamę za rękę?

- Tak - potwierdził Mosh Zu. - Oczywiście twój związek z matką był o wiele silniejszy.

- Ale teraz ona odeszła - zasmuciła się Grace.

- Nie poznam dalszego ciągu.

Mosh Zu uśmiechnął się ciepło.

- Ale, jak mówi piękne przysłowie, co ma wisieć, nie utonie. - Oczy mu błyszczały. - Powiedz, jak daleko dotarłaś w swoich wizjach i rozmowach z Sally. Grace ledwie mogła usiedzieć.

- Opowiedziała mi, jak tata... to znaczy Dexter... trafił na Nokturn jako kuchcik i jak się pokochali. Zrozumiała, że popełniła błąd, rezygnując ze świata. Poszła do kapitana i poprosiła, żeby zwolnił ją z funkcji i zobowiązań donora Sidorii. Mosh Zu pokiwał głową. Grace odetchnęła głęboko.

- Powiedziała, że kapitan przystał na jej prośbę.

- Nie była to dla niego łatwa decyzja - oznajmił Mosh Zu. - Ale rozumiał jej sytuację i to, że prawdziwym przeznaczeniem Sally było życie poza statkiem.

- I dlatego - podjęła Grace - powiedział jej, że musi poczekać, aż znajdzie się nowy donor dla Sidorio.

Gdyby to nastąpiło, mogłaby odejść, żeby rozpocząć życie z Dexterem. - Westchnęła. - I na tym zakończyła opowieść... tego dnia, który spędziłyśmy w Zatoce Księżycowej. Ostatniego, cudownego dnia...

- Zatem - rzekł Mosh Zu - zaczniemy w tym miejscu. - Skinął na Lorcan. - Może zechcesz...

Grace popatrzyła na Lorcan, swojego pierwszego prawdziwego przyjaciela. Z czasem zaczął tak wiele dla niej znaczyć, że prawdę, niezależnie od tego, jak była trudna, chciała usłyszeć właśnie od niego.

- Sidorio dowiedział się o wizycie Sally u kapitana - powiedział Lorcan. - O tym, że chciała odejść z Dexterem. - Z ponurą miną pokręcił głową. - I aż się zagotował ze złości.

- Bo tracił donora? - spytała Grace. - Przecież widział w niej tylko, jak to nazywa Oskar, Ruchomą Rezerwę Krwi. Dlaczego miałby się przejść?

- Masz rację - przyznał Lorcan. - Przynajmniej tak nam się wszystkim wydawało. Ale najwyraźniej żywił do twojej matki głębsze uczucia. Nie mógł znieść myśli o jej podwójnej zdradzie. Tego, że związała się z Dexterem, i tego, że postanowiła odejść. Grace nie wierzyła własnym uszom.

- Sidorio żywił jakieś uczucia wobec mojej matki? Lorcan przytaknął.

- Bardzo silne uczucia, Grace. Sidorio kochał twoją matkę. Ale była to miłość nieodwzajemniona.

Wiele musiała zrozumieć i z wieloma rzeczami się pogodzić. Słuchała uważnie każdego słowa Lorcana.

- Sally powiedziała mu, że nie powstrzyma jej przed opuszczeniem statku. Odparł, że może i nie... ale postara się, żeby nigdy go nie zapomniała.

Grace zadrżała. Ogarnęło ją ponure przecucie, jednak musiała wytrwać. Odezwał się Mosh Zu.

- Miłość i nienawiść nie są przeciwieństwami. Są tylko dwoma biegunami bardzo intensywnego uczucia. To, co zrobił Sidorio, może ci się wydawać potworne, wszystkim nam się wydaje...

Przerwał.

- Co zrobił? - spytała Grace. - Na pewno chcesz wiedzieć? - odpowiedział pytaniem Mosh Zu. - Tu nie chodzi o to, czy chcę - oświadczyła Grace. - Muszę. - Chcesz, żebym ci pokazał? Pokazał? Co miał na myśli?

Mosh Zu wstał od stołu i podszedł do kominka. Skinął na Grace, by do niego dołączyła. Posłuchała, zdziwiona. Lorcan, który siedział tyłem do ognia, odwrócił się z krzesłem i założył ręce na oparciu.

- Patrz w płomienie - powiedział Mosh Zu, kładąc dłoń na ramieniu dziewczyny. Wpatrzyła się w ogień.

- A teraz słuchaj płomieni. Słuchać płomieni? Dziwne polecenie. Ale Grace wykonała je, wsłuchała się w syk i trzask ognia. I nagle szelest płomieni nabrał mocy, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. W pewnym sensie uspokajał, jak plusk fontanny w ogrodach Sanktuarium. Był coraz głośniejszy, aż nagle usłyszała w nim głosy. Drgnęła zaskoczona.

- Zostań przy nich, Grace. Wsłuchuj się w nie - powiedział Mosh Zu. Tak zrobiła. Dobięły ją rozmowy i muzyka - rytmiczna i jakby znajoma.

- A teraz... Teraz spójrz poza płomienie. Grace posłuchała. I nagle odniosła wrażenie, że w palenisku otworzyło się okno - zobaczyła wampiratów i donorów w noc Uczty. Wydawali się tak blisko, że prawie mogła ich dotknąć. Ale gdzie jest Sally? Kiedy tylko zadała sobie to pytanie, wizja ukazała jej matkę siedzącą przy długim stole. Grace wstrzymała oddech. Tym razem nie oglądała sceny oczami Sally, więc mogła obserwować jej twarz, pełną nadziei. Matka wiedziała, że wkrótce opuści statek, że niedługo rozpocznie nowe życie - i założy rodzinę - z Dexterem. Jej zielone oczy błyszczały. Była ładniejsza niż kiedykolwiek.

Nagle Sally spuściła głowę. Dlaczego? Obraz się przesunął i Grace zobaczyła, że na salę wchodzi Sidorio. Bardzo wyróżniał się w tłumie, nawet wśród innych wampiratów. Podszedł do stołu i zajął miejsce naprzeciwko. Matka uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego, a on skinął jej chłodno. Kiedyś Grace pomyślałaby, że Sidorio rzeczywiście traktuje ją tylko jako zapas krwi. Teraz jednak słyszała w myślach słowa Lorcana: „Sidorio kochał twoją matkę. Ale była to miłość nieodwzajemniona”. Tak, teraz wiedziała, że to prawda! Twarz Sidorio przypominała maskę, lecz nie była twarzą człowieka pozbawionego uczuć. Raczej kogoś, kto rozpaczliwie próbuje ukryć szalejące emocje.

Grace patrzyła, jak rozpoczyna się Uczta. Słyszała nawet rozmowy prowadzone wokół Sally i Sidorio. Oni sami jednak prawie się nie odzywali.

- Jesteś gotowa, by zrobić krok dalej? - zapytał Mosh Zu.

- Tak - potwierdziła Grace, nie odwracając wzroku.

Ujrzała Sidorio i Sally idących ramię w ramię do kajuty matki. Czy będzie świadkiem dzielenia się? Ale Grace została na zewnątrz, przed zamkniętymi drzwiami.

- Patrz dalej - odezwał się cicho Mosh Zu. - Nie oglądasz tych zdarzeń w czasie rzeczywistym.

Grace nie odrywała wzroku od drzwi. Otworzyły się nagle i stanął w nich Sidorio. Serce zabiło jej jak szalone. Gdzie jest Sally? Co on jej zrobił?

Wampirat rozglądał się na boki. Z początku Grace myślała, że jest zdenerwowany, ale po chwili zrozumiała, że czeka na kogoś. Ale na kogo? Usłyszała jego wołanie.

- Tutaj! Wejź! Szybciej! Pojawiła się nowa postać: kobieta w długiej czarnej pelerynie, z torbą w ręku.

Sidorio otworzył drzwi i wciągnął kobietę do kajuty. Drzwi zamknęły się znowu, ale tym razem Grace była w środku. Znow musiała wstrzymać oddech - na koi leżała jej śpiąca matka. Wydawała się całkiem spokojna.

Kobieta w czerni westchnęła.

- Prawdziwa śpiąca królewna - stwierdziła, stawiając torbę na podłodze. - Bierz się do roboty, czarownico! - warknął Sidorio. - Nie mamy czasu! - Nie jestem czarownicą - oburzyła się kobieta, zrzucając pelerynę. - Jestem kapłanką! Grace westchnęła cicho. Czowała się, jakby pędziła pociągiem bez maszynisty. Jakaś jej część chciała przerwać wizję, ale wiedziała, że musi wytrzymać do końca.

Czarownica? Kapłanka? Wszystko jedno... Kobieta uklękła i otworzyła torbę. Wyjęła jakąś szkatułkę i z wielką ostrożnością ustawiła na podłodze. Sidorio krążył wokół niej, podniecony i zniecierpliwiony. Tymczasem Sally spała z łagodnym uśmiechem na twarzy. Grace wyobrażała sobie, że matka śni o nowym życiu, które ją czeka, tak bliskim, że czuła niemal jego smak - wyraźny niczym sól w morskim powietrzu.

Nie była zdziwiona, że wiedźma postawiła na podłodze czarne świece i rozsypała wokół nich maleńkie błyszczące krążki. Już to wcześniej widziała. Usłyszała pytanie Sidorio:

- Co to takiego?

- Rybie łuski - odparła kobieta. - Ofiara dla moich głodnych bogów.

Pomarszczonymi palcami chwyciła dłoń Sally i zaczęła śpiewać. Słowa były niezrozumiałe - dziwaczne, gardłowe, przeraźliwe. Dźwięki przechodziły od głębokich tonów do zgrzytliwych pisków. Wyczuwało się w tej muzyce zło. Bała się o matkę, ale Sally leżała pogrążona we śnie, spokojna i nieświadoma.

- Zaczynamy - oznajmiła kapłanka. Odwróciła się do Sidorio i wyciągnęła rękę. - Najpierw podaj mi skakuny.

Sidorio sięgnął do szkatułki i wyjął dwa pająki spacerujące po liściu. Kapłanka wzięła je i upuściła na zamknięte powieki Sally - najpierw na prawą, potem na lewą. Śpiewając, trzema palcami uderzyła Sally w dłoń.

- Pajęcze oko - oznajmiła. - Dla ostrego widzenia poprzez mgłę i mrok. Po chwili znowu wyciągnęła rękę.

- Fiolka!

Sidorio znów sięgnął do szkatułki i wyjął małą szklaną buteleczkę. Kobieta wzięła ją, odszpuntowała i przechyliła nad bladymi wargami Sally - nadal śpiewając i uderzając w dłoń śpiącej jak w bęben.

- Górskie powietrze - powiedziała. - Dla niesłabnącej wytrzymałości. Obejrzała się do Sidorio i przez ramię rzuciła mu szczerbaty uśmiech.

- Teraz koral!

Sidorio podał jej wyjętą ze szkatułki gałązkę czerwonego koralu. Kobieta wsunęła ją - niczym kwiat w dłoń Sally.

- Czerwony koral. Dla szczęścia sprzyjającego do końca dni. - Czy to działa? - Sidorio pochylił się nad Sally. - Przestań, głupcze! - Kobieta odepchnęła go gniewnie. - Nie przerywaj mojej rozmowy z bogami! Daj mi gałązkę neelakuńni.

Sidorio ponownie zajrzał do szkatułki i ostrożnie wyjął obsypaną fioletowymi kwiatami gałązkę. Kapłanka wyrwała mu ją i położyła na czole Sally.

- Niespotykana neelakuńni, która kwitnie tylko raz na dwanaście lat. Dla niespotykanej mądrości.

Znowu zaśpiewała i uderzyła dłoń Sally. Matka chyba wciąż spała. Leżała nieruchomo.

W szkatułce pozostał tylko jeden przedmiot. Kobieta zwróciła się do Sidorio.

- Poczerniałe serce orła morskiego - rozkazała.

Sidorio podał jej zwęglony przedmiot. Wyglądał dość obrzydliwie, ale kapłanka uśmiechnęła się, uniosła go do ust i pocałowała. Śpiewając, umieściła pocerniałe serce na piersi Sally.

- Serce orła morskiego. Dla siły, która nie pozwala cofnąć się w walce - obwieściła. - A teraz - zwróciła się do Sidorio - podaj swoją rękę.

Wyciągnął z wahaniem dłonie. Kapłanka chwyciła ją i przyciągnęła do ręki Sally. Potem znów zaśpiewała, a jej głos wzmagił się, coraz głośniejszy i coraz brzydszy.

- Trzymaj jej rękę - rozkazała kapłanka. - Trzymaj teraz jej rękę, a nic was nie rozdzieli.

Grace drżała, patrząc, jak mocno Sidorio ściska dłonie jej matki. Sally nawet nie drgnęła. Po chwili kapłanka chwyciła go za ramię.

- Dokonało się - powiedziała. - Pytałam bogów, a oni udzielili odpowiedzi. O co chodziło? Grace domyślała się, ale nie miała pewności.

Wizja rozwiewała się szybko, jakby pochłaniana przez żarłoczne płomienie.

- Jaki czar rzuciła ta kapłanka? - zapytała mistrza Grace.

- Odpowiedź jest w tobie - odparł.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. W takiej chwili nie powinien mówić zagadkami. Przypomniała sobie, że Sidorio szukał sposobu, by Sally nigdy o nim nie zapomniała. Kapłanka mówiła, że Sally i Sidorio już nic nie rozdzieli. I nagle wszystko stało się jasne. Poczuli, że ogarnia ją chłód.

- To było zaklęcie przynoszące dziecko - oznajmiła, czekając z nadzieją, że Mosh Zu zaprzeczy. Mistrz milczał. Grace zadrżała, ale mówiła dalej. - Sidorio jest moim ojcem! Prawda? Rzucił czar na moją matkę... a potem urodziliśmy się my - ja i Connor. Nie mogła uwierzyć, że wypowiada te słowa, choć w głębi serca wiedziała, że są prawdziwe.

Wciąż się łudziła, że Mosh Zu i Lorcan zaprotestują, powiedzą, że to było całkiem inne zaklęcie. Ale oni milczeli.

W końcu Mosh Zu ujął ją za rękę.

- Tak, Grace. Masz rację. Sidorio jest twoim ojcem.

Rozdział 43

Ojcostwo

Choć sama się domyśliła, potwierdzenie z ust mistrza było prawdziwym wstrząsem. To przecież najgorsze, co mogło się zdarzyć. Sidorio - Sidorio! - był jej ojcem. Lorcan objął ją ramieniem.

- Tak mi przykro, Grace - powiedział. - Wiem, że nie to byś sobie wybrała...

- Sidorio... - wykrztusiła z wysiłkiem. Głos miała słaby, a ciało odrętwiałe.

- Chodź i usiądź - poprosił Mosh Zu. - Wiem, że to dla ciebie szok.

Lorcan przysunął jej krzesło. Usiadła i westchnęła, ale pokręciła głową.

- Myślę, że zawsze miałam podejrzenia... - rzekła.

- To było coś, czego najbardziej się bałam. A teraz, kiedy już wiem, część lęku znikła.

Mosh Zu pokiwał głową.

- Miałem nadzieję, że właśnie tak na to spojrzysz. Trzeba czasu, by jakoś zaakceptować oba fakty: że Sidorio jest twoim ojcem i że ty sama jesteśampirem. Ale nie wątpię, że poradzisz sobie z jednym i drugim.

- Tak - zgodziła się Grace. - Prawdę mówiąc, nie tego bałam się najbardziej...

Mosh Zu uniósł brew.

Dziewczyna wyciągnęła rękę do Lorcana.

- Byłoby o wiele, wiele gorzej, gdybym odkryła, że to Lorcan jest moim ojcem. Chłopak uśmiechnął się i ścisnął jej dłoń. Grace miała łzy w oczach, ale wytarła je szybko.

- Tak czy inaczej, nigdy nie przestanę myśleć o Dexterze jako o moim tacie.

- I nie powinnaś. - Mosh Zu posłał jej uśmiech.

- Chcę, byś teraz skupiła się na tym, że jesteś osobą o niezwykłych mocach. Czy pamiętasz szczegóły zaklęcia, jakie rzuciła czarownica? Przytaknęła, wciąż trochę oszołomiona.

- Mówiła o cechach, jakie posiadacie ty i Connor - tłumaczył Mosh Zu. - Niezawodny wzrok. Niesłabnąca wytrzymałość. Sprzyjające szczęście. Niespotykana mądrość. I może to, co

najważniejsze: siła niepozwalająca cofnąć się w walce. Oboje zostaliście obdarzeni tymi przymiotami. I wydaje mi się, że niektóre już zaobserwowałem.

- Może chcesz zostać teraz sama? - zapytał Lorcan. Grace zastanawiała się przez chwilę.

- Może... Ale najpierw chciałabym, żebyś dokończył opowieść. Co się stało, kiedy rzucono zaklęcie?

Lorcan znów ścisnął jej rękę.

- Na pewno chcesz tego wysłuchać od razu? Kiwnęła głową. Była zdeterminowana.

- Najlepiej poznać całą prawdę. Wtedy będę mogła pójść dalej. Lorcan przyglądał się jej z troską. Spojrzał na mistrza, który przyzwalająco skinął głową.

- No dobrze, a więc taki był dalszy ciąg tej historii. - Lorcan oparł dłonie na blacie przed sobą.

- Kiedy twoja matka się obudziła, jak zawsze samotnie, nie wiedziała o wizycie czarownicy ani nie miała świadomości, co zaszło. Życie płynęło dalej. Dla Sally i Dextera zbliżał się czas opuszczenia Nokturnu. Kapitan znalazł nowego donora dla Sidorii. Wkrótce jednak twoja matka zauważyła, że coś się dzieje. Uświadomiła sobie, że jest w ciąży. To ją wystraszyło i znowu przysła do kapitana. Grace zmarszczyła czoło.

- Nie pomyślała, że może Dexter jest ojcem? Mosh Zu pokręcił głową.

- Nie. Nie miała pojęcia, kto mógł być ojcem dziecka. Ale potem przypomniała sobie słowa Sidorii... że znajdzie sposób, by nigdy o nim nie zapomniała. I to ją przeraziło. Mosh Zu wstał. Zaczął przechadzać się po kajucie.

- Kapitan poprosił, żebym odwiedził Sally na pokładzie. Tak uczyniłem. Stwierdziłem, że nosi w sobie nie jedno dziecko, lecz dwoje. Wyjaśniłem jej, że skoro dzieci mają śmiertelną matkę i ojca wampirata, będą dampirami, potężnymi istotami, posiadającymi cechy równocześnie wampirów i ludzi. - Mosh Zu uśmiechnął się do Grace. - Już wtedy wiedzieliśmy, że będziesz kimś wyjątkowym. Obiecaliśmy, że zaopiekujemy się Sally i jej dziećmi, czy to na statku, czy w Sanktuarium. Ale Sally nie chciała opieki. Pragnęła odejść z Dexterem. Powrócić do świata śmiertelnych.

- A co z Dexterem? - spytała Grace. - Jak zareagował?

- Dobre pytanie - przyznał Mosh Zu. - Myślę, że twoją matkę dużo kosztowało wyjawienie, co zaszło... choć przecież była bez winy. Spodziewała się chyba, że ją odepchnie. Zanim trafiła na pokład Nokturnu, nie miała łatwego życia i jej wiara w ludzi została mocno

nadszarpnięta. Ale Dexter Tempest nie cofał się przed kłopotami i cierpieniem. Był prawdziwym uzdrowicielem, choć nigdy nie uczył się tej sztuki. Powiedział twojej matce, że razem opuszczają statek. Z dziećmi, które wspólnie wychowują. Oczy Grace znowu wypełniły się łzami.

- Zgodził się wychowywać nas jak własne dzieci? Lorcan przytaknął.

- Nie sądzę, żeby miał choć cień wątpliwości.

- Sally i Dexter raz jeszcze odwiedzili mnie i kapitana - mówił dalej Mosh Zu. - Powiedzieli, czego pragną. Przewidywaliśmy kłopoty, to jasne, ale uznaliśmy, że rozsądnie będzie trzymać Sidorio z dala od dzieci. Postanowiliśmy go więc oszukać.

- Oszukać Sidorio? - zdumiała się Grace. - W jaki sposób? Teraz Lorcan podjął opowieść.

- Poród miał nastąpić w Sanktuarium. Ale Sidorio wiedział tylko o jednym dziecku, nie o dwojgu.

Tak więc, kiedy nadszedł czas, wszyscy zjawiliśmy się w Sanktuarium.

- Byłeś tam? Przy naszych narodzinach?

- Tak. - Błękitne oczy Lorcana zdradzały silne emocje. - Tak, Grace. Od samego początku.

„A więc - pomyślała Grace - rzeczywiście łączą nas szczególne więzy”.

- A Sidorio? - spytała. - Zapewne i on tam był?

- Zjawił się spóźniony. Tego dnia ucztował...

- Ucztował? - Grace nie mogła powstrzymać gniewu. - Kiedy moja matka rodziła?

- Gdy Sally była brzemienna, nie mogła dzielić się z nim krwią. A jego spóźnione przybycie do Sanktuarium pozwoliło wcielić w życie nasz plan.

- Kiedy Sidorio się zjawił - wyjaśnił Mosh Zu - powiedzieliśmy mu, że dziecko zmarło po narodzinach.

Grace syknęła zdumiona.

- Był zdruzgotany, jak się pewnie domyślasz. Stał na szczycie góry i przeklinał czarownicę, której czar zawiódł.

- Tymczasem ja - podjął cichym głosem Lorcan - niosłem ciebie i Connora. Dwójkę zdrowych noworodków w becikach...

- Ty? - Grace raz jeszcze się zdumiała, jak silnie splecione są ich losy.

- Tak. - Lorcan kiwnął głową. - U podnóża góry czekała łódź, którą zabrałem was na spotkanie z Dexterem. Był w umówionym miejscu. Wziął was na ręce i uwierz mi, Grace, nigdy

nie widziałem szczęśliwszego człowieka. - Lorcan przykrył palcami dłoń dziewczyny. - Tam się rozstaliśmy. Patrzyłem, jak odplywa w mrok. Z tobą i Connorem. Obiecałem, że później przywieziemy Sally. I wiesz, co powiedział twój tata? Że będzie czekał tyle, ile trzeba.

Grace przygryzła wargę.

- Ale ona nigdy się nie zjawiała, prawda? A on nigdy nie przestał czekać...

Rozdział 44

Koniec tajemnic

- Muszę powiedzieć Connorowi - oświadczyła Grace. - Jak najszybciej. Mosh Zu zmarszczył czoło.

- Nie wiem, czy twój brat jest gotowy.

- Musi się dowiedzieć. Musi zdawać sobie sprawę, kim jest nasz prawdziwy ojciec i czym my się przez to stajemy.

Mosh Zu rozważył jej słowa. Pokiwał głową.

- Dobrze. I może właśnie ty powinnaś mu o wszystkim powiedzieć. Ale najpierw musimy się upewnić, że podasz. Chodzi mi o to, jak sobie radzisz... nie tylko z tą świadomością, ale też z przemianą fizyczną.

Zimny dreszcz przebiegł Grace po plecach.

- A może Connor przechodzi takie same zmiany? Tylko dla niego są o wiele trudniejsze, bo ich nie rozumie?

- Connor jeszcze nie dotarł tak daleko - uspokoił ją Mosh Zu. - Zawsze podejrzewałem, że będziesz pierwsza.

- Jak to możliwe? Przecież jesteśmy bliźniakami. Skąd wiesz, że jego przeobrażenie jeszcze się nie dokonuje?

- Musisz mi uwierzyć. Kiedy ten czas nadejdzie, będziemy przy nim, tak jak jesteśmy przy tobie. Pomożemy mu. I ty także, naturalnie.

- No dobrze... - ustąpiła Grace. - Och... to jednak był wstrząs. Ale tłumaczy uczucia, jakie mnie dręczyły. Czułam, że nie pasuję do mojego wcześniejszego życia. I że moje miejsce jest na tym statku, w tym świecie... Że jestem jakoś z wami związana. Dla Connora to będzie o wiele trudniejsze. On nienawidzi tego świata. Już raz z niego uciekł. Szeroko otworzyła oczy. Bała się o brata. Mosh Zu odchrząknął.

- Grace, bądź pewna, że pomożemy Connorowi. Ale na razie powinniśmy skupić się na tobie. Nie skończyliśmy jeszcze opowiadać. Jeśli chcesz słuchać, będziemy mówili dalej. Grace nie wahała się ani przez moment.

- Chcę wiedzieć wszystko - oznajmiła. - Już i tak za długo czekałam.

- Dobrze więc - rzekł Mosh Zu.

Znowu przemówił Lorcan.

- Po porodzie Sally wracała do sił w Sanktuarium. Na Nokturnie Sidorio na pozór pogodził się z utratą dziecka. I jakby przestał się interesować twoją matką. Może śmierć dziecka... w którą uwierzył... pogrzebała jego nadzieje. Miał już nowego donora i zaczął przywykać do nowego życia. - Lorcan urwał na chwilę. Jakiś cień przemknął mu po twarzy. - Ale pewnego dnia odkrył, że został oszukany. Do dzisiaj nie wiemy, kto mu zdradził prawdę. Sidorio dowiedział się, że miał nie jedno dziecko, lecz dwoje, i że nie umarły.

- Wrócił do Sanktuarium. Widział się z mamą? - spytała zalekniona Grace.

Lorcan odetchnął głęboko.

- Tak, Grace. A ona była taka dzielna... Nie przestraszyła się. Wyznała prawdę. I przysięgła, że nigdy mu nie zdradzi miejsca pobytu dzieci, nawet kiedy Sidorio zagroził, że ją zabije. Musiała mieć pewność, że ty i Connor jesteście bezpieczni.

- Ale przecież Sidorio wiedział o Dexterze - przypomniała Grace. - Dlaczego go potem nie odszukał?

- Słuszna uwaga. - Mosh Zu pokiwał głową. - Sidorio użył przeciwko twojej matce czarnej magii, ale kapitan i ja zamroziliśmy jego wspomnienia o Sally. Odebraliśmy mu wszelką wiedzę o jego dzieciach.

- Nie wie, że nas... stworzył?

- Nie - zapewnił Mosh Zu. Ale po chwili sposepniał. - Choć wyczuwam, że wspomnienia zaczynają tajać.

- Co on zrobił Sally? - spytała Grace. Mosh Zu milczał. Lorcan spuścił głowę.

- Co się wydarzyło? - nalegała dziewczyna. Mosh Zu przyglądał się jej z troską.

- Sidorio zaatakował twoją matkę. Bardzo brutalnie. Zostawił ją na pewną śmierć i uciekł z Sanktuarium, by powrócić na Nokturn. Tam napadł na kapitana, ale został pokonany. Choć miał wielką moc, kapitan był od niego potężniejszy. I nadal jest. Zamilkł na chwilę.

- Po ataku Sally była bardzo słaba - podjął. - Próbowałem wszystkiego, by ją uleczyć, ale bez skutku. Kapitan nie mógł znieść myśli, że Sally nigdy nie zobaczy swoich dzieci ani one matki. Przybył do Sanktuarium. - Nagle Mosh Zu się zawahał. - I właśnie wtedy postanowił ratować ją tak, jak potrafił. Wziął Sally w ramiona i pozwolił, by jej duch zlał się z jego duchem. Przysiągł, że będzie ją w sobie nosił, aż minie niebezpieczeństwo. Grace kiwnęła głową.

- I uwolnił ją podczas oczyszczenia?

- Tak. Grace, kapitan żałuje, że wcześniej tego nie zrobił, ale nie mógł. Za bardzo się o nią bał. Szkoda, że nie ma go tutaj z nami. Wiem, że prosiłby cię o wybaczenie. Łza spłynęła Grace po policzku.

- Nie ma czego wybaczać. Ocalił moją matkę. Wy wszyscy ją ocaliliście. Zrobiliście, co było możliwe.

- Westchnęła. - I udało się wam. Mosh Zu spojrzał na nią zdziwiony.

- Udało się? Jak?

- Doprowadziliście do naszego spotkania - odparła. - Kapitan ofiarował piękny dar mnie i Connorowi. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie on...

I ty... - Wyciągnęła rękę i ścisnęła nadgarstek mistrza. - Dziękuję. Przez chwilę nie cofała dłoni.

- Czy możecie dokończyć opowieść? - poprosiła wreszcie. Mosh Zu przytaknął, ale to Lorcan zabrał głos.

- Dexter czekał w Zatoce Księżycowej i opiekował się wami. Jak sądzę, nie było to łatwe zadanie.

- Uśmiechnął się. - Pojechałem tam jeszcze raz, żeby mu powiedzieć, co zaszło. A także zaproponować, że zabiorę was na Nokturn.

- Chcieliście nas wychować na statku? - zdziwiła się Grace.

- Tak, ale Dexter nie chciał o tym słyszeć. Powiedział mi bardzo dobitnie, że to on was wychowa. Że jesteście dziećmi Sally, a jeśli nie może żyć ze swoją ukochaną, przynajmniej zachowa jej część... a właściwie dwie części.

- Rozumiesz teraz - rzekł Mosh Zu - co wcześniej mówiłem o miłości i nienawiści. Choć Sidoriem kierowała nienawiść, jego działania doprowadziły do przeciwnych skutków, ponieważ twój prawdziwy ojciec okazał się człowiekiem, który nie potrafił nienawidzić. Dobroć jego serca przemieniła zbrodnię Sidoria w błogosławieństwo.

Po wszystkim, co usłyszała, Grace kręciło się w głowie. A jednak czuła głęboki spokój. Nie było już tajemnic. Zrozumiała, kim jest i kim byli jej rodzice. Choć Sally i Dexter odeszli, ich miłość do siebie i do dzieci przetrwała. Mimo ponurych wydarzeń z przeszłości. Mimo że jej ojcem był Sidorio. Chociaż do tej myśli długo będzie musiała się przyzwyczajać...

- Chyba wrócę do swojej kajuty - powiedziała.

- Chcesz, żeby cię odprowadzić? - zapytał Lorcan.

- Tak, proszę.

- Dobry pomysł. - Mosh Zu wstał zza stołu i odwrócił się, by złapać za ster. Na korytarzu Grace chwyciła Lorcana pod ramię.

- Chodźmy na pokład - zaproponowała, a oczy jej błyszczały. Lorcan chętnie się zgodził. Pchnęli drzwi na końcu korytarza i wyszli na zewnątrz. Wiatr był silny i rozsypywał po twarzy Grace kosmyki jej kasztanowych włosów.

- Wyglądasz jak w pajęczynie - zaśmiał się Lorcan. - Czekaj, zaraz ci pomogę.

Odgarnął jej włosy, ale nowy podmuch znów rozrzucił je po twarzy dziewczyny. Uśmiechnęli się oboje.

- Zaczyna padać - zauważył Lorcan. - Może jednak powinniśmy się schować? Grace pokręciła głową.

- To tylko letni deszcz. Nie chcę jeszcze wracać. Muszę ostudzić myśli. Pod grotżaglem będziemy osłonięci.

- Niezła myśl. - Lorcan chwycił ją za rękę. Razem pobiegli przez pokład, aż stanęli pod wielkim, podobnym do skrzydła żaglem.

- Już lepiej - stwierdziła Grace.

Lorcan się otrząsnął.

- Jesteśmy przemoczeni - rzucił.

- Jak podczas naszego pierwszego spotkania. To znaczy niezupełnie... Podczas pierwszego byłam noworodkiem...

- Wiem, o co ci chodzi. Rzeczywiście jest tak jak tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się naprawdę.

W jego głosie usłyszała nowy ton. Wydawał się swobodniejszy niż wcześniej, jak gdyby wreszcie po opowiedzeniu całej historii i wyjawieniu wszystkich sekretów - uszło z niego napięcie. Grace była uszczęśliwiona. Uniosła głowę i pozwoliła, by krople chłodziły jej twarz.

- Patrz - powiedziała. - To dziwne. Mimo deszczu nadal widać gwiazdy. Ależ są dzisiaj jasne! - Wyciągnęła rękę, ale Lorcan nie patrzył. Wpatrywał się w jej oczy.

- Nie wyobrażam sobie piękniejszego widoku niż ten - oświadczył. Grace spąsowiała.

Oczy Lorcana lśniły jaśniej niż kiedykolwiek. Jak dwa błękitne klejnoty opłukane deszczem i rozświetlone blaskiem księżyca.

- Grace, od dawna już chciałem ci powiedzieć, ale ciągle coś stawało na przeszkodzie. Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. Potem, bardzo delikatnie, przyciągnął dziewczynę do siebie. Patrzył, jakby nigdy jej wcześniej nie widział. A w końcu pocałował ją lekko.

Nie chciała, by ten pocałunek się skończył. Ale gdy to nastąpiło, pocieszyła ją myśl, że był dopiero pierwszym z miliona pocałunków. Otrzymała dwa wspaniałe dary: dar nieśmiertelności i dar miłości człowieka, z którym mogła ją dzielić. Miała wrażenie, że znikają wszelkie trudy, jakie dotąd przeżyła. Nareszcie zmieniał się wiatr. Lorcan trzymał ją w ramionach, a ona uśmiechała się do niego.

- To dziwne - powiedział. - Mimo wszystkiego, co dzisiaj usłyszałaś, nigdy nie wyglądałaś na równie szczęśliwą.

- Bo jestem szczęśliwa. Czuję spokój i radość. Słyszę głos ojca. Zaufaj fali! Tak zawsze mówił. I słucham go, Lorcanie. Wierzę, że wszystko układa się tak, jak powinno. Wiem, ile wycierpiała moja matka... i ojciec też. Tak długo na nią czekał. Ale teraz są już razem. Nie było mi łatwo słuchać, ale teraz przynajmniej mogę zostawić przeszłość za sobą i patrzeć w przyszość. - Spojrzała mu w oczy. - I możemy być razem.

- Tak - zgodził się i znów ją pocałował. - Tak, najdroższa Grace. Ja też właśnie tego pragnę. - Nagle spowaźniał. - Zapomniałem o czymś. Jest jeszcze jedna sprawa...

- Co takiego?

W chwili kiedy sądziła, że wszystkie sekrety zostały ujawnione, czyżby pojawiał się kolejny?

- Spokojnie - powiedział, widząc jej zdenerwowanie. - To nic złego. - Sięgnął pod płaszcz. - Widzisz, zanim Sally odeszła, dała mi list. Wiedziała, że zabraknie Jej czasu, więc chciała, żebym ci go przekazał, kiedy już poznasz prawdę.

- List od mamy? - Grace uśmiechnęła się z radością i ulgą.

- Tak. Od wielu dni noszę go z sobą. - Przeszukiwał kieszenie. - To dziwne... Byłem pewien, że tu go mam...

Rozpiął guziki, zdjął płaszcz i przewrócił na lewą stronę, by obejrzeć podszewkę.

- W której był kieszeni? - spytała Grace.

- W tej, oczywiście. Na sercu.

Długimi bladymi palcami sprawdzał materiał. Grace zmarszczyła czoło.

- No to wszystko jasne - rzekła z żalem, wskazując rozprutą tkaninę. - Widzisz, całkiem się przetała. List musiał wypaść.

- A niech to! - krzyknął Lorcan. - Grace, ależ ze mnie dureń! Tak mi przykro! Postąpiłem jak idiota!

Pokręciła głową. Czuła gorycz rozczarowania, ale nie chciała zniszczyć radosnych chwil.

- Nie martw się - powiedziała. - Jeszcze przed chwilą w ogóle nie wiedziałam, że istnieje jakiś list. A poza tym wiem przecież wszystko. Prawda?

- Prawda... Żadna tajemnica już w nas nie uderzy. Ale i tak bardzo cię przepraszam. Gdzie ten list mógł się podziać?

- Pst - szepnęła, obejmując go. - Jestem pewna, że prędzej czy później się odnajdzie.

Rozdział 45

Numer jeden

Cheng Li obracała w dłoniach kopertę. Wracała myślami do listu. Zawsze podejrzewała, że w bliźniętach Tempest jest coś niezwykłego, ale to przekraczało jej najśmielsze oczekiwania. Dar był tym cenniejszy, że dostarczył go osobiście Lorcan Furey. Uśmiechnęła się. Wampiraci wierzyli, że są niezwyciężeni, ale nawet salwy ostrzegawczej nie potrafili wystrzelić bez wpadki... Nie, jeśli już ktoś miał prawo uważać się za niezwyciężonego, to z pewnością piraci. A ona i jej załoga byli prawdziwą elitą. To im powierzono misję usunięcia morderców Johna Kuo. To oni przeprowadzili śmiało eksperymenty. Mieli nową broń i niezrównanych ludzi, najlepszych młodych wojowników siedmiu mórz. A teraz... Teraz wiedziała, że jest wśród nich ktoś bardzo niezwykły. Zważyła w dłoni kopertę. Był to potężny atut. Pytanie brzmiało: kiedy powinna go użyć. Ktoś zastukał do drzwi.

Cheng Li położyła kopertę na biurku i przykryła notesem znalezionym przez Jasmine w archiwum.

- Wejść! - zawołała energicznie. Connor otworzył drzwi i zbliżył się do biurka.
- Chciała mnie pani widzieć, kapitan Li.
- Tak, rzeczywiście. - Skinęła głową. - Usiądź, Connor.

Zajął miejsce na krześle. Choć był o dobre kilka centymetrów wyższy od Cheng Li, dziewczyna siedząca za biurkiem górowała nad nim wzrostem. Uśmiechnął się pod nosem. Najwyraźniej Cheng Li stosowała jakieś sztuczki z krzesłami.

- Jak dzisiaj poszły ćwiczenia? - spytała.
- Doskonale - odparł. - Te nowe miecze są rewelacyjne. Znakomicie się sprawują. Cheng Li kiwnęła głową.
- Oczywiście. U ekspertów takich jak Yin dostajesz to, za co płacisz. - Zabębniła palcami o skórzaną okładkę notatnika. - A Cate? Dobrze was szkoli? Connor znów przytaknął.

- Strzela z bata, jak tylko Cate potrafi. Dobrze, że ją tu mamy. Barta również. Cheng Li się uśmiechnęła.

- Jak za dawnych czasów, co? Też się cieszę, że mam ich w załodze. Mogę ci zdradzić drobny sekret?

Wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz... - Mam plan, żeby ściągnąć ich na Tygrysa na stałe. - No to czeka cię ciężka przeprawa. Nie zerwą tak po prostu kontraktu z kapitanem Wrathe'em.

- Gdyby tylko byli bardziej podobni do ciebie - westchnęła Cheng Li. - No cóż, przyszłość pokaże. Mam przecucie, że jeśli uda nam się pomyślnie zakończyć tę misję, przekonamy ich... i wielu innych... by dołączyli do naszej drużyny. Nie ma lepszego stratega niż Cate. Jej miejsce jest na Tygrysie.

- A co z Bartem? - spytał Connor. Cheng Li splotła palce.

- Oboje wiemy, że Bart ma swoje ograniczenia. Jest górą mięśni, ale brakuje mu subtelności. Jednak oczywiście Cate pójdzie za nim wszędzie. Poza tym jest twoim przyjacielem, prawda?

- Tak. - Connor kiwnął głową. - Bardzo dobrym przyjacielem. „Więc byłoby miło - pomyślał - gdybyś w mojej obecności powstrzymała się od lekceważących uwag”. Być może coś zrozumiała, bo nagle zmieniła temat.

- Ale nie po to cię zaprosiłam, żeby rozmawiać o Barcie i Cate. Chciałam pomówić o samej misji.

- Jasne.

- Wprowadziłam pewne zmiany do planu ataku - oznajmiła Cheng Li.

- Zmiany? Jakie zmiany?

- Osobowe. Sukces tej misji jest niesłychanie ważny. Oczy całego pirackiego świata będą zwrócone na nas. I świata wampiratów także. Nasz sukces... albo porażka... odbije się szerokim echem.

- Nie zawiedziemy - zapewnił Connor.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Cheng Li. - Zwłaszcza że zostajesz numerem jeden. Connor się zawahał.

- Numerem jeden? - powtórzył. - To znaczy, że właśnie ja mam usunąć cel?

- Zgadza się. Wyeliminujesz lady Lockwood.

Connor był zszokowany. Przez chwilę milczał.

- O co chodzi? - zdziwiła się. - Myślałam, że będziesz zachwycony. Taki przebojowy pirat jak ty... To właśnie przełom, na który czekałeś. Jeśli wykonasz zadanie, zostaniesz bohaterem Federacji. A raczej: kiedy wykonasz.

- Nie rozumiem - wyznał Connor. - Dlaczego ja? Jacoby jest twoim zastępcą. To on miał być numerem jeden.

Cheng Li pokręciła głową.

- Nic nie było pewne. Cały czas się zastanawiałam. - Zauważyła wystający spod notatnika róg koperty. - Rozmawiałam też z Cate. Było dla nas jasne, że jesteś zdolniejszym szermierzem. Nie zrozum mnie źle, Jacoby jest dobry. Ale ty, no cóż, jesteś prawdziwym brylantem.

- Dziękuję. Ale jak on się poczuje?

- To nie twoje zmartwienie. Jacoby'ego zostaw mnie. Przekonam go, że istnieją rzeczy ważniejsze niż osobista duma. Jest pierwszym oficerem. Zrozumie, że liczy się przede wszystkim powodzenie misji.

Mówiła z przekonaniem, ale Connora trapiły wątpliwości. Wciąż miał wyrzuty sumienia z powodu pocałunku z Jasmine. Najpierw ukradł Jacoby'emu dziewczynę, a teraz odbiera mu pozycję w załodze. Dobry przyjaciel, nie ma co.

Cheng Li spoglądała na niego badawczo. Jej ojciec, Chang Ko Li, zdawał się patrzeć takim samym przenikliwym wzrokiem z portretu.

- Coś cię gnębi? Powinam o czymś wiedzieć? Connor wahał się przez moment, ale pokręcił głową.

- Nie. Po prostu źle się czuję, odbierając miejsce Jacoby'emu. Cheng Li przesunęła palcem wzdłuż brzegu koperty. Czy to odpowiednia chwila, żeby rozegrać kartę? Ryzyko było duże. List mógł podziałać dwojako: albo dać Connorowi silną motywację, albo zachwiać jego równowagę. Choć dobrze znała młodego Tempesta, pewnych rzeczy nie można przewidzieć... Postanowiła spróbować innej taktyki.

- Zabijałeś już - przypomniała mu.

- Wiem. Nie o to chodzi.

- Na pewno? Bo jeśli przewidujesz kłopoty z wypełnieniem zadania, muszę o tym wiedzieć już teraz.

Naciskała go mocno. Nie chciała się pomylić.

- Nie mam problemów z zabijaniem - wykrztusił. - Nie, jeśli jest uzasadnione. Cheng Li skinęła głową.

- Dobrze. I rozumiesz nasze powody? Przytaknął.

- A więc zrób mi przyjemność i wymień je. Connor zmarszczył czoło.

- Nasz cel, lady Lockwood, to morderczyni. Z zimną krwią zabiła komandora Kuo, Varshę i Zaka. Ma zawiązać przymierze z Sidoriem. Nie można do tego dopuścić.

- Doskonale - pochwaliła go Cheng Li. - Connorze, na początku misji niepokoiłeś się związkami Grace z niektórymi wampirami. Czy to cię powstrzymuje?

- Nie - odparł. - I niczego przed tobą nie ukrywam.

- Może powinnam cię zapewnić, że nasza misja nie jest skierowana przeciwko wampiratom, którzy są bliscy Grace? Twojej siostrze nic bezpośrednio nie zagraża.

- Wiem.

Cheng Li raz jeszcze zerknęła na notatnik.

- Co to za notes? - zainteresował się Connor.

- Przepraszam, że pytam, ale cały czas na niego patrzysz, jakby był ważny...

Cheng Li pokręciła głową i podniosła notatnik.

- Ten? To jakiś stary dziennik, który Jasmine wygrzebała w archiwum. Myślała, że mnie zainteresuje, ale... - Wzruszyła ramionami. - Nie ma w nim nic ważnego. Nagle zamarła. Uświadomiła sobie, że odsłoniła kopertę. Zerknęła szybko i przekonała się że słowo „Grace” jest wyraźnie widoczne. Czy Connor coś zauważył? Wydawało się że nie, ale nie miała pewności.

- Przed kolacją muszę jeszcze zająć się papierami - powiedziała - Wyjaśniłam ci, jakie mam zamiary. Idź teraz i przemyśl sobie wszystko. Jeśli nie odpowiada ci mój plan, musisz dać mi znać przed zmrokiem. Connor nie ruszał się z krzesła. Myślał o Grace. O jej przywiązaniu do Lorcana i innych wampiratów.

O tym zwariowanym pomysle... że oni sami są wampirami, że wampirem był ich ojciec. Musi jakoś ją skłonić, żeby zaczęła myśleć rozsądnie - i musi wyrwać ją ze szponów tych potworów. Próbował łagodnej namowy, ale nic nie wskórał. Natomiast misja, choć niczym Grace nie zagrażała, mogła w końcu uświadomić jego siostrze, na jakie niebezpieczeństwo się naraża... a to był wystarczający powód, żeby w niej uczestniczyć.

- Connor! - upomniała go Cheng Li. - To nie jest sala medytacji zen. Jeśli musisz pomyśleć, zrób to na pokładzie.

Spojrzał jej w oczy.

- Nie muszę się zastanawiać - oświadczył. - Zrobię, o co prosisz. Zostanę numerem jeden.
Zabiję lady Lockwood.

- Miło mi to słyszeć - odpowiedziała z uśmiechem. - No to uciekaj. Wypoleruj rapier i przygotuj najlepsze rzeczy. Idziemy na ślub.

- Aj, aj, pani kapitan. Connor wstał i zasalutował.

- Jeszcze coś - zatrzymała go Cheng Li. - Mam nadzieję, że Bo Yin i ten jej groteskowy zwierzak zadomowili się u nas?

- Owszem. - Connor wyszczerzył zęby. - Zwłaszcza Sindbad jest zachwycony nowym domem. Może przyjdiesz do nas wieczorem i zobaczysz, jak się bawi?

- Możesz odejść. Cheng Li wsunęła na nos okulary i sięgnęła po dokumenty.

- Ach, jak ja lubię te pogawędki... - powiedział.

- Nie bądź zuchwały. Zostałeś numerem jeden, ale to ja jestem kapitanem.

- Nie martw się. Na pewno o tym nie zapomnę.

Skinął jej głową na pożegnanie i wyszedł na korytarz.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Cheng Li raz jeszcze podniosła notatnik i kopertę. Stała przed portretem i sięgnęła dłonią do niewielkiej, ale wyraźnej blizny nad prawą brwią ojca. Lekko przycisnęła płótno. Obraz się odsunął, odsłaniając drzwiczki sejfu. Cheng Li pokręciła gałkami, aż szczęknął zamek. Umieściła w sejfie dziennik ojca i list Sally, po czym zamknęła drzwiczki i na nowo ustawiła kombinację liczb: szerokość i długość geograficzną oraz wysokość geodezyjną Akademii. Zadowolona z siebie, przycisnęła kolczyk w lewym uchu pirata - a portret posłusznie wsunął się na dawne miejsce.

I znowu spojrzała w oczy ojca. „Bardzo dobrze, Cheng Li” - zdawał się mówić. Chang Ko Li nie rozpieszczał pochwałami swojej uzdolnionej córki. Mimo to miała pewność, że byłby dumny, widząc, jak rozwija się jej kariera. Odwrócona plecami do jego wizerunku, usiadła przy biurku i sięgnęła po plany operacji Czarne Serce.

Rozdział 46

Krwawe gody

Pod pewnymi względami miała to być tradycyjna uroczystość. Panna młoda wybrała miejsce - ruiny niewielkiej kaplicy blisko krawędzi klifu nad Zatoką Męczennika.

- Kaplica? - Sidorio początkowo zjeżył się na samą myśl.

- Wiem - odparła uspokajająco lady Lola. - Wiem. Ale została dekonsekrowana i możesz mi wierzyć, skarbie, wniesiemy w nią naszego ducha.

Mówiła prawdę. Budynek kaplicy nie miał już dachu i był zrujnowany, lecz światło księżycy odsłaniało szkielet dawnej konstrukcji. Kamienie lśniły srebrem, a każdą kolumnę i łuk spowijały pnącza bluszczu oraz czarnych róż ozdobionych totemami, skórami zwierząt i małymi czaszkami. Konsultant ślubny lady Lockwood dopasował wystrój do tej wyjątkowej okazji. Reszty dokonała natura - rozgwieżdżone niebo i księżyc w pełni były bardzo malowniczym sklepieniem.

Zgodnie z tradycją pan młody pojawił się jako pierwszy. Miał na sobie niezwyklej kostium. Nazwanie go garniturem nie oddałoby mu sprawiedliwości. Kreacja uszyta na miarę przez krawca lady Lockwood miała krój fraku, ale górną część marynarki zastępowała kolczuga. Kołnierz i poły były futrzane, a duże skórzane naramienniki zdobiły duże metalowe kolce.

- Myślę, że odkryliśmy pański styl - powiedział krawiec, wręczając Sidoriovi ostatni element: koronę z kości i metalu, którą miał nosić na podobieństwo laurowego wieńca. - Idealnie! - stwierdził.

Sidorio musiał przyznać mu rację. Teraz wyglądał nie tylko jak pan młody, ale także jak król wampiratów.

Ciemne oczy Sidoria roziskrzyły się, a złote zęby zamigotały, gdy wszedł do zrujnowanej kaplicy. W towarzystwie drużby stanął na końcu czerwonego dywanu, a kwartet smyczkowy zagrał przyjemnie nieharmoniczną muzykę: rapsodię inspirowaną chyba melodią ludzkiego krzyku. Johnny występował w stroju od tego samego krawca, lecz wybrał coś z gotowej kolekcji.

Wyglądał zniewalająco w skórze i koleczudze. Na głowie miał stetsona ozdobionego kośćmi, szponami i piórami.

Stukeley czekał na drugim końcu dywanu, aby z tego miejsca przeprowadzić ceremonię. Dobrze się przygotował: był w specjalnie zaprojektowanej sutannie z rzędem małych kościanych guzików. Założył też długi złoty łańcuch, z którego zwisały dwie wysuszone głowy.

Miała to być prywatna i ekskluzywna uroczystość. Starannie wybrana, elegancka publiczność siedziała w nawach. Stołki na rogowych nogach pokryte były zwierzęcymi skórami. W tyle kaplicy ustawiono stół, a na nim rzędy weneckich kielichów i butelek dostarczonych przez Winnicę Czarnego Serca. Goście mieli wznieść toast najlepszymi trunkami lady Lockwood.

Na później zaplanowano przyjęcie na pokładzie zakotwiczonego w zatoce Krwawego Kapitana. Ciąg dalszy miał nastąpić poza statkiem, w miejscu wskazanym przez nowożeńców. Do tego czasu „darmowy bar” bez wątpienia zostanie osuszony. Ale młoda para była pewna, że goście z radością zorganizują sobie trunki na własną rękę. Pan młody i jego drużba przeszli energicznie po dywanie, wywołując uśmiechy i pełne podziwu westchnienia zebranych. Sidorio stanął przed ołtarzem i spojrzął na Stukeleya.

- Wszystko gotowe, wielebny? - spytał.

- Oczywiście, kapitanie. - Stukeley kiwnął głową i wymienił z Johnnym porozumiewawcze spojrzenie.

- Cały dzień nie spałem, żeby nauczyć się tekstu.

- Wierzę, że znasz go co do słowa. Dla mojej Loli wszystko musi być jak należy.

- Jasna sprawa - odparł Stukeley. - Tę noc zapamiętają wszyscy. Już my się o to postaramy.

- Bardzo dobrze - rzekł Sidorio i zwrócił się do Johnny'ego: - Stetson, masz obrączkę? Johnny poklepał się po kieszeni.

- Tutaj, kapitanie. Zagrano tradycyjny marsz weselny, co obwieszczało przybycie panny młodej. Wszystkie oczy skierowały się w jej stronę, kiedy w towarzystwie dwóch druhen wkroczyła do kaplicy. Trzy kobiety wyglądały oszalamiająco. Angelika i Marianna miały proste, ale eleganckie suknie bez rękawów. Obie włożyły długie rękawiczki, a włosy zaczesaly do góry. Ozdobiły je polnymi kwiatami i grzebykami wysadzonymi klejnotami. Suknia lady Lockwood była bardziej wyszukana. Miała obcisły gorset w ulubionym stylu panny młodej, z fiszbinami po

bokach, oraz wąskie rękawy wykończone wężową skórą. Dół stanowiła bajeczna spódnica z falujących warstw krwistoczerwonej tafty. Narzeczona Sidorio zasłoniła twarz i górną część ciała koronkowym welonem, a na głowie miała diadem podobny do korony pana młodego, lecz mniejszy i bardziej delikatny, mieniący się rubinami i czarnymi opalami.

Gdy lady Lockwood ze swoimi druhami sunęła w stronę ołtarza, goście nie kryli zachwytu. Jej suknia przekroczyła najśmielsze oczekiwania. Szczególnie interesujący był niezwykle bukiet - panna młoda trzymała dłoń z litego złota z osiemnastokaratowymi rubinami zamiast paznokci. Wokół niej owinęła czarne róże i gałązki bluszczu. Do niedawna dłoń ta należała do Trofie Wrathe.

- Coś pożyczonego, prawda? - powiedziała z uśmiechem do przyjaciółek siedzących w ławkach. Aż wreszcie wszystkie trzy stanęły przed ołtarzem.

Gdy Sidorio wyciągnął do niej rękę, lady Lockwood oddała bukiet Angelice.

- Zadbaj o niego, moja droga! - Po czym zwróciła się do Sidorio. - No, no, ależ jesteś przystojny!

Zawsze powinieneś nosić tę koronę, ukochany. Cudownie podkreśla twoje zęby. Zarumienił się, słysząc komplement.

- Wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek - zauważył. Oboje uklękli na poduszkach przed Stukeleyem. Marianna starannie ułożyła obfity tren lady Lockwood, po czym stanęła obok Angeliki.

Obie drużyny lady Lockwood stały teraz przed Johnnym, który zdjął stetsona i mrugnął do nich przyjaźnie. Odpowiedziały takim samym mrugnięciem. A kiedy zmrużyły wytatuowane powieki, na ich twarzach pojawiły się idealnie czarne serca. W pewnym sensie żałował tego, co miało nastąpić. Połączenie obu załóg z pewnością posiadało dobre strony. Sidorio spojrzał na drugiego porucznika.

- No dobrze, wielebny - powiedział. - Zaczynamy przedstawienie. Stukeley skinął ręką na kwartet i muzyka ucichła. Potem odchrząknął i zwrócił się do zebranych.

- Moi drodzy, z wielką radością zebraliśmy się dzisiejszej nocy, aby połączyć nierozzerwalnym węzłem małżeńskim tego oto Kwintusa Antoniusza Sidorio i lady Lolę Elizabeth Mizerykordię Lockwood.

Oblubieńcy patrzyli sobie w oczy.

- Związek tych dwojga nie będzie zwykłym małżeństwem, albowiem śmierć ich nigdy nie rozłączy. Są nieśmiertelni, a razem z nimi ich miłość. - Spojrzał na zebranych. Coraz lepiej czuł się w tej roli.

- A teraz prawem, które dał mi pan młody, przyjmę małżeńską przysięgę. Sidorio spojrział na narzeczoną, a jego głos poniósł się po zrujnowanej kaplicy.

- Jestem nieśmiertelny i taka jest moja miłość. Jestem niepokonany, tak jak moja namiętność. Jestem nieskończony jak oceany i potężny jak noc. - Potem jego głos zabrzmiał bardziej delikatnie: - Obiecuję ci, ukochana, że będę kochającym i wiernym mężem. Będę dzielił z tobą moją namiętność, moją potęgę i moją miłość ponad morzami i czasem. Oczy lady Lockwood błysnęły jaśniej niż gwiazdy, gdy zaczęła wygłaszać swoją przysięgę.

- Jestem nieśmiertelna i taka jest moja miłość. Jestem niepokonana, tak jak moja namiętność. Jestem nieskończona jak oceany i potężna jak noc. Obiecuję ci, ukochany, że będę kochającą i wierną żoną. Będę dzieliła z tobą moją namiętność, moją potęgę i moją miłość ponad morzami i czasem. Stukeley czuł się jak w swoim żywiole.

- A teraz obrączki - ponaglił друзbów. Johnny i Marianna położyli je na dłoni Stukeleya.

Były zaskakująco proste - wyrzeźbione z ludzkiej kości, z inskrypcją wyrytą po wewnętrznej stronie. Wybrali ją razem państwo młodzi.

- Każde z was przyniosło obrączkę dla współmałżonka - powiedział Stukeley. - Czy chcecie je teraz wymienić?

Oblubieńcy wzajemnie wsunęli sobie pierścienie na palce. Tymczasem Stukeley mówił dalej:

- Obrączki te są wieczną pamiątką dzisiejszej nocy i złożonej przez was przysięgi. Od teraz już zawsze będziecie doświadczać jedności jako mąż i żona.

Sidorio kiwnął głową i uściśnął szczupłą dłoń lady Lockwood.

- Ponieważ potwierdzili to swoją miłością i wolą, oświadczam, że Kwintus Antoniusz Sidorio i lady Lola Elisabeth Mizerykordia Lockwood od teraz są mężem i żoną! - zawołał Stukeley.

Młoda para objęła się mocno. Sidorio przechylił lady Lockwood niemal do podłogi. Goście aż krzyknęli z zachwytem, wybuchły spontaniczne oklaski. Sidorio uśmiechnął się do żony.

- Witaj, lady Sidorio. Odpowiedziała promiennym uśmiechem.

- Lady Lockwood Sidorio - poprawiła go. - Tak się umawialiśmy, pamiętasz, najdroższy?

Johnny pochylił się do Stukeleya.

- Świetna robota - szepnął. - Minąłeś się z powołaniem. Stukeley uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Gołębie! - przypomniał koledze. - Racja! Johnny nerwowo sięgnął po złożoną klatkę, w której siedziało dwanaście białych gołębic. Przekazał ją Stukeleyowi, a ten otworzył drzwiczki. Lady Lola sięgnęła do wnętrza i chwyciła zwierzątko, gładząc delikatnie jego piórka. Druga gołębica sama wyszła z klatki na dłoń Sidorio. Młoda para zaczęła wypuszczać w nocne niebo śnieżnobiałe ptaki. Krążyły nad kaplicą w delikatnym świetle księżyca. Stukeley znów szturchnął Johnny'ego.

- Jastrzębie! - mruknął. Johnny podał młodej parze drugą klatkę. Czekwały w niej dwa drapieżniki. Sidorio otworzył drzwiczki, wyjął jednego i przekazał lady Lockwood.

- Ależ przystojniaczek! - zachwyciła się lady Lola, budząc wesołość gości. Dumny ptak przez chwilę stał na jej nadgarstku. Gdy Sidorio wyjął drugie zwierzę, wypuścili oba jastrzębie i pocałowali się namiętnie.

Jastrzębie wzleciały w powietrze i zaatakowały gołębice. Polowanie nie trwało długo. Z nieba zaczęły spadać poplamione krwią białe pióra. Jedno z gołębic ciał spadło na dłoń Sidorio, który zaśmiał się i wręczył je oblubienicy. Rozpromieniła się, zachwycona. Był to idealny symbol ich mrocznego związku. Wszyscy goście powstali i zaczęli entuzjastycznie klaskać.

Oklaskom zawtórowały wystrzały z dział. Goście patrzyli z zachwytem na sypiące się z nieba małe fioletowe płatki kwiatów. Był to ostatni teatralny akcent ceremonii, którą mieli zachować w pamięci na długie lata.

Kiedy konfetti pokryło młodą parę, Sidorio uśmiechnął do Loli.

- Ładny finał, żono. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Co masz na myśli, mężu? Sidorio chwycił kilka płatków i rzucił jej w twarz.

- To! - odparł z uśmiechem.

- Myślałam, że to niespodzianka od ciebie, kochanie. Coś, co zaplanowałeś z twoimi przystojnymi porucznikami. Pokręcił głową. Lady Lola wzruszyła ramionami.

- No cóż, a więc to Stefano... Organizator wesela. Ładny gest. I piękne zwieńczenie ceremonii.

- Masz łzy w oczach, najdroższa - rzekł Sidorio. - Jak możesz się smuć w takiej chwili?
- Wcale się nie smucę - odparła. - Oczy mnie pieką. Nie wiem dlaczego. Sidorio zmarszczył brwi.

- To dziwne. Mnie też. - Zaniepokojony zauważył, że powieki żony gwałtownie puchną.

- Prawdę mówiąc - stwierdziła - czuję się dziwnie. Wargi mam odrętwiałe i chociaż wspaniale całujesz, kochanie, nie sędzę, aby to było przyczyną.

- Nie - odparł Sidorio. Doświadczał tego samego uczucia odrętwienia, szybko ogarniającego całe ciało. Zaskoczony spojrział na gości. Wydawało się, że mają podobne objawy - stali bez ruchu jak posągi. Na ich twarzach pojawiły się grymasy bólu. Nagle przerażony Sidorio poczuł, że jego ciało nieruchomieje, niczym zakute w zbroję. Wiedział, że dzieje się coś złego. Raptem dostrzegł nieproszonych gości. Wynurzyli się zza ruin prezbiterium i ruszyli wzdłuż nawy. Było ich pięćdziesięcioro, nieśli miecze. Szczególne srebrne miecze, pokryte miksturą z głogu i tojadu, tej samej substancji, która spłynęła z nieba pod postacią konfetti.

- Załatwmy to szybko! - rozkazała Cheng Li.

Connor skoczył do głównego przejścia, oceniając sytuację. Załoga Tygrysa otoczyła kaplicę. Na czele obu oddziałów biegli Bart i Cate oraz Jacoby i Jasmine. Connor zauważył także Promyka.

Odwrócił się i zawołał do Jasmine:

- Ile mamy czasu? - Następny wystrzał powinien paść... teraz! - krzyknęła Jasmine. Huk zagłuszył jej słowa i kolejne działo wyrzuciło w niebo deszcz fioletowych płatków. Wampiraci stali jak skamieniali. I choć nie mogli się poruszyć, wszystko słyszeli i widzieli. Rozumieli, że na przyjęciu roku coś poszło nie tak.

Przy ołtarzu Johnny i Stukeley cierpieli tak samo jak ich towarzysze. Oczy im błyszczały, gdy patrzyli na zbliżających się Cheng Li i Connora. Plan przebiegał bez przeszkód.

- Dalej, Connor! - zawołała Cheng Li. - Wiesz, co masz robić! Chłopak pobiegł do ołtarza tą samą drogą, którą zaledwie godzinę temu z taką radością przemierzała młoda para. Zatrzymał się przed nowożeńcami. Sidorio był wytworniejszy niż podczas ostatniego spotkania. Wyglądał dostojniej i łagodniej, choć patrzył na Connora z wściekłością i zdumieniem.

Teraz Connor spojrział na lady Lolę, którą widział po raz pierwszy. Choć wiedział o strasznych zbrodniach morderczyni, jej wygląd go zaniepokoił - miała opuchnięte powieki i wykrzywione wargi. Wiedział, co musi zrobić. Był numerem jeden.

- Teraz! - krzyknęła Cheng Li. Nie odrywając oczu od lady Lockwood, sięgnął po srebrny miecz mistrza Yina. Za chwilę miał wręczyć pannie młodej niezwykle i bardzo niepożądany prezent ślubny.

Rozdział 47

Prezent ślubny

- Pospiesz się, Connor! - ponagliła chłopaka Cheng Li. Connor wzniosł miecz i zwrócił ostrze ku sercu lady Lockwood. Nie temu czarnemu na jej twarzy, lecz drugiemu, w jej piersi - które, jak słyszał, było jeszcze ciemniejsze. Kiedy zadał cios, pomyślał o Zaku, Varshy i komandorze Kuo. Sidorio zdołał wyjąkać zdrętwiałymi wargami:

- Nie...

Ale to nie powstrzymało Connora przed zatopieniem ostrza w znieruchomiałym ciele kobiety. Lady Lola popatrzyła na niego dziwnie, potem spojrzała na pana młodego. I zamknęła powieki.

Connor odwrócił wzrok, nie chcąc zaglądać w przerażające oczy Sidorio. Przybył wykonać zadanie, a teraz wypełnił swój obowiązek. Szarpnął mieczem, ale kiedy usiłował wyrwać ostrze z ciała lady Lockwood, ani drgnęło, jakby było wbite w kamień.

- Co się stało? - spytała Cheng Li, stając u jego boku.

- Mój miecz - odparł Connor. - Chyba się zaklinował.

- Spróbuj jeszcze raz - poradziła.

Connor mocniej chwycił rękojeść i szarpnął z całej siły. Bez skutku.

- Może ja... - Cheng Li chwyciła broń oburącz i pociągnęła. Na próżno.

- Uwaga wszyscy! - zawołała Cate ze środka nawy. - Wycofujemy się! Szybko! Działanie tojadu zaczyna słabnąć!

Connor się rozejrzał. Cate miała rację. Goście weselni wyglądali, jakby budzili się ze śpiączki. Ruszali głowami, rękoma, nogami... Wampiraci nadal byli oszołomieni, ale wkrótce ich odrętwienie mogło zmienić się w gniew i pragnienie zemsty.

- Odwrót! - krzyknęła Cate. Stała przy prezbiterium.

- Zostaw miecz! - zawołała Cheng Li i pociągnęła Connora za sobą. - Wyośmy się stąd!
- A kiedy biegli na spotkanie Cate i pozostałych, uśmiechnęła się do chłopca. - Nasza misja wykonana, Connorze! Świetna robota!

- Stać! Sidorio ze straszliwym rykiem rzucił się za uciekającymi piratami.

- Biegiem! - krzyknęła Cheng Li. Connor czekał przy urwistym brzegu klifu. Miał zjechać po linie na czekającą w dole łódź. Zobaczył jednak, że Jacoby i Jasmine nadal są w kaplicy, a Sidorio odciął im drogę ucieczki.

- Musimy wrócić! - krzyknął Connor. Cheng Li się zawahała.

- Masz rację - przyznała i razem z nim pobiegła z powrotem. - Cate, Bart, osłaniajcie nas!
Grupa piratów wpadła do kaplicy. Przy ołtarzu Sidorio trzymał Jasmine.

- Puść ją! - zawołał Jacoby. - Weź mnie zamiast niej! Jasmine pokręciła głową.

- Uciekajcie! - krzyknęła do piratów. - Ratujcie skórę!

- Nic z tego - odpowiedział Jacoby. I znowu zwrócił się do Sidorio. - Słyszałeś! Pozwól jej odejść.

- A kimże ty jesteś? - spytał Sidorio.

- Jacoby Blunt, pierwszy oficer Tygrysa.

W oczach Sidorio rozjarzyły się płomienie.

- Nie powinienes tu być! Nie ma cię na liście gości! Jacoby wzruszył ramionami.

- Wiem. To prawdziwa frajda wpaść na twój ślub. Niestety, prawdę mówiąc, nie był specjalnie udany.

Grał na zwłokę - miał nadzieję, że on sam albo ktoś z pozostałych znajdzie sposób, by wyrwać Jasmine z rąk Sidorio. Ale czas szybko się kończył.

Stukeley i Johnny również budzili się z letargu. Cheng Li do nich podeszła.

- Jest problem! - syknęła. - Mieliśmy układ, pamiętacie? Zrobiliśmy swoje. Panna młoda dostała ślubny prezent. Obiecaliście mojej załodze bezpieczny powrót.

Czyżby wampiraci jednak ją oszukali? Ale nie, ku jej zdziwieniu Stukeley kiwnął głową.

- Taki był plan.

- Więc zrób coś! - rzuciła cicho Cheng Li.

Rozmowa zwróciła uwagę Marianny i Angeliki, które klęczały nad ciałem swojej kapitan. Płakały, patrząc na piękną, ale zastygłą twarz lady Loli. Angelika wciąż trzymała ślubny bukiet i spoglądała ze smutkiem na złotą dłoń.

- Ja to wezmę! Dziękuję bardzo! - wrzasnął Promyk Wrathe, wrywając przedmiot zaskoczony Angelice.

Działał z zaskoczenia, ale dziewczyna poderwała się na równe nogi i obnażyła kły. Promyk zrobił krok do tyłu, rozpoznając ją z wizyty na Tajfunie. Nagle jednak Marianna odwróciła uwagę szykującej się do ataku wampiratki.

- Patrz, Angeliko! - wykrzyknęła. - Patrz na jej powieki! Promyk tymczasem ścisnął złotą dłoń Trofie. Dla niego to ona była prawdziwym celem misji. Uszczęśliwił matkę... a ojciec i stryj nie będą szczędzić mu pochwał. Nie mógł uwierzyć, że tak łatwo poszło. Rozejrzył się i stwierdził z pewnym niezadowoleniem, że nikt z piratów nie widział jego wyczynu. Oddalił się więc na bezpieczną odległość, w fantazji czyniąc ze starcia z Angeliką coś znacznie bardziej niebezpiecznego.

Szepcząc z Cheng Li, Stukeley uświadomił sobie nagle, że patrzy na niego Marianna. Odepchnął mocno piratkę.

- Z drogi! - krzyknął. I dodał ciszej: - Zbierz załogę! Ja się zajmę resztą! Cheng Li skinęła głową i przywołała swoich ludzi - wszystkich z wyjątkiem Jasmine, wciąż trzymanej przez Sidorio.

Czekała na ruch Stukeleya i Johnny'ego, ale zanim cokolwiek zrobili, Connor ruszył naprzód. Cheng Li przeklęła w duchu jego brawurę.

- To mnie szukasz! - usłyszała, jak woła do Sidorio. - Ja zabiłem twoją żonę! I to na mnie chcesz się zemścić!

Co on sobie wyobraża? Dlaczego musi wszystko komplikować?

- Ty! - ryknął Sidorio, odwracając się do Connora. Oczy mu błysnęły. Puścił Jasmine. - Ty ją zabiłeś!

W jego głosie dało się słyszeć furię... ale i bezbrzeżną rozpacz. Cheng Li była zdumiona - całkiem jakby wampirat miał jakieś uczucia... Spoglądała nerwowo to na Stukeleya, to na Johnny'ego. Coś powinno się zdarzyć, i to szybko! Ale nie miała pojęcia, jak odwrócić uwagę Sidorio, zwłaszcza teraz, kiedy widział przed sobą Connora.

- Kapitanie! - wykrzyknął Stukeley. - Kapitanie! Sidorio nawet się nie obejrzał. Wyciągnął rękę.

- Kapitanie! - powtórzył Stukeley.

- Ty... - rzekł Sidorio i chwycił Connora za ramię.

- Kapitanie! - Johnny podbiegł do niego. - Kapitanie! Pańska żona, lady Lockwood... To znaczy lady Sidorio... Ona chyba nie zginęła! Budzi się!

Cheng Li uznała, że to bardzo sprytne. Zaklaskałaby z uznaniem, gdyby nie musiała myśleć o Connorze i Jasmine. Ale nagle zauważyła, że Johnny nie kłamał: martwa panna młoda rzeczywiście się budziła.

Porucznicy Sidorio i obie drużyny klęczeli teraz wokół lady Loli. Oczy miała otwarte. Szarpała za miecz wbity w jej pierś.

- Wróciłaś! - zawołał uszczęśliwiony Sidorio i podbiegł do żony.

- Jak to możliwe? - spytała Cheng Li.

- Pchnięcie nie wystarczyło - stwierdził Jacoby, z lękiem wytrzeszczając oczy. - Mimo połączenia srebra, głogu i tojadu. Jak wtedy, kiedy przebiliśmy kołkiem Wampirata 2... tego, który się zrekonstruował.

- Myślałam, że czegoś was to nauczyło. - Cheng Li spojrzała na niego surowo. - A tymczasem popełniliście ten sam błąd...

- Myśleliśmy, że wystarczy połączyć trzy substancje! - odparł Jacoby. - Przecież tojad unieruchomił gości.

- Nie przyszliśmy tu, żeby unieruchomić gości! - warknęła Cheng Li. - Mieliśmy zabić pannę młodą!

- Trzeba ją przebić jeszcze raz! - zawołał Jacoby.

- A potem odciąć jej głowę! Wtedy nie zdoła wrócić do życia!

- Jacoby! - jęknęła Cheng Li. - Dlaczego wcześniej na to nie wpadłeś?

- Spokojnie, pani kapitan! - Jego głos brzmiał już 'spokojnie. - Zajmę się tym z Connorem. Mam rację, stary?

- Jasne - zgodził się Connor. - Tylko jest problem... Nie mam miecza... Poza tym, który ona właśnie usiłuje wyciągnąć sobie z piersi! Jacoby spojrzał na Jasmine.

- Min, szybko! Daj Connorowi rapier! Jasmine rzuciła chłopakowi miecz. Connor chwycił w powietrzu rękojeść.

- Głowa czy serce? - zapytał Jacoby.

- Jak wolisz! - odparł Connor.

Chciał jak najszybciej to zakończyć. Myślał, że wypełnił już misję. Tymczasem teraz po raz drugi musiał zabić... a raczej unicestwić cel.

- Ja zajmę się sercem - zdecydował Jacoby. - A ty głową! Brzmiało to prosto, ale dopiero biegnąc w stronę lady Lockwood, Connor zrozumiał, jak barbarzyńskiego czynu ma dokonać. Odciąć komuś głowę! Chociaż nie. Nie komuś - czemuś. Ona może i wygląda jak człowiek, ale nim nie jest. To potwór - jak wszyscy wampiracy wokół. Zamordowała jego niewinnych kolegów. Zamordowała komandora Kuo. Z zimną krwią. Zamordowałaby i jego, gdyby miała okazję.

Sidorio pochylał się nad oblubienicą. Wyciągał do niej ręce, uradowany cudownym powrotem Loli do życia.

- Kapitanie! - zawołali chórem Stukeley i Johnny. Sidorio się obejrzał. W tym momencie Jacoby wykorzystał swoją szansę, podskoczył do lady Lockwood i wbił miecz w jej serce. Westchnęła cicho i znów zamknęła oczy.

- Connor! - zawołał Jacoby. - Teraz ty!

Chłopak trzymał broń w ręku. Wiedział, co musi zrobić, ale nie potrafił.

- Connor! - krzyknął jeszcze raz Jacoby. - Teraz!

Jego towarzysz zacisnął zęby, skoczył naprzód i jednym cięciem strącił z szyi głowę lady Lockwood. Jacoby ją złapał i ruszył biegiem, jakby uczestniczył w makabrycznym meczu rugby.

- Trzeba ją zabrać! - zawołał. - Żeby nie mogła się poskładać! Sidorio odwrócił się od poruczników i zobaczył, co zaszło.

- Nieee! - ryknął. Jacoby rzucił swoje upiorne brzemie na trawę. Grunt opadał łagodnie do krawędzi klifu, toteż głowa się potoczyła, z każdą chwilą nabierając rozpędu.

Sidorio patrzył miotany sprzecznymi uczuciami. Musiał wybierać. Albo spróbuje ocalić życie żony, albo pomści napaść piratów. Wybór był oczywisty.

- A teraz - zawołała Cheng - wynosimy się stąd! Pobiegli do klifu, gdzie ich koledzy zjeżdżali już na linach z urwiska.

- Szybciej! - rzuciła Cheng Li, obserwując, jak Sidorio biegnie za głową lady Loli. Na szczycie zostali już tylko Connor i Cheng Li. Widzieli, jak Sidorio rzuca się do krawędzi... spóźniony o ułamek sekundy. Piękna głowa panny młodej, nadal w diademie i z welonem, wpadła do oceanu. Sidorio z krzykiem zanurkował w przepaść.

- Jazda! - rozkazała Cheng Li.

Chwycili liny i zjechali na wąską plażę. Pobiegli do szalupy, w której czekali już członkowie załogi, gotowi wrócić na Tygrysa i odpłynąć. Jacoby i Jasmine machali z pokładu.

Cheng Li odmachala i podniosła kciuki w geście tryumfu.

- Za wami! - wrzasnął Jacoby.

Connor spojrział przez ramię. Sidorio odzyskał głowę lady Lockwood i trzymając ją, biegł po piasku w ich stronę.

- Szybko! - krzyknęła Cheng Li, ale Sidorio już był przed nimi. - Zabiliście moją żonę - warknął. - Dwa razy! Zaznaczcie teraz okrutnej zemsty! Wyciągnął ręce i pochwycił Connora. Złote kły wysunęły się spomiędzy warg niczym sztylety. Chłopak, choć bardzo silny, nie był dla Sidorio żadnym przeciwnikiem. Wampirat rozerwał mu koszulę, odsłaniając klatkę piersiową.

- Zatrzymaj się! - krzyknęła Cheng Li. Connor spojrział na nią bezsilnie. Paraliżował go żelazny uchwyt Sidorio.

- Uciekaj! - zawołał do kapitan. - Ratuj siebie i resztę załogi! Cheng Li pokręciła głową i wrzasnęła Sidoriovi prosto do ucha:

- Powiedziałam, żebyś się zatrzymał!

- Słyszałem! - Sidorio odwrócił głowę. - Ale nie posłucham. A teraz zostaw mnie! Cheng Li stała w wyzywającej pozycji, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

- Nie sądzę, żebyś naprawdę chciał to zrobić - powiedziała. - W tej chwili chyba trochę brakuje ci rodziny... Więc może wolałbyś nie zabijać własnego syna...? Connor słyszał jej słowa. Ale nie miały dla niego żadnego sensu. Potem uświadomił sobie, co ona chce osiągnąć. Cheng Li potrafiła wykorzystywać rozmaite szaleńcze strategie, ale tym razem naprawdę chwyciła się brzytwy. Syn Sidorio? Też pomysł. Dziwniejszy nawet niż teorie Grace.

Nagle poczuł, że uchwyt Sidorio słabnie. Trudno było uwierzyć, ale wampirat naprawdę go wypuszczał... Connor popatrzył na Cheng Li. Serce biło mu tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi.

- Już lepiej - pochwaliła wampirata Cheng Li.

- Widzisz? Nawet ty potrafisz się zachować w sposób umiarkowanie cywilizowany, kiedy wymaga tego sytuacja.

Wyciągnęła rękę i skinęła na Connora. Oszołomiony, potykając się, chłopak ruszył bezwolnie ku niej.

- Przyjrzyj się dobrze! - Cheng Li zawołała do Sidorio. - To twój syn. Ma na imię Connor. Jego matką była Sally, twój donator. Pamiętasz ją? Oczywiście. Ją też kiedyś kochałeś, prawda? Ale nie wiedziałeś, jak jej to powiedzieć, a zanim coś wymyśliłeś, ona zakochała się w innym. W

śmiertelnym latarniku Dexterze Tempeście. Chciała opuścić statek i zacząć życie, prawdziwe życie, z dala od ciebie.

Sidorio był sparaliżowany. Connor także czuł mroczną fascynację słowami Cheng Li.

- Znalazłeś wtedy sposób, by Sally nie mogła się od ciebie uwolnić. Rzuciłeś na nią czar, poczęła... Pamiętasz?

Sidorio wolno pokiwał głową, jakby ciemne odpryski wspomnień wynurzały się powoli z głębin jego umysłu.

- W Sanktuarium urodziła dziecko. A kiedy ty tam dotarłeś, usłyszałeś, że umarło. To złamało ci serce. Ale potem odkryłeś, że cię oszukali, że to był podstęp. Wtedy brutalnie i ostatecznie zemściłeś się na nieszczęsnej Sally.

- Skąd to wszystko wiesz? - zapytał.

„Rozsądne pytanie” - uznał Connor. Ale miał też tysiące innych pytań. Sidorio najwyraźniej także. „Czy to prawda? - zastanawiał się chłopiec. - Jestem potomkiem potwora? A jeśli tak, czym mnie to czyni?”.

Jedna po drugiej niewiarygodne myśli raniły jego umysł niczym pociski.

- W tej chwili to nieistotne - odparła Cheng Li. - Teraz wiesz, że twój syn żyje i dobrze się ma. - Przyciągnęła Connora do siebie. - I że idzie ze mną.

Sidorio pokręcił głową. Przyglądał się z uwagą Connorowi.

- Jest moim synem - powiedział, jakby właśnie w pełni to sobie uświadomił. - Zostanie ze mną.

Sytuacja wróciła do punktu wyjścia. Wampirat wyciągnął ręce, choć tym razem nie po to, by zmiażdżyć Connora, lecz go objąć.

- Nie - odpowiedziała z całkowitym spokojem Cheng Li. - Już powiedziałam. Connor idzie ze mną.

Sidorio pokręcił głową.

- Nie ty będziesz o tym decydować, piracie. - Ależ tak... Czyżbyś zapomniał... wampiracie... w czym jeszcze cię okłamali? W rzeczywistości było dwoje dzieci. Bliźnięta. Chłopiec i dziewczynka.

- Bliźnięta... - powtórzył Sidorio. Wpatrywał się w twarz Connora, przywołując wspomnienie dziewczyny na zboczu góry. Bardzo podobnej do tego chłopca. - Dziewczynka...

Ostry ból przeszył mu głowę, gdy wreszcie wszystko sobie przypomniał.

- Tak - potwierdziła Cheng Li. - Dziewczynka. Jestem pewna, że ją także chciałbyś zobaczyć. Prawda? Oczywiście że tak. - Przerwała, by nabrać tchu.

- No więc zrobimy tak. Connor wróci teraz ze mną. Odszukamy jego siostrę i w odpowiednim czasie spotkasz się z obojgiem. Chciałbyś tego, prawda? Wreszcie zobaczyć swoje dzieci...

Sidorio wolno pokiwał głową.

- No to się dogadaliśmy - uznała Cheng Li. - Connor i ja idziemy. Wkrótce odezwiemy się do ciebie...

- Skąd będziecie wiedzieć, gdzie mnie szukać? - zapytał Sidorio.

- Udało mi się trafić na twój ślub, prawda? Zdołam cię wytropić. - Jak mogę ci zaufać? Cheng Li uśmiechnęła się z wyższością.

- Nie możesz. Ale nie masz wyboru. Jeśli teraz nie pozwolisz Connorowi odejść, dopilnuję, żebyś nigdy nie spotkał swojej córki.

To przeważyło szalę... Sidorio puścił Connora.

- Trzymaj. - Cheng Li się schyliła. - I nie trać głowy. Wręczyła mu głowę lady Loli. Wziął ją, oszołomiony, i spojrzał w piękną, martwą twarz żony.

Lady Lola Elizabeth Mizerykordia Lockwood Sidorio zginęła w kwiecie wieku. Wampirat wpatrywał się w jej czarny tatuaż, jakby wierzył, że ukochana otworzy oczy... jeszcze raz. Gdyby tak mógł znowu w nie spojrzeć... Wspomniał ich pierwsze spotkanie na innej plaży, trochę podobnej do tej. Wspomniał dzień, kiedy wdarł się na Wagabundę i zastał ją szykującą krwawą kąpiel. Wspomniał chwile, kiedy razem ruszali na łowy. I wszystkie drobiazgi... Jak pomogła mu wybrać nowe ubranie, jak go uczyła uwalniać bukiet w pucharze, tę cudowną chwilę, gdy zgodziła się zostać jego żoną... I została jego żoną, a także - całym światem. A teraz odeszła... Nagle Sidorio poczuł dojmującą samotność. Wydał głośny, przenikliwy krzyk.

Connor pozwolił, by Cheng Li pociągnęła go za sobą do wody. W głowie mu się kręciło, kiedy ruszył w pław do szalupy. Ciało miał z ołowiu. Tylko instynkt przetrwania trzymał go na powierzchni.

- Ile z tego było prawdą? - zapytał.

- Wszystko, co do słowa - odparła. - Poza tym, że wcale nie mam zamiaru organizować mu spotkania z Grace.

- Naprawdę wierzysz, że ten potwór jest moim ojcem?

- Tak. Obawiam się, że tak, Connor. Ale głowa do góry. Może okażesz się przykładem wspaniałego tryumfu edukacji nad genetyką.

- Przecież on jest wampirem - przypomniał Connor. - W takim razie kim ja jestem?

- Jesteś takim jakby półwampirem... - odparła Cheng Li, płynąc. - Dampir, tak to się nazywa! - Silnymi pociągnięciami odgarniała wodę. - Jesteś dampirem! Grace też, naturalnie.

- Skąd o tym wiesz?

- Wszystko było w liście.

- Jakim liście?

- Od twojej matki. Dam ci go później. W spokojniejszym miejscu.

Miała jakiś list? Od jego matki? Jakim cudem? Tak wiele pytań musiał zadać, ale tymczasem zbliżali się już do łodzi, więc należało myśleć i mówić szybko.

- Czy ktoś jeszcze o tym wie?

- Nie. I tak powinno pozostać. Dla dobra wszystkich.

- A co potem? Chcesz, żebym odszedł?

- Czyś ty zwariował, Tempest? - zirytowała się Cheng Li. - Z listu wynika, że masz nadzwyczajną moc. Nigdzie cię nie puszcę. Podpisałeś kontrakt na całe życie, a teraz okazuje się, że jesteś nieśmiertelny. Tylko pomyśl! Nad wieloma sprawami musiał się zastanowić...

- Sam nie wiem, co powiedzieć - wyznał. - Nie wiem nawet, co myśleć.

- Nic nie mów ani nie myśl - uspokoiła go Cheng Li. - Wskakuj do szalupy i wracamy na statek. Potem spróbujemy to jakoś poukładać. Na razie jesteś bohaterem. Baw się dobrze!

Rozdział 48

Dampiry

Droga Grace, powiedziałaś mi, że kolekcjonujesz historie przejścia. No cóż, kochanie, to, co czytasz, jest twoją własną historią przejścia. A także twojego brata - Connor patrzył na pismo matki. Kusiło go, aby zwyczajnie spalić ten list bez czytania, ale wiedział, że nie może. Zniszczenie go nic nie zmieni, a on nadal nie będzie znał prawdy... Lepiej poznać ją i iść dalej - cokolwiek to teraz oznaczało. Raz jeszcze skupił się na słowach Sally.

Ten list jest także dla Connora, mojego kochanego synka. Dlatego, Grace, spisałam w nim całą historię, chociaż przecież część już znasz. Nie miałam kiedy porozmawiać z Connorem. Żałuję... ale jego czekała inna podróż. Proszę cię, Grace, przekaz bratu ten list, kiedy nadejdzie właściwa chwila - i pomóż mu poradzić sobie z prawdą...

„Mnie pomagać? Nie potrzebuję żadnej pomocy” - myślał Connor. Rozgniewał się na Sally i Grace. Kim one były, by mówić o nim w taki sposób? Stłumił złość. Wkrótce list stał się łatwiejszy w czytaniu.

Początek tej historii przypała na czasy, gdy zostałam donorem na Nokturnie. Myślałam, że to będzie koniec prawdziwego życia, ale się myliłam. Pod wieloma względami był to dopiero początek...

Czytał kolejne strony, dowiadując się, jak Sally została donorem Sidorii. Sama myśl budziła obrzydzenie, a jednak odwracał kolejne kartki, dziwnie poruszony tym, jak poznali się i zakochali ojciec - jego prawdziwy ojciec, Dexter - i matka. Potem opowieść Sally stała się bardziej mroczna.

Teraz muszę napisać o pewnych sprawach, o których nie potrafiłam mówić. Będzie wam trudno to czytać, ale proszę, spróbujcie zrozumieć. Cokolwiek pomyślicie, ani przez chwilę nie wątpcie w miłość moją i waszego ojca.

Czytał więc dalej, odkrywając prawdę o tym, jak on, Connor Tempest, pojawił się na świecie. Zawsze było to tajemnicą. Ojciec - człowiek, o którym myślał dotąd i zawsze będzie

myślał jako o swoim ojcu - nie mówił o Sally. Zawsze powtarzał, że to zbyt bolesne. Connor podejrzewał, że ich małżeństwo trwało krótko i zakończyło się tragicznie. Mimo ciekawości zbyt kochał ojca, by żądać od niego odpowiedzi. A teraz właśnie ją otrzymał. Związek rodziców istotnie trwał krótko i nie był małżeństwem. Zaczął się i zakończył tragicznie. On i Grace zostali poczęci nie z miłości, ale poprzez zaklęcie rzucone na Sally. Czym przez to byli? Postaciami z baśni? Czy może z horroru?

Widzicie więc, że jesteście oboje dampirami. Inaczej mówiąc, macie cechy zarówno śmiertelników, jak i wampirów. W odpowiednim czasie zacznie się objawiać wasza prawdziwa natura. Mam nadzieję, że kiedy to nastąpi, będziecie wspierać się nawzajem, gdyż oboje zasługujecie na takie wsparcie. Dampiry to niezwykle istoty, posiadające dar nieśmiertelności i inne właściwości wampirów, ale pozbawione ich słabości. Podejrzewam, że ty, Connorze, początkowo uznasz to za przekleństwo. Jeśli tak, mogę tylko przeprosić cię z całego serca. Mam nadzieję, że z czasem uznasz swoją nową naturę za błogosławieństwo. Błogosławieństwo? Jak ona mogła użyć tego słowa? Przyszedł na świat wskutek ohydnych zaklęcia, a jego biologiczny ojciec jest psychopata. „No cóż - pomyślał z żalem Connor - przynajmniej teraz wiem, komu zawdzięczam swoje wybuchy gniewu”. Złożył list i włożył go do koperty. Czuł się oszołomiony.

Siedział samotnie na zboczu wzgórza, spoglądając na przystań Akademii. W dole, nad zatoką, trwała już zabawa, rozbrzmiewała muzyka, a nocne niebo rozświetlały fajerwerki. Komandor Black urządził uroczystość, aby uczcić odwagę kapitan Li i jej młodej załogi podczas ataku na lady Lockwood. Ataku, którym dowiódł, że przed nim, Connorem Tempestem, rysuje się wspaniała przyszłość. „Gdyby tylko Black wiedział” - myślał Connor. A może wiedział? Ale nie, przecież Cheng Li powiedziała, że dotrzyma sekretu. Że Connor jest jej tajną bronią. Czy rzeczywiście? Gdy obserwował ją w dole, nad brzegiem, myślał, że to obecnie nie najważniejsze zmartwienie.

Cała załoga, z Jacobym i Bo Yin, otaczała kapitan Li. Dalej na pomoście stał Ahab Black, pogrążony w rozmowie z Barbarrem Wrathe'em, Rene Grammontem i Pawłem Płatonowem. Inni wykładowcy Akademii, kapitanowie, którzy przeżyli wyścig, również byli na nabrzeżu. Wzrok Connora zatrzymał się na ożywionej twarzy Lisabeth Quivers i na obliczu Shivaji Singha. Trochę dalej chłopak ujrzał Promyka i Trofie, jak zwykle nierozłącznych. Pani Wrathe odzyskała złotą dłoń i znów odgrywała Królową Piratów. Bart i Cate żartowali z Molukkiem i bawili się ze

Scrimshawem, oswojonym węzem owiniętym wokół szyi kapitana. Czy to Mama Kettle stała obok Molucca? Czyżby wyjątkowo wzięła sobie wolne od obowiązków w tawernie?

Donośny śmiech Molucca docierał aż do wzgórza. Zdawało się, że stary kapitan drwi z chłopaka.

Connor czuł się odcięty od nich wszystkich. Kiedyś myślał, że należy do świata piratów, że wśród tych awanturników znajdzie coś w rodzaju domu. Ale się pomylił. To było tylko złudzenie, teraz bezpowrotnie utracone. Nie należał nigdzie ani do nikogo. Był mutantem, potworem i wyrzutkiem.

- Hej, samotniku! Szukałam cię.

Nie słyszał kroków Jasmine, ale odwrócił się, gdy usiadła obok niego w wysokiej trawie.

Patrzył na nią, żałując, że nie potrafi odpowiedzieć uśmiechem. Miał wrażenie, jakby między nimi wyrósł niewidzialny mur. Gorąco pragnął wyciągnąć do niej rękę. Ale czy to sensowne? Nie mieli przed sobą żadnej przyszłości.

- Wiesz co, Connor? - powiedziała, marszcząc nosek. - Właściwie nie lubię parad zwycięstwa i takich zabaw. A od fajerwerków boli mnie głowa. - Oparła głowę o kolana i uśmiechnęła się do niego. - To, co nas tam spotkało, było ponure - mówiła dalej. - Ale jest już po wszystkim i chciałabym wrócić do normalnego życia. Ochłonąć trochę razem z przyjaciółmi, wiesz?

Odruchowo kiwnął głową. Słowo „normalne” wydało mu się nie na miejscu.

- Wyglądasz na zmęczonego - zauważyła. - I znużonego walką. Nic dziwnego. Byłeś w samym środku.

- Tak - przyznał. Patrzył na nią i myślał, że jest teraz piękniejsza i bardziej niedostępna niż kiedykolwiek. Należała do innego świata. Nigdy nie będą razem.

I wtedy Jasmine Peacock zrobiła prostą, ale niezwykłą rzecz. Położyła się w wysokiej trawie i pociągnęła Connora w dół, by się o nią oparł. A gdy to uczynił, wdzięczny za ciepło dotyku, zaczęła gładzić jego włosy.

- Nie wiem, co się stało, Connor - powiedziała cicho. - I nie muszę wiedzieć. Ale cokolwiek to było... nie będziesz sam, niezależnie, czy zechcesz mi powiedzieć, czy nie... Kiedy go pocałowała, łza spłynęła mu po policzku i zmieszała się z rosą.

Na pokładzie Nokturnu Grace leżała w ramionach Lorcana i spoglądała w gwiazdy. Uśmiechnął się nagle.

- Zapomniałem! Mam dla ciebie niespodziankę.

Puścił ją i podszedł do masztu. Grace patrzyła na niego z zaciekawieniem. Wrócił, niosąc płaską paczkę owiniętą w brązowy papier i przewiązaną sznurkiem. Przykucnął i podał jej zawiniątko.

- Nie jest najlepiej opakowane, przyznaję, ale mam nadzieję, że ci się spodoba. - Co to takiego? - spytała. Oczy jej błysnęły, gdy wzięła paczkę. Jak na swój rozmiar była zaskakująco lekka.

- No otwórz i sprawdź wreszcie! - zawołał Lorcan. Grace nie potrzebowała zachęty. Rozwiązała sznurek i rozerwała papier. Aż westchnęła z zachwytem.

- Och, Lorcan, to piękne! W dłoniach miała obraz przedstawiający scenę z pokładu Nokturnu. Przedstawiał parę młodych ludzi, mężczyznę i kobietę. Wszystko wskazywało, że są zakochani.

- To moi rodzice, prawda? - spytała. - To obraz, który namalowała Teresa?

Lorcan kiwnął głową.

- Oskar mi o nim powiedział. Nadal przyjaźni się z Teresą. Zabrał mnie do jej kajuty.

Grace, tam są stosy obrazów! Musiała zamalowywać stare płótna, żeby mieć miejsce na nowe.

Grace odetchnęła głęboko.

- Cale szczęście, że go nie zniszczyła... Lorcan objął ją w talii.

- Powiedziała, że nigdy by tego nie zrobiła. I bardzo chciała, żeby trafił w twoje ręce.

- Och, Lorcan. Jest przepiękny! Pomożesz mi go zawiesić w kajucie? Będzie tak, jakby oni zawsze ze mną wędrowali.

- Oczywiście - przytaknął i pocałował ją. Delikatnie odłożyła obraz, a potem chwyciła Lorcana za rękę i znów usiedli na pokładzie. Ale nawet wtedy nie mogła się powstrzymać od zerkania na prezent.

- O czym myślisz? - zapytał, gładząc jej policzek.

- Mosh Zu powiedział, że wszystko się toczy tak, jak powinno. Wtedy nie potrafiłam mu uwierzyć. - Popatrzyła na Lorcana. - Ale teraz wierzę.

- Tak się cieszę, Grace. Bałem się twojej reakcji. Myślałem, że to będzie koniec... ale chyba cię nie doceniłem. Już nigdy nie popełnię tego błędu.

- Owszem, popelnisz - odparła. Przechylił głowę i spojrzał na nią zdziwiony. Uśmiechnęła się.

- Jesteśmy nieśmiertelni. To znaczy, że spędzimy razem mnóstwo czasu. Musimy liczyć się z tym, że czekają nas również burze, prawda? Roześmiał się.

- Biorąc pod uwagę naszą historię? Są nieuniknione! Znów ją pocałował. Zaczynała przywykać do jego pocałunków, ale choć wiedziała, że ma na nie całą wieczność, nie sądziła, aby kiedykolwiek ją znudziły. Po chwili jednak zmarszczyła czoło.

- Co się stało? - zapytał. - Myślę o Connorze. Martwię się, jak przyjmie przemianę. Mnie jest łatwiej, bo chcę być częścią tego świata. Jestem z nim związana na tyle sposobów...

- To prawda - zgodził się Lorcan. - Ale ty i Connor macie różne natury. On znajdzie własną drogę. Musisz wierzyć, że tak będzie.

- Ale ja mam ciebie, mistrza, Darcy i całą resztę - przypomniała. - I kapitana... kiedy wróci.

Lorcan przytaknął.

- Tak, masz nas wszystkich. Ale Connor także ma przyjaciół. A my go nie opuścimy.

Staniemy przy nim, gdy będzie nas potrzebował.

Te słowa dodały jej otuchy.

- Dziękuję - powiedziała. - Nie ma za co. Mówię po prostu, jak jest. A teraz... czy możemy przestać się martwić o twojego brata i zacząć oglądać gwiazdy?

Grace kiwnęła głową. Znów położyła się na pokładzie i przytuliła do Lorcana. Błądziła wzrokiem po wysokim maszcie i ogromnych żaglach-skrzydłach Nokturnu, których żyłki migotały światłem.

W górze niebo było czyste i usiane gwiazdami. Grace patrzyła na konstelacje: niektóre znajome, inne wciąż tajemnicze. Przypomniała sobie, jak ojciec opowiadał jej i Connorowi, że kiedyś żeglarze korzystali z gwiazdozbiorów, by trafić do domu. Teraz, gdy spojrzała w górę, wyobraziła sobie, że każde ze światełek to jedna z wyjątkowych osób w jej życiu. Niektóre już odeszły, inne wciąż były przy niej. Sally, Dexter, Connor, Darcy, Oskar, Mosh Zu, kapitan, Lorcan... Każde z nich miało swój udział w doprowadzeniu jej do tego niezwykłego miejsca. Miejsca, o którym wiedziała już, że jest domem.